

Ryld Argith, fehmistrz Melee-Magthere, jest gotowy na wszystko i nie spotkał jeszcze przeciwnika, któremu nie dorównywałyby umiejętnościami. Ale podczas gdy Pajęcza Królowa nie może, lub nie chce, dać żadnego znaku swym wyznawcom, a społeczeństwo drowów chwieje się na krawędzi coraz głębszej przepaści, Rylda coraz bardziej pociąga kobieta, którą z kolei pragnie bogini. Lecz boginią tą nie jest Lolth. Kiedy fehmistrza zdradzi własne serce czy pójdzie za jego głosem jak człowiek, czy też oprze mu się jak drow?

Pozostałych czeka podróż przez bezlitosny przestwór bezdennej Otchłani. Na końcu podróży mają nadzieję spotkać samą Lolth. Choć udało im się przeżyć upadek Ched Nasad, wrogie knowania abolethów i przedrzeć się przez pełne demonów ruiny Myth Drannor, Podmrok okazał się jedynie dziecinną igraszką w porównaniu z chaotyczną nieskończonością Pajęczych Otchłani. Szukają prawdy, ale możliwe, że czeka ich tylko

UNICESTWIENIE

Wojna Pajęczej Królowej wraca do domu.

Prolog pióra R.A. Salvatore, autora
bestsellerów listy New York Timesa.

WOJNA PAJĘCZEJ KRÓLOWEJ KSIĘGA V

Uniestwienie

PHILIP ATHANS

Podziękowania

Osoby, dzięki którym ukazanie się tej i pozostałych książek z serii było możliwe to: Peter Arche, Mary Kirchoff, Matt Adelsperger, Liz Shuh, Mary-Elisabeth Allen, Rachel Kirkman, Angle Lokotz i jej wyjątkowy zespół oraz Marty Durham i Jose Fisher, którzy czuwali nad organizacją pracy.

Nie trzeba dodawać, że nie byłoby księgi V bez ksiąg I, II, III, IV i VI, mam więc ogromny dług wdzięczności wobec pozostałych autorów Wojny Pajęczej Królowej: Richarda Lee Byersa, Thomasa M. Reida, Richarda Bakera, Lisy Smendman i Paula S. Kempa. Dziękuję Elaine Cunningham za pomoc w rozwiązaniu pewnego problemu z ciągłością i Edowi Greenwoodowi za Stworzenie Świata, w którym toczą się wydarzenia. Brom, dzięki za ilustracje na okładkach — każda z nich to arcydzieło. Dziękuję również twórcom gier Ericowi L. Boydowi, Bruce 'owi R. Cordellowi, Gwendolyn EM. Kestrel i Jeffowi Quickowi za nowe fantastyczne zabawki związane z Podmrokiem.

Ale przede wszystkim muszę podziękować RA. Salvatore, który dał tej serii o wiele więcej niż tylko swoje nazwisko. Dał jej swoją nieskrepowaną wyobraźnię, energię i hojność ducha w o wiele większym stopniu niż mieliśmy prawo oczekiwać. Jeśli któraś z tych sześciu książek jest cokolwiek warta, to tylko dzięki niemu.

Była najsilniejsza. Pożarła więcej niż którykolwiek z pozostałych przy życiu. Zabiła więcej niż którykolwiek z pozostałych przy życiu. Zabiła wszystkie wokół siebie i nawet nie zadała sobie trudu pożarcia ich truchel, nim ruszyła do walki z tymi, które przetrwały.

Była najsilniejsza. Wiedziała, że jest najsilniejsza, gdy kolejna ofiara konała w jej kłapiących żuwaczkach. Była tą, która wyjdzie cało z masakry i będzie rządzić.

Była najsilniejsza.

Pozostałe też to wkrótce zrozumiały.

Więc musiała zginąć.

Pośród chaosu istniała inteligencja i celowość. Pośród głodu i rzezi istniała wspólna sprawa. Była najsilniejsza i wiedziały, że zabije je wszystkie albo będzie rządzić nimi wszystkimi, więc zawarły sojusz i oderwały jej osiem odnóży, pożerając ją w całości, nim znów zwróciły się przeciwko sobie.

Kolejna zyskała przewagę czynem i przerażającym atakiem.

Ta też padła w imię wspólnej sprawy.

Śmiertelna próba trwała. Najsilniejsze ginęły, ale najsprytniejsze przeżywały. Przeżywały przebiegle - te, które ograniczały się tylko do zabicia obecnego przeciwnika.

Te, które występowały naprzód, które wznosiły się ponad bitewny zgiełk, ginęły.

Przez wszystkie tysiąclecia rozpoznawała silniejszych od siebie i przekonywała ich, by jej służyli albo zabijała ich. Siła nie wynikała z wielkości jej mięśni, ale z jej przebiegłości.

W szaleństwie porodu, w morderczej walce, cechy te torowały drogę zwycięstwu.

Znaleźć moment, kiedy siła jednostki górowała nad potęgą zbiorowości.

Intrygować w trakcie walki, aby zniszczyć każdego, kto był silniejszy.

A w przypadku niektórych przyznać się do porażki, zanim stracą świadomość, uciec i przetrwać, pustoszyć inne plany jako nowe demony chaosu, a w końcu służyć zwyciężczyni.

*Ich liczba malała. Te, które ocalały, rosły i stawały się potężniejsze.
Każda czekała i obserwowala, decydując, kto musi umrzeć, zanim
będzie mogła władać niepodzielnie, wybierając ofiary, by ulatwić pożą-
dany koniec.*

Te powodowane niepohamowanym głodem już nie żyły.

Te powodowane chęcią samoobrony już nie żyły.

Te powodowane głupią dumą już nie żyły.

*Te powodowane instynktowną chęcią przetrwania nie żyły albo
uciekały.*

*Te kierujące się sprytem pozostały, świadome, że tylko jedna z nich
wyjdzie z tej próby zwycięsko.*

Wszystkie inne czekało niewolnictwo lub niebyt. Nie było innej drogi.

*Tak jak manipulowała śmiertelnikami, którzy jej służyli i śmiertel-
nikami, którzy się jej bali, tak jak przez wieki wpływała nawet na innych
bogów, w taki sam sposób kontrolowała swoje potomstwo. To była próba
jej pomysłu.*

Nie było innej drogi.

1

Gromph odkrył, że zaczyna się już przyzwyczajać do patrzenia na świat oczyma swojego chowańca. I właśnie to odkrycie skłoniło go, żeby coś z tym zrobić. Gromph Baenre, brat matki opiekunki pierwszego domu Miasta Pająków, arcymag Menzo-berranzan, nie będzie patrzył oczyma szczura ani chwili dłużej niż to konieczne.

Kyorli poruszyła głowę w górę i w dół, a potem na boki, węższąc. Szczurzyca musiała patrzeć tam, gdzie nakazywał jej Gromph, ale łatwo się rozpraszała. Nie widziała też zbyt dobrze po ciemku, co w Podmroku oznaczało, że nigdy nie widziała dobrze, nie rozróżniała też kolorów. Gromph widział komnatę czarów, podobnie jak resztę świata, w przyćmionych odcieniach szarości i czerni.

Jednak Gromph znalazł tę komnatę na tyle dobrze, że nie potrzebował wzroku szczurzyca, by wiedzieć, gdzie się kończy. Rozmazane plamy na granicy wzroku Kyorli były wielkimi filarami wznoszącymi się ku serii łuków przyporowych ginących w mroku osiemdziesiąt stóp nad jego głową. Zdobienia kolumn były oszczędne, a niedociągnięcia urody nadrabiała magiczną użytecznością. Komnata, ukryta głęboko w labiryncie Sorcere, miała służyć konkretnym celom, a nie robić wrażenie. Szkolono tu uczniów, poddawano próbom mistrzów, badano nowe zaklęcia, sprawdzano ich możliwości, a od czasu do czasu przyzywano demony lub wróżono.

Gromph wyszedł na środek pomieszczenia i kątem oka Kyorli dostrzegł dwóch czekających na niego drowów. Uklonili się. Szczurzyca węszyła z nosem skierowanym w stronę kręgu gigantycznych grzybowych trzonów, które przytwierdzono do posadzki na środku olbrzymiej komnaty. Było ich dziesięć, a do każdego z nich przywiązano jednego drowa.

- Arcymagu - wyszeptał z szacunkiem jeden z towarzyszących mu czarodziejów, a jego świszczący głos odbił się od odległych ścian tysiącem ech, których Gromph zapewne by nie usłyszał, gdyby nie stracił wzroku.

Arcymag skłonił Kyorli, by odwróciła łeb w stronę czarodziejów i z zadowoleniem odnotował, że odziali się i zaopatrzyli tak, jak rozkazał.

Kiedy przebywał z dala od Menzoberranzan, za co odpowiadał zdradziecki liczdrow Dyr, wewnątrz Akademii ujawniły się pewne czynniki. Odzyskanie dawnej pozycji w Sorcere zajęło Gromphowi mniej czasu niż się obawiał, ale więcej niż miałby ochotę. Ku jego zaskoczeniu Triel całkiem nieźle poradziła sobie z utrzymaniem szkoły czarodziejów pod kontrolą domu Ba-enre, ale mimo to należało zabić zdrajców, a zbłąkane owieczki sprowadzić z powrotem na słuszną drogę. Przez to wszystko odkładał na później próbę odzyskania wzroku. Aż do teraz.

- Wszystko jest przygotowane - powiedział szepczący mag, jego własny siostrzeniec, Prath Baenre.

Prath był młody i nadal miał tylko stopień ucznia, więc choć Gromph nie widział twarzy dwóch mrocznych elfów, ponieważ Kyorli co chwilę drapała się po tylnych nogach ostrymi przednimi ząbkami, był pewny, że drugi z nich - mistrz Sortere Ja-emas Xorlarrin - spogląda na młodszego drowa ze zniecierpliwieniem. Baenre czy nie, w Sorcere obowiązywała pewna hierarchia.

- Mistrzu Xorlarrin - powiedział Gromph, dając wyraz swojemu przekonaniu o potrzebie istnienia takiej hierarchii - jest rzeczą oczywistą, że mam problemy ze wzrokiem. Oczekuję prostych odpowiedzi na kilka prostych pytań. Staniesz u mego lewego boku. Chłopiec usunie się na bok, dopóki go nie poproszę.

- Jak sobie życzysz - odparł mag Xorlarrin.

Gromph pstryknął palcami i szczurzyca przestała się drapać. Patrzył jej oczyma, gdy wspinała mu się po nodze, ręce, aż w końcu usiadła mu na ramieniu, drżąc i węsząc. Widzenie siebie samego oczyma szczura wytrącało Grompha z równowagi, a dotyk łapek zwierzątka na ciele, gdy oba zmysły działały osobno, był czymś, z czym arcyomag był zdecydowany skończyć.

Gromph ruszył w stronę związanych mrocznych elfów, czując, że Xorlarrin idzie tuż za nim. Gdy podeszli bliżej, z mroku wyłoniła się kolejna postać -jeszcze jeden drow stojący w kręgu jeńców. Był to Zillak, jeden z najbardziej zaufanych skryto-bójców arcy maga.

- Czy chłopiec ma przygotowane sigle? - zapytał Gromph. Odpowiedział mu cichy brzęk metalu i odgłos spieszących kroków, które w końcu się zatrzymały.

- Tak, arcy maga - odparł Jaemas Xorlarrin.

Gromph podszedł bliżej do jednego ze skrepowanych mrocznych elfów. Cała dziesiątka była kuzynami -nikczemnymi synami domu Agrach Dyrr i co do jednego zdrajcami Menzober-

ranzan. Gromph poprosił, by oszczędzono najmłodszych, najsilniejszych i najsprawniejszych z nich.

- Dyr - powiedział arcymag, starając się utkwic niewidome oczy w twarzy jeńca.

Więzień drgnął lekko na dźwięk własnego nazwiska. Gromph był ciekaw czy młodzieniec odczuwa piętno hańby, jaką jego zdradziecki dom ściągnął na wszystkich jego krewniaków.

- Ja... - wymamrotał więzień. - Wiem, dlaczego tu jestem, Baenre. Możesz zrobić ze mną wszystko, co najgorsze, a i tak nie zdradzę mojego domu.

Gromph wybuchnął śmiechem. To było przyjemne uczucie. Już od dawna tak dobrze się nie uśmieł, a ponieważ oblężenie Menzoberranzan zacieśniało się, a on nie miał żadnych wieści o Lolth, która wciąż milczała, nie spodziewał się, że przez najbliższe dni, tygodnie, miesiące czy nawet lata będzie miał powody do śmiechu.

- Dziękuję - powiedział do młodzieńca. Uchwycił jeszcze wzrokiem zmieszany, zaskoczony wyraz twarzy jeńca, gdyż Ky-orli obróciła łebek, aby potrzebę śwędzące miejsce. — Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia na temat swojego domu. Odpowiesz tylko na jedno pytanie... co to za sigiel?

Nastala cisza, którą Gromph wziął za konsternację.

- Znak - powiedział arcymag, nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Sigiel, który mój młody siostrzeniec trzyma przed tobą.

Zgodnie z poleceniem Prath stanął kilka jardów dalej, pod ścianą gigantycznej komnaty, i trzymał w górze niewielką tekturową planszę mierzącą z każdego boku może sześć cali. Na jej powierzchni była wymalowana prosta i charakterystyczna runa - każdy drow rozpoznałby w niej symbol oznaczający drogę do schronienia, bezpieczne miejsce w dziczy Podmroku.

- Mógłbym cię zmusić do odczytania go, głupcze - rzekł arcymag, gdy wahanie jeńca przeciągało się. - Powiedz co to jest i pozwól nam robić swoje.

- To... -powiedział jeńiec, mrużąc oczy. -Czy to symbol Lolth?
Gromph westchnął.

- Prawie.

Arcymag szturchnął mentalnie siedzącą mu na ramieniu szczu-rzycę, a gdy ta obróciła łebek, zobaczył, jak Zillak owija wokół szyi jeńca drucianą garotę. Gdy spod drutu zaczęła się sączyć krew, a na usta Dyrra wystąpiła ślina, Kyorli zaczęła mu się przyglądać uważnie. Gromph zaczekał, aż jeńiec przestanie się szarpać i skona, po czym podszedł do następnego zdrajcy.

- Nie przeczytam tego! - warknął więzień z widocznym prze-
rażeniem. - Co to jest?

Nie chcąc tracić czasu na zakłęcie przymusu, Gromph odwrócił
głowę do Xorlarrina, który wciąż stał zaraz za nim, i zapytał: --
Jaki kolor?

- Wściekle amarantowy, arcymagu - odparł Jaemas.

- Cóż - odparł Gromph - zupełnie nieodpowiedni, nie-
prawdaż?

To wystarczyło Zillakowi, który założył na szyję drugiego
Dyrra garotę wciąż ociekającą krwią pierwszego z kuzynów.
Gromph nie czekał, aż jeńiec umrze, tylko od razu podszedł do
trzeciego w kręgu.

W powietrzu rozszedł się ostry zapach uryny, który sprawił,
że Gromph prawie cofnął się o krok, a od twardej kamiennej
posadzki odbiło się dudnienie kropel. Arcymag wydmuchnął
powietrze przez nos, aby pozbyć się przykrego zapachu.

- Czytaj - polecił przerażonemu jeńcowi.

- To runa oznaczająca schronienie — wyrzucił z siebie stru-
chłały Dyrr. - Przydrożne schronienie.

Gromph poznał po kobiecym tembrze jego głosu, że jest
młodszy od pozostałych. To miało swoje dobre strony. Kyorli,
może wyczuwając strach chłopca, a może przyciągnięta odo-
rem szczyn, spojrzała jeńcowi w twarz i Gromph postarał się,
by wzrok szczura pozostał utkwiony w jego oczach.

Jaemas Xorlarrin nachylił się z tyłu i powiedział:

- Przyjemnie krwistoczerwone, arcymagu.

Gromph uśmiechnął się, a skrepowany więzień spróbował odwrócić wzrok.

- Mniejszy - polecił Gromph, nasłuchując szelestu szat Pratha. - Odczytaj go - rozkazał jeńcowi.

Chłopiec podniósł wzrok. Po jego policzkach ciekły łzy, gdy mrugając powiekami patrzył na młodego Baenre, który, jak wiedział Gromph, trzymał odwróconą planszę, na której widniała, o połowę mniejsza od poprzedniej runy, cyfra...

- Pięć - wydukał jeniec nieprzyzwoicie piskliwym głosem.

Gromph uśmiechnął się i odsunął do tyłu, a Jaemas gładko usunął mu się z drogi.

- Tak - powiedział arcymag. - Ten.

Jaemas pstryknął palcami i Prath szybkim krokiem dołączył do przełożonych. W komnacie ponownie rozległy się odgłosy duszenia, potem znowu, i jeszcze pięć razy, gdy Zillak dokonywał egzekucji pozostałych jeńców, wszystkich prócz tego o bystrych, krwistoczerwonych oczach.

Podczas gdy Zillak wypełniał metodycznie swoje krwawe obowiązki, Gromph, Jaemas i Prath zdjęli z siebie szaty i stanęli boso, nadzy od pasa w górę, ubrani tylko w proste nogawice. Gromph skupił się na odgłosach egzekucji, starając się zachować jak największą jasność umysłu.

Pnąc się po szczeblach kariery w wymagającym domu, a potem w Sorcere, Gromph wiele widział i wiele dokonał. Wiedział co to ból i poświęcenie, i był w stanie wytrzymać próby, które złamałyby nawet inne szlachetnie urodzone drowy. Powtarzał sobie, że zniesie także to, co przyniesie dzisiejszy dzień, dla dobra własnego i Menzoberranzan.

Zapisywał w myślach, ile egzekucji usłyszał i gdy Zillak wyduszał ostatni oddech z piersi ostatniego Dyrra, polecił:

- Wprowadź tu stół, kiedy skończysz, Zillaku, a potem nas zostaw.

- Tak... - stęknął skrytobójca, z wysiłkiem kończąc ostatnią egzekucję - ...arcymagu.

Kiedy ostatni jeniec skonał, Gromph zobaczył kątem oka Ky-orli, jak Zillak wychodzi szybkim krokiem z kręgu trupów, wycierając dłonie szmatą. Pozostawiony przy życiu Dyrri płakał, a z jego płaczu Gromph wywnioskował, że chłopiec jest bardziej zawstydzony niż przestraszony. Koniec końców, dał się złamać. Zachował się jak jakiś goblin - na pewno nie drow. Mroczne elfy nie moczyły się na myśl o torturach czy śmierci. Mroczne elfy nie płakały w obliczu wroga - mroczne elfy w ogóle nie płakały. Gdyby chłopak nie dowiedział, że świetnie widzi w ciemnościach, Gromph byłby skłonny uznać go za półczłowieka.

To przykład, pomyślał, dla nas wszystkich.

Zillak wtoczył do środka stół na kółkach, do którego przymocowane były cztery solidne pasy ze skóry rothc. Z jednej strony znajdował się odpływ, który wpadał do wielkiej szklanej butli zawieszanej pod blatem. Zillak zostawił stół w miejscu wskazanym przez Jaemasa Xorlarrina i szybko opuścił pomieszczenie.

Gromph usiadł na stole, zdjął Kyorli z ramienia i wzię ją na rękę. Trzymając szczurzycę odkrył, że może obracać zwierzątkiem, aby patrzyło w wybranym przez niego kierunku. Gromph zachichotał, rozbawiony tym, jak późno na to wpadł, i zwrócił łebek zwierzątka w stronę Jaemasa. Mag Xorlarrin starał się nie zauważać oznak wesołości Grompha. Młody Prath wyglądał na zaniepokojonego.

- To będzie coś - zwrócił się Gromph do siostrzeńca - co tylko nieliczni mistrzowie widzieli w ciągu swego długowiecznego życia, mój młody siostrzeńcze. Będziesz mógł opowiadać wnukom, że byłeś tego świadkiem.

Liczeń skinął głową, najwyraźniej nie wiedząc, co odpowiedzieć i Gromph zaśmiał się z niego, kładąc się na stole. Pod

plecami poczuł zimną stal, jego skórę pokryła gęsia skórka. Westchnął przeciągle, żeby powstrzymać się od drżenia i położył sobie Kyorli na nagiej piersi. Pazurki szczura były klujące, ale nie zwracał na to uwagi. Wkrótce czekał go o wiele dotkliwszy ból i to nie tylko jego.

Na myśl o tym na chwilę zakreśliło mu się w głowie. Uniósł szurzycę i odwrócił ją głową w stronę mistrza Sorcere. Z miski trzymanej przez Pratha Jaemas wyjął wypolerowaną srebrną łyżkę. Nie był to zwykły sztuciec - jej brzegi były ostre jak brzytwa. Jaemas skinął na Pratha, żeby podszedł bliżej do więźnia, a sam zaczął skandować zakłęcie.

Słowa mocy brzmiały jak muzyka, a ich dźwięk sprawił, że Gromphowi przez zeszywniały z zimna grzbiet przebiegł dreszcz. To było dobre zakłęcie, trudne zakłęcie, rzadkie zakłęcie, które znała tylko garstka drowów. Koniec końców, Jaemas został starannie wybrany.

Podczas gdy kadencja wznosiła się i opadała, a słowa powtarzały się, a potem zawracały, mistrz Xorlarrin podszedł jeszcze bliżej do trzęsącego się z przerażenia jeńca. Trzymał łyżkę w delikatnym uścisku, tak jak artysta trzyma pędzel. Drugą ręką otworzył szeroko lewo oko jeńca. Dopiero gdy srebrna łyżka znalazła się o cal od oka młodzieńca, ten pojął, co się zaraz stanie.

Młodzieniec wrzasnął.

Kiedy ostra krawędź łyżki wsunęła mu się pod powiekę, wrzasnął głośniej.

Kiedy Jaemas jednym zręcznym, płynnym ruchem wyjął oko z oczodołu, wrzasnął jeszcze głośniej.

Kiedy oko wpadło z cichym młaśnięciem do miski trzymanej przez Pratha pod jego podbródkiem, zaskrzeczał.

Widziana oczyma szczura krew wylewająca się z pustego oczodołu wydawała się czarna. Jaemas otworzył prawe oko jeńca i młody drow zaczął błagać. Przez cały ten czas mistrz Sorcere nie przerywał ani na chwilę inkantacji, nie opuszczając ani jed-

nego taktu, ani jednej sylaby, a gdy wsunął łyżkę pod prawą powiekę, chłopak zaczął się modlić.

Gdy oko zostało wyjęte, jeniec już tylko dygotał z szeroko rozdziawionymi ustami i mięśniami szyi napiętymi jak postronki. Po twarzy spływała mu krew.

Gromphowi przeszło przez myśl, żeby powiedzieć więźniowi, sparaliżowanemu bólem i przerażeniem, że przynajmniej ostatnią rzeczą, jaką widział, była twarz drowa i prosta linia srebrnej łyżki. Następna rzecz, jaką miał zobaczyć Gromph, mogła doprowadzić do szaleństwa nawet arcymaga.

Gromph, rzecz jasna, nic nie powiedział.

Oczyma Kyorli arcymag zobaczył, jak Jaemas ostrożnie wkłada srebrną łyżkę do miski, tak aby nie przeciąć delikatnych gałek. Mag Xorlarrin, nie przerywając inkantacji, wyjął szczurzycę z rąk jej pana i Gromphowi zakręciło się w głowie. Usłyszał, jak Prath stawia miskę ostrożnie na posadzce, a Jaemas odwrócił gryzonia tak, że Gromph widział samego siebie leżącego na zimnym stalowym stole. Widział, że Pra-thowi trzęsą się dłonie, gdy delikatnie, prawie niechętnie, zapina skórzane pasy wokół jego prawego nadgarstka. Zaciągnął pasek, ale nie dość mocno.

- Ciaśniej, chłopcze - warknął arcymag. - Nie bądź taki wrażliwy i nie bój się, że sprawisz mi ból.

Gromph roześmiał się, gdy siostrzenice zaciągnął pasek i przeszedł do jego prawej kostki. Jaemas wciąż skandował słowa zaklęcia, gdy Prath skończył przywiązywać kostki i nadgarstki wuja do stołu. Kiedy Gromph uznał, że jest skrepowany jak należy, skinął na Xorlarrina.

Dziwne, pomyślał arcymag Menzoberranzan, gdy Jaemas położył mu Kyorli na nagim torsie. Gdyby Lolth zechciała, to wszystko nie byłoby potrzebne, ale bez względu na to czy bogini odpowie na modły swoich kapłanek, to, co się zaraz stanie, będzie i tak możliwe.

Ta myśl przyniosła Gromphowi chwilowy spokój. Świadomość — nie, pewność - własnej mocy zawsze dodawała mu otuchy i tak samo było tym razem. To właśnie ta pewność pozwalała mu normalnie oddychać i nie ruszać się, gdy patrzył oczyma szczurzyca idącej niechętnie po jego piersi i wdrapującej mu się na podbródek. Szczurzyca zatrzymała się i Gromph zobaczył, jak czarne opuszki palców Jaemasa opadają na jego lewe oko z kawałkiem zakrzywionego drutu. Dotyk Xorlarrina na powiece był zimny i suchy. Gromph nie poruszył się, gdy Xorlarrin delikatnie, ostrożnie, założył druciki, aby przytrzymać oko otwarte. To samo zrobił z prawym okiem, wciąż nie przerywając inkantacji, a Kyorli przypatrywała się temu z niezwykłą u niej cierpliwością. Szczurzyca powoli dostawała się pod działanie zaklęcia i to magia sprawiała, że wpatrywała się w oczy arcymaga.

Choć czuł na powiece przytrzymujące ją druciki, kiedy nie koncentrował się na odczuciach chowańca, nic nie widział. Nawet odrobiny światła czy cienia, nawet promyka jasności.

Gromph wziął głęboki, uspakajający oddech i powiedział:

- Kontynuujcie.

Kiedy skupił uwagę na sobie, zamiast na szczurze, nie widział, jak Kyorli wpełza mu na twarz, ale czuł każde ostre jak igła ukłucie pazurków, czuł zapach piżma i słyszał jak węszy. Wąsik zwierzątka dotknął jednego z otwartych oczu i Gromph wzdrygnął się. Zapieкло. Jego oczy były wprawdzie bezużyteczne, ale wciąż wrażliwe na ból.

Cóż, pomyślał Gromph, mam pecha.

Pierwsze ugryzienie załaziło głowę arcymaga falą przejmującego bólu. Całe ciało Grompha stężało, zęby zgrzytnęły o siebie. Poczul, że szczur się cofa, a po policzku spływa powoli krew. Jaemas nie przerywał inkantacji. Ból również nie ustał.

- Kyorli - stęknął arcymag.

Szczurzyca wahała się. Nawet pod wpływem zaklęcia, nawet pod wpływem pokusy, jaką stanowiło żywe - nawet jeśli

martwe - oko, wiedziała, że okalecza własnego pana, pana, który w przeszłości dowiódł, że nie bywa litościwy.

Gromph wszedł w świadomość swojego chowańca i pomimo uszkodzonego oka, z którego ciekła krew, znów widział. Był to jednak ten sam bezbarwny, mętny świat widziany oczyma szczura. Widział nadgryzione prawe oko, widział krew, widział swoje trzęsące się ciało, widział zaciśnięte szczęki i otwartą, bezbronną gałkę drugiego ślepego oka czekającego na niechętnie zabiegi szcurzycy.

Gromph zmusił gryzonia, aby dokończył to, co zaczął.

Kyorli mogła się wahać, słysząc rozkazy Jacmasa, ale na polecenie swojego pana zareagowała bez namysłu. Przez przynajmniej trzy ugryzienia Gromph patrzył, jak jego własne oko zostaje mu wyjedzone z czaszki, a potem obraz widziany przez Kyorli rozmazał się, gdy zanurzyła łebek w oczodole, aby rozszarpać delikatne, nasiąknięte krwią resztki.

Ból przekraczał wszelkie wyobrażenia Grompha, choć w swoim długim, burzliwym życiu arcymag Menzoberranzan wyobrażał sobie bardzo wiele.

— Krzycz, jeśli musisz, arcymagu -- wyszeptał mu do ucha siostrzeniec, tak cicho, że prawie zagłuszyły go odgłosy wydawane przez pożywiającego się szczura. - To żaden wstyd.

Gromph stęknął, próbując coś powiedzieć, ale nie rozwarł zaciśniętych szczęk. Młody uczeń nie miał pojęcia, czym jest wstyd i choć Gromphem targał oszałamiający ból, obiecał sobie, że Prath Baenre przekona się o tym, i że już nigdy nie ośmieli się udzielać wujowi rad.

Gromph nie krzyczał, nawet kiedy szczur zabrał się do drugiego oka.

2

Demon skierował okręt na najciemniejszą część jeziora, ale żaden z drowów nie zauważył w tym niczego niepokojącego. Kołyszący się na kotwicy w głębokim mroku Jeziora Cieni okręt chaosu - okręt chaosu Raashuba - odcinał się czystą bielą od atramentowej ciemności. Czerni wody dorównywał tylko głęboki heban skóry elfiego maga. Czarodziej, ten którego nazywali Pharaunem, znalazł go, spętał, przykuł łańcuchem do własnego pokładu, a uczynił to bez żadnej pokory, bez szacunku, bez strachu. Myśl o tym sprawiła, że sztywne czarne włoski porastające szarą, pomarszczoną skórę demona zjeżyły się. Przez chwilę demon stał, napawając się nienawiścią do drowa i jego pysznych pobratymców.

Drowy sprowadzały na pokład jednego służalczego, głupkowatego, bezwolnego plugawca za drugim. Potępione dusze drobnych grzeszników służyły za karmę w Otchłani i karmę dla okrętu chaosu. Uridezu starał się policzyć, ile plugawców sprowadza za jednym razem elfi czarodziej w nadziei, że uda mu się ocenić jego moc. Raashub nie znał się na przyzywaniu pomniejszych demonów, ale na pokładzie pojawiało się ich tyle, że nie miał wątpliwości co do umiejętności drowa. Raashub nie pomagał mrocznym elfom i cieszył się, że karmiącego okręt, a przy okazji marnują swoje zaklęcia, energię i uwagę. Obecność wszystkich tych wyjących, nieszczęsnych demonów zaprzętała drowią kapłankę do tego stopnia, że Raashubowi od czasu do czasu udawało się wykorzystać jej uśpioną czujność.

Raashub wyczuł umysłem prymitywną świadomość szczura i niepostrzeżenie zerknął w jego stronę. Przywoływał je od dwóch dni - odkąd drowy pojawiły się na pokładzie. Gryzonie pływały po powierzchni Jeziora Cieni i mieszkwały w szczelinach pomiędzy pokładami i pod stopniami okrętu chaosu, tak jak to zwykle czynią szczury. Raashub, demon uridezu, był szczurem na tyle, na ile pozwalała przyziemna rzeczywistość tego świata i znał szczury Podmroku równie dobrze, jak szczury w każdym innym zakątku niezliczonych planów.

Gryzoń odpowiedział na spojrzenie Raashuba, strzygąc niemo wąsikami, co uridezu bardziej wyczuł niż zobaczył. Związtko schowało się za grubą podstawą grota i podkrađło ostrożnie do draeglotha.

Drowy nazywały mieszańca Jeggredem. Był to typowy okaz draeglotha. Gdyby Raashub był na tyle głupi, żeby zmierzyć się z nim w walce jeden na jednego, draegloth pokonałby go, ale uridezu nigdy nie będzie aż tak głupi. Nigdy nie będzie tak głupi jak draegloth.

Szczur nie chciał ugryźć półdemona i Raashub musiał go po naglić. To była loteria, ale uridezu nie miał nic przeciwko odro-

binie ryzyka, gdy można było na tym skorzystać. Jednak psychiczne ponaglenie znów ściągnęło uwagę jednej z drowek i uri-dezu wycofał się, odwracając wzrok, zanim ich spojrzenia spotkały się. Wszystkie drowy, nawet jeśli niechętnie, uznawały zwierzchność elfki o imieniu Quenthel, która musiała być jakąś wysoką kapłanką tej pajączej dziwki Lolth. Drowka była tak zarozumiała i jednocześnie miała tak niewiele powodów do dumy jak pozostali intruzi, ale była wyczulona na mentalne przekazy. Raashub niepokoił się, że może go usłyszeć, kiedy nie będzie sobie tego życzył.

Szczur przypadł błyskawicznie do draeglotha i ukąsił go w kostkę. Półdemon odrzucił go z pomrukiem i drobny gryzoń wyleciał w powietrze, znikając w ciemnościach. Plusk dobiegł z tak daleka, że ledwo go było słyhać. Draegloth, na którego skórze zęby słabowitego zwierzątka nie zostawiły nawet śladu, zmierzył Raashuba wściekłym spojrzeniem.

Przez ostatnie dwa dni draegloth robił niewiele prócz mierzenia go wściekłym wzrokiem.

Uprzykrzone szkodniki, odezwał się Raashub w umyśle draeglotha, *co, Jeggred!*

Draegloth wypuścił cuchnący oddech przez nozdrza, a jego wargi odchyliły się do tyłu, ukazując rząd kłów ostrych jak brzytwy i dziurawiących jak igły. Półdemon zasyczał ze złości i na jego wargach zaskwierczała gorąca ślina.

Przystojniak, dokuczał mu Raashub.

Draegloth zmrużył oczy, nie rozumiejąc. Raashub roześmiał się.

Wysoka kapłanka obróciła się i spojrzała na nich obu. Raashub znów odwrócił wzrok. Poruszył stopą, aby pętający go łańcuch zagrzechotał o pojedynczą smoczą kość, z której wykonana była większa część pokładu. Nad nim w nieruchomym powietrzu zwisały bezwładnie podarte żagle z ludzkiej skóry. Demon usłyszał, że Jeggred się obraca. Raashub lubił tę grę -

obaj zostali przyłapani przez surową matkę na chłopięcych fi-glach, których nie pochwałała.

Quenthel odwróciła wzrok i Jeggred znów popatrzył mu w oczy. Uridezu nie miał już ochoty drażnić się z nim tego dnia. Zaczynało go to nużyć. Demon stał w milczeniu, od czasu do czasu popychając okręt w stronę głębokiego mroku zalegające-go wzdłuż ścian jaskini.

Cierpliwość nie należała do przymiotów jego rasy, ale Ra-ashub od dawna tkwił uwięziony na Jeziorze Cieni. Pojawienie się drowów było czymś w rodzaju daru niebios, choć z tonu ich rozmów i tego, co czasem im się wyrwało, Raashub wywnioskował, że nie wysłał ich żaden bóg ani bogini. Zdołali uwolnić okręt i jego. Gdyby nie był uridezu, demonem zrodzonym w wirującym chaosie Matki Otchłani, mógłby być im... jak brzmiało to słowo? Wdzięczny? Zamiast tego był cierpliwy, ale już niedługo.

Wkrótce drowy pogrążą się w Zadumie, medytacyjnym tran-sie podobnym do snu, i wysoka kapłanka wejrzy w siebie. Kie-dy nadejdzie czas i nie będzie w stanie wyczuć co robi Ra-ashub, on sprowadzi poprzez bezkresną nieskończoność pomiędzy planami kolejnego ze swych pobratymców. Już spro-wadził jednego wczoraj. Drowy, zbyt pewne władzy, jaką nad nim mają, nie usłyszały jego wołania, nie zauważyły, jak jego kuzyn Jaershed przybywa z Otchłani i wciąż nie zdawały sobie sprawy, że drugi uridezu, spowity magicznym mrokiem, czeka ucze-piony kilu.

Jaershed nie nauczył się cierpliwości tak jak Raashub i cza-sem nie był w stanie tłumić żądy krwi i chaosu. W takich chwila-ch przekłeta wysoka kapłanka rozglądała się dookoła, jak gdy-by coś usłyszała, jak gdyby myślała, że są obserwowani. Raashub był wtedy bezgłośnie, dodając swój mentalny głos do zbola-łych jęków parady plugawców, które drowy ściągały na pokład i wprowadzały jednego za drugim do ładowni. Quenthel była

zaciekawiona, a nawet zaniepokojona, ale w końcu udawało mu się ją przekonać.

Koniec końców, mroczne elfy pokonały Raashuba. Ich potężny mag uwięził go na tym nikczemnym planie, przykuł łańcuchem do jego własnego pokładu, zastraszył go, zniewolił... i żadne z nich nie wyobrażało sobie, że pomimo tego nic - ani w Otchłani, ani w Podmroku, ani na Jeziorze Cieni czy na pokładzie okrętu chaosu - nie trwa wiecznie.

Raashub zamknął ślepią, stłumił zniecierpliwienie i uśmiechnął się.

Ryld Argith wbił wzrok w ciemność panującą w Lesie Vela-ra i westchnął. W miejscach, gdzie drzewa były na tyle wysokie i rosły dość gęsto, by przesłonić rozgwieżdżone nocne niebo, czuł się prawie dobrze, ale zdarzało się to rzadko w tym stosunkowo niewielkim, jak się dowiedział, lesie. Dźwięki jeszcze bardziej go rozpraszały — świsty i szelesty dobiegające nieustannie ze wszystkich stron, czasem zupełnie bez echa. Jego słuch, wyczulony dziesięcioleciaми szkoleń w Melee-Magthe-re, był przystosowany do właściwości Podmroku, ale w Świecie Ponad zmieniał fechmistrza w kłębek nerwów. Przez cały czas miał wrażenie, że w lesie roi się od wrogów.

Obrócił się, żeby odszukać w mroku źródło przypadkowego ćwierkania- odgłos wydawany przez stworzenie nazywane, jak mu powiedziano, „nocnym ptakiem” - i zamiast tego ściągnął na siebie spojrzenie Halisstry. Wiedziała, że fechmistrz podskakuje przy każdym dźwięku i uśmiechnęła się w sposób, jaki jeszcze kilka dni temu Ryld wzięłby za znak, że odkryła w nim jakąś słabość, słabość, którą bez wątpienia wykorzysta w przyszłości. Iskierki w jej purpurowych oczach zdawały się świadczyć o czymś wręcz przeciwnym.

Halisstra Melarn dezorientowała Rylda od początku ich znajomości. Pierwsza córka arystokratycznego domu Ched Nasad początkowo była w każdym calu wyniosłą, opanowaną kapłanką, na jaką ją wychowano, ale kiedy jej bogini odwróciła się od niej, jej dom upadł, a potem jej miasto obróciło się w perzynę, Halisstra zmieniła się. Ryld opuścił swojego długoletniego sojusznika Pharauna oraz pozostałych Menzoberranzańczyków, aby jej towarzyszyć, i nie żałował tego, ale nie był pewny czy zdoła odwrócić się plecami do Podmroku, tak jak zrobiła to ona. Ryld miał wciąż dom w Menzoberranzan - a przynajmniej zakładał, że ma, jako że nie miał żadnych wieści z miasta, które odczuwało efekty Milczenia Lolth już kiedy wyruszali w drogę. Kiedy o tym pomyślał, poczuł pewność, że jeszcze kiedyś tam powróci. Kiedy patrzył na Halisstrę, widział mroczną elfkę podobną i zarazem niepodobną do siebie. Wiedział, że nigdy nie będzie mogła wrócić, nawet gdyby miała dokąd. Była inna i Ryld wiedział, że też będzie musiał się zmienić albo wrócić do domu bez niej.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, a jej głos był miłą odmianą po kakofonii lasu.

Popatrzył jej w oczy, ale nie był pewny, co odpowiedzieć. Dzięki kapłankom Eilistraee, Uluyarze i Feliane, nie tylko przeżył, ale i nie doznał żadnego uszczerbku. Trucizna, która niemal pozbawiła go życia, została wysączona z jego żył za pomocą magii, a rany jego i Halisstry uleczone, tak że nie zostały po nich nawet blizny. Obca bogini elfów mieszkających na powierzchni darowała mu życie i Ryld wciąż czekał, aż ona i jej czcicielki wystawianiu rachunek.

- Ryld? - ponowiła pytanie Halisstra.

-Ja...

Urwał, obrócił głowę, a kiedy usłyszał, że Halisstra zaczerpnęła tchu, żeby znów coś powiedzieć, uniósł rękę w ostrzegawczym geście, żeby ją uciszyć.

Coś poruszało się przy ziemi, i to blisko, coraz bliżej. Wiedział, że Feliane wysforowała się naprzód - kapłanki Eilistraee zawsze dbały o to, by zapewnić dwójce przybyszów czas na osobności - ale szła dalej i z innej strony.

Za tobą, pokazał na migi Halisstrze, z lewej.

Halisstra skinęła głową i jej prawa ręka powędrowała ku zakłętemu ostrzu przy biodrze. Ryld patrzył, jak obraca się powoli i kiedy dobywał zza pleców swój wielki miecz, przez krótką chwilę podziwiał krągłość jej bioder i migotanie jej kolczugi na tle ciemnego lasu. Śnieg zatrzeszczał pod jej stopami, gdy wsłuchiwał się w podejrzone dźwięki. Cokolwiek je wydawało, poruszało się w chaotyczny sposób i chyba nie było samo, choć brak echa uniemożliwił mu uzyskanie pewności. Nie wychwycił żadnej zmiany w sposobie poruszania się tego czegoś, gdy dobyli mieczy, więc uznał, że intruz ich nie usłyszał.

Patykowata roślina pozbawiona korony - kapłanki Eilistraee nazywały je „krzakami” - poruszyła się, ale nie za sprawą wiatru. Halisstra zrobiła krok w tył i zasłoniła się Księżycowym Ostrzem. Stała plecami do Rylda, więc nie mógł porozumiewać się z nią na migi. Chciał jej powiedzieć, żeby comeła się jeszcze trochę, pozwoliła mu zająć się tym czymś, ale nie chciał się odzywać.

Kiedy stworzenie wytoczyło się zza krzaka, Halisstra odskoczyła szybko trzy kroki w tył, nie opuszczając miecza. Ryld rzucił się w stronę kłębka zjeżonego brunatnego futra, zakładając, że Halisstra usunie mu się z drogi. Gdy tego nie zrobiła, musiał się zatrzymać, a wtedy stworzenie popatrzyło na niego. Ze wszystkich znanych Ryldowi istot najbardziej przypominało rothe, ale to nie było rothe. Zwierzę było małe, wielkości i wagi tułowia fechmistrza, a jego szeroko otwarte oczy były wilgotne, słabe i...

- Młode - wyszeptła Halisstra, jak gdyby dokończyła jego myśl.

Ryld nie opuścił miecza, choć zwierzę usiadło spokojnie na ziemi, patrząc na niego.

- To dziecko - powiedziała Halisstra i wsunęła Księżycowe Ostrze z powrotem do pochwy.

- Co to takiego? - zapytał Ryld, nadal nie opuszczając miecza, nie mówiąc już o schowaniu go do pochwy.

- Nie mam pojęcia - odparła Halisstra, ale przykucnęła przed stworzeniem.

- Halisstro - syknął Ryld — na miłość Lolth...

Urwał, zanim zdążył dokończyć. Był to kolejny zwyczaj, który musiał zmienić albo zabrać ze sobą do domu.

- Nie zje nas - wyszeptwała, spoglądając zwierzątku w oczy.

Zwierzątko poruszyło nosem, wytrzymując jej spojrzenie.

Sprawiało wrażenie zaintrygowanego, jego pyszczek przypominał nieco elfią twarz, ale jego spojrzenie zdradzało wyłącznie zwierzęcą inteligencję.

- Co zamierzasz z nim zrobić? - zapytał.

Halisstra wzruszyła ramionami.

Zanim Ryld zdążył cokolwiek dodać, z krzaków wyszły dwa kolejne stworzenia, przyglądając się swojemu towarzyszowi i dwójce mrocznych elfów z potulnym zainteresowaniem.

- Feliane będzie wiedziała, co z nimi zrobić powiedziała

Halisstra - a przynajmniej powie nam, czym są.

Tym razem to Ryld wzruszył ramionami. Jedno ze stworzeń / zaczęło wylizywać sobie futro i nawet Ryld nie był aż tak zaślepiony, by wciąż widzieć w nich zagrożenie. Halisstra wydała okrzyk, jakiego nauczyły ich kapłanki - krzyk jakiegoś ptaka - a Ryld wsunął wielki miecz do pochwy.

Feliane usłyszy wołanie i wróci do nich. Ryld wzdrygnął się na myśl o tym, że kiedy tu dotrze i zobaczy ich dwoje, jak stoją osłupiali na widok zupełnie niegroźnych zwierząt... znów wyjdą na głupców. A przynajmniej on.

Feliane przedzierała się z tupotem przez gąszcz poszycia. Rylda zaskoczyła nie tylko szybkość, z jaką poruszała się kapłanka, ale i hałas, jaki przy tym czyniła. Zdążył już nabrać

szacunku do ich umiejętności bezszelestnego poruszania się pole...

W tej samej chwili zrozumiał, że to coś przedzierające się przez czarny jak oko wykol las nie jest Feliane. Nie był to też drow, elf ani nawet człowiek. To było coś innego - coś wielkiego.

Istota, która wypadła ze splątanej gęstwiny, przypominała ścianę brunatnego, zmierzwionego futra. Ryld zdołał uchwycić rękojęść Rozpruwacza, ale nie zdążył go dobyć, zanim bestia obaliła go na ziemię. Fehmistrz spróbował zwinąć się w kłębek, żeby osłonić brzuch przed pazurami tratującego go potwora, ale nie zdążył.

Zwierzę przydepnęło go, potknęło się, przetoczyło po nim i znów go przydepnęło. Ryld mógł tylko zaciskać powieki i stękać. Stwór był ciężki i kiedy po raz pierwszy przygwoździł fechmistrza do ziemi, Ryld usłyszał, jak przynajmniej jedno z żeber pęka mu pod jego ciężarem. W końcu wypuścił Rylda, który odturlał się w bok - którykolwiek bok - i zatrzymał pod patykowatym krzakiem o ostrych cierniach, które wczepiły mu się w pancerz i *piwafwi*. Śnieg dostał mu się w szczeliny między płytkami pancerza, ziębiąc szyję i dłonie.

Stwór odtoczył się, zatrzymał i zerwał z ziemi zwrócony łbem w przeciwną stronę. Fehmistrz podniósł głowę i zamrugał. Zwierzę wyglądało jak większa - znacznie większa - wersja zwierzątek, które podeszły do drowów, marszcząc noski. Był to sprytny fortel i z pewnością skuteczna strategia łowiecka. Rozbroić i rozproszyć ofiarę swoim ciekawskim potomstwem, a potem stratować ją, kiedy nie patrzy.

Mimo to mistrz Melee-Magthere skrzywił się, zniesmaczony, że dał się nabrać na tę sztuczkę, jak sprytna by nie była.

Zaczynam tracić refleks, pomyślał. Cała ta otwarta przestrzeń, cała ta gadanina o boginiach i odkupieniu...

Odpychając od siebie rozprasające myśli, Ryld skoczył na równe nogi, dobywając Rozpruwacza i wywijając nim przed

sobą młyńca. Zwalisty stwór odwrócił się w jego stronę, ale Ryld był już gotowy.

Stwór spojrział mu prosto w oczy, a Ryld mrugnął do niego znad ostrej jak brzytwa krawędzi wielkiego miecza.

Z nozdrzy stwora buchnęła para, kiedy wydał z siebie serię głośnych pomruków. Rozgarnął śnieg jedną z przednich łap i Ryld zobaczył czarne pazury wielkości noży myśliwskich, którymi zakończone były zaskakująco chwytne dłonie. Z oczu stwora wyciekała mieszanka tępoty i zajadłej wściekłości - spojrzenie, które Ryld już widział w przeszłości i nauczył się szanować. Głupich wrogów łatwo było pokonać, a wściekłych jeszcze łatwiej. Jednak połączenie jednego z drugim wróżyło zażartą walkę.

Bestia natarła i Ryld stawił jej czoła. Kiedy stanęła na tylnych łapach, prawie trzykrotnie przewyższała drowa wzrostem. Podobny pokaz siły mógł przestraszyć słabszego przeciwnika, ale tym razem potwór tylko odsłonił brzuch. Fehmistrz ciął mieczem na wysokości ramienia, chcąc otworzyć stworowi trzewia i skończyć z nim szybko. Jednak zwierzę było szybsze niż wyglądało i odskoczyło w tył, przewracając się na plecy w momencie, w którym krawędź miecza minęła je, chybiając o stopę. Ryld nie miał wyboru, musiał dokończyć zamach, ale zdołał wykorzystać swój pęd, żeby uskoczyć w lewo, kiedy stwór spróbował chlasnąć go tylnymi pazurami.

Ryld okręcił się i zatrzymał z wysoko uniesioną klingą, czekając, aż zwierzę zerwie się z ziemi. Oddech obojga zamieniał się w lodowatym powietrzu w kłęby pary, ale tylko Ryld się uśmiechał.

Znów rzucili się na siebie i Ryld był przygotowany na to, że potwór znów spróbuje go stratować, albo stanie na tylnych łapach. Zwierzę nie zrobiło ani jednego, ani drugiego. Sięgnęło ku wojownikowi obiema łapami, wyraźnie próbując chwycić go za ramiona - albo za głowę. Ryld wsunął się między nie ślizgiem i gdy znalazł się pod brodą stwora, pchnął mieczem

w górę. Miał zamiar nabić je na miecz, może nawet odrąbać mu głowę, ale jego przeciwnik wykazał się jeszcze bardziej zdumiewającą zwinnością. Przechylił głowę w bok i Ryld zdołał mu tylko naciąć ucho.

Wciąż na plecach, fehmistrz zamierzył się do kolejnego ciosu, chcąc dźgnąć go powtórnie albo przynajmniej trafić w brzuch, ale zwierzę odskoczyło w bok i odturlało się, znów umykając przed atakiem drowa.

Ryld zerwał się z ziemi i obaj przeciwnicy znów stanęli na wprost siebie. Fehmistrz usłyszał z lewej głos i zerknął na Ha-lisstrę, która klęczała pogrążona w modlitwie, mamrocząc jakąś inkantację. Zwierzę wykorzystało chwilowy brak koncentracji drowa i skoczyło ku niemu, z łatwością pokonując osiem stóp i opadając z impetem na ziemię tuż przed Ryldem. Stwór musiał uskoczyć w tył, tracąc równowagę, aby uniknąć kolejnego ciosu Rozpruwacza. Otworzył szeroko pysk, ukazując paskudne kły i wydając kolejną serię wściekłych, rozdrażnionych pomruków.

Zamachnął się na fehmistrza jedną z łap. Ryld miał już ją odrąbać na wysokości łokcia - ale oboje odskoczyli w tył, aby umknąć przed czymś, co ze świstem przemknęło między nimi w tumanie piór, pazurów i powietrza.

Ryld podążył spojrzeniem za wzrokiem stwora obserwującego szaleńczy lot nowego uczestnika walki. Był to rodzaj ptaka, ale miał czworo skrzydeł. Jego wielobarwne upierzenie dobrze wtapiało się w ciemne tło lasu i Ryld na sekundę stracił go z oczu. Wielka kudłata bestia cofnęła się, starając się obserwować jednocześnie Rylda i dziwacznego ptaka.

Nawet Ryld tego nie potrafił, a ponieważ kudłaty stwór przystanął tuż przed nim i na chwilę stracił czujność, fehmistrz znów zaatakował - i znów ptak przemknął między nimi, orząc powietrze podobnymi do igieł szponami.

Ryld nawet nie drgnął, ale wielkie zwierzę prawie przewróciło się na plecy, aby umknąć przed przybyszem. Ryld, już w po-

łowię zamachu, szybko zmienił kierunek ataku i brakowało pół ciała, żeby przeciął śmigającego ptaka na pół, kiedy usłyszał zza pleców głos Halisstry:

- Zaczekaj! - zawołała drowka i fechmistrz zatrzymał miecz w górze, pozwalając ptakowi przelecieć pod spodem. - Jest mój. Ja go wezwałam.

Ryld nie miał czasu, żeby zapytać, jak tego dokonała. Zamiast tego cofnął się o trzy długie kroki, nie spuszczać oczu z bestii, która już stała na wszystkich czterech łapach. Ptak wyfrunął z ciemności za nią i przeciągnął jej szponami przez głowę. Stwór zawył z bólu i zdumienia, i kłapała szczękami, chybiając mijającego go ptaka o jard.

- Co to takiego? - zapytał Ryld, nie spuszczać wzroku z roz-juszzonej leśnej bestii.

- To grotostrząb - odparła Halisstra.

Ryld usłyszał w jej głosie dumę i zdumienie, i było w tym coś takiego, że ciarki przeszły mu po plecach.

Zwierzę popatrzyło na niego, warknęło i ruszyło do ataku. Albo zapomniało o grotostrzębiu, albo zrezygnowało z wy-patrywania go. Ryld przyczaił się, zasłaniając Rozpruwaczem i czekając na hestię. Rozluźnił ramiona, mówiąc sobie, że walka trwa już za długo. Nie pozwoli zrobić z siebie głupca jakiemuś...

...grotostrząb przeleciał mu nad głową, na szerokość palca nad jego krótko przystrzyżoną czupryną.

Ryld schował głowę w ramiona, gdy ptak śmignął nad nim. Leciał z szybkością strzały wypuszczonej z łuku i Ryld nie dziwił się już jego nazwie. Wyglądało na to, że mknie prosto do oczu kudłatego stwora. Ryld z jednej strony chciał, żeby grotostrząb zabił zwierza, a z drugiej nie chciał, żeby ubiegł go jakiś wyczarowany ptak. A przynajmniej nie na oczach...

Nie dokończył tej myśli i sapnął głośno, widząc, jak ogromny ziemny stwór chwyta grotostrzębia wielką, szponiastą łapą.

Ptak wydał przesywający uszy wrzask, gdy stwór spojrział mu w oczy, zaczynając go miażdżyć. Ryld nawet przez chwilę nie wątpił, że ogromny zwierzę zdoła złamać smukłego groto-strzębia na pół. Brakowało już tylko pół sekundy, by mu się to udało, gdy grotostrząb zadarł do góry długi, pierzasty ogon i wycelował nim w pysk stwora. Z ogona wystrzelił oślepiający błysk światła, trafiając bestię prosto w nos. Ryld zacisnął powieki. Rozległ się głośny szelest liści, kolejny gniewny wrzask i wysokie wycie, które mógł wydać tylko ogromny zwierzę.

Ryld otworzył oczy i musiał zamrunąć kilka razy, żeby pozbyć się powidoku fioletowej iskry, która wystrzeliła z ogona gro-tostrzębia. Zwierzę wypuściło ptaka, którego nie było nigdzie widać. Z jego poparzonego nosa unosiła się smużka dymu, a nieruchome nocne powietrze wypełnił swąd osmalonych włosów.

Halisstra podeszła do Rylda. Drowy wymieniły spojrzenia i uśmiechy, obserwując jak zwierzę wije się z bólu.

- Nieźle-zażartował fechmistrz, a Halisstra odpowiedziała zadowolonym uśmiechem.

— Chwalmy Eilistraee - rzekła.

Jak gdyby zrozumiał jej słowa i nie kochał bogini, wielki zwierzę podniósł łeb, wydał dwa kolejne wściekłe pomruki i rzucił się na nich. Ryld wysunął rękę, żeby pchnąć Halisstrę za siebie, ale ona już zdążyła skryć się w ciemnościach. Fechmistrz rozstawił nogi, gotując się na przyjęcie ataku i zobaczył groto-strzębia, który znów wyprysnął z mroku. Grotostrząb skierował ogon w przód i Ryld, wiedząc, czego się spodziewać, zamknął oczy i uniosł ramię - wciąż trzymając oburącz rękojeść Rozpruwacza - aby osłonić wrażliwe oczy.

Powietrze zaskwierczało od elektryczności, a zaraz potem rozszedł się w nim słaby zapach ozonu i silny swąd spalonej sierści. Kudłaty stwór zaryczał z bólu i Ryld otworzył oczy. Grotostrząb znów zniknął - zapewne mknął przez las, omijając pnie drzew i szykując się do kolejnego ataku.

- Zaczekaj! - rozległ się kobiecy głos. Ryld pomyślał najpierw, że to Halisstra.

- Nie, Feliane - odrzyknęła Halisstra. - Wszystko w porządku. Ryld i...

- Nie! - przerwała jej leśna elfka.

Ryld odwróciłby się w stronę nadchodzącej Feliane, ale zwierzę znów postanowił go zaatakować. Nie mając pewności przed czym właściwie Feliane próbuje go powstrzymać, Ryld natarł na zwierza. Dostrzegł jednak nadlatującego grotostrzębia i zatrzymał się gwałtownie, ślizgając się na śniegu. Zwierzę musiało się zorientować, dlaczego drow tak raptownie zahamował i kiedy grotostrząb obniżył lot, aby smagnąć go pazurami, stwor też go zobaczył.

Szczęki zamknęły się wokół grotostrzębia. Nastąpił głośny trzepot skrzydeł, wrzask, warczenie, kłapanie zębów, trzask -i grotostrząb spadł na śnieg w dwóch drgających, krwawych częściach.

- Co tu się dzieje? - zawołała Feliane, a jej głos rozległ się już znacznie bliżej. - Co wy, na miłość bogini, wyprawiacie?

Z najeżonym kłami pyskiem ociekającym krwią grotostrzębia zwierzę wyglądał jeszcze bardziej dziko, niebezpiecznie i wściekle niż wcześniej. Ryld uśmiechnął się, zawiązał młyńca magicznym wielkim mieczem i rzucił się na niego.

Za plecami, w gęstwinie zarośli, Halisstra i Feliane rozmawiały podniesionymi głosami, ale wyszkolone zmysły Rylda nie zwracały na nic uwagi. Byli sprzymierzeńcami, a jedynym godnym uwagi przeciwnikiem była rozjuszona bestia. Wszystko jedno o czym rozmawiały, mogły powiedzieć mu to później, gdy już rozprawi się z brutalnym, sprytnym drapieżnikiem.

Stwor znów stanął na tylnych łapach i drow ciął nisko, zostawiając głęboką bruzdę w odsłoniętym podbrzuszu bestii. Z rany zaczęła się sączyć krew, która szybko przesiąkła zmierzwiłone, brudne futro. Ryld uniósł miecz i trzymając go oburącz nad

głową, skierował klingę sztychem w przód, przygotowany do zadania ostatecznego ciosu.

Leśny drapieżnik znów udowodnił, że nie da się tak łatwo pokonać. Zanim Ryld zdołał pchnąć go Rozpruwaczem, wielka, przypominająca dłoń łapa stwora owinęła się wokół jego prawego ramienia, wbijając się w przestrzeń pomiędzy naramiennikiem a karwaszem.

Ryld opuścił prawą rękę w dół, przyciskając łapę do opancerzonego boku, aby uniemożliwić bestii zerwanie naramiennika - a wraz z nim warstwy skóry i mięśni. W efekcie sztych Rozpruwacza wycelował w górę. Zwierzę pchnęło fechmistrza i jego ciężar wystarczył, by Ryld zgiął się, pośliznął i upadł na plecy. Sztych Rozpruwacza minął ramię zwierza, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy. Kiedy fechmistrz poczuł, jak druga łapa wczepia mu się w lewy naramiennik, zrozumiał, że został przy-szpilony do ziemi.

Bestia kłapnęła mu zębami przed twarzą, ale miał jeszcze dość miejsca, by uchylić głowę w bok. Wykorzystując całą swoją znaczną siłę, spróbował odepchnąć bestię, ale z rękami przytrzymanymi nad głową i mieczem prawie unieruchomionym przy uchu zwierzęcia, musiał odepchnąć się od ziemi przy użyciu pleców i barków - unosząc przy tym mierzącego piętnaście stóp stwora, który ważył przynajmniej tonę. Wiele nie zdziałał, ale kiedy zwierzę poczuło, że próbuje się unieść, naparło na niego, wyciągając łapy o ułamek cała, którego potrzebował fechmistrz, aby przesunąć ostrze w dół. Skręcając boleśnie nadgarstki, Ryld zdołał wepchnąć sztych wielkiego miecza pod podbródek bestii.

Zwierzę zwróciło ciemne, matowe ślepia w dół i wyciągnęło szyję do góry. Zastygli w ten sposób i Ryld obawiał się, że pozostaną w tej pozycji przez bardzo długo: stwór próbujący go odepchnąć, on usiłujący przeszyć mu gardło.

- Halisstra! - krzyknęła Feliane. - Nie!

Jej głos był ochryply, pełen paniki i rozległ się na tyle blisko, że Ryld przypomniał sobie, że dwie kobiety wciąż tam są. Nie był sam. Jak to kobiety, pozwoliły mu wziąć na siebie główny ciężar walki, ale chyba go tak nie zostawiają - a może? Sądząc po tonie głosu Feliane, właśnie to zamierza zrobić.

Ryld zdwoił wysiłki, ale bestia również, więc nie byli ani trochę bliżsi rozwiązania - dopóki Ryld nie usłyszał dziwnego pomruku, który, jak sobie uświadomił, należał do Halisstry. Zwierzę nachyliło się ułamek cala w przód, na co fehmistrz przez cały czas liczył.

Szytych wielkiego miecza wbił się w gardło zwierzęcia i po ostrzu spłynęła krew. Stwór stęknął, otwierając pysk na ćwierć cala i pozwalając ostrzu wsunąć się jeszcze głębiej. Z rany tryśnięła gorąca czerwona krew w rytmie jego oszalałego serca - Ryld odnalazł arterię, której szukał.

Zobaczył z prawej but Halisstry i usłyszał dźwięk mieczai wysuwanego z pochwy. Drowka wskoczyła na grzbiet zwierzęcia i opasała go nogami, dobywając Księżycowego Ostrza, aby zadać śmiertelny cios.

Ryld uczył to, przekręcając Rozpruwacza i szytych wszedł głębiej w gardło stwora, upuszczając jeszcze więcej krwi. Ciało zwierza wstrząsnął dreszcz.

Feliane dobiegła do nich i musiała mocno uderzyć w bok zwierzęcia. Halisstra stęknęła i zwaliste cielsko zaczęło przewracać się w bok. Ryld rozrząbał mu szyję, nie mając pewności czy już nie żyje.

But Feliane rozgarnął śnieg obok fehmistrza.

- Przestań. Na miłość Eilistraee, nie po to wykuto Księżycowe Ostrze.

Ryld pozwolił, by drgający trup stoczył się z niego i upadł pod krzakami. Wzdrygając się z bólu w ramieniu i pod pachą, wyciągnął klingę z szyi martwego zwierzęcia i wstał, odsuwając się o kilka kroków.

Halisstra i Feliane stały obok zabitego zwierzęcia, ręka Feliane była wczepiona w prawe ramię Halisstry.

- Nie mogłam... - wydusiła Halisstra drżącym głosem, a każde jej słowo podkreślał kłęb pary wydostający się jej z ust. - Nie mogłam pozwolić temu czemuś go zabić.

Obie kobiety spojrzały na Rylda, który tylko wzruszył ramionami.

- Ona tylko broniła swoich młodych - powiedziała Feliane.

Patrzyła na Rylda, ale fehmistrz odniósł wyraźne wrażenie, że mówi do Halisstry. Ryld nie zrozumiał. Kto bronił...?

- Zwierzę? - zapytał.

- To samica wielkiego ziemnego leniwca - wyjaśniła kapłanka, puszczając ramię Halisstry i odsuwając się od niej. - To była samica wielkiego ziemnego leniwca. Są rzadkie, zwłaszcza tak daleko na północy.

- To dobrze - powiedział Ryld. - Była twardsza niż wyglądała.

- A niech to! - zaklęła Feliane. - Ona tylko broniła swoich młodych. Nie musiałeś jej zabijać.

Halisstra patrzyła na swój miecz, którego klinga świeciła w ciemności.

- Dlaczego - zapytał Ryld - miałyby atakować uzbrojonego drowa, żeby chronić swoje młode? Gdyby żyła, mogłaby urodzić następne.

Feliane otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Przybrała dziwny wyraz twarzy, jakiego Ryld jeszcze nigdy nie widział. u mrocznego elfa.

Halisstra popatrzyła na martwą samicę i wyszeptała:

- Ona...

Ryld potrząsnął głową. Nie rozumiał i zaczynał dochodzić do wniosku, że nigdy tego nie zrozumie.

Minęły dwa dni, odkąd Pharaun skontaktował się ze swoim przełożonym i wiadomości, które zawierały przesłanie od niego, wciąż leżały mu brzemieniem na sercu. Zakłęcie, z którego korzystali, pozwalało na przesłanie poprzez Splot krótkiej wiadomości z Jeziora Cieni do Menzoberranzan i równie krótkiej odpowiedzi w przeciwnym kierunku.

Statek chaosu jest nasz, przesłał Pharaun, starając się unikać zbędnych słów, choć było to przeciwne jego naturze. *Doradz właściwą dietę. Nie wierzymy kapitanowi. Jakież wieści od Rylda Argitha albo Halisstry Melarn? Wysiani do domu, aby zdać szczegółowy raport.*

Czekał wlokące się w nieskończoność sekundy na odpowiedź, zastanawiając się czy nadeszła chwila, na którą czekał -

chwila, w której Gromph Baenre, arcyomag Menzoberranzan, nie odpowie. Będzie to chwila, w której Pharaun dowie się, że zawiedli, że nie mają dokąd wracać ani czego bronić.

Ta chwila jeszcze nie nadeszła.

*Karmić go plugawcami, brzmiała odpowiedź arcy maga. Ilo-
ma się da. Kapitan będzie służył sile. Mistrz Argith i pani
Me-larn nie dotarli. Dość klótni, ruszajcie w drogę.*

Pharaun nie zastanawiał się, skąd Gromph wie o niesnaskach wśród członków wyprawy. Gromph sam był drowem i widać uznał to za pewnik. Gdyby Pharaun miał więcej czasu, mógłby przyjrzeć się bliżej tej kwestii, spróbować ustalić, w jakim stopniu Gromph jest świadom ich poczynań, ale teraz miał pełne ręce roboty.

Przywoływanie i pętanie plugawców nie było dla Pharauna jakimś szczególnym wyzwaniem, ale mimo wszystko były to demony. Mag musiał używać w tym celu potężnych czarów, nie tracąc przy tym kontroli nad kapitanem uridezu, który przedstawił się jako Raashub. To były dla Pharauna dwa długie, trudne i męczące dni. Odpoczywał w Zadumie tylko tyle, ile było konieczne, by odnowić zaklęcia i robił wszystko co w jego mocy, by przywołać jak najwięcej demonów. Korowód obmierzłych, służalczych, kłapiących zębami poddemonów, które ściągał na pokład okrętu, zaczynał zdumiewać nawet jego samego i miał nadzieję, że nie umknie to uwadze Quenthel i pozostałych. Ci spośród nich zdolni do oceny jego umiejętności musieli być pod wrażeniem, a jeśli byli pod wrażeniem, musieli się bać. Tak długo jak się bali, był bezpieczny.

Prowadząc sznur cuchnących czartów ku miażdżącemu szczękowi ładowni okrętu, Pharaun powrócił myślami do drugiej części przesłania. Ryld nie dotarł do Menzoberranzan, ale to mogło oznaczać wszystko. Mógł zginąć w każdym miejscu pomiędzy tajaskinią w Świecie Ponad i Miastem Pająków albo mógł być nadal w drodze. W Podmroku nie było takich dwóch

punktów, które łączyłaby linia prosta, więc mógł znajdować się zaledwie kilka mil od Menzoberranzan i wciąż mieć ponad tydzień drogi przed sobą.

Ryld mógł wciąż żywić urazę do maga, który opuścił go w potrzebie tyle dni temu, ale Pharaun wiedział, że w mistrzu Melee-Magthere ma wciąż potężnego sojusznika. Wojownik mógł ulec czarowi pierwszej córki domu Melarn, ale jeśli Halisstra wciąż żyła, sama z pewnością wracała do Menzoberranzan. Pharaun nie wyobrażał sobie, gdzie indziej mogłaby pójść kapłanka.

Bez Rylda u boku Pharaun zostawił Quenthel i jej siostrzeńcowi Jeggredowi tyle miejsca, na ile pozwał zatłoczony pokład. Nie spodobało im się to, że czarodziej zostawił ich wewnątrz wiru i najpierw zabrał ze skalnej półki Valasa i Danifae. Nawet Valas i Danifae byli tym zaskoczeni, ale Pharaun już dawno temu nauczył się, że każdy rozważny drow wykorzystuje okazję do utarcia nosa swoim wrogom, choćby po to, żeby przypomnieć im, że to potrafi.

Mimo to mistrzyni Arach-Tinilith była bardzo niezadowolona, a Jeggred po raz kolejny spróbował zaatakować czarodzieja. Quenthel powstrzymała go, nawet jeśli niechętnie, i powierzyła mu zadanie pilnowania urideczu. Stanowili dobraną parę: demony na niewłaściwym planie, zmuszone do służenia drowom gotowym zawlec ich z powrotem do Otchłani, która ich zrodziła. Pharaun westchnął na myśl o tym. Wiedział, że podróż do Otchłani była złym pomysłem, ale już dawno przekroczyli próg tego, co dopuszczalne. Znaleźli się na nowym gruncie. Zmierzała na spotkanie z samą Pajęczą Królową i to właśnie w chwili, gdy Lolth wydawała się najbardziej niechętna ich wizycie.

Pharaun był pewny, że nie jest jedyną osobą zastanawiającą się nad sensem wyprawy, choć tak stanowczo upierał się, by iść dalej. Dla mistrza Sorcere była to misja, która mogła go uczynić arcymagiem Menzoberranzan. Quenthel z kolei osiągnęła już najwyższą pozycję, o jakiej mogła marzyć. Jako mistrzyni Arach-

Tinilith była duchową przywódczynią całego Menzoberranzan i drugą najpotężniejszą drowką w mieście. Niektórzy mogliby się upierać, że jest nawet potężniejsza od swojej siostry Triel.

Ze wszystkich drowów w Faerunie ona jedna mogła liczyć na powitanie we władztwie Lolth — zakładając, że Lolth i Pajęczce Otchłanie wciąż istniały - ale wysoka kapłanka i tak była u kresu wytrzymałości. Jej surowy zazwyczaj wyraz twarzy zastąpiła sztywna maska, ruchy stały się nerwowe i. rozedrgane. Każda wzmianka o czekającej ich podróży sprawiała, że zaczynała przemierzać niespokojnie pokład, zupełnie nie zwracając uwagi na pomniejsze demony, które próbowały ją ukąsić lub capnąć.

Nawet Pharaunowi, choć był cynikiem, nie chciało się wierzyć, że mistrzyni Arach-Tinilith może tracić wiarę.

Fakt, że Jeggred też dostrzegł niepokój Ouenthel, nie poprawił czarodziejowi samopoczucia. Wyraz twarzy draeglotha nie zawsze dawał się odczytać, choć półdemon był najmniej inteligentnym członkiem drużyny, ale od przybycia nad Jezioro Cieni - a może nawet wcześniej - Jeggred patrzył na swoją ciotkę nieco inaczej. Widział jej podenerwowanie, choć mógł je uznać za strach, i nie podobało mu się ono. Wcałe a wcałe.

Gdy ostami z plugawców zniknął w gardzieli statku, Pharaun zamknął oczy i odetchnął głęboko. Był tak zmęczony, że mógłby zasnąć jak człowiek. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby przejść przez pokład do miejsca, gdzie zostawił plecak, tylko osunął się na mięsiste deski pokładu tam, gdzie stał.

- Zanim pogrążysz się w Zadumie - odezwał się zza jego pleców Valas Hune - powinniśmy omówić kwestie praktyczne.

Pharaun obrócił się do zwiadowcy Bregan D'aerthe i uśmiechnął do niego. krzywo.

- Kwestie praktyczne? - zapytał czarodziej. - W tej chwili jestem zbyt zmęczony, żeby rozstrzygać jakiegokolwiek kwestie... prócz... tych...

Pharaun zamknął oczy i potrząsnął głową.

- Dobrze się czujesz? - zapytał zwiadowca tonem wyciętym z autentycznej troski.

- Dowcip mnie zawiódł - odparł Pharaun. - Muszę być naprawdę zmęczony.

Zwiadowca kiwnął głową.

- Będziemy potrzebować zapasów - oznajmił, zwracając się do całej czwórki.

Quenthel nie podniosła głowy, a Jeggred tylko na sekundę oderwał wzrok od przykutego do pokładu demona.

Draegloth wzruszył ramionami i powiedział:

Mogę zjeść kapitana.

Pharaun nawet nie liczył na odpowiedź uridezu, a ten, rozsądnie, nie udzielił jej.

- Aleja nie - odparł Valas. - Pozostali też nie.

Po drodze nie będzie żadnej okazji, żeby się zatrzymać? - spytała Danifae.

Pharaun popatrzył z uśmiechem na piękną, enigmatyczną brankę.

- Stąd popłyniemy przez Skraj na Cienistą Głębię. Stamtąd na bezkresny plan astralny. Stamtąd do Otchłani. Wszystkie przystanki po drodze będą... co najmniej wątpliwe.

- Co oznacza - wtrącił Valas - że nie będzie żadnych.

- Co miałeś na myśli, Valasie? - zapytał Pharaun. - O jakich zapasach mówimy?

Zwiadowca wzruszył demonstracyjnie ramionami i zwrócił się do Quenthel:

- Jak długo nas nie będzie?

Quenthel prawie się wzdrygnęła i Jeggred posłał jej mordercze spojrzenie, zanim znów zajął się pilnowaniem pojmanego uridezu.

- Miesiąc - odpowiedział za nią Pharaun - szesnaście dni, trzy godziny i czterdzieści pięć minut... plus minus szesnaście dni, trzy godziny i czterdzieści pięć minut.

Quenthel wbiła w Pharauna twarde spojrzenie, twarz miała pozbawioną wyrazu.

- Myślałam, że dowcip cię zawodzi, mistrzu Sorcere - odezwała się Danifae. Odwróciła się do Quenthel. - Rozumiem, że na to pytanie nie sposób udzielić dokładnej odpowiedzi, ale może chociaż w przybliżeniu?

Spojrzała na Valasa, unosząc wysoko białe brwi odcinające się wyraźnie od czerni gładkiego czoła. Valas kiwnął głową, nie spuszczać wzroku z Quenthel.

- Prawda jest taka, że nie mam pojęcia - powiedziała w końcu mistrzyni Arach-Tinilith.

Reszta drowów uniosła brwi, a oczy Jeggreda zwęziły się. Żadne z nich nie spodziewało się usłyszeć z jej ust takiej odpowiedzi.

- Żadne z nas tego nie wie — ciągnęła, ignorując ich reakcję - i właśnie dlatego się tam wybieramy. Lolth postąpi z nami według własnego uznania, kiedy już znajdziemy się w Otchłaniach. Jeśli chcemy zaopatrzyć się na drogę, potrzebujemy za pasów na podróż tam i być może z powrotem. Jeśli Lolth postanowi nas żywić podczas naszego pobytu w Otchłani, niech tak będzie. Jeśli nie, nie będziemy potrzebować strawy, a przy najmniej nie takiej, jaką można zdobyć w tym świecie.

Wysoka kapłanka objęła się ciasno ramionami. Wszyscy zauważyli, że zadrżała z nieskrywanym przestrawem.

Pharaun był zbyt zaskoczony, żeby zważać na reakcje pozostałych. Jego uwagę przyciągnął dopiero niski, warkliwy pomruk Jeggreda wpatrującego się w Quenthel, która z powodzeniem ignorowała swojego zrodzonego w Otchłani siostrzeńca.

- Mówicie jak ludzie - warknął draegloth. - Rozmawiacie o Otchłani, jak gdyby to był jakiś wściekły pies, który może ugryźć was w zadek, więc na wszelki wypadek nie wstajecie z krzesła. Zapominacie, że dla was Otchłań jest terenem łowiec-

kim, choć większość zwierzyny łowicie na innych planach. Czy jesteście drowami? Panami tego i kolejnego świata? Czy może jesteście...

Jeggred urwał, zacisnął szczęki i wpił z powrotem stalowe spojrzenie w uridezu. Kapitan odwrócił wzrok.

- Na wiele sobie pozwalasz, czcigodny Jeggredzie - odezwała się Danifae, a jej czysty głos poniósł się echem po nieruchomej powierzchni jeziora. - To nie strach każe nam przygotować się do podróży, ale konieczność.

Jeggred obrócił się powoli, ale nie spojrzał na Danifae. Znow odnalazł wzrokiem mistrzynię Arach-Tinilitli. Quenthel wyglądała, przynajmniej w oczach Pharauna, jak gdyby pogrążyła się w Zadumie. Jeggred parsknął krótko przez szerokie nozdrza i uśmiechnął się do Danifae, ukazując kły.

- Strach — powiedział draegloth ma charakterystyczny za pach.

Danifae odwzajemniła uśmiech półdemon.

- Strach przed Pajęczą Królową z pewnością pachnie najlepiej.

- Tak - wtrącił się Valas, choć Danifae i draegloth wciąż mierzyli się wzrokiem z nieodgadzionymi wyrazami twarzy. - Wszystko to pięknie, ale ktoś z pewnością wie, ile czasu zajmie nam dotarcie tam i powrót.

- Około dziesięciu dni powiedział Pharaun, zgadując tylko po to, żeby móc wreszcie odpocząć i odnowić swoją magię. - W każdą stronę.

Zwiadowca kiwnął głową i nikt inny już się nie odezwał. Jeggred powrócił do wpatrywania się w kapitana, a Danifae wyciągnęła osetkę, żeby naostrzyć sztylet. Żmije przy biczu Qu-enthel owinęły się czule wokół swej pani i jedna za drugą zaczęły zasypiać.

- W taki razie ruszam w drogę - oznajmił Valas.

- W drogę? - zapytał Pharaun. - Dokąd?

- Do Sshamath, jak sądzę - odparł zwiadowca. - To dość blisko i mam tam kontakty. Jeśli pójdę sam, wrócę szybko i nikt kto nie boi się Bregan D'aerthe nawet się o tym nie dowie.

- Nie - powiedziała Danifae, zaskakując i Valasa, i Pharauna.

- Młoda pani ma lepszą propozycję? - zapytał czarodziej.

- Sschindylryn - odparła.

- Co z nim? - zapytał Pharaun.

- Jest bliżej - odrzekła Danifae - i nie rządzą nim kapłani Vhaerauna.

Rzuciła Valasowi znaczące spojrzenie i Pharaun uśmiechnął się krzywo.

- Jestem zmęczony — powiedział mistrz Sorcere - więc wypowiem się w imieniu Valasa. Valas należy do Bregan D'aer-the, młoda damo, i jest lojalny wobec tego, kto płaci. Nie wydaje mi się, żeby nasz przewodnik chciał nasłać na nas jakieś bóstwo. Jeśli szybciej dotrze i wróci z Sshamath, pozwól mu robić to, do czego został wynajęty.

- Pójdzie do Sschindylrynu - odezwała się Quenthel tak cichym i bezbarwnym głosem, że Pharaun nie był pewny czy dobrze ją usłyszał.

- Pani? - zapytał.

- Słyszałeś - powiedziała, wreszcie podnosząc na niego wzrok. Przez chwilę patrzyła zimno na czarodzieja, który wytrzymał jej spojrzenie. Odwróciła się do Valasa. - Sschindylryn.

Nawet jeśli zwiadowca miał ochotę się spierać, szybko ją w sobie zdusił.

- Jak sobie życzysz, mistrzyni - odparł.

- Będę ci towarzyszyć - oświadczyła Danifae, mówiąc do Valasa, ale patrząc na Quenthel.

- Sam poruszam się szybciej - sprzeciwił się zwiadowca.

- Mamy czas - odrzekła branka, nie spuszczać wzroku z Quenthel.

Wysoka kapłanka powoli odwróciła się do Danifae. Jej zimne czerwone spojrzenie ociepliło się, przesuając się po kragłościach dziewczyny. Danifae przegięła się lekko, wywołując na twarzy Pharauna uśmiech pełen tyleż podziwu co rozbawienia,

- Sschindylryn... - powiedział czarodziej. - Kilka razy pod różowałem tamtędy. Portale, co? Miasto pełne portali, przez które można się w ciągu sekundy przenieść z jednego końca Podmroku na drugi... albo jeszcze gdzie indziej.

Danifae odwróciła się do Pharauna i odwzajemniła jego uśmiech - pełen podziwu i rozbawienia.

- Ile mamy czasu? - zapytał Valas, nadal ignorując pełną podtekstów wymianę zdań.

Pharaun wzruszył ramionami.

- Pięć dni... może nawet siedem. Do tego czasu powinienem zapewnić okrętowi wystarczającą ilość paliwa.

- Zdążyć- odparł Valas. - Ledwo ledwo.

Zwiadowca popatrzył na Quenthel, czekając na odpowiedź, a Pharaun westchnął, tłumiąc irytację. On też obserwował Qu-enthel, która delikatnie głaskała łebek jednej ze zmij. Wąż kołysał się w powietrzu obok jej gładkiego hebanowego policzka, podczas gdy pozostałe spały. Pharaun odniósł wyraźne wrażenie, że wąż coś do niej mówi.

Jakiś dźwięk przykuł uwagę maga - to Jeggred poruszył się niespokojnie. Draegloth wodził wzrokiem od zmił do ciotki. Pharaun był ciekaw, czy draegloth słyszy jakąś niemą, mentalną wymianę zdań pomiędzy wysoką kapłanką a jej biczem. Jeśli tak, to co słyszał, gniewało go.

- Weźmiesz ze sobą Danifae - oświadczyła Quenthel, nie spuszczać wzroku z bicza.

Jeśli Valas był rozczarowany, nie dał tego po sobie poznać. Po prostu skinął głową.

- Ruszajcie, gdy tylko będziecie gotowi - poleciała wysoka kapłanka.

- Jestem gotowy w każdej chwili - odparł zwiadowca, może o sekundę za szybko.

Żmija wbiła wzrok w zwiadowcę, który odwzajemnił spojrzenie jej czarnych ślepi, marszcząc brwi. Pharaun był zafascynowany tą wymianą spojrzeń, ale wyczerpanie coraz bardziej dawało mu się we znaki.

Quenthel oparła się wygodnie o kościaną burtę okrętu nie-umarłych. Ostatnia ze żmij oparła łebek o jej udo.

- Pograżymy się w Zadumie, Pharaun i ja - oświadczyła mi strzyni Akademii. - Jeggred stanie na warcie, a wy dwoje ruszajcie w drogę.

Danifae wstała i powiedziała cicho:

-Dziękuję, mi...

Quenthel zbyła ją gwałtownym machnięciem ręki, a potem zamknęła oczy i usiadła zupełnie nieruchomo. Jeggred znów wydał z siebie niskie, gardłowe warknięcie. Pharaun też miał zamiar pograżyć się w Zadumie, ale coś w sposobie, w jaki dra-egloth patrzył na swoją panią, budziło jego niepokój.

Gdy Valas zbierał swój ekwipunek, Danifae zarzuciła plecak na ramiona. Branka podeszła do Jeggreda i delikatnie położyła dłoń na jego zjeżonej białej grzywie.

- Wszystko w porządku, Jeggredzie - wyszeptła. - Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Jeggred poddał się jej dotykowi i Pharaun odwrócił wzrok. Draegloth przestał warczeć, ale Pharaun czuł, że obserwuje każdy ruch Danifae, dopóki ta nie weszła w międzywymiarowy portal wyczarowany przez Valasa i nie zniknęła.

Dlaczego Sschindylryn? zapytał sam siebie Pharaun.

Sposób, w jaki branka pogłaskała uspakajająco draeglotha sprawił, że Pharaun miał niespokojne sny.

4

Nieco ponad pół mili pod ruinami miasta Tilverton biegła dwójka mrocznych elfów.

Danifae oddychała ciężko, usiłując nadążyć za Valasem, ale zostawała tylko kilka kroków w tyle. Zwiadowca poruszał się czymś pomiędzy chodem a biegiem, a jego stopy czasem wydawały się w ogóle nie dotykać śliskiego dna tunelu. Kiedy wyłonili się z ostatniego portalu, pomiędzy którymi przemieszczali się z zawrotną szybkością, Valas oznajmił, że są już w połowie drogi do Sschindyrynu, a minął dopiero jeden dzień. Danifae podziwiała orientację zwiadowcy w Podmroku, mimo że pogardzała jego brakiem ambicji i aspiracji. Wydawał się zadowolony z pozycji najemnika -zwiadowcy i chłopca na posyłki Quenthel Baenre - a tego

rodzaju postawa była dla Danifae czymś zupełnie niezrozumiałym.

Koniec końców, pomyślała, Valas jest tylko mężczyzną.

Zwiadowca zatrzymał się gwałtownie, tak gwałtownie, że Danifae zachwiała się niezgrabnie, żeby na niego nie wpaść. Nie narzekała jednak, zadowolona, że może przystanąć i odetchnąć.

- Gdzie...? - zaczęła, ale Valas uniósł rękę, żeby ją uciszyć.

Nawet po tylu latach bycia branką, służącą głupiej i tępej Halisstry Melarn, Danifae nie przywykła do bycia uciszaną. Oburzyła się, ale szybko jej przeszło. Valas był w swoim żywiole - jeśli chciał, żeby milczała, mogło od tego zależeć życie ich obojga.

Odwrócił się do niej i Danifae z zaskoczeniem odkryła, że na jego twarzy nie ma nawet cienia zdenerwowania czy irytacji, choć jej pojedyncze słowo wciąż rozbrzmiewało cicho w chłodnym, nieruchomym powietrzu jaskini.

Przed nami kolejny portal, powiedział na migi. Przeniesie nas daleko, prawie do wschodniej bramy Sschindylrynu, ale już dawno go nie używałem.

Ale korzystałeś już z niego w przeszłości? upewniła się.

Portale, zwłaszcza takie jak ten, wyjaśnił Valas, są jak woda poje. Przyciągają uwagę.

Coś wyczuwasz? zapytała.

Wyczulony słuch Danifae nie wychwycił żadnych dźwięków, a węch żadnych zapachów oprócz jej własnego i zwiadowcy. Nie oznaczało to jednak, że są sami.

Jak gdyby czytając jej w myślach, Valas odparł:

W Podmroku nigdy nie jesteś sama.

Więc co to jest? spytała. *Czy możemy to ominąć? Zabić?*

Może to nic takiego, odrzekł, w każdym razie mam taką nadzieję.

Danifae uśmiechnęła się do niego. Valas przekrzywił głowę w bok, zaskoczony i zmieszany tym uśmiechem.

Zostań tu, powiedział, i nie ruszaj się. Pójdę przodem.

Danifae popatrzyła za siebie, skąd przyszli, a potem przed siebie, dokąd zmierzali. Tunel, szeroki na dwadzieścia pięć, trzydzieści stóp i tak samo wysoki, ginął w mroku w obu kierunkach.

Jeśli zostawisz mnie samą... Danifae pogroziła mu palcem, mierząc go zimnym, twardym spojrzeniem.

Valas nie zareagował. Wydawał się czekać, aż skończy.

Danifae znów zerknęła na wydający się nie mieć końca tunel przed nimi, tylko na pół uderzenia serca. Kiedy znów się odwróciła, mężczyzny już nic było.

Ryld wolno przeciągnął osełką wzdłuż ostrej krawędzi Rozpruwacza. Magiczny miecz w zasadzie nie potrzebował ostrzeżenia, ale Ryld odkrył, że lepiej mu się myśli, kiedy wykonuje proste żołnierskie czynności. Miecz nie wykazywał żadnych oznak inteligencji, ale Ryld już kilka lat wcześniej przekonał sam siebie, że Rozpruwacz lubi, gdy poświęca mu uwagę.

Był sam w walącej się, porośniętej zielskiem norze, którą dzielił z Halisstra. Dźwięki i zapachy otaczającego go lasu zakłócały nawet te intymne chwile, które poświęcał swojemu mieczowi i medytacji. Wiedział, że na powierzchni, w świetle dnia, pod bezkresnym niebem nigdy nie uda mu się bardziej odprężyć przynajmniej wtedy, kiedy nie ma przy nim Halisstry.

Mistrz Melee-Magthere był sam, ponieważ nie został zaproszony do kręgu, do którego dołączyła Halisstra. Dziwaczne, heretyckie elfki z powierzchni coś planowały, a Halisstra i jej nowa zabawka - Księżykowe Ostrze - były najwyraźniej ważną częścią tego planu. Fehmistrz zabił rozwścieczone zwierzę, które go zaatakowało i bez względu na to ile razy Feliane próbowała

mu to wytłumaczyć, nie potrafił pojąć, dlaczego skazały go na banicję. Jednak Ryld wiedział, że został wykluczony z więcej niż jednego powodu.

Siedział sam również dlatego, że w przeciwieństwie do Ha-lisstry nie wyrzekł się otwarcie Pajęczej Królowej, ani nie przyjął wiary w jej spaloną słońcem rywalkę, Panią Tańca. Ryld nie rozumiał tej ich fry wolnej bogini. Pani Tańca? Czy zamierzały iść przez życie ścieżką wyznaczoną przez taniec? Co za bogini mogła czerpać moc, nie mówiąc już o obdarzaniu nią, z czegoś tak bezsensownego jak taniec? Lolth była okrutną i kapryśną panią, a jej kapłanki nie dzieliły się otrzymaną od niej władzą, ale była Królową Pająków. Pająki były silnymi, zmyślnymi drapieżnikami - zwycięzcami. Ryld postrzegał siebie jako pajaka. Pająki nie znały litości i nigdy nie prosiły o przebaczenie. Snuły swoje sieci, chwytaly ofiary i żyły. Pająki miały sens, pająki miały władzę, a władza była wszystkim, czego potrzebowały drowy.

Najwidoczniej nie wszystkie.

Ryld wiedział jednak, że jest trzeci powód, dla którego siedzi tu, ostrząc miecz, podczas gdy elfki knują swoje plany, a mianowicie ten, że nie jest kobietą. W Menzoberranzan Ryld Ar-gith był szanowanym i cenionym wojownikiem, żołnierzem mającym potężnych przyjaciół i świetne rekomendacje. Wiódł wygodne życie, posiadał kilka przedmiotów o magicznych właściwościach - nie tylko wielki miecz - a pokładane w nim zaufanie sprawiło, że został ważnym członkiem wyprawy mającej odszukać ich milczącą boginię. Pomimo to był mężczyzną. Jako mężczyzna zawsze schodził na drugi plan, a dobrze wiedział, że często nawet dalej. Dowodził innymi mężczyznami, innymi wojownikami, ale nigdy nie dowodził kobietą. Pytano go o zdanie, które brano nawet czasem pod uwagę, ale nigdy nie podejmował decyzji. Był żołnierzem - narzędziem, orężem - ale nigdy przywódcą. Ani w Menzoberranzan wśród cór Lolth, ani w rozprazonym lesie wśród tańczących kapłanek.

Trzy powody, by zostać wykluczonym, pomyślał Ryld, podczas gdy w Menzoberranzan dotyczy mnie tylko trzeci. Trzy powody, by wrócić do domu.

Jeden powód, by zostać.

W dłużących się godzinach samotności Ryld często rozmyślał o powrocie do Podmroku. Pharaun i pozostali z pewnością ruszyli już w dalszą drogę, kontynuując wyprawę. Zapewne zapomnieli o mistrzu Melee-Magthere, który wyruszył razem z nimi z Miasta Pająków. Ryld nie miał żadnych złudzeń co do wartości, jaką przedstawiał dla takich osób jak Quenthel Baenre, a Pharaun przynajmniej raz udowodnił, że życie Rylda liczy się dla niego mniej niż jego własna wygoda, nie mówiąc już o jego własnym życiu.

Jednak Pharaun był przewidywalny. Ryld znał maga i wiedział, czego się po nim spodziewać - nawet jeśli oznaczało to zdradę. Pharaun był mrocznym elfem, nie tylko postępującym zgodnie ze swoją drowią naturą, ale czerpiącym z tego przyjemność. Quenthel Baenre była taka sama, dlatego ta dwójka tak bardzo działała sobie na nerwy. Tych dwoje i pozostali -nawet małowówny Valas Hune — też przypominali pająki: przewidywalnych, skutecznych zwycięzców. Ryld widział siebie w ten sam sposób, a przebywanie w towarzystwie podobnych do siebie osób było nęcące.

Dopóki nie pomyślał o Halisstrze.

Mieszkając w Menzoberranzan, Ryld miał bliższe stosunki z kilkoma elfkami, ale jak każdy mężczyzna w Mieście Pająków wiedział aż za dobrze, że nic powinien dopuścić do zbytnej zażyłości z nimi. Od czasu do czasu docierało do niego, że jest tylko zabawką, narzędziem, przelotną, niezobowiązującą miłostką, ale nigdy nie określiliby się jednym z tych dziwacznych słów używanych przez elfy z powierzchni takich jak kochanek, towarzysz, przyjaciel, mąż. Te słowa nic dla niego nie znaczyły, dopóki nie pojawiła się Halisstra.

Choćby nie wiem jak się starał, Ryld nie potrafił pojąć władzy, j aką ma nad nim pierwsza córka domu Melarn. Użył nawet wyjątkowej mocy Rozpruwacza, aby rozproszyć magię, którą go omotała - ale nie było żadnej magii. Nie rzuciła żadnego zaklęcia, nie zaśpiewała żadnej ballady *bae 'qeshel*, nie wlała mu eliksiru do napoju, aby owinać go sobie wokół palca. Nawet nie zrobiła, ani nie powiedziała niczego, co różniłoby się znacznie od tego, co już słyszał, choć w przeszłości elfki, które go miały, wypowiadały te słowa z szyderstwem, a nawet zimną, gorzką ironią.

Halisstra po prostu się do niego uśmiechała, patrzyła mu w oczy, dotykała go, całowała, patrzyła na niego z przestachem, tęsknotą, żalem, bólem, złością, rozpaczą... patrzyła na niego ze szczerością. Ryld nigdy jeszcze nie widział szczerości, nie na czarnej twarzy mrocznej elfki, nie w chłodnych ciemnościach Podmroku. Wyczuwał, gdy się zbliżała, jak gdyby emitowała jakieś fale uczulające jego zmysły na jej obecność. Była po prostu Halisstra i mistrz Melee-Magthere z oszołomieniem stwierdził, że to wystarczyło. Sama jej obecność wystarczyła, by zerwał z życiem, które było i miało pozostać tak udane, jak tylko udane mogło być życie drowa.

Tkwiał więc tutaj, znosząc takie samo traktowanie, wciąż będąc mężczyzną, który służy silnym ramieniem na każde wezwanie, ale z którym nie jada się przy jednym stole.

Czwarty powód, dla którego spędzał samotnie ten dzień i większość poprzedniego, przebił się nagle do świadomości Rylda, a on pozwolił mu dojść do głosu, ale tylko na chwilę.

Chcą ją zabić, pomyślał, i po plecach przeszły mu ciarki, a oselka, którą tak powoli, tak uważnie i tak rytmicznie przesuwiał wzdłuż klingi, nagle znieruchomiała. Chcą zabić Lolth.

Ryld zamknął oczy i wziął głęboki oddech, uspokajając serce, które nagle zabiło jak oszalałe.

Przecież właśnie dlatego wysłano Halisstrę po Księżycowe Ostrze. To dlatego kapłanki Eilistraee znosiły wyraźnie nie-

miłą im obecność mistrza Melee-Magthere - na żądanie Halisstry. To dlatego Halisstra została wśród nich i nosiła się z pewnością siebie i spokojem, jakich wcześniej u niej nie widział... nie u wygnanki z Ched Nasad. To dlatego Halisstra nie drżała już ze strachu. To dlatego budziła się rano i oddychała za dnia.

W imieniu Eilistraee Halisstra Melarn zamierzała zamordować pogrążoną we śnie Królową Pajęczych Otchłani.

Ryld znów zaczął ostrzyć klingę i uśmiechnął się.

Może, pomyślał, przypomina pająka bardziej, niż chciałaby przyznać.

Valas przyłożył kryształ do lewego oka i rozejrzał się po komnacie. Stał w głębokim cieniu, w miejscu, gdzie korytarz - bardzo stary tunel lawowy - uchodził do stożkowej pieczary. Pomimo panującego w niej mroku widział wyraźnie starożytny klasztor. Pod północną ścianą jaskini, po prawej ręce zwiadowcy, znajdowało się kamienne półkole o promieniu 75 stóp. Wygięta ściana wznosiła się na dwieście stóp w górę, po czym przechodziła w kopułę sklepienia, którego najwyższy punkt znajdował się trzydzieści, czterdzieści stóp wyżej. Wysoko w ścianie osadzone były dwa ogromne okna odpowiadające szerokością wzrostowi zwiadowcy, ale wysokie na osiemdziesiąt stóp. Pomiędzy dwoma oknami i kilka stóp pod ich dolną krawędzią majaczyła para małych, ciemnych otworów, na tyle dużych, by Valas mógł przez nic przejść nie pochylając głowy. Poniżej wygięty w podkowę podłużny otwór prowadził do ciemnego jak noc wnętrza ruin.

Okna, dwie okrągłe dziury i podłużny otwór nadawały zrujnowanemu klasztorowi wygląd - najwyraźniej zamierzony — posępnej twarzy.

Wzdłuż górnej krawędzi ust utworzyły się stalaktyty przypominające ostre kły, a ściekająca woda pozostawiła na kopule warstwę osadu, tak że czubek wielkiej głowy przykrywała łąta gładkiego białego nacieku przywodząca na myśl przekrzywiony zawadiacko kapelusz. Valas nawet nie chciał sobie wyobrazić, jakie ponure obrzędy odprawiano przed tym posepnym obliczem. Wieki, które minęły, odkąd jego starożytni przodkowie opuścili ten przybytek, okazały się dlań niełaskawe, ale Valas wiedział, że działanie wody, pleśni i trzęsień ziemi nie miało wpływu na kryjący się wewnątrz ruin portal. Valas już dwukrotnie, choć od tego czasu minęło wiele lat, wdrapywał się do opadających melancholicznie ust i mijał dwie pokryte runami kolumny, aby przebyć dwieście mil i znaleźć się na północno-zachodnim brzegu jeziora Thalmiir, skąd było już blisko do Sschindylrynu.

Valas wiedział, że nie tylko on go używał.

Kryształ nosił zwykle przy kamizeli - magicznej części garderoby, której w dużym stopniu zawdzięczał swą zwinność i błyskawiczny refleks - obok wielu innych magicznych błyskotek, które zdobył w dzikich rejonach Podmroku. Przez kryształ zwiadowca potrafił zobaczyć to, czego nie widzieli inni - większość przedmiotów i istot niewidzialnych za sprawą zaklęcia lub własnej wewnętrznej magii.

Valas uważnie przyjrzał się podstawie kamiennej twarzy, a potem popatrzył w lewo, wzdłuż sadzawki czarnej stojącej wody przecinającej nieckowate dno pieczary. W nachylonej ścianie naprzeciwko widział jaskinię, a nieco wyżej, po prawej, jeszcze jedno zagłębienie — kolejny tunel lawowy podobny do tego, którym się tu dostał. Zwiadowca zaczął się przyglądać kopule zrujnowanego klasztoru, kiedy w tunelu za sobą usłyszał ciężkie kroki Danifae.

Valas nie przerwał niespiesznych, metodycznych oględzin budowli.

Wiedział, że Danifae minie go, ich ramiona prawie się zetkną, a ona nawet go nie zauważy. Kazał jej czekać, a skoro zlekceważyła jego ostrzeżenie, był to jej wybór.

Niech tam wejdzie, pomyślał. Niech...

Valas zamarł, kiedy kryształowa kulka pokazała mu coś, co mogło być tylko czubkiem pazura. Wstrzymując oddech, zwiadowca Bregan D'aerthe cofnął głowę o pół cala i poruszył trzymanym przy lewym oku kryształem wzdłuż sklepionego stropu starożytniej świątyni.

Stwór leżący na szczycie zrujnowanej budowli nie był szczególnie duży, przynajmniej jak na smoka. Bestia, nie wyższa od Valasa, o rozpiętości skrzydeł może dwukrotnie większej, zwinęła się wygodnie, acz czujnie na szczycie kopuły. Choć kryształ pozbawiał widzianą scenę barw, Valas wiedział, że potwór jest tak szary, jak pokazuje mu magiczny przedmiot. Nawet przez kryształ wydawał się niewyraźny, zamazany, jak gdyby został namalowany na gigantycznej ścianie akwarelą.

Tak się ukrywasz, pomyślał Valas. Wtapiasz się w mrok.

Danifae minęła go i podeszła beztrąsko do wylotu tunelu. Przystanęła na chwilę i z jedną ręką opartą o skalną ścianę zajrzała w głąb pieczary. Valas widział, że nie zauważyła smoka na szczycie świątyni, ale ostatni rzut oka przez kryształ powiedział mu, że smok zauważył ją. Powoli rozwinął swoje sploty, rozpościerając skrzydła.

Valas wsunął się do jaskini, w niemalym stopniu polegając na swym wyszkoleniu i doświadczeniu, nie wstydząc się jednak korzystać z mocy magicznego pierścienia, dzięki któremu poruszał się nieco szybciej. Mithralowa kolczuga wygłuszała wszelkie dźwięki, jakie wydawał przy chodzeniu i pomagała stopom odnaleźć bezpieczne oparcie. Podeszwy zwiadowcy ani razu nie zaszurały na kamieniach, najbłedszy promyk światła ani razu nie odbił się od metalu pancerza, gdy trzymając się cały czas w cieniu, Valas zszedł z boczem z wylotu tunelu i skra-

jem wklęsłego dna jaskini dotarł do ziejącej czernią jaskini naprzeciwko.

Od czasu do czasu zerkał na stwora, którego zarys ledwie dostrzegał w mroku zalegającym górne partie pieczary - i to też tylko dlatego, że wiedział, iż tam jest. Parę razy odwrócił się w stronę Danifae, która powoli, z zaskakującym wdziękiem, schodziła na dno niecki. Rozglądała się dookoła, ale nie patrzyła w górę. Jej wzrok ani razu nie spoczął na Valasie, ani na szarym jak kamień smoku.

Danifae szła wolno w stronę skraju sadzawki, a Valas zdjął z pleców krótki łuk. Nałożył strzałę na cięciwę i naciągnął ją.

Drowka podawała się bestii jak na tacy i choć zwiadowca miał ogromną ochotę pozwolić, by na własnej skórze przekonała się o swej głupocie, obawiał się reakcji Quenthel. Wysoka kapłanka polubiła branę domu Melarn i bez namysłu wykradła ją elfce z Ched Nasad. Valas nie chciał zostać ukarany za to, że pozwolił brance zginąć, podczas gdy Quenthel miała wobec niej plany wykraczające poza ich okazjonalne amory.

- Valas? - zawołała drowka.

Jej głos rozszedł się echem po mrocznej pieczarze, Valas skulił się, a smok poderwał się do lotu.

Nimor Imphraezl obserwował z góry duergarów walczących z pajakami. Drowi wojownicy - sami mężczyźni - dosiadali ogromnych pajęczaków jak wierzchowców bojowych. Pająki dreptały na długich odnóżach, obracając się na boki, podczas gdy wyprostowani jeźdźcy siedzieli sztywno w siodłach. Dro-wy były uzbrojone w długie piki - broń, do której duergarowie nie byli przyzwyczajeni, jako że długiego oręża rzadko używano w ograniczonej przestrzeni Podmroku - którymi zarzynali

jednego szarego krasnoluda za drugim, zanim przeciwnikom udało się utoczyć choć kroplę elfiej krwi.

Horda duergarów oblegająca słabnące powoli Menzoberran-zan miała nad pajęczymi jeźdźcami miażdżącą przewagę liczebną i Nimor nie miał nic przeciwko stracie kilku szarych krasnoludów w zamian za możliwość przyglądania się walczącym drowom. Byli świetni, musiał im to przyznać. Pająki zabijały równie wielu duergarów, co pikinierzy, ale jeźdźcy cały czas panowali nad arachnidami. Tak czy owak, był to piękny, krwawy taniec.

W środku pajęczych jeźdźców jechał drow w zbroi z najwspanialszego mithralu, która wręcz jarzyła się magią. Tak jak pozostali był uzbrojony w pikę, ale nic używał jej. Trzymał ją wysoko, a na niej powiewał w chłodnym powietrzu długi, wąski proporzec. Nimorowi minutę lub dwie zajęło rozpoznanie wyszytego na nim godła. Jeźdźcy reprezentowali dom Shobalar-pomniejszy dom, ale lojalny wobec Baenre i słynący w całym zamieszkanym przez drowy Podmroku ze skutecznej i doskonale wyszkolonej kawalerii. Mroczny elf z proporcem musiał być ich dowódcą.

Jeden z jeźdźców przeszył dwóch duergarów naraz, nabijając ich na pikę, a potem wykorzystał ich ciężar do obalenia trójki następnych na kamienną posadzkę. Nimor uśmiechnął się.

Nimor wybrał ten tunel po tym, jak trzy razy doszły go słuchy o nadzwyczajnej aktywności, jaka w nim panuje. Ledwie wczoraj duergarowie zabili tu zwiadowcę Menzoberranzańczyków i nawet gburowate szare krasnoludy przyznały, że miał towarzyszy, którzy zdołali im się wymknąć. Nie była to najpilniej strzeżona droga do miasta i Nimor miał na nią oko, przekonany, że Menzoberranzańczycy prędzej czy później zechcą ją wypróbować.

Po zabiciu zwiadowcy Nimor skłonił księcia Horgara do wysłania posiłków, ale niezbyt licznych. Wystarczających, by za-

dowolić drowy, ale zbyt małych, by zamknąć tunel. Nimor chciał wyciągnąć drowy z ukrycia i aroganccy arystokraci chwycili przynętę.

Nimor wisiał głową w dół, okryty zaklęciem niewidzialności, *piwafwi*, kolejnym zaklęciem uniemożliwiającym komuś używającemu podobnej magii wykrycie go, i jeszcze jednym czarem, który miał za zadanie odwrócić od niego uwagę nieprzyjaciół, nawet gdyby podnieśli na niego wzrok. To i obecność duergarskich żołnierzy stanowiących bezpośrednie zagrożenie wystarczyło, by mógł spokojnie czekać i obserwować - czekać, aż kapitan pajęczej jazdy pogna swojego wierzchowca w sam środek walczących i znajdzie się dokładnie pod Nimorem.

Nimor dotknął broszy noszącej znak Jazred Chaulssin i zaczął się powoli opuszczać w dół, wciąż niewidzialny dzięki magii. Opadając, dobył sztylet- bardzo wyjątkowego sztylet- i kiedy wylądował na grzbiecie pająka, kilka cali za dowódcą jazdy, drasnął wojownika ostrzem w odsłonięte miejsce na karku między hełmem a naramiennikami.

Pajęczy jeździec wzdrygnął się i obrócił w siodle. Nimor, wciąż niewidzialny, objął drowa za szyję i przytknął mu zatrute ostrze do gardła.

Pajęczy jeździec nie widział go, ale usłyszał, jak Nimor szepcze mu do ucha:

- Jak się nazywasz, Shobalarze?

- Kim jesteś? - zapytał wojownik i Nimor w odpowiedzi znów go drasnął.

Drow stęknął i Nimor poczuł, jak ciało wroga sztywnieje i drży.

- Tak - syknął Nimor do ucha umierającemu powoli oficerowi - to trucizna. Bardzo, bardzo elegancka trucizna. Sparaliżuje cię, zamknie ci gardło, wycisnie ostatni oddech z płuc i nie pozwoli krzyknąć, kiedy będziesz się dusił.

Drow warknął i wydusił ściśniętym już głosem:

- Mój dom mnie pomści.
- Twój dom spłonie, kapitanie...?
- Vילו'sat Shobalar - odparł drow, a gardło już mu się zamykało -z Pajęczej Jazdy domu Sho...

Nie przestając się uśmiechać, Nimor przytrzymał konającego drowa prosto w siodle, gdy ten się dusił. Namaszczone Ostrze Jaered Chaulssin zaczekał, aż kapitan Vילו'sat Shobalar targnie się przy ostatniej próbie nabrania powietrza w płuca, a jego fioletowe oczy zajdą mgłą. Potem, lewitując, Nimor uniósł się w górę, oddalając od rozwścieżonego pająka bojowego, nad którym nikt już nie panował.

Oszalały pajęczak mordował jednego duergara za drugim, aż w końcu zwrócił się przeciwko jednemu ze swoich pobratymców. Jadący na nim drow starał się obronić swojego wierzchowca przez rozjuszonym arachnidem i to wystarczyło, by jeden z bardziej bojowych duergarów skrócił go toporem o głowę.

Przez następne dziesięć minut Nimor zabił własnoręcznie ośmiu kolejnych drowów, a duergarowie trzech. Reszta w końcu rzuciła się do odwrotu i uciekła tunelem, poza zewnętrzną linię oblężenia i z powrotem do Menzobcrranzan. Nie zdołali nic odbić, a Nimor miał cztery pająki i martwego drowa.

Nimor rozkazał duergarom umocnić zdobyte pozycje, związać pająki i przygotować się do podróży, a sam wrócił na stanowisko dowodzenia z trupem kapitana Vילו'sata Shobalara.

Wojenne łupy.

Valas widział, że Danifae nie zdaje sobie sprawy, że ma za plecami draka, aż do chwili, gdy druga strzała przeszła cienką błonę skrzydła stwora. Zaskoczony smok warknął gardłowo, strzała przerwała skrzydło z mokrym plaśnięciem, a płynny lot zakończył się gwałtownym targnięciem. To wszystko wystarczyło, by Danifae wyczuła jakiś ruch za plecami - i właśnie ten prosty odruch ocalił jej życie.

Choć drak zapomniał o swojej niedoszej ofierze, wylądował ciężko, hamując z trudem, i staranowałby ją, gdyby w ostatniej chwili nie uskoczyła w bok.

Portalowy drak okręcił się w stronę, z której nadleciała strzała Valasa. Z rozdziawionego pyska ciekła mu ślina, tworząc na dnie jaskini dymiące kałuże. Valas dostrzegł w oczach stwora inteli-

gencję, sędziwy wiek - stulecia grasowania w nęcących magicznych portalach Podmroku- i zimną, nieprzejednaną złość.

Drak wodził wzrokiem w ciemności, szukając go, ale zwiadowca wiedział, że go nie dojrzy.

Danifae zerwała się z ziemi, dobywając jednocześnie mor-genszterna. Valas miał już w dłoni następną strzałę i przesuwając się skrajem głębokiego cienia nałożył ją na cięciwę i napiął łuk. Drak zareagował na jego agresywny gest wciągnięciem powietrza w płuca. Nie widział Valasa, ale wyraźnie doszedł do wniosku, że wystarczy, iż znajdzie się wystarczająco blisko. Było to rozumowanie, któremu Valas nic mógł, niestety, nie zarzucić.

Valas wymierzył i wypuścił strzałę z łuku. Drak zrobił wydech, wypuszczając w powietrze skłębioną chmurę tłustego zielonego oparu, która zaraz zaczęła się rozrastać i puchnąć. Drak nic przestawał zionąć, chcąc wyrzucić ją z siebie całą.

Danifae uderzyła od tyłu morgenszternem - bronią obdarzoną siłą gromu - i drak poleciał do przodu. Strzała Valasa wbiła mu się głęboko w pierś, trafiając w półcalową przerwę między dwiema twardymi łuskami. Opancerzona skóra stwora zadrżała, mięśnie zafalowały i zadrgały. Oddech uwiązał mu w gardle i obłok oderwał się od jego pyska. Mimo to gaz przesunął się w stronę Valasa.

Zwiadowca widział, jak nadciąga. Nadlatywał mniej więcej w jego kierunku, ale nic prosto na niego, więc uskoczył w tył. Nie znał sposobu obrony przed trującym gazem. W tej sytuacji była to irytująca słabość. Mógł tylko umykać przed gazem, a robienie uników było przynajmniej czymś, co doskonale potrafił. Możesz się chować w ciemności, drowie zasyczał drak we wspólnym języku Podmroku. Głos miał zimny i ostry, prawie mechaniczny, a odbity echem od ścian wysokiej komnaty przypominał dźwięk tłuczonego szkła. - Nie widzę cię.

Stwór odwrócił się przodem do Danifae, która wywijiała morgenszternem, patrząc mu w oczy. Cofała się.

- Ale widzę ją- powiedział drak.

Na usta Danifae wypełził uśmiech, od którego Valasowi ciarki przeszły po grzbiecie. Zatrzymał się, odnotowując to uczucie, całkowicie nim zaskoczony.

Kiedy branka znów zamachnęła się morgenszternem, smok z łatwością przed nim uskoczył.

- Na co liczysz, jaszczurko? - zapytała smoka Danifae. - Myślisz, że się pokaże, żeby mnie ratować? Nigdy dotąd nie spotkałeś mrocznego elfa?

Valas, który właśnie wysuwał z kołczanu następną strzałę, bezszelestnie schował ją z powrotem. Zarzucił sobie łuk na ramię i zaczął obchodzić draka od tyłu, idąc skrajem pieczary w stronę gigantycznej twarzy. Szybko obliczył liczbę kroków, sekund, i szedł tak, by jego kroki zagłuszał hałas czyniony przez walczących.

- Mroczne elfy? - zapytał drak. - Swego czasu pożarłem kilku.

Danifae znów spróbowała go ugodzić, a drak ugryźć elfkę. Skoczyli w tej samej chwili i żadne nie dopięło swego.

- Pozwól nam przejść - powiedziała Danifae takim tonem, że zabrzmiało to jak rozkaz, co zwróciło uwagę zarówno smoka, jak Valasa.

- Nie - odparł smok, a Danifae zaatakowała szybciej, niż Valas się po niej spodziewał. Morgensztern opadł na lewy bok draka i Valas zamrugał, oślepiony boleśnie jasnym błyskiem błękitno-białego światła. Wybuch wykreślił w powietrzu wzory przypominające jarzące się pajęczyny. Stwór wzdrygnął się i ryknął, szczerząc kły z wściekłości i bólu.

Danifae zrobiła krok w tył, znów wywijając morgenszternem. Drak spiął się do skoku, a Valas przystanął i zeszywniał. Smok nie skoczył na brankę, tylko wzbil się w powietrze z ogłuszającym łopotem skrzydeł. W niecałą sekundę był już tak wysoko, że zniknął w mroku zalegającym pod stropem przypominającej katedrejaskini.

Valas zrobił krok w przód i trącił czubkiem stopy żwir na ziemi. Danifae podniosła na niego oczy.

Wracaj do tunelu, rozkazał jej na migi. Biegiem!

Danifae zobaczyła go, nawet nie kiwnęła głową, tylko od razu puściła się biegiem. Valas wsunął się z powrotem w ciemność, zarzucił sobie kaptur *piwajwi* na głowę i przetoczył po podłodze w miejsce, gdzie miał pewność, że nie zostanie dostrzeżony.

Patrzył, jak branka ucieka, wiedząc, że nie zobaczy nadlatującego portalowego smoka. Powoli wyjął z kołczana następną strzałę tak, by nic wydać najłżejszego dźwięku. Obracając się i przesuwając o ułamek ciała w jedną, o grubość włosa w drugą stronę, znalazł pozycję, w której stalowy grot nie odbijał światła. Oddychając powoli przez usta, zwiadowca Bregan D'aer-the czekał — ale nie musiał czekać długo.

Z góry doleciał go odgłos smoczycich skrzydeł, dwóch par, czterech, i jeszcze jednej - i nie było to tylko echo.

Pięć, policzył Valas.

Wciąż spowity aurą niewidzialności i mrokiem panującym w opuszczonej dawno temu pieczarze Valas ruszył naprzód.

Z cienia wyleciało w szyku pięć draków. Dwa po bokach pomknęły do środka, a dwa ze środka zajęły ich miejsce. Zmieniały szyk w locie, ale ich cel pozostawał ten sam.

Danifae zawahała się. Valas zauważył to po jej krokach. Usłyszała smoki i wiedziała, że potrafią latać szybciej znacznie szybciej - niż ona będzie kiedykolwiek w stanie pobiec. Musiał jej jednak przyznać, że nie odwróciła się za siebie.

Pięć portalowych smoków było identycznych w każdym szczególe i nikt, kto podróżował tyle co Valas, nie dałby się długo zwodzić. Wystarczyły trzy uderzenia skrzydeł, by Valas odgadł, czym są.

Nie wszystkie błyskotki noszone przez zwiadowcę były magiczne, ale mały mosiężny owal którego Valas dotknął w bie-

gu, tak. Ciepło palców zwiadowcy ożywiło magię i wystarczyła tylko myśl, by przebudzić ją w pełni. Stało się to zupełnie bezszelestnie, a Valas ani na chwilę nie zmylił kroku, ani się nie ujawnił.

Danifae i tak się zatrzymała, czym zaskoczyła zwiadowcę.

Równie zdziwione, draki zahamowały gwałtownie, łopocząc skrzydłami, przecinając sobie nawzajem drogę i unikając zderzenia zaledwie o ułamki cali.

Danifae uśmiechnęła się do smoków, których cała piątka stanęła dęba, aby rozedrzeć ją pazurami ostrymi jak noże do filetowania, i powiedziała:

- Ostrożnie. Za wami.

Szyderczy uśmiech pojawił się jednocześnie na wszystkich pięciu pyskach.

Valas wypuścił strzałę i wszystkie cztery magiczne sobowtóry zwiadowcy uczyniły to samo. Mały miedziany owal - pojemnik z zaklęciem specjalnie stworzonym przez starożytnego maga, którego sekrety już dawno uległy zapomnieniu - zadziałał i każdemu z pięciu draków odpowiadał jeden Valas.

Każdemu z pięciu draków - jedna strzała.

Smok musiał je usłyszeć, albo jakoś wyczuć, a może po prostu ciekawość wzięła górę. Określił się i strzała wbiła mu się w prawe oko. Cztery strzały zniknęły w momencie, w którym ugodziły fałszywe draki i iluzje smoków również zniknęły. Po tej salwie została tylko jedna strzała, jeden drak i jedno prawdziwe oko.

Siła uderzenia sprawiła, że stwór zadygotał i cofnął się o krok.

Valas poznał, że smok go widzi - całapiątkę Valasów- zdrowym okiem.

- Pożrę cię za to żywcem - wychrypiał drak.

Valas dobył kukrisów i jego odbicia zrobiły to samo. Smok, z krwią ciekącą z uszkodzonego oka, nie zadał sobie trudu wyciągnięcia strzały sterczącej z oczodołu. Zamiast tego rzucił się

na zwiadowcę z podniesionymi skrzydłami, rozczapierzonymi pazurami i rozwartą paszczą.

Valas zrobił krok w bok, stając w martwym punkcie. Stwór najwyraźniej jeszcze nigdy nie walczył widząc tylko na jedno oko, bo dał się nabrać. Valas zdołał zadać mu dwa ciosy - cięcia, na które odpowiedzią był głęboki, grzmiący ryk.

Drak machnął łapą, ale Valas uskoczył w bok, a jego miejsce zajął jeden z sobowtórów. Szpon draka dotknął ramienia iluzji i zanim przeszedł przez tułów fałszywego zwiadowcy, iluzja zniknęła.

Smok warknął ze złości, a Valas znów zaatakował. Stwór wywinął się poza jego zasięg i kłapnął szczękami, niebezpiecznie blisko prawdziwego mrocznego elfa. Kiedy pojedyncze oko smoka zwięzło się i zapłonęło, zwiadowca zrozumiał, że smok go namierzył.

Valas znów ukrył się w martwym punkcie, robiąc krok w tył i obracając się, aby wytrącić przeciwnika z równowagi i sprawić, by jego lustrzane odbicia zawirowały. Smok zniweczył jedno z nich machnięciem łapy, a trzecie kłapnięciem szczęk.

Valas patrzył, jak jego sobowtór znika, a potem powiódł wzrokiem za szyją smoka, która przesunęła się o długość ramienia przed nim. Szukał szczelin, zmarszczek, jakichkolwiek oznak słabości w grubej, pokrytej łuską skórze potwora.

Znalazł jedną i zatopił sztylet kukri pomiędzy łuskami, przebijając skórę, mięso, arterię i kość. Z rany trysnęła strumieniem krew. Smok rzucił się na Valasa, choć nic wiedział, który jest prawdziwy. Umierając, drapnął szponem ostatniego fałszywego drowa. Drak zwałił się na ziemię i Valas uskoczył mu z drogi. Wąski łeb miotał się na długiej, smukłej szyi i szczęki uderzyły Valasa w bark, wgniatając mu pancerz i zostawiając na czarnej skórze siniaka.

Zwiadowca cofnął się, przeturlał i zerwał z ziemi z wyciągniętym przed siebie sztyлетem.

Atak nie nadszedł. Drak rozciągnął się jak długi na ziemi. Krew tryskała już rzadziej i mniej obficie z każdym słabnącym uderzeniem serca.

- Zawsze wiedziałem... - westchnął konający smok - że to będzie... drow.

Z tymi słowy drak wyzionął ducha, a Valas uniósł brew.

Odsunął się od trującego trupa i schował sztylety do pochew. Nigdzie nie widział Danifae. Nie wiedział czy pobiegła z powrotem drogą, którą tu przyszli, czy też ukryła się gdzieś w cieniu.

Wzruszył ramionami, ostatni raz rzucił okiem na portalowego draka, odwrócił się i ruszył w stronę opuszczonego klasztoru. Zakładając, że branka Melarnów wróci w końcu do jaskini i portalu, który był celem ich podróży, Valas wspiał się do wielkich, wygiętych w podkowę ust.

Wewnątrz półkolistej budowli wznosiły się dwa wolnostojące filary. Pomiedzy nimi nie było nic oprócz nieruchomego powietrza i ściany wysokiej jaskini. We wnętrzu panował mrok, a ze środka dolatywał ostry zapach nieczystości draka.

Danifae stała pomiędzy kolumnami z ręką na biodrze i ciężarem ciała przeniesionym na jedną nogę.

- Nie żyje? - zapytała.

Valas zatrzymał się kilka kroków przed nią i kiwnął głową.

Danifae powiodła wzrokiem po martwych kamiennych kolumnach i pozbawionym wyrazu wnętrzu wielkiej twarży.

- To dobrze - powiedziała branka. - Czy to ten portal?

Kiedy spojrzała na Valasa, ten znów skinął głową.

- Wiesz jak go otworzyć - powiedziała tonem, który w żadnym wypadku nie sugerował pytania.

Valas przytaknął po raz trzeci i Danifae uśmiechnęła się.

- Zanim wyruszymy - powiedziała, wyciągając sztylet z pochwy przewieszanej przez kształtne biodro - chcę zebrać trochę trucizny.

Valas zamrugął.

- Smoczej?

Danifae minęła go, uśmiechając się i obracając sztylet w palcach.

- Zaczekam tu - rzekł zwiadowca.

Nie odpowiedział mu nawet, szła dalej. Jeśli to przeżyje, pomyślał Valas, może okazać się wartościowym towarzyszem podróży.

Pharaun przesunął palcem wzdłuż czegoś, czego jeszcze dzień wcześniej tu nie było: żyły. Naczynie krwionośne wiło się wzdłuż kościanej burty statku chaosu. W pewnych odstępach rozgałęziało się na cieńsze naczynka. Cała żyła powoli, niemal niezauważalnie, pulsowała życiem, ciepła od płynącej nią krwi. Kiedy trafili na pokład okrętu chaosu, burta była litą, martwą kością. Po pięciu dniach karmienia demonami statek zaczął się zmieniać. Ożywał.

- Czy pokryje się w końcu skórą? - usłyszał zza pleców głos Quenthel.

Pharaun odwrócił się i zobaczył wysoką kapłankę, która kucząc, badała pokład w taki sam sposób, w jaki on badał burtę.

- Skórą? - zapytał czarodziej.

- Te żyły wydają się bardzo kruche - opowiedziała. Jej głos wydawał się znudzony, odległy. - Czy nie popękają, jeśli któreś z nas na nie nadejście?

- Nie wiem - odparł Pharaun. Miał na myśli to, że nic go to nie obchodzi. - A co to za różnica?

- Może zacząć krwawić - powiedziała, wciąż wpatrując się w pokład. - Jeśli może krwawić, może umrzeć. Jeśli umrze, kiedy będziemy...

Pharaun wiedział, że nie dokończyła myśli, bo się bała. Nie znośił, kiedy wysoka kapłanka się bała. Sprawy rzadko przybierały pomyślny obrót, gdy od tego zaczęli.

- Nie wszystko, co krwawi, umiera - stwierdził z wymuszonym uśmiechem.

Podniosła na niego wzrok i ich oczy spotkały się. Spodziewał się, że będzie przynajmniej zła, może obrażona, ale nie. Czarodziej nie potrafił odgadnąć, o czym myśli.

- Martwi mnie - odezwała się po chwili - że tak niewiele wiemy. Statek taki jak ten... uczyłeś się tym, prawda? W Sor-cere?

- Owszem - odparł Pharaun. - Dostarczam mu regularnych posiłków, poskromiłem jego kapitana i jesteśmy już prawie gotowi do naszej małej wycieczki na inne plany. Wiem, czym jest i jak działa, co oznacza, że wiem wystarczająco dużo. Jak na kapłankę potrafisz być strasznie drobiazgowa. Czy pokryje się skórą? Jeśli zechce. Czy wykrwawi się na śmierć, gdy twoje obcasy przekłują żyłę? Wątpię. Czy będzie zachowywał się zawsze tak samo, bez względu na załogę? Cóż, gdyby tak było, nie byłby zbyt chaotyczny, nieprawdaż?

- Pewnego dnia - wypaliła Ouenthel bez namysłu - zaszyję ci usta, żebyś siedział cicho wystarczająco długo, bym mogła cię zabić w spokoju.

Pharaun zachichotał i otarł zimny pot z czoła.

- Ależ mistrzyni - odparł mag z uśmiechem - za co?

- Bo cię nienawidzę.

Pharaun nic nie powiedział. Mierzyli się wzrokiem jeszcze przez chwilę, a potem Cjuenthel wstała i rozejrzała się.

- Zaczynam się nudzić - stwierdziła.

Zaczynasz się bać, pomyślał Pharaun.

- Zaczynam być zły - wtrącił się Jegged.

Pharaun i Ouenthel spojrzeli w stronę siedzącego draeglo-tha. Póldemon powoli, metodycznie, obdzierał ze skóry szczura. Gryzoń wciąż żył.

- Nikt cię nie pytał o zdanie, siostrzeńcze - powiedziała Cjuenthel z szyderczym uśmiechem.

- Proszę o wybaczenie, czcigodna ciotko - odparł draegloth głosem ociekającym lodowatym sarkazmem.

- Valas i Danifae wkrótce wrócą - rzekł Pharaun - a wtedy statek będzie już gotowy. Niebawem ruszymy w drogę, a tymczasem nie możemy pozwolić, żeby poróżniło nas znużenie pobytym na tym przeklętym jeziorze. Nie chcemy chyba, żeby drużyna mrocznych elfów zaczęła ze sobą walczyć.

- To nie jezioro mnie nuży, magu - odciął się Jeggred.

Pharaun odrzucił pierwsze pół tuzina ripost, które cisnęły mu się na usta, ale jego twarz musiała coś zdradzać. Zobaczył to w rozbawionym grymasie draegloth.

- Tak - powiedział w końcu czarodziej - przyjmę tę uprzejmą groźbę w duchu, w jakim została wypowiedziana, Jeggredzie Baenre. Niemniej jednak...

- Niemniej jednak się zamkniesz - przerwał mu draegloth. - Zamkniesz swoją przeklętą jadaczkę.

Jeggred polizał zdychającego, kwilącego, obdartego ze skóry szczura, brudząc przy tym spękane, szare wargi krwią.

- Nie podoba mi się to - oznajmił półdemon. - Ten tutaj - wskazał brodą pojmanego uridezu - coś knuje. Zdradzi nas.

- To demon - odparła spokojnie Quenthel.

- To znaczy? - zapytał draegloth, prawie krzyżąc.

- To znaczy - odpowiedział za kapłankę Pharaun — że jest rzeczą oczywistą, że nas zdradzi - albo spróbuje to zrobić. Jedynie, czego można być pewnym w przypadku demona to to, że nie można być go pewnym. Może pocieszysz cię wiadomością, że to samo myślimy o tobie, przyjacielu.

Pharaun spodziewał się jakiejś reakcji, ale nie takiej. Jeggred i Quenthel spojrzeli na siebie, świdrując się wzrokiem. Zapadła długa cisza. To Quenthel pierwsza odwróciła wzrok.

Jeggred sprawiał wrażenie rozczarowanego.

6

Aliisza przytuliła się do Kaanyra Vhoka i jej długie hebanowe loki splotły się ze srebrnymi włosami kambiona.

- Czy zabawiałeś damy pod moją nieobecność? - zagruchał alu-demon w szyję kochanka.

Kambion wypuścił powoli powietrze przez nos i przesunął dłonią po plecach Aliiszy. Przyciągnął ją do siebie, tak że przycisnęli się bokami. Aliisza czuła żar bijący od jego ciała, o tyle gorętszego od ciała mrocznego elfa. Taki przyjemny i kojący. Taki potężny.

- Zazdrosna? - szepnął Kaanyr.

Aliisza poczuła dreszczyk emocji, gdy podjął grę. Półdemon rzadko reagował w ten sposób, zwykle nie dzielił się z nią swoimi uczuciami.

- Nigdy - odszepnęła, muskając jego skórę ciepłymi, wilgotnymi wargami. - Żałuję tylko, że nie mogłam do was dołączyć.

Liczyła na dalszy ciąg frywolnej wymiany zdań, ale zamiast tego usłyszała śmiech. Kaanyr Vhok odsunął się od niej, a ona nadąsała się, mrużąc z niezadowoleniem zielone oczy.

Vhok obdarzył ją rzadkim u niego uśmiechem i delikatnie przyłożył palec do jej ust.

- Nie płacz, moja droga - powiedział. - Kiedy ta szalona wojna się skończy, będziemy mieć czas na rozrywki, które dostarczą emocji nawet tobie.

- A do tego czasu'?

Cofnął dłoń i podszedł do stoliczka, na którym stała taca, kryształowa karafka zacnej brandy skradzionej dla zabawy ze sklepu w Skullport i jedna szklanka.

- A do tego czasu - podjął Vhok, nalewając do szklanki ciecz koloru rdzy - będziemy musieli zająć się interesami.

- Jak idą te interesy?

- Menzoberranzan jest obłąkane - odparł kambion, zamasztyłym gestem wskazując dookoła - i będzie oblegane jeszcze przez bardzo długi czas, chyba że ktoś zdoła zaszcześcić trochę inteligencji albo, miejmy nadzieję, wyobraźni naszym sojusznikom szarym krasnoludom.

- Nie zabrzmiało to zbyt optymistycznie - zauważyła.

- Są równie tępe, co gruboskórne - odparł Vhok ale jakoś sobie radzimy.

Odwrócił się w stronę Aliiszy, która uśmiechnęła się, wzniosła ramionami i usiadła. A dokładniej osunęła się na bogato wyściełaną sofę, układając na niej uwodzicielsko swe gibkie ciało i pozerając wzrokiem jego sylwetkę. Jej skórzany gorset wydawał się sztywny i ograniczający ruchy, ale opływał jej kształty tak samo jak ona przelewała się przez sofę, dopasowując się do figury jak druga skóra. Schowany w pochwie długi miecz noszony przy biodrze skrył się pod jej nogą.

Vhok był jak zwykle pysznie odziany w wyszywaną tunikę w wojskowym fasonie. Przy boku miał miecz, a Aliisza wiedziała, że nawet w zaciszu własnej tymczasowej kwatery nosi przy sobie różne magiczne przedmioty.

Namiot na tyłach linii oblężenia, w którym mieszkali, był spowity zakłęciami mającymi uniemożliwić komukolwiek podsłuchanie, podejrzenie lub szpiegowanie ich w jakikolwiek sposób, ale Aliisza wciąż czuła się obnażona.

- To jezioro - powiedziała, przesuając wzrokiem po udrapowanych jedwabiem zakamarkach namiotu - jest najnudniejszym miejscem, w jakim byłam, a spędziłam trochę czasu w miastach duergarów.

Vhok pociągnął łyk brandy i zamknął oczy, smakując trunku. Aliisza już dawno pogodziła się z faktem, że jej go nie proponuje.

- To ponura, szara jaskinia - dodała. - Nawet powietrze jest szare. Okropność.

Vhok otworzył oczy i wzruszył ramionami, czekając na dalszy ciąg.

- Pojmali kapitana - podjęła.

- Uridezu? - zapytał kambion.

Aliisza kiwnęła głową, unosząc brew, zdziwiona trafnością jego domysłu.

- Czasami - rzekł Vhok - mam wrażenie, że zapominasz, kim jestem.

- Pamiętam - zapewniła spiesznie.

Kaanyr Vhok był kambionem, synem ludzkiego ojca i żeńskiego demona. Miał w sobie najbardziej niebezpieczne cechy obu tych chaotycznych stworzeń.

Aliisza wyciągnęła rękę i zmieniła pozycję na sofie.

- Chodź - powiedziała. - Usiądź koło mnie, a ja opowiem ci wszystko, co widziałam. Z najdrobniejszymi szczegółami. Dla dobra wojny.

Vhok wychylił resztkę brandy jednym łykiem, odstawił szklanekę i ujął dłoń Aliiszy. Jego oliwkowa skóra wydawała się intensywnie ciemna na tle jej bladej karnacji. Nie tak ciemna jak skóra Pharauna, ale...

- Wygląda mi na to - powiedział kambion, siadając na sofie obok swojej demonicznej kochanki - że te drowy planują wycieczkę.

- Etap planowania mają już za sobą - sprostowała.

- Bo są głupi - uciął Vhok. - Typowe drowy, służące chaotycznej pani z uporczywą praworządnością. Bezmyślni konformiści, z tymi swoimi domami, prawami i infantylnymi tradycjami. Nic dziwnego, że pajęcza dziwka odwróciła się od nich. Dziwię się, że tak długo znosiła te bzdury.

Aliisza uśmiechnęła się, odsłaniając idealne ząbki ludzkie zęby, które wybierała na intymne schadzki. Przez dziecięctwo odkryła, że nawet Vhoka odstręczają jej ostre kły. Aliisza często się uśmiechała i prawie równie często zmieniała wielkość i kształt swoich zębów w zależności od nastroju.

- Nie doceniasz ich - ostrzegła. - Jedno czy dwoje z nich okazało się interesujące. Razem mogą okazać się niebezpieczni.

Vhok odpowiedział niezobowiązującym mruknięciem, a potem powiedział:

- Chyba powinienem przeprosić za ściągnięcie cię z Jeziora Cieni, zanim zdołałaś porozumieć się z tym twoim czarodziejem. To była niewybaczalna nadgorliwość z mojej strony.

Alu-demon nachyliła się bliżej i obwiodła koniuszkiem języka skraj szpiczastego ucha Vhoka. Siedział nieruchomo, ale jego reakcji na pieszczotę nie sposób było nie zauważyć. Aliisza poczuła, że się czerwieni.

- Ściągniesz kłopoty na nas oboje - wyszeptał kambion niewłaściwymi rozrywkami.

- Albo triumf - odparła - właściwymi.

Vhok nie raczył odpowiedzieć, a Aliisza przysunęła się jeszcze bliżej i wyszeptala mu bardzo cicho do ucha:

- Może im się udać. Statek chaosu może ich tam zabrać.

Vhok skinął głową, a Aliisza spróbowała odczytać tę odpowiedź. Uznała, że jest z niej zadowolony, bo potrafi zachować dyskrecję, nawet w strzeżonym zakłęciami namiocie.

Zaczęła rozpinąć mu tunikę, drażniąc go każdym niespiesznym ruchem palców, stopniowo zsuwając z niego odzienie. Aliisza wiedziała, czego się spodziewać po rozebranym Kaanyrze Vhoku. Choć z pozoru kambion wydawał się starzejącym półel-fem ze Świata Ponad, jego pierś, ramiona i nogi były pokryte zieloną łuską. Tylko nieliczni widzieli go nagiego więcej niż raz.

- Ruszają na poszukiwania tej pajęczej dziwki - powiedział Vhok, obracając się, by pomóc jej zsunąć tunikę.

- Chcą ją obudzić? - zapytała Aliisza, zajmując się lśniący-mi łuskami na szerokim torsie Vhoka.

- Chcą odzyskać jej względy, dotrzeć do jej lepkiego tronu-odparł kambion - jej lepkiego legowiska... albo lepkiego grobu i obudzić ją ze snu. Mówisz, że karmili statek?

- Regularnie, plugawcami - wyszeptala mu do ucha.

Vhok kiwnął głową, zaczynając ją rozbierać.

- Czarodziej? - zapytał.

- Pharaun - potwierdziła.

- Więc i to potrafi - stwierdził Vhok. - Musi być co najmniej mistrzem Sorcere, a na dodatek spętał kapitana.

- Może dotrą do Pajęczych Otchłani - powiedziała - ale czy myślisz, że uda im się ją obudzić?

- Nie - w namiocie, w którym według Aliiszy były tylko dwie osoby, rozległ się trzeci głos.

Oboje wstali i w mgnieniu oka w ich dłoniach pojawiły się miecze. Klingi, identyczne w najdrobniejszych szczegółach, aż brzęczały od magicznej energii. Stali plecami do siebie w obronnej postawie, bardziej instynktownej niż wyuczonej.

Aliisza nikogo nie widziała, ale czuła, jak stojący za nią Vhok napina się. Nauczyła się już rozpoznawać jego nastroje i teraz wyczuwała bijącą od niego złość, nie strach. Nadal wodziła wzrokiem po pomieszczeniu, dopóki nie ukazała jej się znajoma postać.

- Nimor - wyszeptała Aliisza.

- Niebezpieczna decyzja - powiedział Vhok do ukrytego w cieniu skrytobójcy - wejść tu bez zapowiedzi.

- Uwierz mi - odparł Nimor, wchodząc w krąg ciepłego światła pochodni - voyeryzm był ostatnią rzeczą, o której myślałem. Jak sam powiedziałeś, lordzie Vhoku, musimy się zająć interesami. Poza tym nie „wszedłem” tu.

Vhok wsunął miecz nazywany przez siebie „Krwio pijcą” do pochwy i odsunął się od Aliiszy. Wolnymi, niespiesznymi ruchami podniósł tunikę i założył ją z powrotem, okrywając pokrytą łuską skórę, którą tak rzadko obnażał.

Kąciki wąskich ust Nimora uniosły się w kwaśnym uśmiechu. Coś w jego reakcji zaniepokoiło Aliiszę - bardziej niż zwykła obecność skrytobójcy.

- Co cię tu sprowadza, Namaszczone Ostrze? - zapytał Vhok.

- Wyprawa drowów, rzecz jasna - odparł zabójca. - Odnaleźli statek chaosu i zamierzają złożyć wizytę swojej śpiącej bogini.

Skrytobójca wpatrywał się w Aliiszę, oczekując odpowiedzi. Schowała miecz i opadła z powrotem na sofę, nie odrywając oczu od mrocznego elfa. Nie zadała sobie trudu zapięcia sprzączek gorsetu rozpiętych przez Vhoka.

- Jest bardzo mało prawdopodobne, że im się to uda - za uważył Vhok.

- Czy zgodzisz się z tym, Aliiszo? - zapytał Nimor.

Aliisza wzruszyła ramionami.

- Jest wśród nich czarodziej, który potrafi zapanować nad statkiem. Poznałam go pod koniec mojego pobytu w Ched Nasad i odkryłam, że jest całkiem zdolny.

- A tak - powiedział Nimor - Pharaun Mizzrym. Mógłby zostać następnym arcymagiem, jak słyszałem. Gdyby nazywał się Baenre, rzecz jasna.

- Może im się udać - powiedział Vhok.

Nimor wziął głęboki oddech.

- Pomiędzy Jeziorem Cieni a Otchłanią może ich spotkać tysiąc nieszczęść, tysiąc nieszczęść może ich też spotkać pomiędzy skrajem Otchłani a sześćdziesiątym szóstym poziomem.

- Co tam odkryją, Nimorze? - zapytała Aliisza, żywo zaciekawiona.

Nimor uśmiechnął się i alu-demon przeszył dreszcz na widok dzikiego wyrazu jego twarzy.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł.

- A jeśli odnajdą Lolth? - zapytał Vhok.

- Jeśli odnajdą Lolth - powiedział Nimor - i bogini okaże się martwa, możemy oblegać miasto tak długo, jak będzie to konieczne. Menzoberranzan jest skazane na zagładę. Jeśli bogini śpi i nie uda im się jej obudzić albo po prostu postanowiła opuścić swoich wiernych w tym świecie, tak samo. Jeśli śpi i zdołają ją obudzić albo jeśli ignoruje ich, a oni zdołają odzyskać jej względy, cóż, wtedy czekają nas kłopoty.

- Skąd wiemy, co tam odkryją? - zapytał kambion.

- Nie wiemy tego - odparł Nimor.

Mroczny elf założył ramiona na piersi i opuścił głowę. Rysy jego twarzy ściągnęły się, sposepniały, gdy pograżył się w myślach.

- Pozwólmy im tam wyruszyć, ale... -podsunęła Aliisza, za nim zdążyła się nad tym zastanowić.

- Wyślijmy kogoś za nimi - dokończył za nią Nimor.

Alu-demon uśmiechnęła się, ukazując rządęk poźółkłych kłów.

- Agrach Dyrr są sami - oznajmiła Triel Baenre. - Sami i ob
lężeni.

Gromph kiwnął głową, ale nie patrzył na siostrę. Był całko-
wicie pochłonięty widokiem Menzoberranzan. Miasto Pająków
rozciągało się przed nim, rozświetlone ogniem faerie, wspaniałe
w swym chaosie, w swym wypaczeniu natury -jaskinia uczy-
niona domem.

- To dobrze - odparł Gromph - ale nie myśl, że łatwo się
poddadzą. Mają wiernych sługi i sojuszników, którzy niedostatki
inteligencji nadrabiają liczebnością.

Z wysokiego belwederu po zewnętrznej stronie jednej z naj-
bardziej wysuniętych na zachód wież kompleksu Baenre
Gromph miał wspaniałą widok na podziemne miasto. Pałac
Baenre wznosił się pod południową ścianą wielkiej pieczary,
na drugim poziomie szerokiej półki skalnej. Był pierwszym
domem, a jego położenie nad resztą miasta było bardziej niż
symboliczne.

- Mogli się zbratać z szarymi krasnoludami - powiedział An-
dzrel Baenre - ale żaden mroczny elf w Menzoberranzan nie
stanie po ich stronie.

Gromph odwrócił się w lewo i spojrział na zachód przez płą-
skowyż Qu'ellarz'or. Przed sobą widział wysoki stalagmit domu
Xorlarrin, a jeszcze dalej skupisko stalaktytów i stalagmitów za-
mieszkanymi przez zdradzieckich Agrach Dyrrów. Na terenie
posiadłości i w powietrzu wokół niej pojawiały się rozbłyski
ognia i błyskawice - dzieło potężnych magów z domu
Xorlar-rin. Liczdrow dowodzący rebeliantami gdzieś się tam
schował, a służący mu magowie odpowiadali na ataki ogniem i
gromami. Gromph czuł, że jego siostra Triel i fechmistrz
Andzrel czekają za jego plecami, aż coś powie.

- Mam wrażenie, że nie było mnie bardzo, bardzo długo -
rzekł Gromph z przygnębieniem, starannie modulując głos, by
dać wyraz swemu wielkiemu rozczarowaniu obrotem wydarzeń.

Wyczuł, że Triel stężała, a potem otrząsnęła się z jego słów.

- To prawda - powiedziała nad wyraz kwaśno - lecz nie sku-
piamy się na porażkach w obliczu tak wielkiego niebezpieczeń-
stwa zagrażającemu wszystkiemu, co dla nas ważne.

Gromph uśmiechnął się i zerknął przez ramię na siostrę. Wpa-
trywała się w niego z ramionami założonymi na piersi, przyci-
skając je do ciała, jak gdyby było jej zimno. Odwrócił się, aby
znow popatrzeć na nieprzynoszące rezultatu zmagania u stóp
domostwa Agrach Dyrarów i zauważył, nie bez pewnej satys-
fakcji, jak dobrze widzącego nowe oczy. Obraz przestał się już
rozmywać, ból prawie minął i Gromph mógł docenić ironię
losu, którego zrzędzeniem przyglądał się upadkowi domu
Agrach Dyrar parą oczu należących do Agrach Dyrar.

- Jednak nie wszystkie domy są na każde nasze zawołanie,
co? - zapytał.

Triel westchnęła.

- To wciąż Menzoberranzan, a my wciąż jesteśmy mroczny-
mi elfami. Domy Xorlarrin i Faen Tlabbar zdecydowanie nas
popierają. Faen Tlabbarowie są sprzymierzeni z domem
Sru-ne'letr, a ten z kolei z domem Duskryn. Z pomniejszych
domów możemy liczyć na Symrywinów, Hunzrinów, Vandree
i Miz-zrymów.

- To wszystko? - zapytał Gromph po chwili przerwy.

- Barrison Del'Armgo wciąż majądo nas żal o dom Obladra
- odparła Triel. - Pozostają wierni Menzoberranzan i walczą,
ale mają własną radę.

- I własnych sojuszników - dodał Gromph.

- Na szczęście nie - poprawiła go Triel, wyraźnie zadowo-
lona, że może nie przyznać bratu racji, i że potężny dom jest
osamotniony. - Reszta pomniejszych domów pozostaje neutral-
na, ale oferują pomoc w obronie miasta. Lepszy sąsiad drow,
którego nienawidzisz, niż jakikolwiek duergar.

- Albo tanarukk - dodał Gromph.

- Albo tanarukk - zgodziła się jego siostra.

Gromph znów skupił się na obserwacji miasta. Na ulicach było bardzo niewielu drowów i arcymag widział kolumny żołnierzy maszerujących, czasem ze zdwojoną szybkością, krętymi alejami.

- Miasto jest spokojne - zauważył.

- Miasto - wtrącił się Andzrel - jest oblężone.

Gromph zjeżył się, ale zdawał sobie sprawę, że zabijanie posłańca nie ma sensu, przynajmniej w tym wypadku.

- Jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron, ale walczymy - ciągnął fehmistrz i będziemy walczyć. Nasze własne siły odpierają ataki na Qu'ellarz'orl i ruszają wspomóc dom Hunzrin w Donigarten na północy.

- Dom Agrach Dyr - dodała Triel - oblegają głównie Xor-larrinowie i wydaje się, że panują nad sytuacją.

- Czy liczdrow nie żyje? - zapytał Gromph.

Zapadła cisza - ani matka opiekunka, ani fehmistrz nie uznali za stosowne odpowiedzieć na to pytanie.

- Więc powinni się bardziej przyłożyć - stwierdził mag.

Andzrel odchrząknął i ciągnął dalej:

- Faen Tlabbarowie oprócz tego, że odcinają Dyrrom drogę odwrotu na zachód, bronią południowo-zachodnich dojeżdż do Mrocznego Władztwa, od Sieci po zachodni kraniec Qu'el-larz'orlu. Odpierają najliczniejsze ataki krasnoludów, wspomagani przez dom Srune'letti. Faen Tlabbarowie wspierają też wysiłki domu Duskryn, aby utrzymać jaskinie na północ od Zachodniej Rozpadliny.

- Czyż Faen Tlabbarowie nie są wspaniali? -- zapytał Gromph nieco kwaśnym tonem.

- Są-zgodziła się Triel-a Srune'letti Duskryn nie wymaga już dalszych dowodów. Gdyby Faen Tlabbar mieli nas zdradzić, pociągnęliby za sobą przynajmniej te dwa domy.

- Po cóż mieliby to robić? - zażartował Gromph.

Triel roześmiała się, a fehmistrz odchrząknął.

- Co z pomniejszych domami? — zapytał Gromph.

- Symrywin pomaga Duskrynom nad Zachodnią Rozpadliną
- odrzekł Andzrel.

- Pewnie też siedzą w kieszeni Ghenni - zauważyła Triel.

Gromph wzruszył ramionami.

- Jeśli teraz bronią Menzoberranzan, pozwól im robić plany
na przyszłość. Jeśli przetrwamy, przetrwamy jako pierwszy dom.

- Zgadzam się, arcymagu — przytaknął Andzrel.

Gromph odwrócił się, żeby spojrzeć na wojownika, mierząc
zimnym wzrokiem surowe rysy twarzy drowa i pancerz noszący
ślady walki.

- To oczywiście - rzekł arcymag głosem tylko nieco głośniejszym
od szeptu.

Andzrel spuścił wzrok, a potem popatrzył na Triel, która tylko
się do niego uśmiechnęła.

- Dom... - zaczął fehmistrz, najwyraźniej dochodząc do
wniosku, że bezpieczniej będzie kontynuować sprawozdanie niż
narażać się potężnemu arcymagowi. Odchrząknął i ciągnął dalej:
- Dom Hunzrin z trudem odpiera ataki Potępionego Legionu w
Donigarten na północy. Vandree dobrze sobie radzą z duergarami
na południe od Zachodniej Rozpadliny. Mizzry-mowie pomagają jak
mogą Xorlarrinom oblegającym Agrach Dyrków, wysyłają też patrole
do lasu grzybów, gdzie od czasu do czasu trafiają na szpiega.

- Zatem tanarukkowie atakują głównie od wschodu? - zapytał
Gromph.

- Jak można się było spodziewać, arcymagu - zaryzykował fehmistrz.
- Wyruszyli spod Piekielnej Bramy, która leży na wschód od
Menzoberranzan. Duergarowie pochodzą Gracklstugh.

Gromph powoli wypuścił powietrze przez nos.

- Nigdy nie sądziłam, że tego dożyję - wymamrotała Triel.
-Gracklstugh...

- Tanarukowie są groźniejszym przeciwnikiem - stwierdził Gromph, przerywając siostrze. - Powiedz mi, że powstrzymuje ich ktoś oprócz domu Hunzrin.

- Barrison Del'Arngo walczą dzielnie na południe od Do-nigarten - odparł Andzrel - stawiając czoła największej koncentracji sił Potępionego Legionu.

- Mez'Barris będzie miała swoich bohaterów - westchnęła Triel.

- A północ? - zapytał Gromph.

- Znów Barrison Del'Arngo. Z pomocą Akademii bronią Rozpadliny Szpona - odrzekł fehmistrz głównie we wschodnim Eastmyrze. Niewielu tam duergarów. Mamy też doniesienia o wtargnięciach illithidów przeważnie jednego, dwóch naraz - na wschodzie, spoza Wanderways.

- Łupieżcy wyczuwają słabość - powiedział Gromph. - To ścierwojady. Będą nam dokuczać, kiedy to możliwe, ale znikną zupełnie, jeśli im na to nie pozwolimy. Niektóre z nich mogą się okazać... irytujące, ale zaczekają, aż osłabniemy, jeśli do tego dopuścimy, zanim pojawią się liczniej.

Ani Triel, ani Andzrel nie skomentowali jego słów.

- A pozostałe domy? - zapytał arcymag.

- Bronią się - odparła Triel. - Patrolują najbliższą okolicę swoich posiadłości, pomagają utrzymać spokój na ulicach i, mam nadzieję, czekają na rozkazy.

- Cóż - powiedział Gromph -jestem pewny, że wkrótce się o tym przekonamy. Mimo to wolałbym mieć więcej sojuszników we własnym przeklętym mieście.

- Mamy poparcie Tier Breche — powiedziała Triel choć chyba nie muszą ci tego mówić. Pod nieobecność Quenthel Arach-Tinilith odpowiada wyłącznie przede mną. Wiem, że udało ci się odzyskać władzę w Sorcere, a Melee-Magthere zawsze będzie walczyć, jeśli ktoś wystąpi zbrojnie przeciwko Miastu Pająków.

- Zakładam, że opłaciłaś też najemników - powiedział Gromph.

Triel wzruszyła ramionami.

- Bregan D'aerthe są na długoterminowym kontrakcie, choć Otchłań wie, gdzie się podział Jarlaxle. Gdy już wygramy, wyrwę martwym duergarom wszystkie złote zęby, żeby zapełnić nasze kufry, a tymczasem Bregan D'aerthe służą nam za informatorów i zwiadowców, przemieszczają się też większymi grupami po mieście, kontrolując i wspierając pomniejsze domy.

- Większość-informacji, jakie ci dziś przekazaliśmy, arcyma-gu — wtrącił Andzrel-pochodzi z raportów Bregan D'aerthe.

- Świetnie się spisują- skłamał Gromph.

- Menzoberranzan będzie się bronić - oświadczył Andzrel.

- Ale nie w nieskończoność - dodała Triel.

- Już niedługo - powiedział Gromph.

Zapadła długa cisza. Gromph popatrzył na rozbłyśki cennej bojowej magii używanej przeciwko Agrach Dyrrom.

- Co nam zostanie? - zapytała po chwili Triel.

- Matko opiekunko - odezwał się Andzrel - arcymagu, moim zdaniem największe wewnętrzne zagrożenie stanowi teraz dom Barrison Del'Armgo, nie Agrach Dyr.

Gromph uniósł brew i spojrzał na fechmistrza.

- Nawet bez poparcia któregośkolwiek z pomniejszych domów - ciągnął wojownik - stanowią największe zagrożenie dla potęgi pierwszego domu. Matka opiekunka Armgo już próbuje przekabacić kilka mniejszych domów, zwłaszcza Hunzrinów i Kenafie.

- I? - zapytała Triel.

-I - wtrącił się Gromph, kończąc za Andzrela - mogą odciąć Donigarten.

- Nasze zapasy żywności - dodał Andzrel.

Gromph uśmiechnął się, kiedy twarz Triel zrobiła się prawie szara.

- No dobrze - powiedział arcymag - wszystko w swoim czasie. Barrison Del'Armgo odpowiedzą za swoje ambicje dopiero gdy rozprawię się z bardziej otwartym buntem.

- Dyr? - Triel nie musiała pytać.

- Czas, by nasz stary przyjaciel liczdrow znów zginął - odparł Gromph. - Tym razem już na zawsze.

7

Danifae policzyła stojących przed nią wojowników - ośmiu drowów uzbrojonych w oszczepy i rząd kilkunastu kuszników za nimi — i czekała.

- Witajcie w mieście portali - powiedział jeden z oszczepników, wodząc czujnie krwistoczerwonymi oczyma od branki do Valasa. -Jeśli sięgniecie po broń albo zaczniecie czarować, zabijemy was, zanim zdążycie odetchnąć.

Danifae obdarzyła mężczyznę olśniewającym uśmiechem i z sa-tysfakcją odnotowała, że zatrzymał na niej dłużej spojrzenie. Gdyby Valas zamierzał zaatakować, zrobiłby to w tej właśnie chwili. Nie zrobił tego, więc Danifae znów musiała mu zaufać.

- Kim jesteście, skąd pochodzicie - zapytał strażnik - i co robicie w Sschindyrynie?

- Nazywam się Valas Hune - odparł zwiadowca. Urwał i się gwał bardzo powoli do górnej poły *piwafwi*. Gdy ją odchylił, strażnik skupił na czymś wzrok. Danifae była pewna, że muszą to być insygnia organizacji najemników, z którą związany był Valas. — Jestem tu, żeby uzupełnić zapasy. Dajcie nam dzień lub dwa na zdobycie tego, czego potrzebujemy, a ruszymy w swoją drogę.

Strażnik kiwnął głową i popatrzył na Danifae.

- A ty? - zapytał. - Nie wyglądasz na Bregan D'aerthe.

Danifae zachichotała figlarnie i odparła:

- Jestem Danifae Yauntyrr. A ty?

Zaskoczyła strażnika tym pytaniem.

- To branka służąca pierwszej córce domu Melarn - odpowiedział za nią Valas.

Danifae poczuła, że skóra świerzbi ją od tłumionej złości. Jaki zwiadowca zdradzał z własnej woli podobne informacje? A może chciał jej pokazać, gdzie jej miejsce, przypominając, że sam jest wolny, a ona nie?

Strażnik uśmiechnął się - prawie pożądliwie - i otaksował Danifae wzrokiem.

- Melarn? - zapytał. - Pierwsze słyszę.

- To pomniejszy dom - wyjaśnił Valas, zanim Danifae zdążyła się odezwać. - Uległ zagładzie, kiedy upadło Ched Nasad.

Strażnik znów spojrzął na brankę.

- To chyba oznacza, że jesteś wolna?

Danifae wzruszyła ramionami, nie odpowiadając. Ona, w przeciwieństwie do Valasa, nie miała zamiaru zdradzać mu żadnych informacji. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było zdradzenie komukolwiek, że przybyła do Sschindylyrynu właśnie po to, by raz na zawsze rozwiązać tę kwestię.

- Nie chcemy kłopotów z Bregan D'aerthe - powiedział strażnik do Valasa. - Kupcie, czego wam trzeba, i wynoście się. Menzoberranzańcy nie są tu lubiani.

- A to czemu? - zapytał Valas.

Strażnik odprężył się w widoczny sposób, a połowa kuszników zdjęła bełty z kuszy i zeszyła z pozycji do strzału. Wojownicy trzymający oszczepy wciąż stali w gotowości.

- To wasza wina - odparł strażnik - a przynajmniej tak powiadają.

- Co jest naszą winą? - zapytała Danifae, niepewna, czemu identyfikuje się z Menzoberranzan, skoro nigdy tam nie była.

- Podobno - rzekł strażnik - to Menzoberranzańscy zabili Lolth.

Valas roześmiał się, tak by w jego głosie słychać było pogardę.

- No tak... - dokończył strażnik. - Takie chodzą słuchy.

- Tędy - rzucił przez ramię do Danifae Valas.

Branka kiwnęła głową, zebrała swoje rzeczy, minęła strażników i ruszyła za zwiadowcą ku szerokiej, otwartej bramie prowadzącej do miasta. Mijając kapitana straży mrugnęła do niego żartobliwie. Mężczyzna rozdziawił usta, ale zdążył się opanować, zanim szczeka opadła mu do kolan.

Kiedy była pewna, że znaleźli się poza zasięgiem słuchu strażników, przysunęła się bliżej do zwiadowcy Bregan D'aerthe. Valas wzdrygnął się, gdy go dotknęła, a potem jak gdyby się rozluźnił. Danifae, zapisując w pamięci jego reakcję, nachyliła się jeszcze bliżej. Dysząc mu do ucha bardziej, niż to konieczne, wyszeptwała chrapliwym głosem:

- Nie idę z tobą.

- Dlaczego? - zapytał, równie cicho, choć nie tak zalotnie.

- Nigdy nie przepadałam za robieniem zakupów - odrzekła Danifae — a poza tym mam swoje sprawy do załatwienia.

Przez chwilę miała wrażenie, że Valas będzie nalegał albo przynajmniej próbował wycisnąć z niej coś więcej.

- Dobrze - powiedział po kilku sekundach. - Wiem, jak cię przywołać, kiedy przyjdzie czas ruszać z powrotem.

- Wiem, jak zlekceważyć twoje wezwania, jeśli nie będę jeszcze gotowa - odparła.

Valas nie odpowiedział, choć tym razem Danifae była pewna, że przebiła się przez jego nieprzenikniony pancerz. Odwróciła się i weszła w tłum płynący między kolumnami przypominającej świątynię budowli, w której znajdowała się brama. W ciągu kilku sekund znalazła się w obcym mieście, zostawiając zwiadowcę samemu sobie.

Miasto Sschindyryn mieściło się w pojedynczej stożkowej pieczarze głęboko pod powierzchnią Faerunu. Piramida miała trzy boki, każdy długi na ponad dwie mile, a jej szczyt znajdował się dwie mile nad podstawą. Na całej powierzchni gładkich zewnętrznych ścian rosły kępy fosforyzujących grzybów rzucających na całe miasto niesamowity, bladeżółty, nastrojowy blask. Zamieszkujące miasto drowy mieszkwały w domach z kamienia i cegły-rzecz niezwykła w mieście mrocznych elfów-zbudowanych na platformach. Od zewnątrz miasto zamykały rowy wykute w kamiennym dnie piramidy. Na środku pieczary piął się w chłodnym, nieruchomym powietrzu wielki ziggurat. Do miasta nie prowadziła żadna materialna droga. Żaden tunel nie łączył jaskini z resztą Podmroku. Sschindyryn było zapieczętowane. Odcięte od świata.

Nie licząc portali, a tych były tysiące.

Były wszędzie. Danifae zauważyła kilkanaście po przejściu zaledwie kilku przecznic. Prowadziły do każdego zakątka Podmroku, do Świata Ponad, a może nawet na inne plany i jeszcze dalej. Niektóre, pozostawione przez niewiedomo kogo, były otwarte dla wszystkich. Inne służyły do celów komercyjnych i oferowały za opłatą dostęp do innych drowich miast lub punktów wymiany handlowej ostatnich ras. Istnienie jeszcze innych trzymano w tajemnicy, a używała ich garstka wybrańców. Niektóre portale kontrolowały gangi, sporą część cechy kupieckie, a całe setki utrzymywało duchowieństwo.

Na wąskich ulicach Danifae mijała przede wszystkim dro-wy, które co do jednego, tak jak ona, wydawały się zainteresowane wyłącznie własnymi sprawami. Ignorowały ją, a ona je. Gdy tak szła, coraz bardziej do niej docierało, że jest w obcym mieście, sama i szuka drowa, który najprawdopodobniej wciąż się ukrywa.

Dom Agrach Dyrz stanowił część mapy politycznej Menzober-ranzan od ponad pięciu tysięcy lat. Tylko dom Baenre był starszy.

Przez większość tego czasu domy Baenre i Agrach Dyrz pozostawały w bliskich stosunkach. Oczywiście nigdy nie darzyły się zaufaniem, które w Mieście Pająków istniało wyłącznie w szcztkowej postaci, ale łączyły je pewne zobowiązania. Miały wspólne interesy i wspólne cele. Agrach Dyrz spełniał swoją rolę w hierarchii miasta. Poszedł na wojnę z miastem, bronił się przed rywalizującym z nim domami, od czasu do czasu zniszczył kilka, gdy zaszła taka konieczność i we wszystkim kierował się naukami i kaprysami Królowej Pajęczych Otchłani.

Matka opiekunka Yasraena Dyrz lubiła zadawać ból. Lubiła chaos i cieszyła się łaską Lolth. Gdy ją utraciła, sytuacja uległa zmianie.

Ze swojego pałacu na szerokiej półce Qu'ellarz'orlu liczdrow Dyrz wraz ze swożznacznie młodszą wnuczką patrzyli, jak miasto zwraca się przeciwko nim. Cóż, nie było to do końca prawdą, liczdrow wiedział o tym. To on zwrócił się przeciwko miastu, w starannie wybranym momencie. Yasraena robiła, co jej kazano, czasem w przekonaniu, że sama wpadła na jakiś pomysł, czasem po prostu wykonując polecenia.

Przez większość czasu młoda matka opiekunka kierowała domem tak samo, jak inne matki opiekunki w mieście. Ale gdy należało podjąć ważną decyzję, wkraczał liczdrow.

Pałac domu Agrach Dyrz tworzyło dziewięć gigantycznych stalagmitów wyrastających ze skalistej powierzchni Qu'el-larz'orlu i otoczonych suchą fosą, nad którą tylko w jednym miejscu przerzucono szeroki, dający się łatwo bronić most. W środku pierścienia stalagmitów, za kwadratowym murem z magicznych kamieni, mieściła się domowa świątynia. Ta masywna katedra stanowiła dla Agrach Dyrzów coś więcej niż symbol - była szczerym i namiętnym wyznaniem wiary w Pajęczą Królową.

Jednak w ostatnich miesiącach świątynia stała się równie cicha jak bogini, na której cześć ją wzniesiono.

- Lolth opuściła nas - powiedział liczdrow.

Stał w wejściu do przybytku. Sto jardów przed nim przed czarnym ołtarzem klęczała jego wnuczka, wpatrując się w milczeniu w ogromną stylizowaną podobiznę bogini. Rzeźba ważyła kilka ton i została stworzona przez magię objawień z tyśiąca najcenniejszych materiałów Podmroku.

- To my ją opuściliśmy - odparła Yasraena.

Ich głosy niosły się echem po ogromnej komnacie. Liczdrow zaczął lewitować w jej stronę, palcami stóp prawie dotykając marmurowej posadzki. Nie odwróciła się.

- Cóż - powiedział - czego mogła się spodziewać?

Matka opiekunka nie skomentowała żartu.

- Wciąż nie zdobyli mostu - oznajmił Dyrz prawie znudzonym tonem. - Nasi agenci w Sorcere donoszą, że Vorion został pojmany, ale później go zabito. Wciąż staram się dowiedzieć czy się zламаł.

- Vorion... - wyszeptwała matka opiekunka.

Uczyli Voriona swoim oblubieńcem zaledwie kilka lat wcześniej.

- Moje kondolencje - rzekł liczdrow.

- Miał kilka godnych podziwu cech - odparła matka opiekunka. - Cóż, przynajmniej zginął, broniąc domu.

Dyrra znudził ten temat, więc zmienił go.

- Gromph odzyskał wzrok.

Yasraena skinęła głową.

- Będzie próbował nas zabić.

- Będzie próbował zabić mnie - poprawił ją Liczdrow.

Matka opiekunka westchnęła. Musiała wiedzieć, że ma rację. Choć pozbawiona łączności z Lolth, kapłanka była wciąż osobą, z którą należało się liczyć. Była doświadczona, okrutna, silna, miała też dostęp do magazynu magicznych przedmiotów, artefaktów i zwojów, ale w starciu z arcymagiem Menzoberran-zan nie miała najmniejszych szans. Jeśli Gromph chciał się z nimi rozprawić, spróbuje zabić Liczdrowa, a jeśli dom Agrach Dyrr miał przetrwać, tylko Liczdrow mógł ich ocalić.

- Chyba nie możesz liczyć na swoich nowych przyjaciół - zauważyła matka opiekunka.

- Moi „nowi przyjaciele” mają własne kłopoty - odparł Dyrr.

- Oblegają miasto, ale Baenre i pozostałe domy zaskakująco do-
brze radzą sobie z utrzymaniem dróg do Mrocznego Władztwa.

- Trzymają nas w naszym pałacu jak szczury w pułapce - stwierdziła matka opiekunka.

Spod maski Dyrra rozległ się zduszony, wymuszony śmiech. Liczdrow prawie nigdy nie pozwalał nikomu zobaczyć swojej prawdziwej twarzy. Yasraena była jedną z nielicznych osób, którym ją ukazywał, a i to nieczęsto. Choć nie patrzyła na niego, wciąż zachowywał pozory opierania się na lasce. Zewnętrzna iluzja podeszłego wieku i fizycznej słabości stała się jego drugą naturą, którą podtrzymywał, nawet jeśli nikt nie patrzył. Jego ciało, wolne od wymogów życia od tysiącleci, działało tak samo sprawnie jak w dniu, w którym umarł i został wskrzeszony.

- Nie daj się nabrać na własny fortel, wnuczko - rzekł Dyrr. — Nie wszystko poszło zgodnie z planem, ale nie wszystko jeszcze stracone, a nam jeszcze trochę brakuje do zostania schwytanym w pułapkę. Straciliśmy żołnierzy, kilku kochanków i kuzynów,

ale żyjemy, a nasze rezerwy są prawie nienaruszone. Nasi „nowi przyjaciele”, jak ich nazwałaś, oblegają niezmordowanie miasto, a wiele domów odmawia włączenia się do walki - przynajmniej w realny sposób. Musimy naciskać, naciskać, i jeszcze raz naciskać, a zwyciężymy. To, że Gromph zdołał wymknąć się z sideł, które na niego zastawiłem, to tylko drobna niedogodność. Zachodzę w głowę, jak mu się to udało. Ale zapewniam cię, że po raz ostatni nie doceniłem arcy maga Menzoberranzan.

- Nie doceniłeś go - zapytała - czy zostałeś pokonany?

Na chwilę zapadła cisza - Yasraena wpatrywała się w podobaźnię Lolth, a Dyrz czekał w niemym proteście.

- Ten skrytobójca... - odezwała się w końcu.

- Nimor- podsunął Dyrz.

- Wiem, że mu nie ufasz - powiedziała.

- To chyba oczywiste - odrzekł liczdrow z suchym rechem. - Jest jednak oddany swojej sprawie.

- Jakiej sprawie? - zapytała matka opiekunka. - Doprowadzenia do upadku Menzoberranzan? Obaleniu matriarchatu? Całkowitego porzuceniu kultu Lolth?

- Lolth odeszła, Yasraeno - powiedział Dyrz. Matriarchat funkcjonował, ale tak jak wszystko inne może nie przetrwać upadku Pajęcznej Królowej. Miasto, rzecz jasna, przetrwa. Przetrwa pod moimi stabilnymi, nieśmiertelnymi rządami.

Twoimi - zapytała - czy Nimora?

- Moimi - odparł liczdrow z całkowitą stanowczością.

- Powinien być w mieście - dodała Yasraena, zanim milczenie stało się zbyt wymowne. - Nimor i sprzymierzeni z nim du-ergarowie powinni tu być. Z każdym dniem Baenre i Xorlarrin coraz skuteczniej łamią nasz opór. Powoli, to prawda, ale wystarczy, by trwało to wystarczająco długo i...

Nie dokończyła tej myśli, ale Dyrz tylko wzruszył ramionami.

- Skoro liczyłeś, że pokonamy ich bez Grompha po ich stro nie — zapytała Yasraena — co teraz, kiedy wrócił?

- Jak już powiedziałem - odrzekł liczdrow - zabiję go. Wy zwie mnie, a ja będę gotowy. Kiedy nadejdzie czas, stawię mu czoła.

— Sam? - zapytała z wyraźną troską w głosie.

Liczdrow nie odpowiedział. Żadne z nich się nie poruszyło, a w świątyni na długo zapadła cisza.

Miał w planach zakup prowiantu i kilka innych drobnych wydatków. Mogli pić wodę prosto z Jeziora Cieni, ale przydałoby im się jeszcze kilka bukłaków. W normalnych okolicznościach dla kogoś, kto podróżował tyle co Valas Hune, nie mogło być nic prostszego.

W normalnych okolicznościach.

Słowa te straciły jakiegokolwiek znaczenie.

- Hej - mruknął gnoll, unosząc ciężki topór bojowy, żeby Valas go zobaczył. - Czekać w kolejce, drowie.

Valas popatrzył gnollowi w oczy, ale ten nie cofnął się.

- Wszyscy czekać w kolejce - warknął strażnik.

Valas wziął głęboki oddech, trzymając ręce wzdłuż ciała i zapytał:

- Zastałem Firritza?

Gnoll zamrugał, zaskoczony.

Valas poczuł na sobie czyjś wzrok. Drowy, duergarowie i przedstawiciele kilku ostatnich ras popatrzyli w jego stronę. Choć byli wściekli i zniescierpliwieni czekaniem w kolejce, którą Valas próbował ominąć, żadne z nich się nie odezwało.

- Firritz - powtórzył Valas. - Zastałem go?

- Skąd...? - wymamrotał gnoll, mrużąc oczy. - Skąd znasz Firritza?

Valas poczekał, aż gnoll zrozumie, że nie zamierza już nic więcej powiedzieć. Trwało to siedem uderzeń serca. Rzuciw-

szy okiem na coraz bardziej zniecierpliwioną kolejkę, gnoll powiedział:

- Za mną.

Valas nie uśmiechnął się, nie odezwał ani nie spojrzał na pozostałych. W milczeniu ruszył za gnoilem, minął całą długość kolejki i przez zapleśniałą zasłonkę wszedł do bardzo obszernego pomieszczenia o niewygodnie niskim suficie. Komnata była tak zapchana workami, pudłami i beczułkami, że w ciągu pierwszych kilku sekund Valas zdążył zauważyć wszystko, po co przyszedł.

W kącie magazynu siedział przy stole przygarbiony, stary elf. Na blacie przed nim leżało w równych słupkach przynajmniej z tuzin różnych rodzajów monet. Gnoll skinął głową i Valas podszedł bliżej kupca.

- Firritz - odezwał się zwiadowca, a jego głos rozszedł się echem po magazynie.

Leciwy drow nie odwrócił się w jego stronę. Zamiast tego powoli podliczył słupek złotych monet, a potem zapisał sumę na kawałku pergaminu. Valas czekał.

Minęło może dziesięć minut i w tym czasie gnoll zdążył trzy razy opuścić pomieszczenie i wrócić. Za każdym razem gdy wracał, wydawał się coraz bardziej zakłopotany. Valas nawet nie drgnął.

- Mniej więcej tyle czasu spędziłeś w kolejce - odezwał się w końcu stary drow piskliwym głosem. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Pamiętaj, że kazałeś Bregan D'aerthe czekać - powiedział Valas.

- Nie groź mi, Valasie Hune - powiedział Firritz. - Ostatnio Menzoberranzan spuściło nieco z tonu. Szare krasnoludy, jak słyszałem. Dlaczego nie bronisz swojej ojczyzny?

- Idę tam, gdzie prowadzi mnie pieniądz - odparł zwiadowca. - Tak jak ty.

- Pieniądz nie prowadzi już do Menzoberranzan, co?
- Bregan D'aerthe wciąż mają tu otwarty kredyt - skwitował Valas. - Potrzebny mi prowiant.

- Kredyt? - zapytał Firritz. - To słowo oznacza, że twój mistrz zamierza kiedyś spłacić dług. Prowadzę rachunek, coraz dłużej i dłużej, rok za rokiem, i nic z tego nie mam. Może sytuacja zmieniła się na tyle, że nie jest to już konieczne?

- Weź głęboki oddech - powiedział Valas.

Stary drow spojrzał mu w oczy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, ale w końcu Firritz wziął głęboki oddech, a potem powoli wypuścił powietrze.

-I to by było na tyle w kwestii zapłaty - dokończył Valas - a ja muszę zaopatrzyć się w prowiant.

Firritz zmarszczył brwi.

- Tylko nic magicznego. Wszyscy kupują magiczne drobiazgi — za dwukrotność, a nawet trzykrotność rynkowej ceny.

- Potrzebuję jedzenia - odparł zwiadowca - bukłaków, kilku drobiazgów.

- Masz jucznego jaszczura?

- Nie - odpowiedział Valas z uśmiechem - więc będę potrzebował czegoś, w co to wszystko zmieszczę. Czegoś magicznego.

Firritz przesunął ramieniem po blacie, z głośnym brzękiem zrzucając monety na podłogę.

- Prowiant, Firritz - powtórzył Valas. - Zależy mi na czasie.

Danifae czuła Więzy i czuła Halisstrę. Bez względu na to, ile tysięcy stóp skał je dzieliło, były związane ze sobą.

Skóra Danifae pokryła się gęsią skórką.

Im bardziej oddalała się od centrum miasta, tym więcej przedstawicieli innych ras mijała na ulicach. Dlatego z dużą ulgą, po tym jak musiała znieść wulgarne zaczepki trzech hobgoblinów, dotarła na miejsce.

Nigdy przedtem nie była w Sschindylrynie i nigdy wcześniej nie widziała tego budynku, ale przyszła tu jak po sznurku. Ani razu nie skręciła źle, ani nie zapytała o drogę.

Danifae stała przed budowlą z cegieł i kamiennych płyt ułożonych tak, by przypominały coś w rodzaju ula albo kopca termitów. Nad szerokimi drzwiami - na tyle szerokimi, by zmie-

ścił się w nich juczny jaszczur i porządny wóz - wisiała płyta z czarnego kamienia, na której wryto misterną pieczęć. Symbol nosił charakterystyczne znamiona herbu Yauntyrr, ale w jakiś sposób przekreślonego, przeinaczonego, wypaczonego.

Danifae powiedziała sobie, że bez względu na to, co się stało, dom Yauntyrr przestał istnieć. Zawilosci heraldyki nie powinny obchodzić ani jej, ani nikogo innego.

Weszła do środka.

Dom portali Zinnirita, podobnie jak większy budynek, przez który dostali się do miasta, składał się przede wszystkim z otwartego pomieszczenia na poziomie ulicy. Wyglądało na to, że nad nim jest jeszcze jedno czy dwa piętra - prawdopodobnie prywatne komnaty Zinnirita - ale serce przybytku stanowiła ta obszerna komnata.

Mieściły się w niej trzy portale, trzy kręgi misternie połączonych kamieni mające przynajmniej trzydzieści stóp średnicy. Żaden nie pulsował magicznym światłem. Wszystkie trzy były nieaktywne, ciemne.

- Zinnirit! - zawołała Danifae.

Jej głos rozszedł się echem po pustym pomieszczeniu. Nikt nie odpowiedział. Danifae już jakiś czas temu straciła rachubę czasu i gdy ponownie zawołała po imieniu byłego maga domu Yauntyrr, uświadomiła sobie, że być może naszła go w środku Zadumy.

Nie obchodziło jej to.

— Zinnirit!

Po trzecim wołaniu rozległo się ciche, niespieszne szuranie stóp. Nie można było pomylić tego dźwięku z niczym innym, ale w tej ogromnej, rozbrzmiewającej echem komnacie trudno było stwierdzić, skąd dochodzi. Mimo to Danifae odniosła wyraźne wrażenie, że słyszy więcej niż jedną parę stóp. Nie potrafiła dokładnie powiedzieć, ile ich jest- może pół tuzina- i zbliżyły się.

Danifae dobyła morgenszterna i zawinęła nim.

- Zinnirit - zawołała. - Pokaż się, stary głupcze!

Znów odpowiedział jej tylko zwielokrotniony przez echo odgłos powłóczenia nogami.

Kątem oka dostrzegła jakiś cień, który pojawił się i zaraz zniknął w głębi bramy. Danifae zareagowała błyskawicznie, wykorzystując umiejętność posiadaną przez wszystkie wysoko urodzone drowy.

Pięć postaci rozbłysło migoczącym fioletowym blaskiem. Ogień faerie otaczał ich ciała, dzięki czemu odcinały się wyraźnie w mroku. Powłócząc nogami, postacie powoli sunęły w jej stronę, nie zważając na magiczne płomienie.

Uświadomiła sobie kim są pół sekundy po tym, jak w nozdrza uderzył ją ich ohydny smród.

To były zombie: żywe trupy, w większości chyba ludzi, choć Danifae nie była zainteresowana przeprowadzeniem bardziej szczegółowego badania.

- Zinnirit... - wyszeptała, poirytowana.

Jeden z nich wyciągnął do niej rękę, a z jego gnijących, poszarpanych warg wyrwał się cichy, zbolący jęk.

W odpowiedzi Danifae wyprostowała się, uniosła jedną brew, wyciągnęła dłoń o szczupłych palcach i powiedziała:

Zatrzymajcie się.

Zombi zatrzymały się.

- Możecie odejść — powiedziała idealnie spokojnym, wyważonym tonem.

Zombi, wciąż otoczone fioletem blaskiem, obróciły się niezdarnie, wpadając na siebie, i powłócząc nogami zaczęły oddalać się od branki. Poruszały się nieco szybciej niż wtedy, gdy się do niej zbliżały.

- Cóż - odezwał się stanowczy męski głos, a echo tysiąc krotnie zwielokrotniło to pojedyncze słowo.

Danifae opuściła rękę i oparła dłoń na biodrze.

- Nie powinnaś potrafić tego zrobić - powiedział głos ci szej, ale bliżej.

Danifae odnalazła źródło głosu i na krawędzi mroku dostrzegła kolejny cień przypominający drowa.

- Nie musisz używać ognia faerie - rzekł i podszedł na tyle blisko, aby Danifae widziała go wyraźnie.

- Zinnirit - powiedziała, przylepiając do warg szeroki uśmiech. - Wspaniale znów cię widzieć, stary przyjacielu.

Leciwy drow podszedł jeszcze kilka kroków, ale wciąż zachowywał pełną szacunku - nie, bezpieczną - odległość od Danifae.

- Zabrano cię do Ched Nasad - rzekł czarodziej. - Słyszałem, że Ched Nasad się rozpadło.

- To prawda- potwierdziła Danifae.

- Czczę Loth jak każdy drow — powiedział czarodziej - ale w domu z pajęczyny nie chciałbym mieszkać.

- Nie w tym rzecz - odparła Danifae. - Ale oczywiście to, co wydarzyło się w Ched Nasad, masz w głębokim poważaniu.

- Za dobrze mnie znasz.

-Tak jak ty mnie.

- To nie jest takie proste - powiedział stary czarodziej, podchodząc kilka kroków bliżej. -To, co chcesz zrobić. To nie jest zaklęcie, które można po prostu... rozproszyć.

Zinnirit wyglądał jakoś inaczej. Danifae była zdumiona tym, jak bardzo jest przygięty do ziemi, jaki chudy, jaki pomarszczony. Wyglądałjak człowiek albo jak goblin. Wyglądał źle.

- Widzę, że zaczęłaś się ubierać na tutejszą modłę - zauważyła Danifae, wskazując cudzoziemski strój maga.

- To prawda - odparł. - Przydaje się w interesach. Nie straszę już sąsiadów w najeżonej kolcami zbroi.

- Wiesz dlaczego tu jestem - powiedziała Danifae - i wiem, że wiedziałeś o moim przybyciu. Czy zombi miały mnie przstraszyć?

- Kolejna sztuczka na pokaz - przyznał mag. - Odrobina nekromancji robi wrażenie na drowach i pośledniejszych rasach. Wydają się im przez to poważniejszym partnerem handlowym.

- Wiedziałeś, że jestem w Sschindylrynie w chwili, w której przestąpiłam portal.

- Owszem.

- Więc bierzmy się do roboty.

- Zaszły pewne zmiany, droga Danifae - powiedział Zinnirit.

- Nie jestem już magiem twojej matki, zależnym od kaprysów jej zepsutych córek.

- Oczekujesz zapłaty? - zapytała.

- Oczekujesz czegoś za nic?

Brew Danifae zadrgała w odpowiedzi. Ten ledwie dostrzegalny gest sprawił, że czarodziej odwrócił wzrok. Wzięła głęboki oddech i skupiła się na tym zakątku swojego umysłu, w którym kryły się Więzy.

- Wiem dlaczego przyszedłeś - naciskał Zinnirit. - Nie potrafiś się ich pozbyć, prawda?

Nie widząc powodów, by skłamać, Danifae odparła:

- Tak. Są tam w każdej sekundzie, odkąd wpadłam w ręce domu Melarn.

- Wiąże cię przewrotne zaklęcie... - powiedział stary drow - wiąże cię w sposób, który tylko drow jest sobie w stanie wyobrazić. Dopóki działa, nigdy nie będziesz wolna. Jeśli twoja pani...?

- Halisstra Melarn.

- Jeśli Halisstra Melarn umrze, umrze też Danifae - ciągnął. - Jeśli cię wezwie, pójdziesz do niej. Bez pytań, bez wątpliwości, bez żadnego wyboru. Nigdy nie będziesz mogła, choćbyś nawet bardzo chciała, nawet po to, by popełnić samobójstwo, podnieść na nią ręki. Więzy nie pozwolą ci zrobić nic, co mogłoby doprowadzić do śmierci twojej pani.

- Masz rację - wyszeptwała — ale nie do końca. Pod wieloma względami to właśnie Więzy mnie napędzają. Ten czar trzyma

mnie przy życiu, daje mi witalność, sprawia, że słucham, patrzę, uczę się. Ten czar i pragnienie wyrwania się spod jego władzy nadają cel mojemu życiu.

Danifae zobaczyła, że przez twarz starego czarodzieja przemknął strach.

- Nie ciebie jedną zawleczono do Ched Nasad - powiedział.
- Po tym ostatnim najeździe, który zniszczył redutę, który zniszczył naszą rodzinę, do Ched Nasad powiedziano też innych członków naszego domu, a reszta rozproszyła się po Podmro-ku. W każdym razie ci, którzy przeżyli, a nie było ich wielu...

- Zinnirit Yauntyrr dotarł do Sschindylrynu - dokończyła za niego — i całkiem nieźle mu się powodziło. To wcale mnie nie dziwi. Byłeś utalentowanym magiem. Nikt nie potrafił się teleportować tak jak ty. Byłeś mistrzem. A sztuka teleportacji to nie wszystko, w czym jesteś dobry. Jesteś gotowy. Znam cię.

- Co zrobisz, kiedy będziesz wolna? - zapytał.

Danifae uśmiechnęła się do niego i podeszła bliżej. Mogłoby się dotknąć, gdyby którekolwiek z nich uniosło rękę.

- No dobrze - westchnął stary mag. — Przecież nie muszę tego wiedzieć.

Danifae nie raczyła odpowiedzieć. Czekwała.

- Będę musiał cię dotknąć - powiedział czarodziej.

Danifae kiwnęła głową i przysunęła się jeszcze bliżej - na tyle blisko, by poczuć pachnący cynamonem i fajkowym zielenem oddech starca.

- Będzie bolało - ostrzegł, wyciągając do niej rękę. Dotknął jej czoła czubkami drugiego i trzeciego palca. Jego dotyk był suchy i chłodny. Z ust maga wylały się dziwne słowa. To mógł być smoczy, ale nie potrafiła zidentyfikować tego konkretnego dialektu. Po pełnej minucie urwał i opuścił rękę. Jego poma-rańczowoczerwone oczy wpiły się w nią. Danifae wytrzymała jego spojrzenie, choć pragnęła odwrócić wzrok.

- Powiedz mi - wyszeptał — że chcesz z tym skończyć.

- Chcę, by zniknęły - powiedziała. Jej samej jej głos wydał się za głośny, za ostry. - Chcę się uwolnić z Więzów.

Gdy tylko wypowiedziała ostatnią sylabę, jej klatka piersiowa naprężyła się, a potem ręce, nogi, stopy, dłonie, szyja, szczęka, palce u rąk i nóg - każdy z osobna. Każdy mięsień w jej ciele chwycił skurcz, tak że miała wrażenie, iż rwą się na strzępy pod skórą. Krzyknęłaby, ale miała ściśnięte gardło, /ej płuca usiłowały wycisnąć na zewnątrz przez zamknięte gardło, zaciśnięte szczęki, zgrzytające zęby powietrze, które w nich zostało. Ból oślepił ją.

A potem minął.

Jej ciało zwiotczało tak szybko i tak kompletnie, że zvaliła się na ziemię. Wymiotowała, cały świat wirował jej przed oczami. Oczy łzawiły, ciekło jej z nosa i niewiele brakowało, a zmoczyłaby się.

To też minęło.

Danifae trzęsła się. Opanowała przyływ targających nią emocji - od poniżenia po zabójczą wściekłość - jedną myślą.

Jestem wolna.

Wytarła usta rękawem i odsunęła się od własnych wymiocin. Zinnirit podszedł do niej, wyciągając rękę, żeby ją podtrzymać, na wypadek gdyby znów miała upaść, ale nie pozwoliła mu się dotknąć, zresztą on też wydawał się nie mieć na to ochoty.

- Nie czuję jej - stwierdziła Danifae, uświadamiając sobie, że łącząca je więź znikła.

- Ona też cię nie czuje powiedział mag. - Pewnie pomyśli, że zginęłaś... gdziekolwiek jest.

Danifae kiwnęła głową i wzięła się w garść. Z jednej strony miała ochotę krzyczeć z radości, tańczyć i śpiewać jak jakiś przekłety słoneczny elf, ale opanowała się. Potrzebowała jeszcze jednej rzeczy. Branka, która stała się wolną drowką, zamrugła zalawionymi oczyma i spojrzała na dłonie sędziwego maga.

Zinnirit nosił wiele pierścieni, ale Danifae szukała jednego konkretnego i natychmiast go zauważyła. Na drugim palcu lewej dłoni Zinnirita tkwiła obrączka ze splecionej platyny i miedzi pokryta delikatnym smoczym pismem.

- Zatrzymałeś go - powiedziała.

Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek i pokręcił głową.

- Pierścień - wyjaśniła. - Pierścień mojej matki.

Zinnirit kiwnął niepewnie głową.

- Sam wplotłeś weń zaklęcia na jej życzenie, prawda? - za pytała.

Zinnirit znów kiwnął głową.

- Gdziekolwiek się znalazła - rozmyślała na głos Danifae - ten pierścień pozwalał jej wrócić do jej prywatnych komnat w domu Yauntyrr w dalekim Eryndlynie. Pamiętam, że użyła go raz, kiedy byliśmy w Llaceryllynie. Pierścień przeniósł nas z powrotem do domu, gdy pusta groźba zmieniła się w próbę skrytobójstwa i ktoś wysłał przeciw niej żywołaka. Nigdy go nie użyłeś? Nigdy nie próbowałeś wrócić?

- Nie tam nie ma - odparł zbyt szybko mag. - Nie ma do czego wracać. Wiele lat temu przestroiliśmy pierścień, żeby tu wrócić.

- Ale czy kiedykolwiek miałeś potrzebę go użyć? - zapytała.

- Nigdy nie wróciłeś tu za jego pomocą z jakiejś odległej jaskini?

Zinnirit potrząsnął głową.

- Nigdy nie przeszedłeś przez własne portale?

Stary drow znów pokręcił głową.

- Nie mam dokąd pójść.

Danifae przekręciła głowę w bok i pozwoliła, by na jej usta wypełził uśmiech zadowolenia.

- Biedaczysko - wyszeptwała. - Przez te wszystkie lata... taki samotny, czekałeś na ostatnią szansę przysłużenia się córce domu Yauntyrr.

Danifae złapała Zinnirita za rękę. Mag wzdrygnął się pod jej dotykiem, ale nie wyrwał dłoni.

Uniosła jego dłoń do ust i pocałowała ją. Przed chwilą wymiotowała mu na podłogę, więc Zinnirit wzdrygnął się, ale nie opierał. Danifae przycisnęła dłoń starego drowa do policzka. Wydawała się cieplejsza, nie tak sucha.

- Drogi Zinniricie - wyszeptała, patrząc staremu magowi prosto w oczy - na co ci przyszło?

- Mam tysiąc lat - odparł mag. - A przynajmniej tak mi się wydaje. Nie mam domu, tylko te trzy portale i mizerne opłaty, jakie pobieram za korzystanie z nich. Jestem obcy w obcym mieście, bez domu, który by mnie chronił, bez matki opiekunki, której mógłbym służyć. Na co mi przyszło? Ledwo pamiętam, co to znaczy, ja".

Danifae znów pocałowała go w rękę i wyszeptała:

- Pamiętasz mnie, prawda, magu?

Nie odpowiedział, ale nie wyrwał dłoni.

- Pamiętasz nasze lekcje - zapytała, delikatnie muskając dłoń starca wargami. - Nasze specjalne lekcje?

Wzięła jego palec do ust i obwiodła go językiem. Skóra starego drowa była sucha i pozbawiona smaku, a potem poczuła na wargach posmak metalu.

- Ja nie... - wybąkał mag. - Ja nic...

Danifae zsunęła mu pierścień z palca, przez cały czas drażniąc jego skórę wargami. Wcisnęła pierścień pod język, zanim znów ucałowała wierzch jego dłoni.

- Ale ja tak - powiedziała.

Danifae wykręciła starcowi ramię tak szybko i mocno, że więcej niż jedna kość pękła w kilku miejscach. Zinnirit krzyknął z bólu i zdziwienia, nawet nie próbując powstrzymać Danifae przed obróceniem go. Drugą ręką chwyciła go pod brodę. Stała za nim, boleśnie przyciskając mu do pleców złamaną rękę.

- Ja pamiętam - wyszeptała mu do ucha. Potem skrzyła mu kark.

Dla każdego maga przygotowanie zaklęć na następny dzień było wypadkową doświadczenia, intuicji i natchnienia. Pharaun Mizzrym nie był tu wyjątkiem.

Od czasu do czasu podnosił wzrok znad księgi zaklęć, aby dać oczom odpocząć i pozwolić jakiejś wyjątkowo skomplikowanej inkantacji wryć się w pamięć. W takich chwilach widział nieruchomy, cichy pokład okrętu chaosu. Kościany statek pokryły większe łaty ścięgien oraz chrząstki i jeszcze bardziej zawiła płatanina żył i arterii. Statek żył - prostym, bolesnym, zniekanym, nieczułym życiem- i kiedy było cicho, a pozostali byli wciąż pogrążeni w Zadumie, Pharaun wyobrażał sobie, że słyży, jak statek oddycha.

Kapitan uridezu leżał na swoim miejscu, odwiedzany od czasu do czasu przez jakiegoś szczura. Zwinął się w ciasny kłębek z ciałem tak wygiętym, że Pharauna bolały plecy od samego patrzenia na niego. Oddychał głęboko i miarowo, co jakiś czas pochrapując.

Jeggred siedział naprzeciwko pojmanego demona, z kolanami podciągniętymi pod brodę i spuszczoneym łbem. Draegloth spał inaczej niż Pharaun i inne mroczne elfy. Widocznie była to cecha, którą odziedziczył po swoim ojcu, Belshazu.

Cóż, pomyślał mistrz Sorcere, rodziców się nie wybiera.

Quenthel siedziała jak najdalej od pozostałych, na samym końcu spiczastego dzioba okrętu demonów. Odwrócona plecami do Pharauna, wyprostowana sztywno, medytowała.

Możesz rozmawiać? odezwał się jakiś głos na skraju jego świadomości - głos, który rozpoznał.

A liisza? zapytał.

Pamiętasz mnie, rozległ się głośniejszy - a może wyraźniejszy? - w jego głowie głos alu-demonów. Uznam to za wielki zaszczyt.

I słusznie, odparł Pharaun, instynktownie przesyłając wraz z tą myślą lekkie, swawolne emocje. Gdzie jesteś?

Pod sklepieniem, odparła, dokładnie nad tobą.

Pharaun mimowolnie popatrzył w górę, ale choć posiadał umiejętność widzenia w ciemnościach, mrok Jeziora Cieni skrywał sklepienie przed jego wzrokiem.

Jak mnie odnalazłaś? zapytał.

Jestem pomysłową, inteligentną i utalentowaną kobietą.

Bez wątpienia.

Lewitując w linii prostej w górę, trafisz prosto na mnie.

W takim razie...

Czarodziej zamknął księgę, nad którą pracował, przerywając przygotowywanie zaklęcia, i wepchnął ją z powrotem do plecaka. Wstał i dotknął broszy spinającej jego *piwafwi* na ramieniu.

Prosto w górę? zapytał.

Złapię cię, brzmiała figlarna odpowiedź alu-demonów.

Stopy Pharauna oderwały się od pokładu i mag zaczął wznosić się coraz szybciej w górę, gwałtownie oddalając się od statku. Kiedy okręt zniknął - a raczej kiedy on zniknął w ciemnych choć oko wykol cieniach złowieszczej jaskini, zwolnił.

- Jeszcze trochę wyżej - wyszeptła Aliisza ledwie słyszalnym głosem.

Pharaun zatrzymał się powoli z obronnym zaklęciem na końcu języka na wypadek gdyby Aliisza zwróciła się przeciwko niemu - była w końcu demonem, więc zawsze istniała taka możliwość.

Usłyszał zaskakująco głośny szelest i spojrział w górę. Aliisza, na swoich skrzydłach podobnych do skrzydeł nietoperza, powoli opadała ku niemu. Odwrócił się, aby znaleźć się z nią twarzą w twarz.

Prawie się zrównali, gdy Aliisza zapytała:

- Czy twoje zaklęcie lewitacji jest w stanie mnie utrzymać?

Pharaun miał już odpowiedzieć, gdy zarzuciła mu ręce na szyję i uwiesiła się na nim całym — acz niewielkim - ciężarem ciała. Całą swoją uwagę skupił na broszy, prawie tracąc przy tym zaklęcie ochronne, ale zdołał utrzymać ich oboje w powietrzu. Początkowo podskakiwali przez chwilę w górę w dół, ale w końcu zawiśli w ciasnym uścisku pod sklepieniem Jeziora Cieni.

Wisielei twarzą w twarz, mniej niż cal od siebie. Pharaun czuł zapach oddechu pięknego alu-demon. Dotyk jej skóry, krągło-ści jej ciała pod jego dłońmi i miękka pieszczota mięsistych skrzydeł owiniętych wokół niego sprawiły, że jego ciało samo zareagowało.

Przez pełne usta Aliiszy przebiegł figlarny uśmiech, ukazujący idealne białe ząbki i ogromne wampirze kły. Pharaun pamiętał, że lubiła się bawić swoimi zębami. Nie zastanawiał się, dlaczego tak mu się to w niej podoba.

- Tak - wyszeptała. - Pamiętam cię.

Pharaun odwzajemnił jej uśmiech i zapytał:

- Więc co sprowadza taką niegrzeczną dziewczynkę jak ty w takie paskudne miejsce jak to?

Rozbawił ją.

- Nad Jezioro Cieni? - zapytała filuternie. - Staram się być tutaj kilka razy w roku, jeśli mogę. Kuracja wodna.

Pharaun kiwnął głową, uśmiechnął się, ale nie przekomarzał dalej. Kochanka Kaanyra Vhoka przybyła tu z jakiegoś powodu, a on nic był ani tak zadurzony, ani tak zadufany w sobie, by myśleć, że chciała się z nim zobaczyć.

- Znów nas szpiegujesz — rzucił oskarżycielsko.

- Nie - nadała się Aliisza. - Wciąż szpieguję ciebie. Czy nie czujesz się bardzo ważny, wiedząc, że ktoś taki jak ja ciągle cię szpieguje?

- Owszem - powiedział mag - i właśnie na tym polega problem.

- Co chcesz znaleźć w Otchłani? - zapytała znienacka. Pha-raun musiał zamrunąć kilka razy, żeby jego umysł przetrwał to pytanie. - Przecież właśnie tam się wybieracie tym wspaniałym okrętem chaosu, który zdobyliście, nieprawdaż?

- Dlaczego Kaanyra Vhoka miałyby obchodzić to, co robimy albo dokąd się wybieramy?

- Nie mogę być ciekawska?

- Nie - odparł dość stanowczo. - W tym wypadku nie.

- Potrafisz być wstrętny, kiedy chcesz, Pharaunie - powiedziała, a potem znów się uśmiechnęła.

Mam to uznać za komplement? Aliisza spojrzała mu w oczy. Drow i demon byli oboje wystarczająco inteligentni i pragmatyczni, by zdawać sobie sprawę, że nie są parą romantycznych ludzkich kochanków. Mogło się nawet okazać, że walczą po przeciwnych stronach w wojnie mogącej doprowadzić do upadku obojga ich cywilizacji - jeśli obszarpany Potępiony Legion Kaanyra Vhoka można było nazwać cywilizacją.

- Mogę popłynąć z wami? ...zapytała, przekrzywiając głowę, przez co wyglądała, jak gdyby próbowała odczytać odpowiedź wypisaną na jego czole.

- Z nami? - zapytał. - Na statku?

Kiwnęła głową.

- Będę musiał zapytać stewarda, czy mamy wolną kabine, ale od ręki mogę ci powiedzieć, że za żadne skarby Dziewięciu Piekieł ani Pustkowi Zagłady i Rozpaczy.

- Szkoda - odparła. - Już tam kiedyś byłam, sam wiesz.

- Gdzie jeszcze byłaś? - zapytał Pharaun, specjalnie zmieniając temat. - Czy odwiedzałaś ostatnio Miasto Pająków?

- Menzoberranzan? Dlaczego pytasz?

- Wieści z domu i tak dalej.

Jej skrzydła zacisnęły się wokół niego i Pharaunowi spodobało się to uczucie. Przypominało dotyk ciepłych ręczników,

jakimi okrywała go jego ulubiona masażystka w Menzoberran-zan. Już za długo był w drodze.

- Brakuje kilku twoich towarzyszy - zauważyła alu-demon.

- Rosłego wojownika z wielkim mieczem i tego drugiego. Zwiadowcy.

- A jednak nas śledziłaś.

Nie rozumiał, po co jej te informacje, chyba że...

- Donosisz o wszystkim Kaanyrowi? - zapytał.

Udała, że się rumieni i zatrzepotała rękami.

- Menzoberranzan jest oblężone - powiedział. - Domyślam się, że wiesz o tym.

Kiwnęła głową.

- Odesłałeś swoich wojowników, żeby pomogli w obronie miasta.

Pharaun wybuchnął śmiechem, czym chyba zbił ją z panta-tyku. Nie przejął się tym.

- Powiedz, że nie narazili się jakiemuś niekulturalnemu mieszkańcowi Podmroku gdzieś pomiędzy Ched Nasad a tym miejscem - powiedziała. - Serce by mi pękło.

- Twojemu sercu nic nie grozi - odrzekł. - Chyba nic ci nie będzie, jeśli powiesz mi, kto oblega mój dom.

- Kto wie - odparła, mrugając porozumiewawczo. - Wolę nie ryzykować. Oczywiście, gdybym wiedziała to, co wy wiecie o losie waszej Pajęcznej Królowej, mogłoby to złagodzić cios.

- Ach tak. Ja zdradzę ci wielką tajemnicę, a ty mnie małą.

- Nie ma małych tajemnic - odparła alu-demon - jeśli żyjesz w nieświadomości.

- Wiesz, Aliiszo — powiedział Pharaun. - Powinniśmy częściej spotykać się i nic sobie nie mówić. To lepsze niż przygotowywanie czarów czy zajmowanie się własnymi sprawami.

- Sarkastyczny z ciebie drań, Pharaunie. Właśnie to w tobie kocham.

- Przyjmij, że ja czuję to samo - odpowiedział mag. - Więc skoro skończyliśmy już rozmawiać ze sobą czy mogę już pójść?

- Rozmawialiśmy ze sobą, Pharaunie - poprawiła go Alii-sza. - Jestem tego pewna. Na przykład aż do tej pory nie przy-szłoby mi do głowy, że nie wiesz, kto szturmuje Miasto Pająków. O, a ty powiedziałeś mi, że wybierasz się do Otchłani.

- Tak, to prawda - przyznał Pharaun, nie przejmując się wcale, że doszła do tych oczywistych konkluzji. - Gratuluję. Ruszaj w drogę i zmieniaj bieg historii Podmroku.

- Bawisz się ze mną- powiedziała alu-demon z tak lodowatą niechęcią w głosie i oczach, jaką czarodziej widział u niej po raz pierwszy. — Lubię to, ale do czasu.

- Nie chcesz mi udzielić informacji - odparował. - Nigdy tego nie lubiłem.

Unosili się w powietrzu, spleceni w ciasnym uścisku, przez długi czas mierząc się zimnym, nieprzyjaznym wzrokiem.

- Wciąż mogę być twoją przyjaciółką, Pharaunie powie działa cicho Aliisza głosem ledwie głośniejszym od szeptu.

Mistrz Sorcere rozpaczliwie szukał słów. Wiedział, że między nimi to koniec, koniec już na zawsze i żałował, że nie może być inaczej.

Tęsknią, pomyślał.

Tak, odpowiedziała mu w myślach Aliisza, *tęsknisz*.

Pharaun odepchnął ją. Aliisza zawisła w powietrzu na pół sekundy, a potem zaczęła spadać. Wbiła w niego mordercze spojrzenie, rozpościerając skrzydła, by wyhamować upadek. Pharaun miał wrażenie, że wygląda na bardziej urażoną niż zag-niewaną.

- Jeszcze porozmawiamy - rzuciła, a potem znikła w roz błysku mętnego fioletowego światła, a Pharaun został sam w nie przeniknionej ciemności.

Mam nadzieję, pomyślał. *Naprawdę*.

Czegoś jej brakowało.

Halisstra czuła to - a raczej — nie czuła tego. Nie czuła Więzów. Nie czuła Danifae.

Posiadanie branki przywiązanej do niej mroczną drowią magią było dziwnym i subtelnym doświadczeniem. Nie było to coś, czego była tak naprawdę świadoma, nie przez cały czas. To tkwiło w niej, gdzieś w tle, jak dźwięk jej własnego oddechu, bicie jej własnego serca.

Tańczyła, kiedy to się stało. Kapłanki, które przyjęły ją do swego kręgu, często tańczyły. Tańczyły w różnym składzie i w różnych miejscach, zarówno świętych, jak zwyczajnych. Zwykle tańczyły nago, czasem w ubraniu. Tańczyły w pełnym rynsztunku i tańczyły z ofiarami z owoców lub dzieł sztuki. Tań-

czyły wokół ognisk albo w ziaęb. Tańczyły nocą - w mroku, w którym Halisstra wciąż czuła się dobrze - lub za dnia. Wciąż poznawała znaczenie każdego z tych różnych sposobów oddawania czci bogini, każdej subtelnej zmiany układu i charakteru obrzędu, rytmu i kroków.

Kiedy Halisstrę ogarnęło to uczucie, przestała tańczyć. Pozostałe kapłanki nie zwracały na nią uwagi. Nawet się nie zatrzymały, nie mówiąc już o przerwaniu radosnego rytuału.

Halisstra wydostała się z kręgu i szybkim krokiem, opanowała przeczuciem nadciągającego nieszczęścia, skierowała się do miejsca, gdzie zostawiła Rylda. Fehmistrz nic brał udziału w obrzędach kapłanek, a ona widziała, że go to gryzie. Halisstra zniknęła na całe godziny i wracała do pytań, na które nie zawsze potrafiła odpowiedzieć. Nie miała jak upewnić się, że Ryld ją kocha -nie była jeszcze całkiem pewna, czym jest „miłość”, choć wydawało jej się, że się tego uczy, ale wojownik nic opuszczał jej. Tkwił w zimnym, jasnym lesie razem z nią, otoczony przez czcicielki bogini, którą musiał uważać za zdrajczynię.

Potykając się, weszła do chłodnej, ciemnej izby, którą dzielili, przerywając mu ćwiczenie medytacyjne, które wykonywał już przy niej w przeszłości. Stał na rękach, z zamkniętymi oczami, zgiętymi w kolanach nogami i obciążonymi palcami stóp. Czasem fehmistrz wytrzymywał w tej pozycji wiele godzin. Halisstra nie potrafiła wytrzymać dłużej niż sekundę, dwie.

Otworzył oczy, kiedy weszła do środka, i musiał dostrzec coś w wyrazie jej twarzy. Jednym płynnym ruchem przetoczył się do przodu i stanął na nogi. Nic nie wskazywało na to, że kręci mu się w głowie.

- Halisstro - powiedział - co się stało?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdołała wyrzucić ani słowa.

- Coś się stało - powiedział i rozejrział się po pomieszczeniu.

- Ryld, ja... - zaczęła, a potem patrzyła, jak zaczął się zbroić.

Najpierw chwycił Rozpruwacza - swój ogromny wielki miecz - a potem szybko przypiął do pasa pochwę z krótkim. Miał już w rękach pancerz, kiedy dotknęła jego ramienia, żeby go powstrzymać. Skórę miał ciepłą, prawie gorącą, ale nie spoconą. Opinała mięśnie tak twarde, że wojownik wydawał się wyciosany z kamienia.

- Nie - powiedziała, otrząsając głowę z pajęczyn - prze stań.

Przestał i popatrzył na nią wyczekująco. Zobaczyła w jego oczach zniecierpliwienie zmieszane z frustracją.

- Co się stało? - zapytał.

Uśmiechnęła się, a on odetchnął.

- To Danifae - wykrztusiła w końcu. - Przestałam czuć jej obecność. Więzy zostały przerwane.

Jego źrenice rozszerzyły się, więc widziała, że jest zaskoczony. Niekoniecznie tym, że Więzy zostały przerwane, ale jak gdyby spodziewał się usłyszeć coś innego.

- Co to dokładnie oznacza? - zapytał, opierając napierśnik o ścianę obok łóżka, które dzielili.

Hali sstra potrząsnęła głową.

- Zginęła? - zapytał beznamiętnie.

- Tak - odparła Hali sstra. - Być może.

- Dlaczego tak cię to przeraża?

Hali sstra cofnęła się o krok, zdumiona tym pytaniem, choć było ono logiczne.

- Dlaczego mnie to przeraża? - powtórzyła. - Przeraża mnie... niepokoi mnie to, że jest ode mnie wolna. Tak czy inaczej, nie jestem już jej panią, a ona nie jest już moją branką.

Ryld zmarszczył brwi, wrzucił ramionami i zapytał:

- Dlaczego ma to dla ciebie takie znaczenie?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale znów nie potrafiła znaleźć słów.

- Toaczy - ciągnął fehmistrz - nie jestem pewny czy twoje nowe przyjaciółki pochwalają w ogóle coś takiego? Czy te zdraczc... toaczy te twoje kapłanki, czy one w ogóle biorą branki?

Uśmiechnęła się, a on się odwrócił, udając, że jest całkowicie pochłonięty chowaniem Rozpruwacza pod łóżkiem.

- One nie sązdraczcyniami, Ryldzie.

Zwiesił na chwilę głowę, a potem usiadł na łóżku i popatrzył na nią.

- Owszem, są- powiedział głosem równie przybitym jak wyraz jego oczu. -Zdradziły swoją rasę, tak jak my. Pytanie, jakie wciąż sobie teraz zadaje, brzmi, czy to tak źle być zdraczą?

Halisstra podeszła do niego i uklękła, kładąc mu ręce na kolanach. Wyciągnął rękę i prawie instynktownym gestem odgarnął jej długie białe włosy z czarnego policzka.

- Nie - powiedziała tak cicho, że ledwo ją było słycać na wet w ciszy ich pokoiku. - Nie tak źle. Tak naprawdę możemy zdradzić tylko samych siebie, a wydaje mi się, że oboje jeste śmy wreszcie wierni samym sobie... i sobie nawzajem.

Poczuła ukłucie w sercu, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy, jego jedyną odpowiedź na te słowa. Nic wierzył jej, ale nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że chce jej wierzyć.

- Jakie to uczucie? - zapytał.

Potrząsnęła głową na znak, że nie rozumie pytania.

- Nie czuć już Więzów?

Przeniosła ciężar ciała na biodro, usiadła na podłodze i oparła głowę o jego muskularną nogę.

- Czuję, jak wszystkie elementy mojego dawnego życia zo stają jeden po drugim zastąpione czymś nowym.

Znów jej dotknął, jednym palcem gładząc delikatnie jej ramię. Pod jego dotykiem przeszedł ją dreszcz.

- Lolth została zastąpiona przez Eilistraee - powiedziała. - Ciemność przez światło. Podejrzliwość przez akceptację. Nie nawiść przez miłość.

Nieznajome ciepło i wilgoć wypełniły jej oczy. Płakała.

- Nic ci nie jest? - zapytał zatroskanym szeptem.

Halisstra otarła łzy i kiwnęła głową.

- Miłość - powtórzyła - zastąpiła nienawiść, a wolność nie wolę.

- A może życie zastąpiła śmierć? - zapytał Ryld.

Halisstra westchnęła.

- Być może — odparła - ale tak czy inaczej Danifae jest wolna. Odeszła w zaświaty. Mam tylko nadzieję, że nie trafi w to puste miejsce, które zostało z Pajęczych Otchłani. Być może wciąż przemierza Podmrok, żywa i silna. Żywa i wolna, czy martwa i wolna, tak czy inaczej jest wolna.

- Wolna... - powtórzył Ryld, jak gdyby nigdy wcześniej nie wymawiał tego słowa i musiał to przeciwwić.

Siedzieli tak przez długi czas, dopóki Halisstrze nie zaczęły drętwieć nogi i Ryld wyczuł, że jest jej niewygodnie. Uniosł ją na łóżko i przyciągnął do siebie, jak gdyby nic nie ważyła. W jego objęciach poczuła się jak w skorupie, jak w życiodajnym konie.

- Musimy wrócić - szepnęła.

Uściskał ją jeszcze mocniej.

- To nie to, co myślisz - wyszeptała, bo wiedziała, że chciałby wrócić pod ziemię i nigdy nie wracać na powierzchnię. - Nadszedł wreszcie czas odszukać Quenthel i jej drużynę.

- I powstrzymać ich? - zapytał, przy każdym słowie muskając oddechem jej szyję.

- Nie - odszepnęła.

- Śledzić ich? - powiedział w jej włosy, przyciskając rękę do jej pleców.

Halisstra przyłgnęła do wojownika, aż poczuła, że wtapia się w jego czarną jak noc skórę.

— Tak - potwierdziła. - Poprowadzą nas czy tego chcą, czy nie. Zaprowadzą nas do Lołth i skończymy z tym wszystkim.

Halisstra wiedziała, że zaczął się z nią kochać, bo nie chciał się nad tym zastanawiać, a ona pozwoliła mu na to, bo też nie chciała o tym myśleć.

Pharaun stał przy burcie okrętu chaosu, wpatrując się w pustą ciemność Jeziora Cieni, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. Valas i Danifae nie wrócili jeszcze z prowiantem, statek został nakarmiony wystarczającą ilością plugawców, kapitan uridczu siedział cicho i sprawiał wrażenie zastraszonego, a Aliisza nie dawała znaku życia.

Mistrz Sorcere jeszcze raz przywołał w myślach ich rozmowę i utwierdził się w przekonaniu, że alu-demon niczego mu nie zdradziła, ale sama też nie zdołała się niczego dowiedzieć. Odszukała go jednak i widziała okręt. Wiedziała, dokąd się wybierają i co zamierzają tam osiągnąć - ale każdy, kto był świadkiem upadku Ched Nasad, mógł się tego z łatwością domyślić.

Odepchnął od siebie myśli o demonie i popatrzył jeszcze uważniej w ciemność, choć nadal nic nie widział. Bez odwracania się wiedział, że Quenthel siedzi oparta o burtę i za pomocą telepatii rozmawia ze spętanymi magią impami, które obdarzały jej jadowity bicz nikczemną inteligencją. Nie miał pojęcia, o czym można rozmawiać z demonem uwięzionym w ciele węża przyrośniętego ogonem do trzonka bata.

O czymkolwiek rozmawiali, Quenthel wyraźnie nie wychodziło to na zdrowie. Z tego co widział, wysoka kapłanka powoli zaczynała odchodzić od zmysłów. Zawsze była ponura i po-rywcza, ale ostatnio stała się kłębkim nerwów.

Jej siostrzeniec półdemon im bardziej się nudził, w tym większą wściekłość wpadał. Jeggred posłał właśnie uridezu mordercze spojrzenie, wyladowując w ten sposób część nagromadzonej złości. Raashub udał, że tego nie widzi.

Coś przykuło uwagę Pharauna, jakiś ruch uchwycony kątem oka. Mag odsunął się od burty z kości i chrząstki, gdy wzdłuż niej, tuż przed nim, przemknął wycieńczony, przemoczony szczur.

Pharaun popatrzył za nim z roztargnieniem, zastanawiając się, dokąd mu tak spieszo.

Gdziekolwiek, byle było sucho, pomyślał.

Zza pleców usłyszał jakieś odgłosy — to Jeggred się wiercił.

Pharaun znów podszedł do burty i miał już wbić wzrok w nieprzeniknione ciemności, gdy obok niego przekradł się kolejny szczur.

- A niech to - szepnął pod nosem mistrz Sorcere.

Odwrócił się, żeby poskarżyć się Jeggredowi, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Szczurów było więcej niż te dwa, które go minęły. Były ich tuziny, może nawet setki, i wszystkie kłębiły się wokół Jeggreda.

Coś się święci, pomyślał Pharaun, zadziwiony tym, jak wolno pracuje jego umysł po tylu dniach monotonii na pokładzie zakotwiczonego okrętu.

Draegloth przede wszystkim wyglądał na zirytowanego. Szczury oblażyły go, wplątując mu się w sierść i wgrzyzając w każdy luźny fałd skóry, ale nie były w stanie jej przebić. Kolejne wspinały się na pokład. Pharaun słyszał plusk wody po drugiej stronie okrętu demonów. Brzmiał tak, jak gdyby podpływały do niego dziesiątki, a nawet setki gryzoni.

Pharaun zaczął rzucać na siebie zaklęcia ochronne, patrząc, jak Quenthel wreszcie podnosi głowę i spogląda na siostrzeńca.

Oczy mistrzyni Arach-Tinilith rozszerzyły się, a potem zwały na widok Jeggreda miażdżącego jednego szczura za dru-

gim parą większych ramion, podczas gdy mniejszymi zrzucił pozostałe z twarzy. Quenthel wstała powoli. Żmije przy jej biczu zwisały luźno, czule wokół jej nóg.

- Jegged? - zapytała.

- Szczury - mruknął w odpowiedzi półdemon.

Pharaun wciąż otaczał się magicznymi osłonami, gdy Quenthel ruszyła w stronę draeglotha.

- Raashub - powiedział Pharaun zimnym, opanowanym głosem.

Demon wzdrygnął się na dźwięk swojego imienia, ale nie podniósł oczu.

- Co robisz, Raashub? - zapytał Pharaun pomiędzy dwoma kolejnymi zaklęciami ochronnymi. - Przestań. Przestań natychmiast.

Demon podniósł na niego pałające oczy i wysyczał:

- To nie ja. To nie moje szczury.

Pharaun nie mógł pozbyć się wrażenia, że uridezu mówi prawdę - a przynajmniej część prawdy.

- Pharaun? - zapytała Quenthel i mag wyczuł nutkę, więcej niż nutkę, paniki w jej głosie. - Co tu robią te wszystkie...?

- Słuchajcie uważnie, oboje - powiedział Pharaun, jednocześnie przygotowując bardziej ofensywny czar. - Na pokładzie jest jeszcze jeden...

Quenthel otoczyła kula mroku.

Coś takiego potrafił każdy drow, ale nie tylko drow.

Z falującego obłoku czerni dobiegły ich charakterystyczne odgłosy walki. Coś uderzyło o pokład i rozległ się trzask.

Pharaun zmienił zdanie, zanim jeszcze zaczął rzucać czar, który miał na końcu języka. Zamiast niego wyskandował zaklęcie, które miało rozproszyć ciemność.

Z wnętrza chmury słyszał szcęk metalu uderzającego o metal - a może kości o kość?

Dokończył zaklęcie i ciemność rozviała się.

Widoczna nagle Quenthel leżała na brzuchu i drapiąc paznok-ciami kościany pokład przed sobą na próżno usiłowała dosięgnąć swój bicz będący tuż poza jej zasięgiem. Z nosa ciekła jej krew i wzdrygała się za każdym razem, gdy wygięła plecy.

Nad nią stał jeszcze jeden uridezu.

Demon, tak jak Raashub, był humanoidalnym szczurem. Mniejszy od Raashuba i chudszy, miał na sobie poszarpane szmaty, które niewiele osłaniały. Jego długi różowy ogon był upstrzony krostami. Zimne czarne oczy wpatrujące się w wysoką kapłankę pałały żądzą mordy. W kącikach najeżonego kła-mi pyska zebrała się piana, a patykowate, artretyczne palce kończyły się żółtawymi, zakrzywionymi pazurami.

- Jegged... - powiedział Pharaun, zerkając na draeglotha.

Półdemon był od stóp do głów pokryty wszelkich rodzajów i rozmiarów szczurami. Jak gdyby wszystkie gryzonie z Jeziora Cieni odbywały właśnie spotkanie rodzinne mające miejsce na, pod i wszędzie wokół draeglotha. Obłąziły go szybciej niż był w stanie zabijać, choć uśmiercał po cztery naraz.

Pharaun szybko przebiegł w myślach swoje zaklęcia, podchodząc kilka kroków w stronę Quenthel.

Uridezu wyrznął ją w plecy ogonem, wbijając jej twarz w twarde jak kość deski pokładu. Wysoka kapłanka stęknęła, z nosa pociekła jej krew.

Pharaun był pod wrażeniem. Coś kazało mu zrezygnować z wybranego przed chwilą zaklęcia.

Zbyt wiele, pomyślał, jak na jednego...

Mistrz Sorcere zerknął na Raashuba. Kapitan okrętu wodził wzrokiem od Quenthel do przybysza.

Sprawdza nas, pomyślał Pharaun. Podstępny drań sprowadził tu swojego pobratymca i nasłał go na nas, żebyśmy mogli się wykazać, ujawnić nasze mocne i słabe strony.

Raashub mógł być spętany, ale wciąż był demonem, a demon zawsze miał w sobie wolę walki - zawsze miał jakieś wyjście.

Drugi uridezu chlasnął szponami nogi Quenthel, otwierając w nich głębokie rany. Mistrzyni wierzgnęła, ale demon odskoczył poza zasięg jej butów. Choć wyciągała rękę nad głowę, nadal nie mogła dosięgnąć bicia. Żmije sprawiały wrażenie spaniakowanych i nie były w stanie skoordynować swoich ruchów na tyle, by podpełznąć do swojej pani.

Pharaun wymówił kilka rytmicznych sylab i wykonał szybki nich prawą ręką. Pchnięty magią żmijowy bicz przesunął się kilka cali po pokładzie i znalazł w zasięgu Quenthel.

Gdy palce wysokiej kapłanki zacisnęły się na trzonku bata, Pharaun zaśmiał się w duchu. Zaklęcie, którego użył, było zwykłą sztuczką, transmutacją tak prostą, że potrafił ją opanować każdy uczeń pierwszego roku Sorcere. W ten sposób nie zdradził Raashubowi, jaką mocą rozporządza w rzeczywistości.

Uridezu syknął na Quenthel i odsunął się od niej, machając nerwowo ogonem i poruszając niecierpliwie pazurami. Myślał chyba, że znajduje się już poza zasięgiem jej bata. Był w błędzie.

Pięć żmij przy biczu Quenthel miało pięć stóp długości, co dawało bronii niemały zasięg. Wysoka kapłanka, która wciąż leżała na pokładzie, nie zadała sobie trudu, żeby wstać. Z zacisniętą szczęką i furią w oczach machnęła biczem za siebie, a żmije wyciągnęły się na swoją pełną długość. Uridezu wzdrygnął się, ale wciąż był pewny, że stoi poza ich zasięgiem. Żmije rozciągnęły się jeszcze bardziej, wydłużając, robiąc się coraz cieńsze, dalej i dalej, zyskując w ten sposób kilka dodatkowych stóp długości.

Uridezu nie zauważył tego, co się dzieje, na tyle szybko, żeby przed nimi uciec. Wszystkie oprócz jednej zatopiły ostre jak igły kły w ciele szczurzego demona. Gdy kapłanka uniosła bicz, w błoniastej skórze uridezu zostały długie, krwawe bruzdy.

Demon wrzasnął, tak wysoko i głośno, że Pharaunowi zadzwoniło w uszach.

Każda inna istota byłaby już martwa. Każda zmija strzykała wyjątkowo silnym, śmiertcionośnym jadem. Quenthel, w szale bojowym, w jakim Pharaun nigdy jej sobie nie wyobrażał, a już na pewno nie widział, nie pozwoliłaby żmijom zatrzymać nawet kropli trucizny. Taka ilość powaliłaby nawet rothe.

Ofiara tego jadowitego ciosu nie była jednak tępym bydlęciem, lecz uridezu, a Pharaun badał demony na tyle długo, by znać ich właściwości. Trucizna nie miała na niego wpływu. Bicz zranił uridezu, ale nie zabił go. Pharaun wiedział, że jest w stanie znieść o wiele więcej. Nawet tak stosunkowo słaby demon jak uridezu - a szcurze pomioty nie należały do najpotężniejszych demonów — potrafił znieść ekstremalne temperatury i posiadał wrodzone magiczne zdolności takie jak przywołanie ciemności, w której uwięził Quenthel. Uridezu potrafiły też wezwać swoich kuzynów gryzonie, tak jak ten nasłał je na Jeggeda. Pharaun wiedział, że słyszał coś o ukąszeniu uridezu, ale nie potrafił sobie przypomnieć co. Oczywiście, jak w przypadku wszystkich tanar'ri, błyskawice przechodziły przez uridezu na wylot, nie czyniąc im krzywdy.

Pharaunowi przemknęło to przez myśl w chwili, gdy już sięgał po różdżkę rażącą gromami. Wiedząc, że jest bezużyteczna, mistrz Sorcere przesunął dłoń o cal i dobył innej różdżki.

Nie przejmując się tym, uridezu okręcił się i smagnął kapłankę ciężkim, poruszającym się błyskawicznie ogonem. Quenthel zasłoniła się puklerzem. Ogon uderzył ją z taką siłą, że Pharaun był pewny, że pęknie jej ramię, ale kapłanka zdołała odeprzeć cios.

Jednak uridezu doszedł do siebie szybciej niż Quenthel, cofnął ogon i wyrznął nim kapłankę w żebra.

Pharaun usłyszał, jak powietrze uszło jej z płuc. Zrobiła krok w bok, prawie się zataczając. Demon, z dzikim uśmiechem na twarzy, rzucił się na nią. Chciał ją jednocześnie ugryźć i sma-

gnać szponami. Pharaun wziął oddech, żeby wymówić słowo-rozkaz aktywujące różdżkę w chwili, w której demon zaatakował i dostał od Quenthel puklerzem prosto w pysk. Rozległo się głośne plaśnięcie i spomiędzy puklerza a nosa uridezu bryznęła krew. Demon zamachał łapami, a pięć żmij wybrało pięć najczulszych punktów na jego ciele, w których zatopiły kły. Uridezu zawył z bólu.

Cóż, pomyślał Pharaun, rezygnując z aktywacji różdżki, wygląda na to, że panuje nad...

Jego wzrok padł na Raashuba i czarodziej zawahał się. Spętany uridezu patrzył na niego, wodząc wzrokiem wzdłuż różdżki. Na jego twarzy wyraźnie malowało się oczekiwanie.

Pharaun popatrzył na różdżkę, a potem z powrotem na Raashuba. Ich spojrzenia spotkały się i Raashub uśmiechnął się do maga.

Odwzajemniając uśmiech, Pharaun wsunął różdżkę z powrotem do plecaka. Raashub dobrze ukrył rozczarowanie, znów koncentrując się na Quenthel i swoim krewniaku.

Pharaun postanowił pomóc Jeggredowi. Raashub i tak wiedział, do czego zdolny jest dracgloth, i jeśli magowi uda się pozbyć szcurów i pozwoli Jeggredowi przyjść z pomocą Quenthel, szybko poradzą sobie z drugim uridezu, a czarodziej nie będzie musiał wziąć bardziej aktywnego udziału w walce, ani ujawnić swojej mocy.

Pharaun szybko przygotowywał zaklęcie mające pomóc Jeggredowi, a tymczasem Quenthel zaatakowała. Wysoka kapłanka niespodziewanie, z ogromną siłą, obaliła fragment burty, chcąc przygwoździć nią uridezu. Demon, oślepiiony przez rozkwaszony nos, zdołał w ostatniej chwili uskoczyć. Burta zwała się na pokład i połamano. W powietrze poleciały fragmenty kości. Kilka z nich odbiło się od magicznych osłon wokół Pharauna, a kilka wbiło w dwa ze szcurów oblepiających Jeggreda.

Quenthel warknęła w przypiływie niepohamowanej wściekłości, co Pharaun uznał za niepokojące - podobne odgłosy nie licowały z godnościami mistrzyni Akademii.

W miejscach, w których burta uderzyła o pokład, tworzyły się kałuże krwi. Statek chaosu krwawił. Czarodziej nie był pewny czy będzie potrafił go naprawić, a każde dalsze uszkodzenie mogło opóźnić lub nawet uniemożliwić im podróż. Jednak Pharaun nie chciał mówić niczego na głos, a Quenthel nie patrzyła na niego, więc nie mógł dać jej znać na migi, żeby przestała demolować okręt.

Pharaun rzucił czar na szczury oblepiające Jeggreda. Było to proste zaklęcie, które wyczarowało stożek migoczącej, wielobarwnej energii Splotu. Pharaun ostrożnie przyłożył zaklęcie, tak że efekt musnął tylko bok pokrytego szczurami dra-egloth. Magia w żaden sposób nie wpłynęła na Jeggreda, ale spora część kłębiących się na nim szczurów spadła na pokład, gdzie leżały, drgając i wijąc się w stercie mokrych, puszystych ciał.

Jeggred ryknął, otrząsając się. Z jego śnieżnobiałej grzywy posypały się na pokład szczury, poląła krew i woda. Draegloth zmiażdżył cztery kolejne obmierzłe gryzonie - jednego każdą z dłoni - i rozdeptał trzy następne.

Pharaun zerknął na Raashuba i został nagrodzony spojrzeniem pełnym rozczarowania. Było to kolejne proste zaklęcie, którego mistrz Sorcere nauczył się, będąc jeszcze dzieckiem i Raashub wiedział o tym.

Pharaun odwrócił się znów do Jeggreda i zawołał:

— Zostaw szczury, Jeggred. Twoja pani ma kłopoty z demone.

Jeggred z rykiem zrzucił z siebie resztę martwych lub nieprzytomnych szczurów i skoczył na Raashuba, wznosząc wszystkie cztery ramiona, aby rozedrzyć uridezu na strzępy. Raashub skulił się, zasłaniając łapami i szarpiąc wiążące go pęta.

- Nie! - wrzasnęła Quenthel ochryłym, dzikim głosem. - Nie ten, do cholery! Zabij tego!

Szczurzy demon, wykorzystując chwilową dekoncentrację Quenthel, przyskoczył do niej i rozorał jej pazurami tułów, zostawiając głębokie bruzdy w zbroi i raniąc kapłankę do krwi. Quenthel skrzywiła się i zacisnęła z bólu zęby, ale odpowiedziała mu pięknym za nadobne, używając bicia. Oboje trochę chwiali się na nogach wśród zdradzieckich fragmentów kości ze strzaskanej burty i kałuży krwi rannego okrętu.

Jegged uniósł wargi, odsłaniając rząd potwornych kłów i rzucił się w wir walki.

Danifae miała wrażenie, że siedzi na posadzce domu portali już od bardzo długiego czasu. Zanim popadła w niewolę, nigdy nie pozwalała sobie na rozmyślanie nad swoim życiem. Dla branki istniało tylko kilka sposobów na przeżycie, a jednym z nich było przekonanie samej siebie, że zawsze się nią było.

Zanim wskutek najazdu wpadła w ręce domu Melarn, Danifae pobierała lekcje od maga domu Yauntyrr. Zinnirit był kompetentnym i drobiazgowym nauczycielem, i Danifae wiele się od niego nauczyła, zwłaszcza w dziedzinie teleportacji, trans-lokacji i podróży między wymiarami. Nie zaczęli jeszcze nauki sztuki tajemnej, gdy jej dom został pokonany, ale Zinnirit zdążył zaznajomić młodą córkę domu Yauntyrr z różnymi zaklętymi przedmiotami.

Danifae dotknęła pierścienia matki, czując, jak zimny metal rozgrzewa się w zetknięciu z jej skórą. Pierścień potrafił przeznaczyć ją drugą stronę Podmroku - ale tylko ją i jeszcze jedną osobę. Danifae miała plan, który wymagał czegoś więcej.

Jej wzrok zatrzymał się na nieruchomej dłoni martwego czarodzieja.

- Więcej pierścieni - wyszeptwała Danifae, a w kącikach jej ust zaigrał uśmiech.

Musiała sobie tylko przypomnieć, jak je aktywować.

Uridez zamachnął się właśnie ogonem na Quenthel, gdy Jeggred skoczył ku niemu. Draegloth chwycił ciężki ogon większymi ramionami. Gwałtowne szarpnięcie pozbawiło uridezu równowagi i demon runął jak długi na szczątki zniszczonej burty. Ostre odłamki kości wbiły się głęboko w krwawiące już ciało demona. W tej samej chwili wszystkie zmije Ouenthel wgrzyły się w jego czułe miejsca, puściły, a potem znów ukąsiły. Ciało demona wstrząsnęły fale bólu, uridez zakasłał, plując krwią i flegmą.

- Zobaczmy... wysapał demon. - Zobaczmy się w Otchłani... ty drowia suko!

- My? - zdziwił się Pharaun, zerkając na Raashuba, który przyglądał się starciu z żywym zainteresowaniem.

- Zabij go teraz, Jeggred - rozkazała Quenthel ochrypłym głosem, dysząc ciężko. - Zabij go, zanim wróci do siebie.

Oczy draeglotha błysnęły dziko, gdy przeciągnął pojedynczym szponem przez brzuch uridezu. Ostry jak sztylet pazur zniknął w ciele demona, zagłębiając się na sześć cali. Jeggred otworzył brzuch stwora wystarczająco głęboko, by na pokład okrętu wylała się z niego płatanina długich, żółtych jelit parujących gorącą krwią.

Demon wrzasnął. Jego krzyk odbił się nienaturalnym echem, a potem stopniowo cichł, w miarę jak uridezu rozplywał się w powietrzu. Wracał do Otchłani, póki jeszcze żył.

Pharaun musiał przyznać, że nie jest pewny jak długo może żyć demon po wypatroszeniu, ale więcej niż jeden ich rodzaj potrafił się całkowicie zregenerować nawet po odniesieniu tak ciężkich obrażeń.

Jednak gdy demon zaczął znikać, Jeggred szybko wyrwał mu pazur z trzewi i chwycił jego głowę w większe, silniejsze łapy. Draegloth przekręcił i pociągnął nią tak mocno, że Pharaun widział, jak na napiętych mięśniach występują mu żyły.

Rozległ się ohydny mokry odgłos, potem jeszcze ohydniejszego plaśnięcia i głowa uridezu została w rękach Jeggreda.

Reszta ciała demona znikła, ale łeb i wnętrzności zostały. Czarne ślepie patrzyły martwym wzrokiem. Trzewia demona powoli, ze skwierczeniem, wchłonął sam okręt. Czarodziej zauważył, że większość odłamków kości ze strzaskanej burty też znikło. Statek żywił się samym sobą, naprawiając szkodę kość po kości.

Jeggred, nie zważając na przydatne umiejętności regeneracyjne statku, wyrzucił łeb uridezu za burtę i odwrócił się do kapitana.

Raashub, który zdążył się już wycofać tak daleko, jak tylko pozwalały mu pęta, unióśł ręce w niemej prośbie i odwrócił wzrok.

Jeggred, z niskim pomrukiem narastającym w gardle, ruszył ku niemu, nie kryjąc zamiarów.

- Nie wiem, siostrzeńcze - powiedziała Quenthel, która powoli odzyskiwała głos i normalny oddech. Krwawiła, ale nie zwracała uwagi na swoje rany. - Muszę się jeszcze zastanowić.

Kapłanka spojrzała na jedną ze zmij kotłujących się na końcu jej biczu, jak gdyby słuchała, co mówi, i z pewnością tak

właśnie było, ale Pharaun wciąż nie znalazł sposobu podsłuchiwania ich rozmów.

- Zaczekaj - powiedział czarodziej, podchodząc bliżej, ale nie był aż tak głupi, żeby stanąć między Jeggrede i uridezu. - Obawiam się, że wciąż go potrzebujemy.

Jegged warknął, nie patrząc na Pharauna, ale zawahał się.

- Można się było tego spodziewać - stwierdził mag. - Oboje mieliście już do czynienia z demonami, prawda? Więc próbował nas zabić i mu się to nie udało.

Quenthel gwałtownie odwróciła głowę w jego stronę. Ten raptowny nich sprawił, że źmije przy jej biczu zadrżały, a potem także obróciły się w stronę czarodzieja.

- Nie masz nad nim władzy - powiedziała do Pharauna. - Jak powstrzymasz go przed powtórzeniem tego wybryku?

- To nie ja, pani — błagał Raashub ciekłym głosem ociekającym udawaną pokorą. - Nad Jeziorem Cieni mieszka wielu moich pobratymców.

Pharaun uniósł brew, słysząc to oczywiste kłamstwo, a potem zaczął rzucać zaklęcie.

- Pozwól mi zjeść jego nerki - warknął Jegged ze wzrokiem wciąż wbitym w uridezu. Może choć jedną.

Lekceważąc dracglotha Pharaun dokończył zaklęcie.

Raashub wrzasnął.

Krzyknął tak nagle i tak głośno, że nawet Jegged odsunął się do tyłu. Spętany uridezu wstrząsały fale dzikiego przerażenia. Raashub wyrzucił łapy w górę, orząc nimi powietrze, kwiląc, łkając i wrzeszcząc na przemian.

- Co mu robisz? - zapytał zdezorientowany Jegged.

- Pokazuję mu różne rzeczy — odparł Pharaun.

Spojrzał na Quenthel, która wyraźnie liczyła na bardziej szczegółowe wyjaśnienie.

- Nawet demony mówią koszmarny, mistrzyni - wytłumaczył mistrz Sorecre. - Moje zaklęcie sprawiło, że przeżywa wla-

śnie na jawie kilka z nich. Zapewniam was oboje, że nasz drogi przyjaciel Raashub nie zapomni tego szybko, a wie, że mogę znów to zrobić.

Jegged westchnął tak ciężko, że Pharaun poczuł jego smrodliwy oddech. Draegloth ruszył w stronę Raashuba.

- Jegged, stój - rozkazała Quentel.

Draegloth zawahał się, ale przystanął.

- Raashub wciąż jest nam potrzebny - powiedziała wysoka kapłanka, oglądając swoje obrażenia.

Jegged spojrział na nią, ale ona zignorowała go.

- Kto ci to powiedział? - mruknął cicho draegloth. Ten dandys? - wskazał głową Pharauna — czy węże?

Quentel zignorowała jego pytanie, ale Pharaun długo się nad nim zastanawiał.

Przypomnienie sobie ulubionych słów-rozkazów Zinnirita i dojście do tego, które z nich aktywuje który pierścień, zajęło Danifae więcej czasu niż by chciała. Potem zajęła się badaniem właściwości portali, które „odziedziczyła” po zmarłym magu domu Yauntyrr. Nie tylko całkowicie straciła rachubę czasu, studiując kolekcję zwojów i ksiąg Zinnirita poświęconych temu tematowi, zaglądając kilka razy do otwartych portali i lekceważąc wezwanie Valasa, ale wyczerpała swoją znajomość sztuki tajemnej. Danifae nie była czarodziejką, ale na szczęście nie musiała nią być, aby skorzystać z wielu właściwości domu portali.

Portali używano głównie do transportu - przerzucania kogoś lub czegoś w mgnieniu oka w miejsce odległe o setki, a nawet tysiące mil - ale mogły też służyć odnalezieniu kogoś. Choć silna psychiczna więź wynikająca z Więzów znikła, Danifae wciąż czuła pewien związek ze swoją byłą panią. Znała Halis-

strę lepiej niż ktokolwiek inny, nawet wysokie rangą kapłanki domu Melarn. Siostra Halisstry usiłowała ją zabić, a jej rodzicielka była zawsze uosobieniem wyniosłej, kontrolującej matki opiekunki. Danifae, choć w duchu gotowała się z nienawiści, służyła Halisstrze dobrze i wiernie w każdej minucie każdego dnia.

Ostatecznie wszystko, co musiała zrobić, to przypomnieć ją sobie. Musiała tylko wyobrazić sobie, jak Halisstra wygląda, zwizualizować ją i aktywować jeden z portali we właściwy sposób. Tak przynajmniej myślała.

Po kilku nieudanych próbach Danifae odsunęła się od portalu i zaczęła chodzić niespokojnie po komnacie, bawiąc się pierścieniem na palcu, potem następnym na drugiej dłoni, i...

Zatrzymała się i spojrzała na dłonie. Danifae odebrała martwemu czarodziejowi trzy pierścienie. Dwa z nich ukryła bezpiecznie w kieszeni. Na palcu miała pierścień, który Zinnirit stworzył dla jej matki, pierścień potrafiący przenieść ją z powrotem do domu portali, gdziekolwiek się znajdowała, ale nosiłajeszcze jeden pierścień - pierścień, o którym prawie zapomniała. Należał do Rylda Argitha, fehmistrza z Menzobcrranzan, który, podobnie jak dawna pani Danifae, odłączył się od wyprawy.

Ryld i Halisstra spędzali ze sobą sporo czasu. Danifae podejrzewała, że nawet w jaskini, gdzie Pharaun przywołał demona Belshazu, Ryld wymknął się, aby dołączyć do Halisstry. Gdyby tak było, mogła użyć pierścienia jako kondensatora.

Dopiero po kilku następnych nieudanych próbach Danifae wreszcie odnalazła swoją panią. Była branka, podobnie jak Men-zoberranzańczycy, była przekonana, że Halisstra wyruszyła do Miasta Pająków, aby zdać raport z ich postępów (bądź ich braku) i Danifae przez większość czasu szukała jej właśnie tam. Wiele godzin później Danifae odkryła, że Halisstry nie ma nawet w Podmroku, lecz przebywa w dziwnym krajobrazie Świata Ponad.

Danifae podejrzewała, że Halisstra jest bliska całkowitego odwrócenia się od Lolth. Wszyscy widzieli jej reakcję na chaotyczną pustkę Pajęczych Otchłani.

Choć Danifae widziała spustoszony plan na własne oczy, była kapłanką Lolth, kiedy jeszcze wiodła wolne życie w Eryndynie i od tamtej pory służyła bogini wierniej, i bardziej szczerze niż kiedykolwiek służyła domowi Melarn, więc jej wiara pozostała silna. Może ostrożniejsza, pełna zaciekania, ale silna. Danifae nie pozwoliłaby sobie na poddawanie w wątpliwość woli bogini, a stosunek Halisstry do Pajęczej Królowej nie był jej zmartwieniem. Danifae w razie konieczności potrafiła z łatwością odsunąć religię na bok, ale nie potrafiła zrezygnować z zemsty. Halisstra Melarn musiała umrzeć i to nie z powodu Lolth. Dla Danifae był to prosty imperatyw.

Pewna na tyle, na ile tylko mogła być pewna, że portal prowadzi do miejsca w Świecie Ponad, gdzie przebywają Halisstra i Ryld, Danifae wkroczyła do środka. Poczuli się tak, jak gdyby jednocześnie odwrócono ją do góry nogami i przewrócono na lewą stronę, choć nie czuła bólu, tylko tępe, pulsujące zawroty głowy, a potem była już na miejscu.

Była noc i Danifae dziękowała za to Lolth. Jej oczy i tak musiały się oswoić z jasnym blaskiem gwiazd odbijającym się od białego śniegu, ale nie została całkowicie oślepiona. Zmaterializowała się przed zrujnowaną budowlą zupełnie cicho, bez fanfar — błysków i gromów - które często towarzyszyły magii wtajemniczeń. Budynek był porośnięty roślinnością. W środku nie paliło się żadne światło ani ogień.

Danifae ciasno owinęła *ramiona piwafwi*, chroniąc się przed kąsającym mrozem. Najciszej jak potrafiła podeszła do wejścia. Z każdą chwilą widziała coraz lepiej i gdy dotarła do ruiny, całkiem dobrze widziała jej wnętrze. W środku Halisstra siedziała oparta plecami o Rylda. Oboje byli pogrążeni w Za-

dumie, a ich pozycja powiedziała Danifae wszystko, co potrzebowała wiedzieć o łączącej ich zażyłości.

Była branka czuła dla Halisstry coraz większy szacunek, ale i coraz większą pogardę. Halisstrze udało się przechytryć Quenthel i pozostałych, uwieść niezłomnego fechmistrza - rzecz godna podziwu, nawet w przypadku kogoś od kolebki szkolonego w sztuce manipulacji i oszustwa - i urządzić sobie przytulne gniazdko w mroźnym, pełnym zwierząt lesie, co stanowiło dziwaczny i niegodny akt zdrady wobec natury mrocznego elfa.

Danifae wzięła głęboki oddech i wydała z siebie cichy, chrapliwy gwizd. Halisstra w mgnieniu oka otrząsnęła się z Zadumy i spojrzała na nią. Pierwsza córka domu Melarn ustaliła wiele lat temu, że gwizd ten będzie ich sygnałem i obie wielokrotnie z niego korzystały.

Halisstra uniosła jeden kącik ust w półuśmiechu. Wskazała spojrzeniem Rylda, a Danifae potrząsnęła głową.

Halisstra wstała powoli i ostrożnie, starając się nie obudzić Rylda.

- Wszystko w porządku? - wyszeptał fechmistrz, nie otwierając oczu.

- Nic mi nie jest. Zaraz wrócę- odpowiedziała Halisstra również szeptem.

Ryld kiwnął głową i powrócił do medytacji, a Halisstra wysliznęła się ze zrujnowanego budynku. Pewna, że Ryld jej nie widział, Danifae ruszyła przodem, czekając, aż Halisstra da znać, że uszły już wystarczająco daleko. Zatrzymały się i stanęły twarzą w twarz, po raz pierwszy jako dwie wolne drowki.

Więzy? pokazała na migi Halisstra.

Usunięte przez Quenthel... tak naprawdę Pharauna, ale z jej rozkazu. Znaleźliśmy statek chaosu, który pozwoli nam wrócić do Otchłani.

Halisstra wciągnęła powietrze w płuca.

Rozumiem dlaczego uciekłaś.

Nie uciekłam, odparła Danifae. Zostałam wysłana razem z mistrzem Hune po prowiant na naszą przeklętą wycieczkę.

Za ile wyruszasz? zapytała Halisstra.

Za kilka dni, odpowiedziała Danifae.

Dlaczego mi to mówisz? zapytała Halisstra. *Jesteś teraz wolna. Wracaj do Eryndlynu, jeśli masz dość śmiałości albo ruszaj dalej z Menzoberranzańczykami ku nieuchronnej śmierci. Rób co chcesz, ale nie musisz już prosić mnie o pozwolenie.*

Służyłam tobie, odparła Danifae, *a teraz służę Quenthel. Nie jestem wcale tak wolna, jak mogłabyś myśleć.*

Zapadło krótkie milczenie, w trakcie którego obie przyglądały się sobie w ciemności. Danifae czuła, jak daleko Halisstra zboczyła ze ścieżki Lolth, ale Halisstra sama potwierdziła jej podejrzenia kilka sekund później.

Teraz służę Eilistraee, Danifae. Nie będę już miała niewolników.

Danifae udała, że przez chwilę zastanawia się nad tym, co usłyszała. W rzeczywistości kręciło jej się w głowie. Ogrom zdrady jej dawnej pani przekraczał jej wcześniejsze wyobrażenia. Danifae nie mogła uwierzyć, że pozwoliła wziąć się w niewolę tak słabej pani - pani, która odwróciła się od całej swojej kultury przy pierwszej prowokacji, pierwszej oznace słabości. To właśnie ta myśl wyrwała Danifae z oszołomienia. Halisstra musiała uznać Milczenie Lolth za oznakę słabości i skorzystała z tej okazji, żeby uciec, tak samo jak Danifae uznała wątpliwości Halisstry za oznakę słabości i wykorzystała tę okazję do tego samego. Ale czy którakolwiek kapłanka mogła próbować uciec ze służby Lolth?

Podoba mi się to, co mówisz, przekazała na migi Danifae, *ale wszyscy jesteście niewolnikami, prędkiej czy później.*

Nie musimy nimi być, odparła natychmiast Halisstra.

Danifae zamrugwała, zaskoczona tym, jak bezkompromisowa i jak nieostrożna stała się jej dawna pani.

Loth nie wróci, prawda? zapytała Danifae.

Nie wiem, odrzekła Halisstra, ale nie wygląda to dobrze.

Jeśli zginę, służąc jej, dokąd pójdzie moja dusza? W Pajęcznych Otchłaniach nie było żadnych dusz drowów ani żadnego przejścia za zapieczętowanymi drzwiami. Gdzie się podziały te wszystkie dusze?

Halisstra spojrzała na swoją byłą służącą ze zranionym wyrazem twarzy, od którego Danifae dostała gęsiej skórki.

Co zamierzasz? zapytała Danifae.

To ty odnalazłaś mnie, odparła jej dawna pani. Powiedz, jakie ty masz plany? Szpiegowanie mnie z rozkazu tej fORMALISTKI Baenre?

Nie, odparła ostro Danifae. Oddaliłam się ukradkiem od Va-lasa w Sschindylrynie. Tylko tam mogłam znaleźć portal i ciebie, nie ufam Menzoberranzańczykom.

Dlaczego miałabyś im ufać? odpowiedziała pytaniem Halisstra, przyglądając się uważnie dawnej służce.

Co robi tutaj fechmistrz? zapytała Danifae.

Reakcja Halisstry upewniła ją, że stosunki między nią a fechmistrzem przybrały zadziwiający obrót. Światło i powietrze Świata Ponad musiały mieć na Halisstrę nieprzewidziany wpływ. Danifae zachodziła w głowę, jak coś takiego jest możliwe.

Siedzisz w Zadumie plecami do niego? zapytała Danifae.

Halisstra wyprostowała się, próbując przybrać władcą postawę. Danifae nie miała jednak ochoty odgrywać branki.

Zamiast wpaść we wściekłość, Halisstra po prostu się odprężyła.

Czy siedzisz tak samo z Quenthel? zapytała Halisstra.

Danifae udała w przekonujący sposób, że pytanie wprawilo ją w zakłopotanie. Jej zażyłość z Quenthel nie wynikała z jakiegoś obcego jej naturze uczucia jak miłość czy współczucie,

ale z faktu, że Quenthel mogła jej pomóc. Quenthel z kolei używała Danifae dla osiągnięcia przyjemności fizycznej i jako po-pychadło. Było to całkowicie naturalne. Jednak zażyłość Halis-stry z Ryldem Argithem wydawała się mieć zupełnie inny charakter i Danifae miała zamiar to wykorzystać.

Mówiłaś, że Quenthel wraca z pozostałymi do Otchlani, powiedziała Halisstra, zmieniając temat. Dlaczego? Dlaczego tam? Po co to wszystko?

Danifae mogła podać jej kilka powodów, ale niektóre były dla niej wciąż niejasne.

Mogę wszystko wytłumaczyć, skłamała, ale muszę wrócić do Sschindylyrynu. Valas zacznie coś podejrzewać, a potem wyruszy beze mnie. Muszę wracać do Podmroku, a potem nad Jezioro Cieni. Skontaktuję się z tobajeszcze.

Halisstra obrzuciła ją badawczym spojrzeniem od stóp do głów.

- Będę czekać - wyszeptła Danifae do ucha.

Danifae kiwnęła głową, ukłoniła się lekko pierwszej córce domu Melarn i dołożyła wszelkich starań, by na jej twarzy odmalowała się pełnia przyjaznych, siostrzanych uczuć.

Kiedy Halisstra zniknęła w ciemnym lesie, Danifae rzuciła za nią na migi:

Spotkamy się bardzo niedługo, Halisstro Melarn. Szybciej, niż myślisz.

Danifae dotknęła pierścienia, który zabrała konającemu Zin-niritowi i kilka sekund przedziwnych odczuć później wróciła do domu portali.

Doskonale, pomyślała Danifae. Poszło mi doskonale.

11

Valas kupił chyba więcej prowiantu niż powinien - trzy wielkie worki mieszczące więcej niż wydawałoby się możliwe, sądząc po ich rozmiarach i wadze. Nic potrafił jednak oprzeć się wrażeniu, że nie będzie ich dłużej, niż obliczył Pharaun. Nikt nie przypuszczał, opuszczając Menzoberranzan, że ta podróż będzie trwała tyle czasu.

Siedział przy małym stoliku w kawiarnianym ogródku w centrum miasta-zigurratu, czekając na Danifae. Branka widać nie żartowała, kiedy ostrzegła, że zlekceważy jego wezwanie. Valasowi nie spieszyło się nad Jezioro Cieni, ale spieszno mu było opuścić miasto. Mroczne elfy w Sschindyl-rynie oglądały się przez ramię. Atmosfera była gorąca, a poślednie rasy miały niebezpieczny błysk w oku. Nastroje panu-

jące w mieście nie były tak złe jak w Ched Nasad, ale zwiadowca widział, że wszystko zmierza w podobnym kierunku i to raczej prędzej niż później.

- Czekasz na mnie? - zapytała Danifae.

Valas odwrócił się, zaskoczony, że stoi tuż za nim. Nie zauważył jej.

- Ach, te miasta... - westchnął zwiadowca.

Wstał i zaczął szybko zbierać bagaże.

-Aż tak nam się spieszy? - zapytała Danifae i usiadła na krześle naprzeciw zwiadowcy.

Popatrzyła na niego z jedną ręką uniesioną i szerokim, promiennym uśmiechem na twarzy. Wyglądała jakoś inaczej. Valas nie potrafił oderwać od niej oczu.

- W Krainach Powierzchni - powiedziała Danifae - gentle mani mają w zwyczaju kupować damom drinki. Tak przynajmniej słyszałam.

Valas potrząsnął głową, ale nie był w stanie oderwać wzroku od elfki.

Krzesło, na którym siedział, zaczęło powoli sunąć w jej stronę. Ciągnęła je stopą pod stołem.

- Zamów dla nas butelkę wina z alg - zamruczała.

Valas odwrócił się, żeby zamówić wino, ale powstrzymał się.

- Powinniśmy wracać - rzekł. - Pozostali czekają na nas.

- Niech czekają.

Valas wziął głęboki oddech i zarzucił sobie sakwy na ramię.

- Mistrzynie Quenthel będzie niezadowolona - powiedział, choć akurat tym nie przejmował się zbytnio - chciał już po prostu ruszać w drogę.

- Niech sobie będzie - odparowała Danifae, wciąż się uśmiechając, ale jej spojrzenie zrobiło się chłodniejsze. - Mam ochotę na wakacje.

- Jej dom mi płaci - powiedział najemnik, wciąż stojąc.

Danifae spojrzała na niego i Valasowi ciarki przebiegły po plecach. Czuł się tak, jak gdyby obdzierała go wzrokiem ze skóry i zaglądała do środka.

Wstała powoli, a Valas obserwował każdy najdrobniejszy ruch, który składał się na całość. Wyciągnęła rękę.

- Poniosę jedną- powiedziała.

Valas nie podał jej torby.

Cokolwiek zmieniło się w Danifae, Valas rozpaczliwie próbował się przed tym obronić.

U drowów, podobnie jak u innych rozumnych ras nad i pod powierzchnią Faerunu, każdy osobnik posiadał zbiór zdolności i talentów, indywidualnych cech służących w jakiś sposób ogółowi, nawet jeśli tylko jako źródło irytacji. W Menzoberranzan talent był czymś, co identyfikowano wcześniej, a umiejętności były towarem, którym handlowano na wolnym rynku i przekazywano młodemu wyłącznie z dużą ostrożnością i oszczędnością. Indywidualizm akceptowano tylko w określonych granicach i rzadko, jeśli w ogóle u samców gatunku.

- Jest liczem - powiedział mistrz Sorcere więc jego dotyk paraliżuje.

Było kilka miejsc, w których mężczyźni mieli przewagę, a jednym z nich były sale Sorcere. To kobiety sprawowały władzę i kiedy wszystko było w jak najlepszym porządku, rozmawiały z Lolth, ale to mężczyźni mieli łączność ze Splotem. Oczywiście nie wszyscy czarodzieje byli płci męskiej... tylko ci najlepsi, a palce maczał w tym sam Gromph Baenre, arcymag Menzoberranzan. Na nim, bądź co bądź, spoczywała odpowiedzialność za wyłapanie młodych talentów i to on miał prawo wybrać tych, którzy będą studiować w Sorcere. To jego kaprys decydował o tym czy w ogóle zakończą obrany kierunek. Fakt,

że większość czarodziejów w Menzoberranzan była płci męskiej, nie był żadnym zbiegiem okoliczności, żadnym przypadkiem statystycznym, ale przemyślanym i czasem mało subtelnym posunięciem w wielkiej rozgrywce savy Miasta Pająków. Jednak to, że większość drowek i tak wolała służyć Lolth, czynił manipulację jeszcze prostszą.

- Będzie rozsiewał wokół siebie aurę strachu - ciągnął mistrz Sorcere - ale raczej nie będzie to miało na ciebie wpływu.

Kiedy nie było żadnych wątpliwości co do tego, że to kapłanki sprawują i zawsze będą sprawować władzę nad miastem, zwierzchnictwo Grompha nad Sztuką było po prostu drobnym pocieszeniem - czymś, co stanowiło dla niego pokrzepienie w chwilach samotności. Gdy Lolth zamilkła, wycofała się, a kapłanki zaczęły szukać na oślep odpowiedzi, pogrążone w chaosie, jaki mogła wywołać tylko demoniczna bogini... cóż, sytuacja uległa zmianie.

- Jeden raz w każdym dwudziestoczęterogodzinnym cyklu - powiedział mistrz Sorcere - potrafi zabić dotykami.

W zmianie u władzy najdziwniejsze było dla Grompha to, jak bardzo mu się to nie podoba. Koniec końców, przez całe życie manipulował systemem tak, by jak najlepiej służył interesom jego domu i jego samemu. Kiedy system zaczął się chwiać, miał możliwość obalenia swojej siostry oraz pozostałych matek opiekunek i przejęcia kontroli nad Menzoberranzan - ale po co? Co mógł zyskać? Czy mógł mieć lepszą pozycję? Czerpał wszelkie możliwe korzyści, jakie dawała mu pozycja w domu Baenre i w Sorcere, ale zawsze miał kogoś, na kogo mógł zrzucić odpowiedzialność, zawsze był ktoś, kim mógł manipulować.

- Jest kilka zaklęć, które nie mają się liczyć - rzekł mistrz. - Należą do nich zimno, błyskawica, trucizna, paraliż, choroba, nekromancja, polimorfizacja oraz czary, które wpływają na umysł. Najlepiej wcale nie przygotowywać tego typu zaklęć.

Gromph był trzecim najpotężniejszym mrocznym elfem w Men-zoberranzan i niech Lolth będzie przeklęta, podobało mu się to.

- Prawdopodobnie będzie miał na sobie szatę z czarnego je dwabiu - kontynuował mistrz Sorcere - która pozwala mu wy czarować barierę wirujących ostrz.

Mógłby chcieć zostać drugim, ale i tak...

- Korona - skończył mistrz Sorcere —jest czymś więcej niż prostacką ozdobą. Potrafi przechowywać i odbijać ofensywne zaklęcia.

Tak więc Gromph Baenre siedział na podłodze bardzo małej, bardzo ciemnej i bardzo tajnej komnaty w samym sercu Sorcere, otoczony kręgiem najpotężniejszych magów w mieście -wśród najpotężniejszych czarodziejów w całym Podmroku. Pozostali magowie, co do jednego mistrzowie Sorcere, szeptali lub skandowali zaklęcia, gestykulowali, wyrzucali w powietrze albo ściskali między palcami przeróżne przedmioty, totemy, kondensatory i komponenty. Obsypywali arcymaga magią ochronną w takim tempie, że nawet nic przerywali sobie, żeby powiedzieć mu, co na niego rzucają. Gromph nie wątpił, że kiedy skończą, będzie odporny na wszystko. Nikt nie będzie w stanie zrobić mu krzywdy - nikt oprócz czarodzieja potężniejszego od mistrzów.

I właśnie takiemu przeciwnikowi Gromph miał zamiar stawić czoło.

- Powiniennem ci towarzyszyć, arcymagu - powiedział Na-uzhror Baenre głosem zdradzającym brak szczerej chęci w tym względzie.

- Jeśli którykolwiek z was powtórzy to jeszcze raz...

Nie dokończył groźby. Nic by nie zrobił i wszyscy o rym wiedzieli, ale z szacunku dla arcymaga żaden z nich nie ponowił już podobnej propozycji. Wszyscy byli na tyle inteligentni, by wiedzieć, że Gromph ma zamiar zmierzyć się z najpotężniejszą istotą Menzoberranzan. Liczdrow był magiem o nadzwyczaj-

nej, czasem wręcz niemal boskiej mocy. Było jasne, że tak naprawdę nie mają ochoty zmierzyć się z nim w taki sposób jak Gromph: twarzą w twarz w pojedynku na zaklęcia, który z pewnością zapisze się w historii drowów.

Tylko arcymag mógł wziąć udział w pojedynku. W Menzo-berranzan do tego się to sprowadziło: elf przeciw elfowi, mag przeciw magowi, pierwszy dom przeciw drugiemu, ustalony porządek przeciw rewolucji, stabilność przeciw zmianie, cywilizacja przeciw... chaosowi?

Właśnie, pomyślał Gromph - choć nigdy nie wypowiedziałby tego na głos. Porządek przeciw chaosowi, i to Gromph walczył po stronie porządku, po stronie prawa, w imieniu jednego z najczystszych ucieleśnień chaosu w multiwersum: Lolth, bogini o sercu demona.

- Dziwnie się życie układa — mruknął na głos arcymag

- W rzeczy samej, arcymagu - przytaknął Nauzhror, jak gdyby czytał Gromphowi w myślach - i może tak właśnie było. -Bardzo dziwnie.

Obaj czarodzieje wymienili uśmiechy, a potem Gromph zamknął oczy i pozwolił pozostałym kontynuować rzucanie czarów. Zaklęcia ochronne i ewentualności służyły na niego jedno za drugim. Czasem odczuwał mrowienie, ciepło, chłodny powiew albo wibracje, a czasem nie czuł zupełnie nic.

- Czy zdecydowałeś gdzie się z nim zmierzysz? - zapytał Gren-dan w krótkiej przerwie pomiędzy rzucaniem ochronnych zaklęć.

Gromph pokręcił głową.

- Gdzieś za miastem? - podsunął Nauzhror. - Na tyłach du-ergarów?

Gromph znów pokręcił głową.

- Pozwól nam przynajmniej - nie dawał za wygraną Nauzhror - wysłać strażników, którzy zabezpieczą teren... gdziekolwiek to będzie... zanim się tam zjawisz. Mogą pozostać w ukryciu i ujawnić się w razie konieczności.

- Nie - powiedział Gromph. - Powiedziałem, że pójde sam i pójde sam.

- Ależ arcymagu... - chciał zaprotestować Nauzhror.

- Jak właściwie strażnicy mieliby mi pomóc w walce z licz-drowem Dyrrem? - zapytał Gromph. - Zmieniłby ich w tytoń do fajki, co sam zamierzam uczynić z każdym żołnierzem, którego Dyrri weźmie ze sobą. Dyrri zmierzy się ze mną na moich warunkach, bo musi. Musi mnie pokonać i musi to zrobić na oczach całego Menzoberranzan. Jeśli mu się to nie uda, zawsze będzie tylko tym drugim, nawet jeśli zdoła pokonać dom Baenre.

Mistrzowie wciąż rzucali zaklęcia i tylko Nauzhror i Gren-dan wciąż zastanawiali się nad niemagicznymi aspektami zbliżającego się pojedynku.

- W takim razie Donigarten - zaproponował Grendan.

- Nie - powiedział Gromph i urwał, drżąc pod wpływem kolejnego zaklęcia. - Nic.

Podniósł wzrok na Nauzhrora, który uniósł brew, czekając.

- Myślę o Rozpadlinie Szpona - powiedział Gromph, pod-jawszy decyzję sekundę wcześniej.

- Doskonały wybór, arcymagu - orzekł Nauzhror. - Z dała od cennych budynków i najlepszych wojowników Menzoberranzan, których musimy oszczędzać.

Do komnaty wszedł młodszy uczeń, który szybko położył małą kryształową kulę na niskim złotym stojaku przed arcyma-giem. Gromph nawet nie skinął mu głową, zresztą student od razu wybiegł z pomieszczenia.

Arcymag zajął się głęboko w kryształową kulę, unosząc rękę, aby powstrzymać kanonadę ochronnych zaklęć. Kryształ zamgliał się, a potem wśród obłoków kłębiących się wewnątrz jeszcze przed chwilą idealnie przezroczystej kuli pojawiły się świetlne błyski.

Gromph zwiualizował sobie w myślach liczdrowa, a potem postarał się przekazać ten obraz kuli. Wiedział, że kula znaj-

dzie Dyrra, pod warunkiem że ten nie doloży szczególnych starań, aby tego uniknąć.

Gromph opuścił rękę i kilku ambitniejszych mistrzów znów zaczęło rzucać zaklęcia - mamrotać inkantacje i kreślić w powietrzu niewidoczne wzory - jak gdyby przez cały czas tylko na to czekali.

Jesteś, pomyślał Gromph, gdy w kryształowej kuli uformował się obraz liczdrowa idącego pewnym krokiem przez salę audiencyjnądomu Agrach Dyr. Tu jesteś.

Gromph rozpoznał komnatę. Był w niej kilka razy, zanim wszystko zaczęło się sypać, a domy Agrach Dyr i Baenre były bliskimi sojusznikami i partnerami handlowymi. Skupił uwagę na liczu. Patrząc, jak wydaje rozkazy strażnikom i innym zbrojnym, arcymag rzucił zaklęcie.

- Dobry wieczór, Dyrze - zwrócił się do obrazu w kryształowej kuli. - Będę w Rozpadlinie Szpona. Wiem, że nie muszę ci mówić, żebyś stawił się sam. Wiem, że zawsze jesteś gotowy.

Gromph nie czekał na odpowiedź. Skinął na swoich mistrzów i zamknął oczy.

- Będziemy was obserwować, arcymagu - zapewnił Gren-dan - i będziemy w stałym kontakcie.

- Byłoby nieodpowiedzialnością z mojej strony - odezwał się Nauzhror - gdybym nie zapytał jeszcze raz, czy nie mógłbym zająć twojego miejsca...

- Byłoby nieodpowiedzialnością z mojej strony, gdybym chciał się za plecami własnych uczniów. Poza tym, kuzynie, byłeś przez krótki czas arcymagiem i podobno bardzo ci się to podobało.

- To prawda, arcymagu - przyznał Nauzhror - i to bardzo.

- Jeśli chcesz żyć na tyle długo, by znów nim zostać, zaczekasz na mnie tutaj.

Liczdrow Dyrr odprawił straż i przez międzywymiarowe drzwi udał się do salonu. Tam znalazł Yasraenę i Nimora, którzy bardzo starali się nie rozmawiać ze sobą. Oboje odczuli ulgę, gdy Licz wkroczył do komnaty.

- Czy to już czas? — zapytał Nimor.

Yasraena wzięła głęboki oddech i wstrzymała go, ze wzrokiem wbitym w Licz.

- Czeka na mnie w Rozpadlinie Szpona - odparł Dyrr, Matka opiekunka powoli wypuściła powietrze z płuc, a Nimor kiwnął głową.

Miejsce dobre jak każde inne - stwierdził skrytobójca. Dziura w ziemi... nie ma sensu psuć towaru, za którego zdobycie tak słono płacimy.

- Jeśli przez „towar” - syknęła Yasraena - rozumiesz Menzoberranzan Potężne, ty...

- Yasraeno - przerwał jej Dyrr lodowatym głosem.

Matka opiekunka zacisnęła zęby i odwróciła się od Nimora, który stłumił śmiech.

- Jestem gotowy, jak zawsze - oznajmił Dyrr i wyruszą natychmiast.

Yasraena odwróciła się do Nimora i powiedziała:

- Idź z nim.

Skrytobójca uniósł brew, a gdyby Dyrr miał w żyłach choć kroplę krwi, z pewnością by zawrzała.

- Chyba nie chcesz przez to powiedzieć - zwrócił się do Yasraeny że nie zdołam pokonać go sam? Chyba nic martwisz się... o moje bezpieczeństwo.

Wbił wzrok w oczy młodej matki opiekunki i nie spuszczał go, dopóki nie poszarzała na twarzy, nie zamrugała i nie odwróciła głowy.

- Wiesz, że dom Agrach Dyrr pokłada w tobie całą nadzieję - powiedziała cichym, wymuszonym głosem. Spojrzała na Nimora i obrzuciła go spojrzeniem od stóp do głów. - Ale to nie

czas na osobiste porachunki. Sprzymierzyliśmy się z tym...
czymś. Dlaczego nie użyć jego?

Nimor uśmiechnął się. Jego grymas przywiódł Dyrrowi na myśl mięsożerne jaszczury zamieszkujące dzikie obszary Pod-mroku.

- Nie wiedziałabyś nawet, jak się do tego zabrać - rzekł skrytobójca.

Dyrr wzruszył tylko ramionami, ignorując tę pozbawioną znaczenia wymianę zdań. Zaczął rzucać na siebie serię zaklęć ochronnych, przez kilka następnych minut lekceważąc męczące przepychanki słowne Yasraeny i Nimora. Gdy rzucił na siebie zaklęcie, które pozwalało mu widzieć to, co niewidzialne, zamrugał. Nimor wyglądał inaczej, ale w sposób, który wydawał się absurdalny, wręcz niemożliwy. Skrytobójca nie był dro-wem, czego Dyrr domyślał się od pewnego czasu, ale liczył po raz pierwszy zauważył coś, co mogło być skrzydłami.

Liczdrow odłożył tę kwestię na później, przechodząc do serii starannie przygotowanych zaklęć ewentualności. W końcu sam też nie był już do końca elfem. Jeśli Nimor był czymś innym niż drow, niech tak będzie - tak długo, jak był użyteczny.

Coś, co powiedziała Yasraena, sprawiło, że Dyrr przerwał w połowie inkantację.

- Czy dom Agrach Dyrr zostanie ewakuowany z Menzoberanzan - zapytała Nimora -jeśli sprawy nie pójdą po myśli liczdrowa?

Dyrr uderzył ją. Policzek rozległ się echem w spartańsko urządzonym salonie, a Yasreana upadła niezgrabnie na posadzkę przykrytą dywanem ze skóry worga. Licz odebrał jej uderzeniem część siły życiowej - odrobinę, ale to wystarczyło, by poszarzała i straciła na chwilę oddech. Patrzyła na niego z podłogi wielkimi, przerażonymi oczyma.

Matka opiekunka, dobre sobie, pomyślał Dyrr.

Nimor nie poruszył się i udawał, że niczego nie zauważył. Wreszcie spojrział na Yasraenę, która powoli podnosiła się z ziemi.

- Jeśli liczdrow pozwoli - rzekł skrytobójca - chciałbym odpowiedzieć na to pytanie.

Zimny błysk w oku Nimora przekonał Dyrra, że zabójca udzieli właściwej odpowiedzi. Liczdrow kiwnął głową.

- Dom Agrach Dyr - powiedział Nimor do Yasraeny, która zdołała wstać, choć trzęsły się jej kolana-przeżyje lub zginie w Menzoberranzan.

Yasraena kiwnęła głową, rozcierając twarz drżącymi dłońmi.

- Dokładnie, przyjacielu - przytaknął Nimorowi Dyrz zupełnie tak jak ty.

Nimor ruszył w jego stronę, prostując się groźnie. Liczdrowowi nigdy nie przeszłoby przez myśl, żeby się cofnąć i nie zrobił tego.

- Skoro uważasz, że wkrótce polegniesz - powiedział do Dyrza Nimor - uratuję cię.

W tej chwili Dyr miał ochotę zabić Nimora Imphraezla, ale nie zrobił tego. Zamiast tego roześmiał się. Wciąż się śmiał, gdy teleportował się z salonu.

Rozpadlina Szpona, naturalna wyrwa w skalnym podłożu, wcinała się w północną część Menzoberranzan na wschód od Tier Breche. Gromph stał na samym jej skraju, spoglądając w dół, w mrok. Nawet jego nowe, znacznie młodsze oczy, nie potrafiły dojrzeć jej dna. Za plecami miał Sorcere. Przed sobą, po drugiej stronie szerokiej szczeliny miał Miasto Pająków. Stalagmity i stalaktyty przerobione na domy i przybytki publiczne żarzyły się ogniem faerie. Widział dom Baenre po drugiej stronie jaskini i pojawiające się od czasu do czasu rozbłyski światła oznaczające przeciągające się oblężenie domu Agrach Dyr.

Liczdrow pojawił się w powietrzu nad głęboką na milę roz-padliną zawisł tam, w odległości kilkunastu jardów od Grom-pha. Zmaterializował się twarzą do niego, jak gdyby dokładnie wiedział, gdzie będzie stał arcymag.

-A, młody przyjacielu - zawołał liczdrow, a jego głos poniósł się nad dzielącą ich przestrzenią i odbił echem w skalnej rozpadlinie - tu jesteś.

- Zgodnie z obietnicą - odparł Gromph, przygotowując w myślach kilka zaklęć.

- Więc na to nam przyszło? - zapytał Dyr.

- My dwaj - odpowiedział Gromph - walczący na śmierć i życie?

Licz roześmiał się, a Gromph wiedział, że inny drow uciekłby w popłochu na jego miejscu.

- Dlaczego? - zapytał arcymag, nie spodziewając się odpowiedzi.

Liczdrow rozłożył szeroko ręce, rozglądając się wokół i wskazując miasto.

- A czy może być lepszy powód niż samo Miasto Pająków? Stąd Podmrok, a potem Świat Ponad.

Tym razem roześmiał się Gromph.

- Więc o to chodzi? - zapytał arcymag. - Władza nad całym światem? Czy to nie banał, liczu? Nawet w twoim przypadku?

Liczdrow wzruszył ramionami.

- Moje istnienie nie zna ograniczeń, Gromphie, więc dlaczego miałaby je mieć moja ambicja?

- Prosta odpowiedź na proste pytanie.

- Więc zaczynamy?

- Tak - odparł Gromph - zaczynajmy.

Zaczęli powoli, starając wybadać się nawzajem niegroźnymi zaklęciami. Gromph czuł, jak licz go sprawdza, odpłacając mu tym samym. W głowie słyszał szepty Nauzhrora, Brendana i Pratha. Odnotowywali w pamięci osłony, oceniali przedmio-

ty i odzienie, porównywali spostrzeżenia. Gromph miał przy sobie laskę i był zaskoczony tym, że Dyrz też wziął kostur. Nie spodziewał się tego po nim.

Ogień, odezwał się Nauzhror po kilku pełnych napięcia minutach. Najbardziej skuteczną bronią przeciwko niumarłemu czarodziejowi ze zdradzieckiego domu będzie ogień.

Tak, pomyślał Gromph. Dyrz popełnił błąd.

- Chcesz mnie dzisiaj zaskoczyć - zawołał licz do Grompha - nieprawdaż, drogi arcy maga?

- Jedyne dwie rzeczy, których jestem całkowicie pewny, liczu odrzyknął Gromph to to, że nas obu czekają dziś niespodzianki, i że cię zniszczę.

Zaczęli czarować w tej samej chwili. Gromph był na tyle doświadczonym magiem, że wiedział, iż podobnie jak on sam, licz rzucił już ostatnie zaklęcie ochronne.

Zaklęcia wyrwały się ze Splotu w tej samej chwili. Od strony liczdrowa zawiął lodowaty wichur, niosąc tysiąc ostrych jak brzytwy odłamków lodu. Siekająca nawałnica spotkała się z ognistą kulą Grompha nad czarną czeluścią Rozpadliny Szpona. Ogień zgasł w chwili, w której stopił lód. Oba zaklęcia pożarły się nawzajem, zanim którekolwiek z nich znalazło się w pobliżu celu.

Cóż, westchnął w myślach Gromph, trochę to potrwa.

Na pokładzie statku chaosu panowała pełna napięcia cisza. Pharaun starał się nie patrzeć na Quenthel. Nie mógł nie zauważyć, że nie jest w stanie pograżyć się w Zadumie. Siedziała sztywno, a z dłoni nie wypuszczała zmijowego bicza. Węże wiły się bezustannie, ocierając bokami łebków o ciepłą, czarną skórę kapłanki. Uridezu przyglądał się jej ukradkiem.

Pharaunowi wydało się to dziwne. To on spętał demona, a jednak Raashub bardziej przejmował się Quenthel. To prawda, nominalnie kapłanka Baenre wciąż „dowodziła” wyprawę, aiejej dowództwo zawsze było raczej oficjalne-przynajmniej w pojęciu maga.

Mistrz Sorcere nie potrafił ułożyć sobie tego w głowie - przynajmniej nie teraz - ale demon dziwnie się jej przyglądał.

Westchnął i znów spojrzął na czarne wody Jeziora Cieni. Oparł dłoń o burte, ale zaraz ją cofnął, czując ciepłe pulsowanie płynącej nią krwi. Statek leciutko się kołysał w martwej ciszy czarnego jeziora, ale Pharaun wciąż odczuwał potrzebę przytrzymania się czegoś. Jego ręka odnalazła szarą poskręcaną linę wyglądającą zupełnie jak kawałek jelita, ale jej też nie był się w stanie dłużej trzymać.

Okręt chaosu nie do końca odpowiadał poczuciu estetyki Pharauna. Czarodziej odgarnął włosy z czoła i spróbował nie myśleć o tym, jak wygląda. Już zbyt długo się nie kąpał - higiena zesłała na dalszy plan u wszystkich uczestników wyprawy i zaczęli coraz bardziej śmierdzieć. Najgorzej cuchnął Jeggred, ale mag zaczął też unikać Quenthel. Mimo to nie nęciła go myśl o kąpielu w zimnych, ciemnych wodach Jeziora Cieni. Wyobrażał sobie, co może żyć w jego odmętach i nie miał ochoty dać się pożreć.

Okręt trzeszczał i skrzypiał, ale niezbyt głośno. Rzadko kiedy słychać było echo jakiegoś plusku czy chlupotu. Mag zaczynał dochodzić do wniosku, że to sama cisza tak go drażni.

Coś uderzyło go w tył głowy na tyle mocno, że zwałił się twarzą na kościany pokład.

Zaskoczony samym faktem, że komuś udało się go zaskoczyć, Pharaun przez kilka sekund leżał mrugając i to wystarczyło, żeby coś, co go uderzyło, chwyciło go za kostkę. Zanim zdążył dojść do siebie - Pharaun początkowo nie zdawał sobie sprawy, że dostał tak mocno - odkrył, że wiruje w powietrzu trzymany za kostkę. Jednocześnie zdołał ogarnąć wzrokiem sytuację.

Grupa ociekających wodą z jeziora i larwami uridezu wdrapywała się na pokład statku. Ich szara skóra lśniła, a ogony drgały. Zaatakowały całą gromadą, a Pharaun nie był w stanie dokładnie ich policzyć, bo jeden z nich wywijał nim młyńce w powietrzu.

Czarodziej zrozumiał, że miał rację - pierwszy uridezu sprowadzony przez Raashuba miał ich tylko wypróbować.

Demon puścił kostkę czarodzieja i Pharaun poleciał na łeb na szyję w powietrze. Minął burtę, a kiedy znalazł się nad otwartą wodą, rzucił zaklęcie. Zanim uderzył z pluskiem o powierzchnię jeziora, wyrzucając w górę istną fontannę, mógł już oddychać w wodzie.

Czarodziej nie tracił czasu. Płynąc i wspomagając się mocą swojej broszy, która ściągała go w dół, zanurzał się coraz głębiej w ciemną toń. Woda była tak zimna, że cały zeszywniał, ale i tak płynął najszybciej jak potrafił. Wszędzie dookoła widział cienie żywych istot. Ryb, jak miał nadzieję, węży, których się obawiał i innych stworzeń pełzających po dnie.

Dno jeziora było pokryte drobnym piaskiem, który wydawał się dziwnie przyjemny w dotyku. Pharaun zapadł się w niego po szyję i zmrużył oczy w wąskie szparki, żeby na idealnie czarnym piasku widać było tylko jego czarną twarz.

Coś otarło mu się o nogę, ale nawet nie drgnął.

Głęboka woda i zmacony piach kazały mu wyczerzać wzrok do granic możliwości, ale nad sobą dojrzał dwóch uridezu nurkujących w głąb jeziora. Bezpieczny w swej kryjówce, nic zwracając uwagi na kolejne... coś... ocierające mu się o bok, Pharaun przyglądał się demonom, które płynęły z zaskakującą zwinnością, rozglądając się za nim. Pharaun czekał, aż znajdą się bliżej... jeszcze bliżej... wystarczająco blisko i rzucił na oba aury płomienia faerie.

Demony wpadły w panikę. Fioletowa światłość nie tylko podkreślała kontury ich sylwetek w ciemnej wodzie, czyniąc ich boleśnie widocznymi, ale oświetlała wyraźnie załamania skóry, wąsy i zmarszczone czoła.

Pharaun odepchnął się nogami od dna i wysunął powoli z piasku, jednocześnie rzucając zaklęcie. Uridezu popatrzyły na niego i zamachały energicznie ogonami. Oddalały się szybko od siebie, nie chcąc, by dosięgło je to samo zaklęcie. Pharaun wybrał jednego z nich i zamroził wodę wokół niego.

Mistrz Sorcere wiedział, że lód nie wyrządzi demonowi krzywdy, ale był wystarczająco gruby, żeby go zatrzymać. Pha-raun uśmiechnął się, zadowolony z siebie. Uridezu, zastygły nieruchomo w wielkiej bryle lodu, powoli opadał na dno, znacząc swój ślad bąbelkami.

Drugi uridezu zbliżał się szybko do czarodzieja, zostawiając za sobą strumień żarzących się na fioletowo larw. Robaki wychodziły z jego wyżartego lewego oka, starej rany, która musiała się jątrzyć już od dawna.

Pharaun próbował mu uciec, ale szczurowaty demon był szybszy. Okręcił się w wodzie, smagając czarodzieja różowym ogonem. Pharaun skrzywił się. Cios był bolesny.

Gdy uridezu obrócił się z powrotem, chcąc rozszarpać Pha-rauna ostrymi pazurami, mistrz Sorcere dotknął stalowego pierścienia. Przed magiem pojawił się rapier, który skierował myślą przeciwko demonowi. Tańczący miecz ranił głęboko uridezu i uwagę demona - zgodnie z planem Pharauna całkowicie zaprzętnęła obrona przed magicznie ożywioną klingą.

Zadowolony, że demon zajął się rapierem, Pharaun zaczął się odpływać, jednocześnie wyjmując zza pasa ręczną kuszę i belt. Założył belt, naciągnął kuszę i użył mocy broszy, by wydostać się z jeziora. W sekundzie, w której jego twarz przebiła powierzchnię, wykrztusił z płuc wodę. Wystrzelił w powietrze i zawisł kilkanaście stóp nad falującą taflą jeziora, ociekając deszczem czarnych kropelek.

Czarodziej zainteresował się statkiem chaosu. Jego nazwa jeszcze nigdy nic wydała mu się tak trafna. Quenthel i Jeggred odpięli atak grupy szczurowatych demonów. Zanim Pharaun zdołał przyjść im z pomocą, Jeggred tak głęboko rozciął brzuch jednego z nich, że trzewia uridezu wylały się na pokład. Stwór zważył się na kupę dymiących wnętrzności u stóp okrwawionego draeglothu.

Pharaun zliczył jeszcze cztery demony oprócz Raashuba. Kapitan ściągnął siedmiu pobratymców.

Czarodziej popatrzył w dół, sprawdzając postępy tańczącego rapiera. Ożywione ostrze rozplatało gardło pływającemu uri-dezu. Demon zadygotał, a potem zwiotczał i zaczął powoli wypływać na powierzchnię. Jego gorąca krew w zetknięciu z wodą zmieniła się w obłok pary o metalicznym zapachu, który unosił się w powietrze pod lewitującym magiem.

Pharaun odwołał rapier. Unosząc kuszę, spojrzał znów na statek chaosu. Quenthel udawało się utrzymać jednego uridezu na dystans biczem, a tymczasem następny zachodził ją od tyłu. Pharaun, bojąc się trafić kapłankę, zawahał się i to wystarczyło, by uridezu za plecami Quenthel ugryzł ją w kark.

Głęboka rana zaczęła mocno krwawić. Wysoka kapłanka zacisnęła zęby z bólu. Gwałtownym, silnym ruchem ramienia odepchnęła demona. Z daleka Pharaun nie widział dobrze, ale był pewny, że uridezu zostawił w karku mistrzyni kilka zębów.

Uwagę Pharauna przykuł Jeggred. Draegloth szykował się do skoku na Raashuba. Mistrza Sorcere ogarnęła fala paniki. Atak nie atak, potrzebowali Raashuba do pilotowania statku. Od chwili, gdy przejęli okręt, Jeggreda palce świerzbiły, żeby zabić kapitana, a akcja abordażowa była dla niego wystarczającą wymówką, żeby wreszcie spełnić swoje groźby.

W pełni świadomy ironii sytuacji, Pharaun rzucił zaklęcie, oddzielając kapitana i nacierającego nań draeglotha niewidzialną ścianą mocy. Jeggred wpadł na nią z impetem, co na chwilę wytrąciło go z równowagi. Raashub odskoczył w bok, a potem równie zaskoczony zaczął obwąchiwać powietrze przed sobą.

Quenthel spróbowała dźgnąć łokciem uridezu, który ją ukąsił, ale demon zdołał się uchylić. Kapłanka walczyła chaotycznie i zrywami, i Pharaun wiedział, że to tylko kwestia czasu, kiedy dwa uridezu zdołają ją wreszcie zabić.

Mistrz Sorcere szybko wyrecytował zaklęcie i wysłał jego energię ku uridezu, który ugryzł Quenthel.

W powietrzu pojawiła się zniecka ogromna, bezcielesna czarna dłoń i Pharaun przejął nad nią kontrolę. Uridezu atakujący Quenthel odsunął się, ale ten, który ją ugryzł, był za wolny. Dłoń zacisnęła się wokół stwora.

Ogarnąwszy pokład wzrokiem, Pharaun zobaczył, że Jeggred rzucił się na następnego uridezu, zostawiając Raashuba za ścianą mocy.

Czarodziej musiał tylko rozkazać magicznej dłoni ścisnąć najmocniej jak potrafi i zostawić ją samą sobie. Gdy uwięziony w niej uridezu zaczął się dławić, Pharaun nacisnął palcem spust kuszy i powietrze ze świstem przeciął bełt. Pocisk walnął w pierś kolejnego demona, który zatrzymał się i obrócił, szukając wzrokiem napastnika.

Uridezu miażdżony przez dłoń miał pysk szeroko otwarty, ale nie wydobywał się z niego żaden dźwięk. Całe powietrze zostało mu wyciśnięte z płuc. Pharaun przeładował kuszę, a magiczna dłoń zacisnęła się jeszcze mocniej. Demon wybałuszył ślepią.

Czarodziej wystrzelił kolejny bełt w demona, któremu nadal udawało się uchylać przed biczem Quenthel. Pocisk trafił w cel, popychając uridezu w stronę kapłanki. Demon zachwiał się, ale jeszcze żył, czego Pharaun nie mógł powiedzieć o stworze zgniatanym przez dłoń. Jego ciało wydęło się do granic możliwości, a potem wybuchło powodzią krwi i tkanki. Kilka sekund później demon nie żył.

Pharaun ponownie przeładował ręczną kuszę i obserwował uridezu, którego ostatni bełt pchnął w stronę Quenthel. Wysoka kapłanka zbliżała się szybko, z biczem w jednej dłoni, a drugą zacisniętą w kułak.

Mistrzynie Akademii wyróżnęła uridezu z taką siłą, że jego głowa rozpadła się na kilka kawałków, które oderwały się całkowicie od ramion. Lśniący, szarozółty mózg demona wystrzelił w powietrze i przeleciał nad nieruchomą powierzchnią jeziora, podskakując jak puszczone przez dziecko kaczka. Pharaun wie-

dział, że siła kapłanki pochodzi z jakiegoś magicznego przedmiotu i zanotował w pamięci, by nie dziwić się już jej siłowym wyczynom.

Jakieś poruszenie i światło w dole przykuło uwagę czarodzieja. Uridezu, którego zamroził w bryle lodu, zdołał się wreszcie uwolnić i poruszał się zamaszystymi machnięciami szczurzego ogona. Płynął w stronę Pharauna, który wciąż unosił się w powietrzu, ociekając wodą.

Pharaun rzucił zaklęcie, które pozwoliło mu wepchnąć zbliżającego się demona z powrotem do wody. Mistrz Sorcere wypchał go coraz głębiej, aż uridezu znalazł się pod powierzchnią piasku. Pchał mocniej, aż stwór dotknął skalistego dna jeziora, cztery stopy pod ruchomym osadem. Nacisnął, wgniatając potwora w dno. Poczuł, jak łamie mu kręgosłup, ale nie przestawał pchać.

Aliisza wstrzymała oddech, obserwując drowy broniące się przed uridezu. Podobne do szczurów demony nie były szczególnie groźne, ale mroczne elfy i tak dały popis swoich możliwości. Zwłaszcza Pharaun wydał jej się pociągający, gdy tak wisiał nad wodą, mokry i spięty. Aliisza drżała z podniecenia.

Niewidzialna alu-demon unosiła się w powietrzu nad drowką o królewskiej postawie sparaliżowaną ugryzieniem uridezu, którego uśmierciła w niechlujny i niezbyt twórczy sposób.

Przed sparaliżowaną kapłanką pojawił się kolejny demon, szerząc kły ociekające toksyczną śliną. Chichotał przeraźliwie z ekscytacji, podchodząc coraz bliżej do bezradnej drowki.

Niski pomruk zwrócił uwagę Aliiszy na draeglotha. Półdemon ryknął w twarz następnemu uridezu, po czym chlasnął go ostrymi jak brzytwa pazurami przez brzuch. Demon w ostat-

niej chwili odchylił się w tył i tylko dzięki temu uniknął wypatroszenia. Z drżących ust uridezu wyrwał się syk, gdy podjął próbę uderzenia draegloth'a ogonem. Jeggred uchylił się jednak przed ciosem z zaskakującą zwinnością.

Kapitan statku chaosu szarpał się na łańcuchu, ale był wciąż przykuty do pokładu. Aliisza wyczuła obecność niewidzialnej ściany oddzielającej go od innych. Jak gdyby powietrze wokół niego zestaliło się. Wyczulonym na Splot wzrokiem dostrzegła migotanie magii.

Aliiszy nie obchodził specjalnie los kapitana ani nieokrzesanego, odstręczającego draegloth'a, ale nie mogła znieść myśli, że atrakcyjna, postawna elfia kapłanka zostanie pożarta żywcem przez stworzenie tak nikczemne jak uridezu. Niewidzialna alu-demon, wciąż wisząc w powietrzu, zaczęła wysysać z atakującego drowkę demona siły życiowe.

Uridezu rozejrzał się. Czuł, że coś się z nim dzieje. Może zrobiło mu się zimno, a może słabo, mdło, niedobrze. Aliisza zabijała go i musiał wiedzieć, że umiera. Szczurowaty demon objął się ramionami i Aliisza wyczuła, że wraca do Otchłani ale coś nie pozwalało mu opuścić statku. Aliisza widziała magię wiążącą go z otaczającym ich powietrzem. Tylko Pharaun mógł za to odpowiadać.

Fakt, że elfi czarodziej posiada taką moc, zaniepokoił Aliiszę.

Zastanawiała się właśnie, skąd się wzięła niewidzialna ściana, gdy usłyszała okropny rozdzierający dźwięk i musiała uskończyć przed rozbryzgiem ciemnoczerwonej krwi. Draeglotli urwał rękę uridezu, który był na tyle głupi, żeby z nim zadrzeć. Aliiszy nie spodobał się zapach krwi demona... przynajmniej nie tak bardzo jak draeglothowi.

Półdemon podniósł z ziemi urwaną kończynę i unióś ją nad głowę, aż odbiła się od niewidzialnej ściany. To zaskoczyło draegloth'a - nie, nie zaskoczyło, rozdrażniło. Aliisza pojęła, że ktoś próbuje rozdzielić kapitana i draegloth'a.

To musiała być robota Pharauna. Gdy draegloth okładał demona jego własną ręką, Aliisza domyśliła się, czemu czarodziej próbuje chronić kapitana.

Wyszeptała krótkie zaklęcie i wzbiła się wyżej w powietrze, aby nikt oprócz Pharauna nie mógł jej usłyszeć. Musiała przestać wysączać siły życiowe z ostatniego ocalałego członka grupy abordażowej, ale draegloth już się skradał w jego stronę.

- Pharaun- szepnęła, choć dzieliło ich kilka jardów i czardziej usłyszał jej głos, jak gdyby szeptała mu do ucha.

Zobaczyła, że zareagował, więc mówiła dalej:

- Tak, to ja. Chronisz kapitana przed własnym draeglothem?

- I co z tego? - zapytał czarodziej i jego głos też zabrzmiał w jej uszach jak szept.

- Nie jest ci potrzebny - stwierdziła.

- Wręcz przeciwnie - odparł mag. - To statek chaosu, Alii-szo, a ja jestem drowem, który nie przepada za łódkami. Nigdy jeszcze żadnej nie pilotowałem. Prawdopodobnie żaden drow w historii tego nie robił.

- To nie jest takie trudne - wyjaśniła. — Statek żyje. Po prostu zmuszasz go siłą woli, żeby płynął tam, dokąd chcesz.

- To takie proste? - zapytał sceptycznie mag.

Aliisza patrzyła, jak draegloth rozszarpuje kłami i pazurami osłabionego uridezu.

-Tak.

Nie tracąc ani sekundy, rozjuszony półdemon rzucił się na niewidzialną ścianę z kłami i pazurami. Widok ten sprawił, że Aliiszy szybciej zabiło serce.

Kapitan uridezu kulił się za ścianą. Nawet nie starał się udawać, że nie wie, co się stanie, jeśli draegloth przedostanie się przez niewidzialną barierę.

- Pozwól draeglothowi go zabić, kochanie - powiedziała Aliisza, gdy jej zaklęcie zaczęło słabnąć. - Możemy pilotować statek razem.

Pharaun otworzył szczelinę pomiędzy wymiarami i wkroczył w nią. W jednej chwili znalazł się na pokładzie statku chaosu obok sparalizowanej kapłanki i dokładnie pod niewidzialną, le-witującą Aliisza, która zaczęła opadać ku niemu.

- Jeggred - zwrócił się mag do draeglotha - przestań. Prze stań natychmiast. Potrzebujemy go.

Czarodziej odwrócił się do wysokiej kapłanki, której ręka ociekała posoką uridezu. Żmije na końcu bicia syczały na niego ostrzegawczo.

- Mistrzynie - powtórzył - każ mu przestać.

Jest sparalizowana wyszeptła mu do ucha Aliisza, stając na tyle blisko, żeby nie potrzebować zaklęcia. Pharaun zamiast się wzdrygnąć, uśmiechnął się.

- Mnie demon nie posłucha.

- Mówiłam ci, Pharaunie - szepnęła alu-demon - nie potrzebujemy go.

- My? - zapytał.

Choć Pharaun wciąż jej nie widział, wydawało mu się, że Aliisza zarumieniła się.

- Skoro Raashub potrafi pilotować ten statek - zapytała - dlaczego my nie mielibyśmy potrafić? Czy to może być aż tak trudne?

Pharaun wziął głęboki oddech i westchnął ciężko.

- I tak będzie mi się wciąż sprzeciwiał, prawda?

- Z kim... - odezwała się Quenthel, która z drżeniem kończyn dochodziła do siebie po paraliżującym ukąszeniu uride-zu... - rozmawiasz?

-A jak ty byś się zachował na jego miejscu? ~ wyszeptła Aliisza, lekceważąc pytanie wysokiej kapłanki.

Pharaun odwrócił się do niej i spojrzął jej prosto w oczy, choć była pewna, że jej nie widzi. Mrugnął do niej, a potem obrócił się z powrotem do kapłanki.

- Jeggred chce zabić kapitana - oznajmił.

- Pozwól mu - odparła kapłanka, rozglądając się po pokładzie za czymś, czym mogłaby się wytrzeć z krwi.

- Cóż - wyszeptwała Aliisza do ucha maga - teraz to jej pomysł, nieprawdaż?

Pharaun machnął ręką i zlikwidował barierę.

Draegloth skoczył na kapitana. Obaj przelecieli przez burzę. Łańcuch, którym uridezu był przykuty do pokładu i planu materialnego trzasnął, jak gdyby był zrobiony z trzonu grzyba. Rozległ się głośny plusk i pokład zaalała woda, mieszając się z krwią zabitych demonów.

Aliisza zawisała w powietrzu nad Pharaunem i Quenthel, którzy podbiegli do burty i wbili wzrok w czarną wodę. Na powierzchni wypływały bąbelki, a po wodzie rozchodziły się kręgi, widomy znak toczącej się pod powierzchnią walki.

Potem bąbelki znikły. Kręgi wygładziły się i nic już nie mąciło powierzchni jeziora.

- Płyn za nimi - rozkazała Pharaunowi kapłanka.

Aliisza zdołała jakoś pohamować wybuch śmiechu.

Pharaun uniósł brew, spojrzął na kapłankę i powiedział:

- Obawiam się, że musiałem anulować czar pozwalający mi oddychać pod wodą.

Kapłanka popatrzyła na niego gniewnie, ale dalszą dyskusję przerwał kolejny plusk. Coś wyleciało łukiem z wody i uderzyło z głuchym łomotem o pokład. Głowa kapitana potoczyła się na drugą stronę okrętu i zatrzymała się, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

- Nieważne - wydyszała Quenthel, zerkając na Pharauna.

Draegloth wygramolił się powoli na pokład zaplecami mrocznych elfów. Poëdemon otrząsnął się gwałtownie, opryskując ich oboje. Pharaun i Quenthel obrócili się w jego stronę,

- Na to - huknął draegloth - warto było czekać.

Danifae chciała spotkać się z nimi w zrujnowanej świątyni na skraju bagna, na którego wschodnim brzegu uchodziła do morza szeroka rzeka. Halisstra przez pierwszą noc wędrówki tłumaczyła Ryldowi co oznacza większość tych słów. Przed wschodem słońca pierwszego dnia dotarli na wybrzeże. Na widok pozornie bezkresnego przestworu szarej wody Halisstrze zabrakło tchu. Jak w większości miejsc Świata Ponad Ryld czuł się tu nieswojo, a nawet nerwowo. Halisstra była pewna, że w końcu się do tego przyzwyczai, a nawet to polubi. Musiał.

Szli zachodnim brzegiem zatoki zwanej przez mieszkańców powierzchni Smoczym Przesmykiem przez dwie długie noce, unikając innych podróżników i nieoczekiwanych niebezpieczeństw dzięki wyczulonym zmysłom Rylda, magii *bae 'qeshel*

i magii kapłanek Eilistraee. O brzasku trzeciego dnia stanęli na brzegu szerokiej delty rzeki Lis, mając po prawej szarobiałe, spienione wody Smoczego Przesmyku. Po lewej — na północ — widzieli rzekę, lasy i falujące, zasypane śniegiem wzgórza. Było ponuro i przeraźliwie zimno, i Halisstra musiała użyć magii, żeby nie odmrozili sobie palców u rąk i nóg.

- Musimy dostać się na drugą stronę? - zapytał Ryld, cho-
ciaż znał odpowiedź.

Ukryli się w rzadkim zagajniku bezlistnych drzew. W delcie rzeki roilo się od łodzi wszelkich rozmiarów. Halisstra jeszcze nigdy takich nie widziała. Większość podskakiwała na wzbudzonych falach, a lodowaty wiatr kołysał pokładowymi latarniami. Od czasu do czasu drowom udawało się dostrzec uzbrojonego człowieka chodzącego po pokładzie, ale Halisstra nie miała pojęcia, czego mógł się obawiać.

- To opuszczona świątynia - przypomniała fehmistrzowi Halisstra. - Stara świątynia plugawego boga orków Gruumsha. Danifae powiedziała, że leży na zachodnim skraju rozległych mokradeł - zalanego obszaru, gdzie woda przykrywa roślinność i gdzie poluje wiele niebezpiecznych istot. Mokradła znajdują się po drugiej stronie rzeki.

Ryld kiwnął głową i dalej obserwował wody zatoki. Horyzont zaczynał się już żarzyć słonecznym blaskiem.

- Będziesz potrafił sterować jedną z tych łodzi? - zapytała Halisstra.

Fehmistrz pokręcił głową.

- W takim razie będziemy potrzebowali pomocy, żeby dostać się na drugą stronę - stwierdziła kapłanka. — Woda jest za zimna, żeby płynąć tak daleko wplaw, a zakłęcia ściągną na nas uwagę. Jeśli otulimy się kapturami *piwafwi*, mniej spostrzegawczy przełożnik może nie zauważyć, że jesteśmy mrocznymi elfami.

Ryld westchnął, co miało oznaczać, że wątpi, by było to możliwe, ale i tak spróbuje.

Ruszyli wzdłuż rzeki, posuwając się powoli na północ w porannej szarówce. Ryld przystawał co jakiś czas, żeby się rozjeździć i przyjrzeć jakiejś łódce wyciągniętej na nabrzeże lub unoszącej się na wodzie przy brzegu. Nie wyjaśniał, czemu nie spodobała mu się pierwsza z nich, potem kolejna i jeszcze następna, a Halisstra nie pytała.

Wreszcie natknęli się na szeroką łódź o prostokątnym dnie i pojedynczym długim wiosłem przymocowanym do wysokiego słupa. Łódź została wyciągnięta na brzeg, a kilka stóp dalej na grubym żwirze spała jakaś humanoidalna istota. Stwór przed zaśnieciem rozpalil ognisko, które teraz dogasało, ostatnie węgielki powoli przestawały się żarzyć.

Ryld bezszelestnie zbliżył się do przewoźnika na odległość kilku cali. Powoli, po cichu, dobył krótki miecz i trzymając go luźno w dłoni ukucnął obok humanoida. Śpiący wydał z siebie dziwne, burczące kasznięcie. Ryld uniósł się nieco, popatrzył na Halisstrę i wzruszył ramionami. Halisstra też wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, co mógł oznaczać ten dźwięk, oprócz tego, że mężczyzna -jeśli był to mężczyzna - się krztusi.

Ryld z rozmysłem przewrócił go na wznak brutalnym gwałtownym pchnięciem. Śpiący miał prymitywną szarozółtą twarz orka, ale niezupełnie. Wybałuszył oczy i zaczerpnął powietrza, marszcząc ze złości brwi. Ryld przytknął mu krótki miecz do szyi i mężczyzna gwałtownie się uspokoił. Halisstra podeszła bliżej. Kiedy mu się dokładniej przyjrzała, stwierdziła, że przewoźnik jest półorkiem. Mieli szczęście. W Świecie Ponad nienawidzono półorków tak samo jak w Podmroku, więc łatwiej im będzie zmusić go do zachowania ich obecności w tajemnicy.

- Milcz - wyszeptał Ryld w gardłowym kupieckim języku ras zamieszkujących powierzchnię.

Półork zerknął na Halisstrę, a potem spojrzal Ryldowi w oczy i wyraźnie się rozluźnił. Nie odezwał się.

- Potrzebujemy łodzi - powiedział cicho fehmistrz. - Zabierz nas na wschodni brzeg rzeki i nikomu o tym nie powiesz. Półork patrzył na niego, zastanawiając się. Ryld dźgnął go lekko w szyję krótkim mieczem, utaczając półcalową strużkę krwi.

- To nie było pytanie — dodał fehmistrz, a półork kiwnął głową.

W kilka minut znaleźli się na rzece. Horyzont z czarnego przybrał barwę ciemnego indygo. Halisstra zaczynała się przyzwyczajać do słońca, ale Ryld wciąż go nienawidził, więc podróżowali nocą. Aby nie spóźnić się na spotkanie z Danifae, byli zmuszeni podróżować rankiem, ale Halisstra wiedziała, że Ryld nie będzie się skarżył.

- Myślę, że przewoźnik oczekuje, że mu zapłacimy, kiedy dostaniemy się na drugą stronę - odezwał się Ryld w niskim drowim, zerkając na półorka, który udawał, że na nich nie patrzy. — Czy może tu też hodują półorków na niewolników?

Początkowo Halisstra myślała, że żartuje. Trudno było zobaczyć jego oczy, gdy miał kaptur *piwafwi* zarzucony na głowę. Halisstra też nasunęła kaptur na twarz, ale kiedy znaleźli się na środku rozległej delty, kapłanka uświadomiła sobie, że nikt na sąsiednich łodziach nie zwraca na nich uwagi, a ludzie, w nocy ślepi jak krety, i tak nie widzą ich po ciemku - a przynajmniej nie z tej odległości. Zrzuciła kaptur, co Ryld, sam z kapturem na głowie, skwitował gniewnym grymasem.

- Dlaczego go o to nie zapytasz? - zapytała Halisstra, ruchem głowy wskazując przewoźnika.

Ryld potrząsnął głową.

- Danifae chce cię zabić - powiedział beznamiętnym głosem.

- Doprawdy?

- Ja bym chciał - odparł fehmistrz. - Była twoją branką przez długi czas, a teraz już nią nie jest. To jasne, że będzie chciała się zemścić za lata niewoli.

- Może - musiała przyznać Halisstra — ale nie sądzę.
- Rzadko widzujemy tu waszych - powiedział nagle przewoźnik z wyraźnym akcentem w niskim drowim.

Dźwięk głosu półczłowieka, półorka mówiącego w języku mrocznych elfów sprawił, że Halisstrze ciarki przebiegły po grzbiecie. Ryld dobył miecz.

Przewoźnik uniósł rękę, trzęsąc się.

- Nie chciałem was urazić. Mówiłem tylko...

- Widziałeś tu już drowy? - zapytała Halisstra, a potem pokazała szybko na migi: *Sto sztuk złota ekstra, jeśli zapomnisz, że nas w ogóle widziałeś.*

Półork nie zareagował na jej ostatnie zdanie. Wyglądał, jak gdyby w ogóle nie zauważył, że próbowała mu coś powiedzieć.

- Oczywiście - odparł. - Widziałem kilka drowów. Ostatnio nie, ale...

Halisstra skwitowała to wzruszeniem ramion i zamigała do Rylda:

Myślę, że chciał, żebyśmy wiedzieli, że nas rozumie, żebyśmy nie powiedzieli czegoś, co zmusiłoby nas do zabicia go, gdyby to usłyszał.

Jej słowa wywołały uśmiech na twarzy Rylda.

Możesz odłożyć miecz, dodała.

Fechmistrz schował ostrze do pochwy i powiedział:

- Jeśli rozumie migowy, powinien się teraz przyznać, inaczej go zabiję.

Półork zamachał rękami.

- Nie, nie panie, przysięgam. Nawet nie wiedziałem, co ro bicie. Ja tylko wiosłować? Wiosłować? Nawet nie musicie mi płacić.

- Płacić? - zapytał Ryld.

Półork odwrócił wzrok.

Słyszał, jak wspominaliśmy o świątyni, zauważył Ryld. To jasne, że nie możemy mu ufać.

A komu możemy? odpowiedziała pytaniem Halisstra.

Na pewno nie Danifae, powiedział na migi fechmistrz.

Eilistrae nas poprowadzi, odparła. *Danifae nie wskazuje drogi żadna bogini.*

Ryld kiwnął głową, choć nadal nie ukrywał sceptycyzmu.

Resztę drogi przebyli w milczeniu i wkrótce znaleźli się na przeciwnym brzegu rzeki. Halisstra wyskoczyła z łodzi i brodząc w płytkiej wodzie ruszyła ku kamienistej skarpie. Gdy się odwróciła, zobaczyła, jak Ryld podchodzi do półorka. Fechmistrz sięgnął za siebie, dobył Rozpruwacza, odrąbał półorkowi głowę i schował miecz do pochwy w ciągu dokładnie jednego uderzenia serca Halisstry. Głowa wpadła z pluskiem do wody, a fechmistrz kopniakiem posłał za nią ciało.

Ryld zaczął brodzić w stronę brzegu, a Halisstra zapatrzyła się w szarobłękitne światło świtu. Słyszała kroki fechmistrza w wodzie, a potem na kamieniach za sobą, ale w tej chwili nie chciała mu spojrzeć w twarz.

Danifae zmaterializowała się na pokładzie okrętu chaosu i natychmiast uderzyły ją zmiany, jakie tu zaszły. Valas pojawił się tuż obok niej i widziała, jak chłodny stoicyzm malujący się zwykle na jego twarzy ustępuje pełnemu niepokoju zaciekawieniu - on też to zauważył.

Pharaun i Quenthel wyglądali źle i strasznie cuchnęli. Sam statek wyglądał jakoś inaczej. Pokład, do tej pory matowobiała powierzchnia nagiej kości, był teraz pokryty plamami różowej tkanki i poprzecinany pulsującymi delikatnie arteriami. W wyrywach w kości widać było ścięgna i coś, co przypominało więzadła. Statek wydawał się żyć.

Pharaun i Jeggred podnieśli na nich wzrok, ale tylko Pharaun wstał. Draegloth odwrócił głowę w bok, a Danifae, poda-

zając wzrokiem zajęgo spojrzeniem, zobaczyła Quenthel. Oczy Jeggreda płonęły, gdy wpatrywał się w wysoką kapłankę, która siedziała na pokładzie plecami do pozostałych, jedną ręką pieszcząc z roztargnieniem jedną ze żmij przy biczu.

- Witamy z powrotem w mokrym zadupiu Podmroku - przywitał ich mistrz Sorcere. Zerknął tylko na Danifae, ale do Valasa podszedł z wyciągniętą ręką. - Masz to, czego nam trzeba?

Zwiadowca Bregan D'aerthe kiwnął głową i podał czarodziejowi jeden z magicznych worków z prowiantem.

Danifae nie spuszczała wzroku z Jeggreda, który w końcu popatrzył na nią i skinął łbem. Była branka uśmiechnęła się do draeglotha i ukloniła lekko - a potem zauważyła, że spętany uridezu zniknął.

- Co tu się stało? - zapytała Pharauna.

Czarodziej wybuchnął śmiechem i z początku wydawało się, że będzie się tak śmiał bardzo długo. Kiedy nikt mu nie zawtórował, uspokoił się i wziął głęboki oddech.

- Mistrzynie? - zawołała Danifae do Ouenthel.

Brak odpowiedzi.

Jeggred wlepił ślepią w plecy wysokiej kapłanki, też nic nie mówiąc.

- Czy...? - zapytał Pharauna zwiadowca.

- O tak - odparł czarodziej - wypływamy zgodnie z planem. Okazuje się, że pomoc kapitana nie była nam wcale potrzebna. Jeggred był na tyle uprzejmy, żeby uwolnić nas od jego towarzystwa. Ja będę pilotował statek do Otchłani i z powrotem.

Valas kiwnął głową, usiadł i zaczął porządkować zapasy. Pharaun stał nad nim, co jakiś czas komentując dokonane przez niego zakupy. Quenthel wciąż siedziała odwrócona do nich plecami, nie odzywając się. Danifae podeszła do Jeggreda, próbując ocenić, w jakim jest humorze. Uznała, że chce z nią porozmawiać, więc usiadła obok niego.

- Zaduma? - zapytała, ruchem głowy wskazując Quenthel.

- Nie - odpowiedział draegloth, nawet nie starając się ściszyć głosu. — Od pewnego czasu niejest w stanie pograżyć się w Zadumie. - Mistrzynie słabnie.

Danifae wzięła głęboki oddech, szukając w oczach draeglo-tha potwierdzenia, że tym, co przez niego przemawia, niejest wyłącznie gniew. Wydawało jej się niemożliwe, że Jeggred posunął się aż tak daleko podczas ich stosunkowo krótkiej nieobecności, ale widać sprawy potoczyły się szybciej, niż miała nadzieję.

- „Kapitan” - mruknął Jeggred - ściągnął tu swoich pobratymców. Zaatakowali nas, a my zwyciężyliśmy.

- Quenthel nie walczyła? - zgadywała Danifae.

Jeggred popatrzył na milczącą wysoką kapłankę i zastanowił się chwilę.

- Walczyła - powiedział w końcu - ale...

Danifae odczekała kilka uderzeń serca, aż skończy, a potem powiedziała:

- Wszyscy służymy potężniejszej pani. Ty matce opiekunce domu Baenre, a ja samej Lolth - obie są potężniejsze od Ouenthel. Jeśli wiesz coś, co powinna wiedzieć twoja matka opiekunka albo bogini, musisz to powiedzieć. To twój obowiązek.

Jeggred zajrzał jej głęboko w oczy, a ona pozwoliła mu na to. Wytrzymała spojrzenie draeglotha bardzo długo, nie pozwalając sobie nawet na najlżejsze drgnięcie, na najmniejszą oznakę słabości czy niezdecydowania.

- Ona jest... wyczulona - powiedział draegloth.

- Wyczulona? - naciskała Danifae.

- Mistrzynie Arach-Tinilith jest wyczulona na istoty z zewnętrznych planów — wyjaśnił. — Potrafi wyczuć obecność demonów i rozmawiać z nimi. Nie wszyscy o tym wiedzą, aleja tak.

- Więc dlaczego nie wiedziała, że Raashub ściąga tu...? -Nie dokończyła pytania.

Wyraz oczu Jeggreda wpatrującego się w nieruchome plecy Quenthel powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć.

- Jestem kapłanką Lolth - oznajmiła draeglothowi. - Służę Królowej Pajęczych Otchłani, a na tym statku oznacza to, że służę Ouenfhel Baenre.

Jeggred przekrzywił wielki łeb na bok, jego gęsta biała grzywa rozsypała się po muskularnych, porośniętych szarym futrem ramionach.

- Służę jej - ciągnęła Danifae - czy o tym wie, czy nie, czy to docenia, czy nie, czy tego chce, czy nie. Coś...

Danifae nic była pewna, jak dokończyć tę myśl.

- Ona się poddała - oświadczył draegloth.

- Poddała się? - zapytała Danifae.

- Strachowi.

Danifae przetrwała to w myślach, a potem powiedziała:

- Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje naszych usług. Służka Lolth potrzebuje naszej pomocy, a my oboje żyjemy, aby służyć, czyż nie?

Jeggred powoli skinął głową, dając jej wyraźnie do zrozumienia, że chce usłyszeć coś więcej.

Była branka sięgnęła do sakiewki i wyjęła z niej jeden z pierścieni zdjętych z zimnej, martwej dłoni maga służącego kiedyś jej domowi. Uniosła go tak, żeby tylko Jeggred go widział, przesuwając obrączkę między koniuszkami palców i łapiąc nią refleksy światła. To wystarczyło, by świetnie widzący w ciemności draegloth ją dojrzał. Jeggred otworzył dłoń, a Danifae upuściła na nią pierścień.

Chcę, żebyś gdzieś się ze mną udał, powiedziała na migi Danifae, gestykulując blisko tułowia, żeby żadne z pozostałych tego nie zauważyło, i *zrobił coś dla mnie*.

Rozkazuj, odparł demon, też starając się ukryć dłonie przed resztą drużyny. *Żyję, aby służyć, pani*.

14

Jeszcze nie zdolali pozabijać się nawzajem.

Gromph unosił się w bezwietrznej ciemności ponad Rozpadliną Szpona otoczony sferą magicznej energii. Wyczarowała ją ze swojej laski, uszczuplając w ten sposób jej magiczną moc. Jednak warto było, nawet po to, by obronić się przed prostymi zaklęciami. Gromph wiedział, że Licz zna o wiele potężniejsze czary - zaklęcia mogące przeniknąć przez sferę, nie tracąc przy tym nic ze swej mocy - ale przynajmniej ograniczył w ten sposób możliwości przeciwnika.

Ale niezależnie od sfery, jak by się nie starał, Gromph nie był w stanie zbliżyć się do Liczą na mniej niż sześćdziesiąt jardów.

Efekt odrzucenia to sprawka laski Dyrri, usłyszał w myślach szept Nauzhrora. Badamy możliwe rozwiązania.

Odrzucenie było kolejnym banalnym zaklęciem ochronnym, kolejnym mizernym uszczupleniem mocy potężnego przedmiotu i dzięki temu Gromph i Dyrr byli kwita - ponownie.

- Czego się boisz, liczu? - zawołał arcymag do przeciwnika.
- Nie będę próbował skraść ci całusa.

Dyrr, który też unosił się nad czarną czeluścią Rozpadliny Szpona, roześmiał się.

- Możemy tak tu sobie lewitować - odparł licz - czekając, aż jedna z naszych osłon przestanie działać: twoja kula albo moje odrzucenie... ale gdzie tu zabawa?

- Dobre pytanie wyszeptał Gromph, nie troszcząc się o to czy licz go usłyszał.

Arcymag zaczął rzucać zaklęcie, a licz przycisnął do siebie dłonie opuszkami palców, czekając. Gromph zaczął sunąć przez powietrze w jego stronę w sekundzie, w której skończył inkantację, i wiedział, że odniosła skutek, kiedy odległość między nimi raptownie zmalała. Rozproszywszy efekt odrzucenia, Gromph mknął ku liczowi, aby znaleźć się w zasięgu pozwalającym dosięgnąć go jakimś groźniejszym czarem.

Dyrr, który nie wyglądał na ani trochę zaskoczonego, runął w dół. Gromph wiedział, że udało mu się rozproszyc efekt odrzucenia, ale Dyrr wciąż umiał latać. Licz próbował uciec w czarną otchłań Rozpadliny Szpona.

Gromph zaczął spadać za nim. Powietrze omiatające powierzchnię magicznej kuli, która wciąż go otaczała, wydawało dziwny brzęczący odgłos, który rozpraszał arcymaga. Mimo to zdołał rzucić w locie następne zaklęcie i jeszcze bardziej skrócić dzielący ich dystans.

W dłoni Grompha pojawił się paciorek pulsującego pomarańczowego światła. Popatrzył na Dyrra, wygiął rękę do tyłu... i zawahał się. Dyrr, z zimnym błyskiem w oku, zbliżał się do niego, rzucając zaklęcie. Odległość między dwoma magami malała coraz bardziej.

Zwielokrotnione echem słowa zaklęcia Dyrra - seria prawie nonsensownych czterowierszy w jakimś prymitywnym dialekcie smoczego - otoczyły ich obu. Dzierżąc w lewej dłoni laskę, Gromph wygiął prawą rękę jeszcze bardziej w tył, mierząc w twarz przeciwnika. Czuł się, jak gdyby patrzył w lustro.

Dyrr skończył pierwszy. W powietrzu wokół liczą pojawił się obłok skrzącego się czerwonego pyłu — *sproszkowane rubiny*, doniósł arcymagowi Grendan. Proszek przez pół uderzenia serca wirował, porwany podmuchem wiatru, a potem znikł. Gdy ostatnie ziarnko drogocennego pyłu ulotniło się, Gromph cisnął koralikiem.

Arcymag zatrzymał się gwałtownie w powietrzu. Stracił oddech i stęknął głośno. Jego własna laska uderzyła go w twarz, pozbawiając czucia w dolnej wardze i wyciskając łzy z oczu. Jego stawy stały się na kilka sekund bezwładne i mag stracił panowanie nad kończynami.

Paciorek skondensowanego ognia powinien był uderzyć liczą w twarz i wybuchnąć kulą płomieni o średnicy sześciu kroków. Powinien był spalić twarz licza - ale nie zrobił tego.

Kiedy Gromph odzyskał wreszcie władzę nad ciałem i zawisł nieruchomo w powietrzu, zobaczył jak drobinka pomarańczowego światła mknąca ku twarzy liczą skręca nagle i znika w jarmarcznej koronie, którą czarodziej Agrach Dyrrów miał czelność nosić. Koralik rozbłysnął na krótko płamą pomarańczowej i żółtej światłości, która oświetliła twarz liczdrowa, ale nie poparzyła jej.

Korona, pomyślał Gromph. Powinienem być pamiętać.

Korona wchłonęła kulę ognistą, syknął mu w myślach Na-uzhror.

Gromph był pewien, że jeszcze ją zobaczy.

Korona pozwoli mu skierować kulę ognistą przeciwko tobie, ostrzegł Grendan.

Tak, panowie, odparł Gromph. Dziękuję.

Dyrr zatrzymał się raptownie i zawisł w powietrzu, podskakując lekko. Wyglądał jak kapelusz grzyba unoszący się na powierzchni jeziora Donigarten. Za to Gromph zastygł w powietrzu, stojąc na czymś, co w dotyku przypominało stałą powierzchnię, ale wyglądało jak blada, fosforyzująca poświata.

Kula Grompha nie zniknęła, ale nie była jedyną rzeczą, jaka go otaczała.

Imponujące zaklęcie, stwierdził Nauzhror. *Trudne i kosztowne, rubinowy proszek nie jest tani. Ale poradzisz sobie z nim, arcymagu.*

- Kłatka siłowa? - zapytał Gromph.

Liczdrow nic raczył odpowiedzieć, tylko od razu przeszedł do następnego zaklęcia. Był najwyraźniej przekonany, że schwytał Grompha w pułapkę, więc chciał wykorzystać sytuację. Arcymag wybrał zaklęcie i zaczął je spieszenie recytować, starając się wyprzedzić liczą, choć zdawał sobie sprawę, że będzie musiał przecierpieć efekt czaru Dyna. Musiał wydostać się z siłowej klatki. Bycie uwięzionym w magicznym pudełku nie było w tej chwili zbyt dogodne.

Dyrr skończył pół uderzenia serca przed Gromphem. Gdy licz wykonał ostatni gest, wypowiedział ostatnią skomplikowaną linijkę i zgniótł w prawej dłoni magnetyt oraz szczyptę pyłu, coś otworzyło się pod stopami areytnaga.

Zaklęcie Grompha także zaczęło działać i jego ofiarą padła jego własna kula - ale również kłatka siłowa i Gromph runął w to, co Dyrr wyczarował pod nim.

Arcymag dotknął broszy i zatrzymał się gwałtownie, jeszcze zanim zetknął się z magicznym efektem Dyrra. Gdy leciał w górę, oddalając się od niego coraz bardziej, spojrział w dół - w zupełnie inny wszechświat. Liczdrow otworzył pod nim bramę, z której wylewało się oślepiające, rażące w oczy światło. Gromph widział podobny blask tylko kilka razy w swoim dłu-

gim życiu. Było to światło słoneczne i arcymagowi Menzober-ranzan wcale się to nie spodobało.

- Dokąd próbujesz mnie wysłać? — zapytał Gromph przez ciwnika.

Do Świata Ponad? zastanawiał się na głos Prath, choć tylko Gromph mógł go usłyszeć.

Dyrr nie odpowiedział, zajęty szukaniem jakiegoś komponentu, a może następnego magicznego przedmiotu.

- Udało ci się uwięzić mnie więcej niż raz - ciągnął Gromph - ale za każdym razem więzy są coraz słabsze. A teraz chcesz mnie gdzieś wysłać? Na miłość boską, Dyrr, dlaczego po prostu mnie nie zabijesz, żeby mieć problem głowy? A może nie potrafisz mnie zabić?

Gromph miał oczywiście nadzieję, że tak właśnie jest - i może jakimś przedziwnym zrzędzeniem losu tak właśnie było — ale Dyrr wydawał się mieć inne plany. Licz skończył rzucać zaklęcie. Efekt był natychmiastowy - Gromphowi żołądek podjechał do gardła. Arcymag złapał z sykiem oddech i zaczął spadać.

Nie mógł lewitować - Dyrr rozproszył magię utrzymującą go w powietrzu - i spadał w stronę wirującej plamy dziennego światła. Znając Dyrra, wiedział, że czeka go los znacznie gorszy niż roztrzaskanie się na dnie Rozpadliny Szpona. Losu tego Gromph chciał za wszelką cenę uniknąć.

Arcymag spiął się, zużywając więcej zgromadzonej energii, więcej dostępu do Splotu niż w normalnej sytuacji, ale chciał, by zaklęcie zadziało szybciej i nie miał czasu na bardziej skomplikowane inkantacje. Efekt odczuł tak samo jak wtedy, kiedy Dyrr rozproszył jego lewitację, ale zamiast spadać w dół, Gromph zatrzymał się, a potem zaczął lecieć w górę. Źródło grawitacji, jeśli dysponowało się wystarczającą ilością magii, można było przesunąć.

Gromph okręcił się w powietrzu, lecąc coraz szybciej ku stropowi jaskini mieszczącej Menzoberranzan. Mijając liczą do-

strzegł grymas niezadowolenia na jego twarzy. Arcymag nie marnował czasu na triumfowanie. Jego brosza, przynajmniej na razie, była bezużyteczna, więc wiedział, że będzie leciał ku nowemu źródłu grawitacji, aż roztrzaska się o sklepienie. Musiał się zatrzymać.

Słowo-rozkaz, przesłał mistrzom Sorcere. *Szybko*.

Laska, za pomocą której otoczył się sferą magii ochronnej, miała więcej niż jedną właściwość magiczną. Nigdy nie używał jej w tym celu, ale mogła obdarzyć go taką samą mocą le-witacji jak brosza.

Sshivex, odpowiedział Nauzhror.

- *Sshivex* - powtórzył Gromph i natychmiast zmienił kierunek, oddalając się od sklepienia.

W ułamku sekundy - zanim „wylądował” na sklepieniu - Gromph raz jeszcze zatrzymał się w powietrzu. Plamę oślepiającego blasku widział gdzieś w dole. Światło oślepiało go, ale w końcu dostrzegł liczdrowa, który leciał powoli, w bezpiecznej odległości od portalu, rzucając kolejne zaklęcie.

- Niewiele brakowało - zawołał Gromph do Dyrre. -

Prawie...

Słowa uwięzły mu w gardle. Oczy zaszyły mgłą. Przez kilka sekund nie mógł oddychać.

- Pra... - zaczął znów Gromph, ale urwał, gdy ścisnęło mu się gardło.

Oczy arcymaga zaszyły łzami, a jego samego ogarnęła fala przemożnej rozpacz. Gromph oblał się potem, kręciło mu się w głowie.

To zaklęcie, objaśnił go Grendan.

Miał umrzeć. Gromph był tego absolutnie pewny, ale co gorsza, Menzoberranzan miało zginąć zaraz po nim. Wszystko, co udało mu się zbudować w ciągu życia spędzonego w korytarzach mocy na nic się nie zdało. Menzoberranzan pożerało się żywcem. Wszystko, co Gromph uważał za siłę - w sobie, w swojej rasie - okazało się słabością.

Przymus, dodał Prath.

Nienawiść i nieufność, wendety i animozje, wreszcie zaczęły zbierać swoje żniwo. Wielkie niegdyś Miasto Pająków stało się obłąkaną, podupadającą, samoniszczącą się ruiną swej dawnej świetności — świetności, która wraz ze śmiercią każdego kolejnego drowa okazywała się być od samego początku kłamstwem.

Walcz, arcymagu, ponaglił go Nauzhror.

Lolth była martwa i on też wkrótce zginie. Lolth była martwa, tak jak dom Baenre. I Sorcere. I Menzoberranzan. Wszystko na marne, jego też czekał marny koniec.

Arcymagu... niecierpliwił się Nauzhror.

Ciało Grompha zadygotało pod wpływem obcego mu doznania - szloch. Otarł oczy wierzchem dłoni i zamrugał, starając się powstrzymać łzy, ale napłyęło ich jeszcze więcej. Przez łzy zobaczył, że Dyrr zmienił swoje położenie i teraz unosi się nad nim.

- Tak, młody Baenre - odezwał się liczdrow. - Rozpaczaj. Płacz za upadłym Menzoberranzan. Płacz za domem Baenre.

Płacz? pomyślał Gromph. Czy ja płaczę?

- Zwolnij - powiedział Dyrr miękkim głosem, który targa nemu bólem Gromphowi wydał się pieszczotą. - Stój, młody magu.

Nie, prawie krzyknął głos w głowie Grompha.

Gromph nie zdawał sobie sprawy, że się porusza powoli w stronę sklepienia i oddala od oślepiającego blasku wylewającego się z portalu wyczarowanego przez Dyrra. Arcymag zwolnił i zatrzymał się zaledwie kilka jardów od poszarpanych stalaktytów wiszących pod sklepieniem niczym kły gotowe przebić kark Menzoberranzan Potężnego, gotowe ukarać ich za wszystkie ich słabości.

- Świetnie... - wymamrotał liczdrow głosem, od którego Gromphowi przeszły po grzbiecie ciarki. - Świetnie.

Licz coś trzymał.

Jak dostał się tak blisko?

Arcymagu, zapytał głos w jego głowie, czy mam przybyć ci z pomocą?

Nie, opowiedział w myślach.

Gromph spróbował się uchylić, ale liczdrow dotknął go długą, cienką różdżką z inkrustowanego klejnotami srebra. Jej dotyk sprawił, że ciało arcymaga przeszły oślepiający, rozdzieraający ból. Czarodziej zacisnął zęby, gdy każdy mięsień zeszywniał, a kości wyskoczyły z trzaskiem ze stawów. Oczy łzawiły mu jeszcze bardziej i czuł, jak łyzy spływają mu po mrowiących czarnych policzkach.

Odwrócił się od licza, obracając w powietrzu i zobaczył przed sobą portal. Zmrużył oczy przed światłem, ale zaraz je otworzył i przez chwilę mignęła mu jakaś sylwetka: cień Dyrra na tle słonecznego blasku. Liczdrow był pod nim, choć jeszcze przed chwilą był nad nim. Gromph nie był w tej chwili pewny, co widzi. Dyrz oszukał go, on sam był zdeorientowany... albo umierał.

Czy ja umieram? pomyślał Gromph.

- Umieram? - zapytał na głos, a potem zakrył twarz dłonią, zasłaniając oczy i usta.

Nie, arcymagu, powiedział głos w jego głowie. *Znajdujesz się pod wpływem potężnego zaklęcia.*

W tej chwili Gromph stracił zupełnie całą motywację, zapomniał o jakimkolwiek planie, o jakimkolwiek celu marnego żywota, którym został przeklęty. Chciał się stąd wydostać. Musiał uciekać, ale był wciąż arcymagiem Menzoberranzan, rzucił więc zaklęcie, które miało wydostać go stąd nieco szybciej, przenieść nieco dalej. Kilkoma słowami i gestami, które powtarzał tyle razy, że nawet w tak nieprzytomnym, zrozpaczonym stanie umysłu zdołał wykonać je prawidłowo, Gromph przywołał magię otwierającą drzwi pomiędzy wymiarami - wyrwę w czasie i przestrzeni.

Arcymag zaczął lewitować w jej stronę, ale coś go uderzyło i to mocno. Był to Dyr. Liczdrow schował różdżkę. Cienka magiczna broń powodowała obrażenia i ból, ale nie odrzuciłaby go tak daleko. Gromph znów stracił oddech i zaczął koziołkować w powietrzu.

Blask bijący z portalu stawał się coraz jaśniejszy, ale Gromph nie zdawał sobie sprawy, że zbliża się do niego. Ból wywołany dotykiem różdżki i uderzeniem czegoś, co pchnęło go w stronę światła był wszędzie. Miejscami przeszedł w odrętwienie, a potem zniknął. Gromph wziął głęboki, drżący oddech.

Pierścień, pomyślał. Mam pierścień, który...

Tak, arcymagu, potwierdził głos, pierścień. Pierścień utrzyma cię przy życiu, ale nie wiecznie.

Gromph zacisnął mocno oczy i pozwolił ciału rozluźnić się. Pierścień, który wsunął na palec w Sorcere przed spotkaniem z Dyrrem nad Rozpadliną Szpona, miał moc leczenia obrażeń: składania złamanych kości, zasklepiania ran, a nawet potrafił sprawić, że odrastały odrąbane kończyny. Pamiętał, że go zakładał, ale za żadne skarby nie potrafił sobie przypomnieć, po co. Jaki mógł mieć w tym cel? Żeby żyć? Żyć w spustoszonych ruinach Menzoberranzan rządzonych przez zdradzieckiego Dyrra i armię śmierdzących szarych krasnoludów?

Gromph dotknął pierścienia, chwycił go drugą dłonią i miał już zerwać go z palca, żeby móc umrzeć, kiedy zobaczył mknącego w swoją stronę chichoczącego liczdrowa. Liczdrow śmiał się z niego.

Arcymagu! krzyknął mu w myślach inny głos.

Licz zamrugał i zarzucił do przodu głowę i ramionami. Z groteskowej korony na jego głowie wyleciała małeńka kulka pulsującego pomarańczowego światła, która jakby niesiona falą pomknęła prosto na Grompha po długiej, zakrzywionej trajektorii.

Twoja kula ognista, ostrzegł głos w jego głowie.

- Moja kula ognista... - wyszeptał arcymag i instynktownie zwinął się w pozycję embrionalną, owijając się wokół swojej laski i zaciskając powieki.

Chociaż zamknął oczy, rozbłysk gorącego pomarańczowego światła opalił mu siatkówki. Poczul na skórze ciepło, ale kula ognista nie poparzyła go. On i jego mistrzowie zadbali, rzecz jasna, o to, by osłonić go przed ogniem.

- Jeszcze trochę... - wymamrotał arcymag.

- Gromphie - odwarknął liczdrow. - Ty żyjesz!

- Już niedługo - wymamrotał arcymag drżącym głosem.

Dyrr nic czekał, aż Gromph wyjaśni, o co mu chodzi. Zaczął rzucać następne zaklęcie.

Wybuch kuli ognistej rozproszył Grompha na tyle, że zapomniał o lewitacji i w rezultacie żołądek znów podjechał mu do gardła, kiedy zaczął spadać. Grawitacja była wciąż odwrócona, więc oddalał się od bramy, a zbliżał do sklepienia jaskini.

Kiedy Dyrr skończył zaklęcie, Gromph zaczął układać w myślach listę wszystkich powodów, dla których powinien po prostu roztrzaskać się o skały i umrzeć.

Zanim zrozpaczony arcymag zdołał dojść do jakichkolwiek wniosków, w powietrzu pojawiły się nagle odłamki ostrych, magmowych skał lecące z nadzwyczajną szybkością w jego kierunku. Było ich zbyt wiele, by potrafił je zliczyć, więc nawet nie próbował.

Kiedy meteory wpadły w obszar odwróconej grawitacji, tor ich lotu uległ drastycznej zmianie. Poleciały na wszystkie strony, rozpraszając się, spadając, skręcając, zderzając się ze sobą, a niektóre pomknęły nawet w stronę Dyrra.

Jeden z płonących pocisków trafił Grompha, który zaczął koziolkować w powietrzu. Bok promieniował mu bólem i arcymag, nie zastanawiając się, rzucił zaklęcie. Wystarczyło tylko kilka słów i szybkich gestów, by jego skóra napięła się, naciągnęła boleśnie i nabrała połysku oraz twardości zimnego czarnego żelaza.

Świetnie, mistrzu, pochwalił głos... głos Nauzhrora.

Gromph patrzył, jak jeden z meteorów leci prosto na niego. Mógł uskoczyć w bok, ale nie zależało mu na tym. Śkała uderzyła go w sam środek klatki piersiowej, eksplodując z ogłuszającym hukiem fontanną żółtopomarańczowych iskier. Zaczął koziołkować w inną stronę, zastanawiając się, dlaczego nie uderzył w sklepienie. Obracając się, zobaczył jak Dyr wślizguje się w ciemną dziurę w niebie okoloną fioletowym światłem przypominającym ogień faerie. Liczdownik zniknął w wyczarowanych przez siebie wrotach między wymiarami, aby ukryć się przed powracającymi jak bumerang meteorami.

Wirując, spadając, Gromph zobaczył poszarpane, usiane stalagmitami sklepienie mknące na jego spotkanie, blisko, coraz bliżej - zaledwie kilka cali od niebytu, od słodkiej śmierci...

...i zaklęcie przestało działać.

Gromph nie uczynił go przecież permanentnym. Grawitacja wróciła na swoje miejsce i arcymag po raz kolejny zawisł na sekundę - może nawet krócej - w powietrzu, mając wrażenie, że żołądek mu się obraca. Znow zaczął spadać, ale tym razem w dół - w stronę Rozpadliny Szpona, w stronę światła, w stronę portalu, w stronę miejsca, w które chciał go wysłać Dyr.

Grompha nic to nie obchodziło. Pozwoli się teleportować. Wszystko jedno dokąd, byle dalej od Menzoberranzan, gdzie każdy kamień, każdy stalaktyt i stalagmit, każdy błysk ognia faerie przypominał mu o jego porażce i rozpacz.

Arcymagu, powiedział Nauzhror. Gromphie... nie.

Zamykając oczy przed oślepiającym blaskiem słońca, Gromph wleciał w portal. Mrużąc powieki, widząc jedynie niewyraźną grę światła i cienia, patrzył, jak brama zamyka się za nim. Otoczyło go oślepiające światło.

Grzmotnął o ziemię tak mocno, że złamał nogę, kilka żeber, lewe ramię i niewiele brakowało, a skrzyłby kark. Dygocąc z bólu i szoku, oślepiiony bezlitosnym słońcem, Gromph leżał

na czymś, co przypominało mech. Krew szumiała mu w uszach, w których wciąż słyszał ryk meteorów i świst wiatru. Coś strze-
liło mu w klatce piersiowej, nogi wysunęły się spod niego i
arcymag upadł na plecy.

Gromph dotknął twarzy dłonią i uświadomił sobie, że może
poruszać złamaną ręką prawie bez bólu. Nogi były odrętwiałe i
mrowiły, czuł też, jak żebra wskakują na swoje miejsce.

Pierścień, przypomniał sobie.

Prawie zachciało mu się śmiać. Koniec końców, sam był so-
bie winny, że upierał się przy założeniu tego przeklętego pier-
ścienia. Wkładając go chciał ocalić życie, ale nic przyszło mu
wtedy do głowy, że pierścień będzie go także utrzymywał przy
życiu w jakimś piekle, na jakie skaże go Dyrr.

Gromph zamrugał, otworzył oczy i odkrył, że coś jednak wi-
dzi. Światło było nadal bardzo jasne, ale coś poruszało się po-
między najjaśniejszym punktem a nim samym. Arcymag znów
zamrugał, potarł oczy i spróbował usiąść. Twarz miał wciąż mo-
krą od łez i oddychał ciężko - dyszał jak pracujący ciężko nie-
wolnik.

- Czy *keerjaan*? — zapytał jakiś głos.

Gromph wyciągnął rękę, odpędzając głos, i znów zamrugał.
Nagle uświadomił sobie, że to coś pomiędzy nim a źródłem
światła jest jakąś istotą, która coś do niego mówi.

- Czy co...? - zapytał arcymag.

Urwał, przetarł oczy i skupił się na zakłęciu, które dawno
temu uczynił permanentnym. Był to czar pozwalający mu ro-
zumieć i być rozumianym przez każdego.

- Czy nic ci nie jest? - zapytała dziwna istota i Gromph zro-
zumiał.

Podniósł oczy i zobaczył, że otaczają go drobne, podobne do
drowów istoty - podobne w tym sensie, że miały dwie ręce, dwie
nogi i głowę. Tu podobieństwa się kończyły. Otaczające go isto-
ty miały bladą, prawie różową skórę, a ich kręcone włosy miały

brzydki, brązowopomarańczowy kolor. Ich skóra była usiana drobnymi, brązowymi plamkami. Do twarzy miały przyklejony całkowicie dziecinny wyraz rozkosznego zaciekawienia. Unosiły się nad nim w kręgu, kilka stóp nad porośniętą roślinami ziemią. Każdy miał parę jaskrawych skrzydeł o krótkich piórach.

Większość istot była naga, choć niektóre nosiły szaty z lejącego białego jedwabiu, a kilka miało na sobie spodnie i cienkie jedwabne koszule. Mierzyły nie więcej niż trzy stopy.

-Na ryczący przestwór Otchłani, Dyr - wymruczał Gromph, podkulając nogi i ukrywając twarz w dłoniach - gdzie ty mnie posłał?

W jego umyśle, niczym pękające bańki mydlane, zaczęły pojawiać się słowa.

Halflingi.

Zakłęcia.

Bezdena...

Bezdena rozpacz.

- Bądź przeklęty - szepnął Gromph, jego ciało rozluźniło się, oczy obeschły, a nastrój poprawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Nagle dotarło do niego, że humor nie poprawił mu się za sprawą magii. To magia sprawiła, że wpadł w rozpacz.

- Świetne posunięcie, zdrajco - powiedział Gromph, spoglądając w jasnoblękitne niebo... czego? Świata Ponad?

- Gdzie jestem? - zapytał Gromph dziwne istoty.

Nie czekając na odpowiedź wstał i otrzepał *piwafwi* z sadzy, kurzu i dziwnych, przypominających igły roślin. Oparł się na swojej lasce, ale dzięki pierścieniowi z każdym oddechem czuł się silniejszy.

- Nie wiesz, gdzie jesteś? - zapytał jeden ze skrzydlatych halflingów — kobieta.

- Powiedzcie mi, gdzie jestem, albo pozabijam was i zapytam kogoś innego - warknął Gromph.

Wśród halflingów zapanowało poruszenie - może się wystraszyły, Gromph nie był pewien. Drżąc, podskakiwały w powietrzu w górę i w dół.

- Czy jesteś kambionem? - zapytał jeden z nich.

- Jestem drowem - odparł Gromph - i zadałem wam pytanie.

Skrzydlate halflingi spojrzały po sobie. Jedne uśmiechnęły się, inne pokiwały głowami, a niektóre uśmiechały się i jednocześnie kiwały głową.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała kobieta.

- Zadałem wam pytanie - powtórzył Gromph.

Kobieta uśmiechnęła się i Gromph aż zmrużył oczy, porażony olśniewającą bielą jej zębów.

- Jak mogłeś się tu dostać z... skąd pochodzisz? - zapytał jeden z mężczyzn.

Jestem z Menzoberranzan - odparł Gromph.

- Gdzie to jest? - zapytał inny mężczyzna.

- W Podmroku - odpowiedział Gromph, u którego bezdenne rozpacz ustąpiła palącej niecierpliwości. - Faerun? Torii?

- Faerun-westchnął jeden z mężczyzn. Pozostali popatrzyli na niego. - Mieszkalem tam. W Luiren. Faerun to kontynent, a Torii to świat. Na pierwszym planie materialnym.

Pozostałe skrzydlate halflingi pokiwały głowami i wzruszyły ramionami.

- W takim razie — powtórzył mężczyzna, który zadał poprzednie pytanie -jakim cudem dostałeś się tu z Menzoberranzan, Podmroku, Faerunu, Torilu i nie wiesz gdzie jesteś?

- Nie jesteś już nawet na pierwszym planie, drowie powiedział halfling, który twierdził, że pochodzi z Faerunu. Gromph zauważył, że w brązowych paciorkach jego oczu pojawiła się pogarda. - Przybyłeś na Zielone Pola i nie powinno cię tu być.

- To żaden problem - powiedział Gromph. - Nie zamierzam tu zostać.

Patrząc na ciągnące się jak okiem sięgnąć pagórki pokryte kobiercem drobnych, zielonych roślin podobnych do igieł oraz plamami tęczyowych pąków przypominających cienkie jak papier grzyby, Gromph znów prawie pogrążył się w rozpacz.

Dyrr wysłał go bardzo daleko — na zupełnie inny plan egzystencji.

- Zielone Pola - powtórzył Gromph. - Niebo halflingów.

Nauzhror, pomyślał, posyłając imię przez Splot. *Grendan?*
Słyszycie mnie?

Brak odpowiedzi.

Gromph westchnął. Powrót do domu zajmie mu trochę czasu.

- Skąd ta ponura mina? - mruknęła Aliisza.

Jej dłoń przesunęła się po talii Pharauna, łaskocząc go, ale czarodziej nawet nie drgnął. Uśmiechnęła się i oplótła go ramieniem, przysuwając się do niego coraz bliżej i bliżej, aż przylgnęła do niego całym ciałem. Była ciepła - prawie gorąca i ładnie pachniała.

- Twoja podróż dopiero się rozpoczyna - wyszeptła mu do ucha alu-demon. Oddech miała tak gorący, że prawie parzył go w szyję. - Prawie zazdroszczę ci tych widoków i przeżyć, jakie cię czekają. Wkrótce staniesz przed swoją boginią.

- Czy spodoba mi się to, co zobaczę? - zapytał. - Czy będzie to satysfakcjonujące doświadczenie? Czy moja bogini przemówi do mnie?

Aliisza zeszywniała, ale tylko na sekundę, a potem oplotła nogą maga i wtuliła się w niego. Siła jej uścisku obróciła ich lekko w powietrzu. Pharaun spojrział w dół na statek chaosu i swoich towarzyszy, sto albo więcej stóp pod nimi, nie zważając na ich obecność.

- Wszystkich tych rzeczy musisz się dowiedzieć sam - powiedziała.

- Więc skąd masz pewność, że będzie mi czego zazdrościć?
- zapytał swawolnym, acz wymuszonym tonem, powracając myślami do niej.

- Zazdroszczę ci niespodzianek - odparła, mrugając.

- Byłaś tam kiedyś?

- W Otchłani? - zapytała. - Dawno temu.

- W Pajęczych Otchłaniach?

Alu-demon odsunęła się na tyle, żeby móc spojrzeć mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Nie, nigdy nie byłam w Pajęczych Otchłaniach. A ty?

Pharaun potrząsnął głową. Mógł odpowiedzieć, ale nie kiedy na niego patrzyła. Wtulił się w nią, a ona przycisnęła go mocniej.

- Dwa razy jak sądzę-wyszeptał w ciepłą miękkość jej długiej szyi.

- Jak sądzisz?

- To było dawno temu - odparł Pharaun - i mógł to być sen. A ostatnim razem byliśmy tam wszyscy w postaci astralnej, ale myślałem, że może ty byłaś tam choć raz ciałem. Jesteś demonem. Możesz...

Pharaun urwał. Sam nie był pewien, co próbował powiedzieć.

- Byłaś w Menzoberranzan? — zapytał zamiast tego.

Aliisza znów zeszywniała i to na dłużej, więc wiedział, jak brzmi odpowiedź.

- Czy będziemy mieli dokąd wrócić? - zapytał.

Aliisza wzruszyła ramionami. Pharaun wyczuł tu z ruchu jej ciała.

- Odpowiedz mi - naciskał.

- Tak - odparła - lub nie. Wszystko zależy od tego, co znajdziecie w Otchłani i jak szybko Kaanyr i jego nowi przyjaciele zdołają złamać wasze matki opiekunki.

Pharaun roześmiał się. Znow był wyczerpany. Jezioro Cieni działało na niego osłabiająco.

- Naprawdę, Pharaunie - powiedziała - zadajesz mi pytania, jak gdybym była jakąś wróżką czy wyrocznią... albo boginią. Nie wiem, co spotka ciebie i twoich przyjaciół. Nikt, chyba nawet twoja Pajęcza Królowa, nie potrafi przewidzieć co wydarzy się w szalonym chaosie Otchłani.

Pharaun popatrzył jej w oczy i postanowił nie powiedzieć na głos pierwszej rzeczy, która przyszła mu do głowy.

- Zastanawiałeś się nad moją propozycją?

- Dlaczego chcesz mi pomóc pilotować statek? - zapytał, odpychając ją delikatnie. - Lubimy swoje towarzystwo, ale chyba nie sądzisz, że po prostu ci zaufam. Jesteś wrogiem - a przynajmniej kochanką wroga-miasta, które uważam za swój dom. Możesz ze zechcieć opowiedzieć się po którejś ze stron.

- Po co? - zapytała. - Kiedy jestem z tobą, najbardziej lubię ciebie. Kiedy jestem z Kaanyrem, on jest dla mnie wszystkim. Tak czy inaczej, rozrywkę mam zapewnioną.

Pharaun znow parsknął śmiechem.

- Rozumiem, że to najlepsza odpowiedź, jaką możesz mi dać - powiedział - ty czy jakikolwiek inny tanar'ri.

Aliisza znow do niego mrugnęła.

- Musimy zacząć nasze lekcje - powiedział, badając dłońmi jej wyjątkowe ciało. - Ouenthel i pozostali chcieliby już ruszać w drogę.

Aliisza odpowiedziała na jego dotyk westchnieniem.

- Kiedy tylko sobie zażyczysz, kochany. Wiesz, jak się tam dostać?

- Przez Jądro Cienia - odparł.

Kiwnęła głową.

- Stamtąd na Plan Niezliczonych Portali - bramę do Otchłani. Tam będziesz musiał znaleźć właściwe wejście. Miejsce, którego szukacie - Pajęczce Otchłanie - to sześćdziesiąty szósty poziom. Przebywają tam strażnicy, zagubione dusze i istoty, których pewnie sobie nawet nie wyobrażasz. Może Otchłań ci się spodoba, a może nie. Tak czy inaczej, odmieni cię.

Pharaun westchnął. Pewnie miała rację.

Naprawdę nie chciał tam płynąć.

Kto za to odpowiada? zapytała Quenthel.

Och, mistrzyni, mistrzyni, odparł K'Sothra. Z pięciu żmij przy jej biczu K'Sothra był najmniej inteligentny, ale Ouen-thel i tak słuchała. *Ty, mistrzyni. Ty za to odpowiadasz. To twoja wina.*

Quenthel zamknęła oczy. Czowała, jak skóra jej twarzy napina się, jak gdyby była zbyt mocno naciągnięta na czaszkę. Bolała ją głowa. Dotknęła żmiję tuż poniżej łebka i K'Sothra zwinął się z przyjemnością pod jej dotykiem.

Czy to naprawdę była moja wina? zapytała wysoka kapłanka. *Czy to możliwe?*

Cofnęła palec, znalazła następnego węża i ujęła jego łebek w dwa palce.

Wróciłam, kiedy mnie odesłała i służyłam jej najlepiej jak potrafiłam, powiedziała Quenthel do wszystkich pięciu węży. *Zostałam mistrzynią Arach-Tinilith, a kult Lolth nigdy nie był żarliwszy. Czy nie po to odesłała mnie z powrotem?*

Żmije nie odpowiedziały.

Co się z nami wszystkimi stanie? zapytał Zinda.

Nakrapiany czerwono-czarnymi plamami wąż drgnął, wysunął język w stronę Quenthel i powiedział:

Za to też odpowiadasz, mistrzyni. Wszystko, co się wydarzyło w wyniku odsunięcia się od nas Lolth, zostanie odkupione tylko jeśli zdołasz sprowadzić ją z powrotem. Jeśli zdołasz znów wkraść się w jej łaski, ocali nas wszystkich. Jeśli nie, zginiemy.

Quenthel poczuła, jak garbi się pod ciężarem tego, co usłyszała. Choć ze wszystkich sił usiłowała zebrać się w sobie, pomimo całego swojego wykształcenia nie była w stanie usiąść prosto. Najbardziej przygniatało ją poczucie, że węże mają rację. To była jej wina i tylko ona mogła ją naprawić.

Kiedy Lolth odpowie? zapytała Quenthel, dotykając Quorry.

Trzecia żmija miała najbardziej jadovitą truciznę. Cjumenthel pozwalała jej kąsać tylko wtedy, kiedy chciała zabić, kiedy nie miała zamiaru okazać żadnej litości.

Nigdy, wysyczała Quorra w umyśle wysokiej kapłanki. Lolth nigdy nie odpowie. Menzoherranzan, Arach- Tinilith i cała twoja cywilizacja są bez niej skazane na zagładę, a ona nigdy nie wróci.

Quenthel kręciło się w głowie. Siedziała na pokładzie okrętu chaosu, ale wciąż czuła się, jak gdyby miała się zaraz przewrócić.

To nie musi być prawda, odezwał się Yngoth.

Quenthel coraz bardziej polegała na bezbrzeżnej mądrości Yngotha. To jego głos pozwalał jej się rozluźnić i najbardziej przypominał jej głos drowa.

Dlaczego zostałam odesłana? zapytała Yngotha. *Właśnie po to? Żeby ją znaleźć?*

Kiedy zostałam odesłana, odparł wąż, Lolth nie trzeba było szukać. Czy przez cały czas nie byłaś przekonana, że zostałam odesłana, aby stanąć na czele Arach-Tinilth? Objąć to stanowisko w imieniu domu Baenre, chronić wiarę w Lolth i jej wybranki w strukturze władzy Menzoherranzan?

Teraz nie jestem tego pewna, przyznała mistrzyni Akademii.

Zostałaś odesłana właśnie po to, rzekł Yngoth. To oczywiste. Zostałaś odesłana, aby zostać mistrzynią Arach-Tinilith, aby to ciebie wysłano na poszukiwania Lolth, kiedy bogini postanowi się od nas odwrócić. Miałas być zbawczynią Menzoberran-zan, a może nawet samej Lolth.

Quenthel przygarbiła się jeszcze bardziej.

Jak możesz być tego pewny? zapytała.

Nie jestem pewny, odparł Yngoth, ale brzmi to rozsądnie.

Quenthel westchnęła.

Lolth planowała odesłanie mnie, dopytywała się Quenthel, abym ją później odnalazła? Jak tego dokonam?

Najpierw udaj się do Otchłani, odparł Hsiv. Ostatni z węży zawsze chętnie udzielał swojej pani rad. Udaj się tam, a Lolth doprowadzi cię do siebie. Będziesz wiedzieć, co masz robić.

Skąd wiesz? zapytała Quenthel.

Nie wiem, odparł Hsiv, ale czy masz jakiś wybór?

Quenthel pokręciła głową. Już od bardzo dawna nie miała żadnego wyboru.

Valas popatrzył na obszarpane drowy, członków wyprawy do Otchłani. Nie wyglądali dobrze. Oprócz Danifae, która wręcz tryskała energią i od czasu ich wycieczki do Sschindylrynu wydawała się całkowicie odmieniona, byli zmęczeni, obdarci, rozdrażnieni i nie potrafili się skupić.

- Czy mogę zadać pytanie?

Tylko Danifae spojrzała na niego. Quenthel tkwiła we własnym świecie, pogrążona we własnych, wyraźnie niewesołych myślach. Draegloth przemierzał pokład z prawie nadąsaną miną, jeśli coś takiego było możliwe w przypadku półdrowa, półde-mona. Czarodzieja nigdzie nie było widać.

- Gdzie się podział czarodziej? - zapytał zwiadowca.

Danifae wskazała palcem w górę i gdy Valas popatrzył za nim, zobaczył Pharauna powoli wyłaniającego się z mroku nad ich głowami.

- Nie lękaj się, zwiadowco - powiedział czarodziej, gdy wreszcie wyładował na pokładzie. - Nawet mi się nie śniło, żeby opuścić naszą wspaniałą wyprawę ratującą wielką cywilizację przed unicestwieniem. Jesteśmy już prawie gotowi do drogi, choć mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

Valas stłumił westchnienie. Niekończące się opóźnienia dały się już im wszystkim we znaki - zwłaszcza kiedy następowały bez wyjaśnienia.

- Trzymasz nas tutaj - odezwał się draegloth, mówiąc na głos to, co myślał Valas i zapewne pozostali. - Nie chcesz wyruszyć.

Mistrz Sorcere odwrócił się do draeglotha i uniósł brew.

- Doprawdy? - rzekł Pharaun. W takim razie może ty dostroisz trzeci rezonator Krwawego Steru do planarnej częstotliwości Skraju?

Zapadło milczenie, draegloth przyglądał się magowi spod zmrużonych powiek.

- Nie? — podjął Pharaun. - Tak myślałem. To oznacza, że pozwolisz mi dokończyć to, co zacząłem.

Czarodziej popatrzył na pozostałych. Valas wzruszył ramionami, napotykać jego spojrzenie.

-- To nie jest jakaś tratwa z trzonów grzybów powiedział Pharaun do wszystkich - taplająca się w Jeziorze Donigarten. Ten okręt, jeśli nie zauważyliście, żyje. To istota z czystego chaosu. Ma pewną inteligencję. Posiada wrodzoną umiejętność przenoszenia się między planami z jednej rzeczywistości do drugiej. Czymś takim nie wystarczy wiosłować. Trzeba uczyń go częścią siebie, a siebie częścią niego.

Przerwał dla większego efektu, a potem ciągnął dalej:

- Zamierzam to zrobić - dla dobra wyprawy i z czystej ciekawości. To jedyna w swoim rodzaju okazja zbadania tak egzo-

tycznej magii. Ale musicie wszyscy pamiętać, że jeśli popełnię błąd, możemy nigdy nie wydostać się z tego jeziora. Co gorsza, możemy utonąć w Jądrze Cienia albo zaginąć na zawsze w bezdennej Otchłani.

Mistrz Sorcere rozejrzył się, jak gdyby czekał, aż ktoś się odezwie. Nie doczekał się - nawet Jeggred nic nie powiedział - ale ciągnął dalej:

- Tym razem będzie inaczej - Otchłań, nasza podróż, wszystko. Ostatnim razem zostaliśmy przerzuceni przez plan astralny. Byliśmy tam duchami. Tym razem rzeczywiście tam będziemy. Jeśli zginiemy w Otchłani, nie wrócimy do naszych ciał. Nie będzie srebrnej nici. Będziemy tam naprawę, a jeśli zginiemy...

Valas był ciekaw, dlaczego czarodziej urwał. Może Pharaun nie wiedział, co się stanie, jeśli tam zginą. Czy jeśli zginie się w życiu pozagrobowym, istnieje życie poza-pozagrobowe? Od rozmyślenia nad tym Valasa rozboleła głowa.

- Czy którekolwiek z was było kiedykolwiek w Otchłani? - zapytał Pharaun. - Naprawę tam było, fizycznie? Może ty, Jeggred?

Draegloth nie odpowiedział, ale jego płomienne spojrzenie mówiło wszystko. Żadne z nich tam nie było, żadne z nich nie wiedziało...

- Ja byłem - odezwała się Quenthel. Jej nagła odpowiedź prawie przestraszyła Valasa. - Byłem tam jako duch, jako gość i jako...

Danifae zrobiła kilka kroków w stronę Quenthel, a potem osunęła się na kolana kilka stóp przed nią.

- Jako kto, pani? — zapytała branka.

- Zostałam zabita - oznajmiła wysoka kapłanka głosem, który wydawał się dochodzić z bardzo daleka. Jej żmije, w miarę jak mówiła, ogarniało coraz większe wzburzenie. - Moja dusza powędrowała do Lolth. Służyłam bogini przez dziesięć lat, a potem Lolth odesłała mnie z powrotem.

Valasowi zrobiło się zimno i zwiadowca odsunął się bezwiednie od wysokiej kapłanki.

- Dlaczego? - zapytał Pharaun ze sceptycznym wyrazem twarzy.

- Chyba chciał się zapytać - wyjaśniła Danifae - dlaczego zostałaś odesłana.

- Nigdy o tym nie słyszałem - dodał mistrz Sorcere.

- Trzymano to w tajemnicy - odparła Quenthel - z różnych powodów. Pewne okoliczności dotyczące mojej śmierci i mojego zabójcy mogły postawić mój dom w niezręcznej sytuacji. Zdobycie pozycji, jaką mam, nic jest proste. Nie ma drugiego takiego stanowiska... przynajmniej w Menzoberranzan. Dom Baenre nie chciał z niego zrezygnować na rzecz innego domu. Przez dziesięć lat utrzymywano, że „wyjechałam kontynuować studia” lub rozpuszczano inne pogłoski, od pomysłów po absurdalne. W końcu wróciłam, sytuacja uległa zmianie i zostałam wyniesiona do rangi mistrzyni Akademii.

- A teraz tam wracasz - powiedziała Danifae ściszym, posępnym głosem.

- Jak gdyby ktoś miał wobec ciebie plan - rzekł Pharaun. Nikt już nic nie powiedział. Valas wrócił do bagaży i skończył sortować zapasy.

Danifae wstała powoli. Quenthel nie patrzyła na nią, ale z postawy kapłanki wynikało jasno, że skończyła mówić.

Danifae szybko, ale gruntownie przemyślała jej słowa.

Nie miały znaczenia. Nic nie zmieniły.

Odwróciła się, omiatając wzrokiem pokład. Pozostali wrócili do przerwanych czynności. Każde z nich bez wątpienia rozważało w myślach słowa Quenthel. Odwróciła się do nich plecami i wbiła wzrok w Jeggrda. Kiedy draegloth wreszcie na nią spojrział, odezwała się do niego w języku migowym, trzymając ręce blisko ciała, żeby nikt z pozostałych nie zauważył.

Już czas, powiedziała.

Draegloth kiwnął łbem i spojrział wymownie na poszarpane żagle z ludzkiej skóry zwisające bezwładnie w nieruchomym powietrzu. Danifae kiwnęła głową i zaczęła się przesuwać na drugą stronę pokładu.

Obojgu kilka minut zajęło dostanie się za żagiel w taki sposób, żeby nikt nie pomyślał, że się chowają. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku towarzyszy, Jeggred zapytał na migi:

Dokąd się wybieramy, pani?

Na polowanie, odpowiedziała z uśmiechem Danifae.

Usta draeglotha wykrzywił dziki uśmiech. Półdemon wyglądał na wygłodniałego.

Danifae podeszła do niego. Widziała, że zeszytywniał, wyprostował się - stanął prawie na baczność. Była branka przysunęła się jeszcze bliżej i objęła półdemona rękaw szerokim pasie. Szare futro Jeggreda było ciepłe w dotyku i trochę tłuste. Był zaskakujący miękki.

Danifae skupiła się na pierścieniu odebranych Zinniritowi i w mgnieniu oka znaleźli się w Sschindylrynie.

Jeggred wziął głęboki oddech i rozejrział się po ciemnym wnętrzu domu portali.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

Danifae wzięła go za rękę i zaprowadziła do jednej z bram. Nie odpowiadając na jego pytanie, zakrzętnęła się przy portalu, najpierw aktywując go, a potem dostrajając do ustalonego miejsca spotkania. Portal ożył, z jego wnętrza wylał się strumień oślepiającego fioletowego światła. Wciąż trzymając Jeggreda za rękę, branka wkroczyła do środka. Draegloth bez wahania poszedł w jej ślady i oboje wyłonili się w oświetlonych słabo ruinach.

Nawet gdyby Danifae nic wiedziała, gdzie dokładnie są, domyśliłaby się, że znaleźli się w Świecie Ponad. Światło było dziwne, inne niż jakiegokolwiek oświetlenie w Podmroku. Ściany były zrobione z cegieł - kruszących się i bardzo starych.

W szczelinach między nimi rosły pnącza, wciskające się w każdą rozpadlinę, wspinające się po każdej ścianie, zalegające na ziemi i rozsadzające starą budowlę tak, jak to mają w zwyczaju rośliny w Świecie Ponad.

- Dziwnie tu pachnie - mruknął niechętnie Jeggred. - Co to za miejsce?

Danifae rozejrzała się dookoła, żeby zorientować się, gdzie są. Bładoszare światło sączyło się przez dziesiątki, jeśli nie setki rozpadlin i dziur w niszczących ścianach. Z boku pomieszczenia nierówne stopnie prowadziły na wyższe piętro. Z drugiej strony podobne schody prowadziły w dół. Danifae ruszyła schodami do góry, a Jeggred za nią.

- Kiedyś była to świątynia plugawego, chrząkającego świńskiego boga orków - wyjaśniła. - Teraz to tylko jeszcze jeden gnijący śmieć pochłaniany przez Świat Ponad. Doskonale miejsce, żeby zrobić to, po co tu przybyliśmy, nie uważasz?

- Po co tu przybyliśmy? — zapytał draegloth.

- Nadchodzą zdrajcy - odparła Danifae, rozczarowana jego niedomyślnością.

Weszli do jaśniejszego oświetlonego pomieszczenia i oboje musieli osłonić dłońmi oczy. Danifae podeszła do szerokiej szczeliny w starym murze i wyjrzała na Świat Ponad. Słońce już zaszło, ale światło wciąż ją raziło. Jednak po pewnym czasie jej oczy zaczęły się przyzwyczajać. Sześć jardów niżej rozciągało się to, co mieszkańcy powierzchni nazywali mokradłem. Było to miejsce, gdzie woda przykrywała ziemię - przynajmniej w większości miejsc ale nie było to jezioro. Cały teren wokół świątyni porastała bujna roślinność. Dźwięki wydawane przez miriady stworzeń były prawie ogłuszające. Bagno tętniło życiem. Za mokradłami, wiele mil na zachód, widać było szerokie pasmo wody: ujście długiej rzeki.

Danifae powoli wypuściła powietrze przez nos i usłyszała, jak draegloth potyka się za nią na luźnych kamieniach.

- Nie cierpię jej - wyszeptwała.
- Czego? - zapytał Jeggred.
- Powierzchni.

Danifae przyjrzała się ziemi u stóp zrujnowanej świątyni. W końcu wyjęła z sakiewki pierścień odebrany Zinniritowi i obróciła go w palcach. Gasnące światło odbiło się od jego wypolerowanej powierzchni i wyłowiło z mroku fragmenty rubinów.

Wciskając pierścień w jedną z czterech dłoni draeglotha, powiedziała:

- Użyj tego pierścienia, aby wrócić w dowolnej chwili na okręt chaosu.

Jeggred kiwnął głową, wsunął pierścień na palec i stanął cierpliwie za nią, słuchając z uwagą, gdy tłumaczyła mu, jak z niego korzystać. Pewna, że draegloth zrozumiał, Danifae czekała przez dłużące się jej niemiłosiernie minuty- i w końcu ich zobaczyła.

- Są tam - powiedziała.

Draegloth przysunął się do niej, a ona stłumiła odruch wymiotny, gdy owionął ją jego oddech. Czekala, aż ich zauważy, a gdy ich wreszcie dostrzegł, z jego gardła wydobył się głęboki pomruk.

- Są razem - zauważył.

- Kłamali - powiedziała Danifae. - Halisstra nie wróciła do Menzoberranzan. Poszła do Lasu Velara - lasu, gdzie znajduje się świątynia... - udawała, że ma problem z wymówieniem tego słowa- ...Eilistraee.

Jeggred znów warknął.

- A fechmistrz? - zapytał.

- Dokonał już wyboru - odparła.

Jeggred warczał już przy każdym oddechu. Pałał żądzą mordy. Danifae czuła to w jego zapachu.

- Zajmij się mężczyzną - wyszeptwała do draeglotha. - Na razie tylko nim.

Odepchnęła Jeggreda od szczeliny, ale przytrzymała go, żeby jeszcze został. Wspięła się na występ w murze i wyprostowała na swoją pełną wysokość. Pomachała ręką nad głową, żeby zwrócić na siebie uwagę swojej dawnej pani.

Trwało to irytująco długo, ale w końcu Halisstra zatrzymała się na skraju bagna i wskazała Danifae. Ryld też podniósł wzrok, a Halisstra odmachnęła brance ręką.

Danifae wykonała zamaszyste, przesadzone gesty stanowiące prymitywną wersję migowego języka drowów, które miały oznaczać: *Tylko ty*.

Halisstra odwróciła się do Rylda, żeby z nim porozmawiać. Nawet z tak dużej odległości Danifae widziała, że Ryld nic ma ochoty puścić jej samej. Fechmistrz mógł zdradzić swoje miasto, boginię i rasę, ale nie był głupcem. Mimo to Halisstrze udało się go przekonać - albo mu rozkazać — żeby został. Stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, gdy Halisstra wkroczyła ostrożnie na mokradła.

Danifae odsunęła się od szczeliny w murze i chwyciła dra-eglotha za ramiona.

- Idź-rozkazała, starając się wytrzymać jakoś jego cuchnący oddech. - Nie pozwól, żeby cię zauważyła.

Draegloth uśmiechnął się i z jego dolnej wargi skapnęła gruba nitka śliny. Kły półdemonia połyskiwały w bladym świetle, tak samo jak jego płonące czerwone ślepie.

Danifae pomyślała, że jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziała.

16

Bagienny ryś nie zwęszył zwierzyny. Zapach wypełniający nozdrza wielkiego kota należał do innej istoty. Ryś jeszcze nigdy nie spotkał się z czymś takim, ale to coś musiało być drapieżnikiem - odoru mięsożercy nie sposób było pomylić z niczym innym.

Stąpając lekko, bezszelestnie w płytkiej zimnej wodzie, ryś zadarł głowę i poruszył nią na boki, delektując się tym zapachem. Przez jego ciało przebiegło wyładowanie elektryczne - kot poczuł mrowienie, od którego zjeżyła mu się sierść. Było to znajome, pokrzepiające uczucie, zwiastun udanego polowania.

Ryś poruszał się w cieniu, ukryty za linią drzew. Zauważył rywała i rozpoznał w nim człowieka. Potężny i sprytny myśliwy, jakim był człowiek, nigdy nie respektował terytoriów in-

ných drapieźników. Lekceważył ślady zapachowe, zadrapania na drzewach, najbardziej oczywiste znaki. Wzrok był najslabiej wyczulonym zmysłem kota, a oczy i nos mówiły mu tylko tyle, że intruz jest człowiekiem. Nie widział czarnej skóry męzczyzny, szpiczastych uszu, purpurowych oczu i białych włosów.

Bagienny ryś skumulował w ciele energię Splotu, obnażył kły i przysiadł, gotowy do skoku — gdy nagle w nozdrza uderzył go inny zapach.

Zbliżał się kolejny drapieźnik. Był większy i cuchnął. Jak padlinożerca.

Bagienny ryś rozluźnił się, ale tylko nieznacznie. Obserwował męzczyznę, od czasu do czasu omiatając wzrokiem skraj bagna w poszukiwaniu padlinożercy, i czekał.

Ryld był otoczony.

Dźwięki były wszędzie. Miejsce nazwane przez Halisstrę „mokrądem” żyło jeszcze intensywniej niż reszta Świata Ponnad i fehmistrzowi wcale się to nie podobało. W ciemności dookoła widział poruszające się stworzenia. Były wśród nich owady i pająki, różne rodzaje latających zwierząt i węże... mnóstwo węży. Ziemia ugiąała mu się pod stopami. Podobnie czuł się w niektórych większych koloniach grzybów w Podmroku, ale tam było przynajmniej cicho.

Przed nim na tle nocnego nieba odcinała się wyraźnie czarna sylwetka zrujnowanej świątyni. Z narastającą pewnością, że elf-ka kroczy ku własnej zagładzie, patrzył, jak Halisstra idzie w jej stronę przez coraz głębszą wodę. Spotkanie z Danifae było głupotą, nawet gdyby Halisstra pozwoliła mu pójść ze sobą, i Ryld nie był pewny, dlaczego się na to zgodził. Czy to możliwe, że po prostu tego chciała, a on był tak przyzwyczajony do wypełniania rozkazów kapłanek, że jej posłuchał?

Fechmistrz zaczerpnął powietrza, stanął w mniejszym rozroku i złożył dłonie jak do modlitwy, wciskając jedną w drugą. Uspokoił oddech i oczyścił umysł na tyle, na ile było to możliwe w otoczeniu niewidocznych bagiennych niebezpieczeństw. Obserwował żółte światełka migoczące w powietrzu — jakieś świecące owady latające ospale w zimnym nocnym powietrzu. Iskierki rozproszone na czarnej kopule nieba nie rażyły go, a nawet wspomagały jego naturalny dar widzenia w ciemnościach. Nie było innego źródła światła oprócz...

Oprócz bladego fioletowego blasku omywającego chaotycznymi falami postać samego fechmistrza.

Ogień faerie.

Ryld dobył Rozpruwacza i zrobił krok w tył, przyjmując otwartą postawę, a potem obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, szukając wzrokiem czegoś poruszającego się w jego kierunku - szukając Danifae. To mroczna elfka, korzystając z magicznej zdolności wrodzonej wszystkim drowom sprawiła, że stał się widoczny na ciemnym tle. Któż inny mógł to zrobić?

Musiała już zabić Halisstrę, pomyślał Ryld.

Świat eksplodował oślepiającym blaskiem i fechmistrz usłyszał, że coś dużego biegnie w jego stronę.

Ryld trenował walkę na oślepień i gdy wróg, który go oślepił, zaatakował, zdał się na swoje wyszkolenie. Fechmistrz zaskoczył sam siebie szybkością, z jaką przystosował się do sposobu, w jaki dźwięk rozchodził się w świetle na powierzchni. Obliczył, kiedy Danifae na niego natrze - a musiała to być Danifae - tak że kiedy dzieliły ją od niego zaledwie trzy kroki, uskoczył w bok. Echo kroków zabrzmiało dziwnie. Prawie jak gdyby Danifae miała cztery nogi.

Oprócz tego jego szacunki okazały się trafne i uskoczył byłej brance z drogi w samą porę, by minęła go w strumieniu zimnego powietrza i przykrego, nadzwyczaj silnego zapachu piżma.

Wciąż ślepy, usłyszał, jak zatrzymuje się w wilgotnym, sięgającym kostek mchu. Obróciła się i Ryld czuł, że jest gotowa do kolejnego ataku.

Ryld zasłonił się Rozpruwaczem, tak jak go szkolono. Ostrze nie wgrzyło się jednak w mięso ani w kość, ale celem ataku było nie tyle zabicie, co odstraszenie przeciwnika. Ryld został oślepiiony przez jakieś magiczne światło, co oznaczało, że za jakiś czas odzyska wzrok. Pierwszą zasadą walki na oślepa było utrzymanie się przy życiu, dopóki nie odzyska się wzroku.

Jednak jego plan zawiódł. W chwili, w której ciał Rozpruwaczem w lewo, odsłaniając pierś i twarz — Danifac - to... coś... skoczyło na niego. To zdecydowanie nie była Danifae. To w ogóle nie był drow.

Istota, która przygwoździła Rylda do ziemi była ogromna i porośnięta gęstym, szorstkim futrem. Miała cztery mocne nogi i długie ostre szpony, którymi szarpała mu pancerz, ale nie była w stanie przeciąć krasnoludzkiego mithralowego napierśnika.

Ryld poczuł gorący, cuchnący oddech i do głowy przyszło mu imię: Jeggred.

Co draegloth robił tu z Danifae? Chyba że była branka zabrała ze sobą Quenthel, ale czy naprawdę chciałoby im się marnować czas na uganianie się za nim i Halisstrą, skoro wciąż mieli zamiar obudzić boginię?

Ryld zamrugał, powoli odzyskując wzrok, o czym świadczyło bolesne pulsowanie w zmęczonych oczach. Pazury szarpiące pancerz feehmistrza zbliżyły się niebezpiecznie do jego twarzy, gdy stwór - czy to mógł być draegloth? - przesunął się, próbując znaleźć jakąś lukę w zbroi. Ryld pchnął płazem klingi i obiema stopami, zrzucając z siebie ciężkie zwierzę.

Zwierzę uderzył o zimną, sprężynującą ziemię i przekreślił się na bok, próbując wstać. Warknął, ale jego warknięcie było wyższe i mniej inteligentne od pomruków Jeggreda. Ryld zamrugał, usiłując pozbyć się przed oczu plam czerwieni, zerwał się

z ziemi i okręcił, zasłaniając Rozpruwaczem przed kolejnym atakiem.

Jeśli był to Jeggred, to atakował go z czworaków i tylko kłami oraz jedną parą łap. Ryld odbił płazem cios, ale nie udało mu się odciąć łapy. Stwór ugryzł, ale fechmistrz cofnął się, odchylając w tył i szczęki stworzenia schwyły wyłącznie powietrze.

Ryld znów zamrugał, tym razem prawie w pełni odzyskując wzrok. Nie walczył z Danifae ani Jeggredem, tylko z jakimś porośniętym futrem powierzchniowym stworzeniem. Ryld widział już podobne zwierzęta: koty. Ten, który usiłował go zabić, był ogromny, mierzył dziesięć stóp od czubka nosa do koniuszka ogona. Zmierzwione szare futro falowało na grających mięśniach. Długie, szpiczaste uszy drgały i poruszały się niezależnie od siebie, gdy zwierz okrążał Rylda, który obracał się dookoła, aby cały czas mieć go przed sobą. Buchający z nozdrzy kota oddech zamieniał się w zimnym powietrzu w obłoki pary.

Ryldowi ciarki przebiegły po ramionach. Odczuł dziwną ulgę, że znów poluje na niego tylko miejscowe zwierzę. Danifae jednak się nie zemściła, a przynajmniej nie przy pomocy Jeggre-da. Fehmistrz pomyślał nawet przez chwilę, że Halistra miała rację co do swojej byłej służki, ale dalszy obrót wydarzeń ponownie wyprowadził go z błędu.

Zwierzę skoczyło na niego i Ryld był na to przygotowany. Trzymał Rozpruwacza w górze i nieco z boku i właśnie naprężył ramiona, gotując się do ukośnego cięcia w dół, którym dźgnie zwierzę w głowę, kiedy ryś zatrzymał się. Kot znieruchomiał w powietrzu na uderzenie serca, a potem spadł. Uderzając o ziemię wydał z siebie dźwięk będący czymś pomiędzy pomrukiem i skowytym i od razu spróbował się podnieść.

Fehmistrz odskoczył w tył, zasłaniając się szybko Rozpruwaczem przed...

- Jeggred! - zawołał Ryld.

Draegloth trzymał wielkiego kota za ogon, w mroku ślepią zarzyły mu się na czerwono. Gdy zwierzę zwróciło się przeciwko niemu, Jeggred obnażył kły w dzikim, pełnym nienawiści uśmiechu.

Halisstra weszła schodami na najwyższe, jak się jej wydawało, piętro niszczonej powoli budowli i tam zobaczyła Danifae. Na widok dawnej służki z jej rozchylnych ust wyrwało się westchnienie. Danifae zawsze była piękną między innymi dlatego stanowiła tak pożądany nabytek - lecz choć wydawało się to prawie niemożliwe, dziewczyna wyglądała jeszcze atrakcyjniej. Bujne krągłości jej muskularnego ciała prezentowały się bardzo pociągająco w mroku pomieszczenia, a białe włosy okalające jej piękną twarz były ułożone w sposób, jakiego Halisstra jeszcze nigdy nie widziała u swojej praktycznej zwykle branki.

- Co się stało? - zapytała Danifae cicho. - Wyglądam jakoś inaczej?

Halisstra kiwnęła głową i odsunęła się od szczytu schodów, starając się trzymać plecami do ściany.

- Tak. Wolność dobrze ci służy, Danifae.

- Owszem, Halisstro - odparła Danifae. Halisstrze nie umknął fakt, że Danifae zwróciła się do niej po imieniu. Wolność dobrze mi służy - podjęła - ale mamy wiele spraw do omówienia i bardzo mało czasu.

Halisstra uniosła brew i opuściła dłoń na rękojeść Księżycego Ostrza.

- Grozi ci tutaj niebezpieczeństwo - ostrzegła Danifae, zerkając na miecz Halisstry. - Byłam nieostrożna i wszystko się wydało.

Jej słowa zmroziły Halisstrę.

-Wydało?

- Nie było mnie zbyt długo - powiedziała Danifae. - Wysoka kapłanka i mag przesłuchali mnie i... zmusili, żebym opowiedziała im wszystko o tobie, o Ryldzie, wszystko. Wszystko, co wiedziałam.

Halisstra spróbowała wziąć głęboki oddech, ale pierś miała ściśniętą z napięcia.

- Gdzie oni są? - zapytała Halisstra.

- Daleko stąd - odparła Danifae. - Przygotowują się do podróży do Otchłani, ale wysłali ze mną Jeggreda.

Jej słowa jeszcze bardziej zmroziły Halisstrę.

- Draeglotha? Po co?

- Żeby zabił was oboje.

Halisstra omiotła nieprzytomnym wzorkiem ruinę i znalazła szczelinę w murze, przez którą wcześniej widziała Danifae. Choć oznaczało to odwrócenie się plecami do branki, podbiegła do rozpadliny i zaczęła się szaleńczo rozglądać po tonącym w mroku mokradle, szukając Rylda. W piersi czuła ból, jakiego wcześniej nie знаła. Nie widziała ani fechmistrza, ani draeglotha.

- Gdzieś tam jest, zapewniam cię - powiedziała Danifae.

- Więc ściągnęłaś nas tutaj? - zapytała Halisstra, nie przerywając bezowocnego przeszukiwania bagna. - Wciągnęłaś nas oboje w pułapkę?

- Tak - potwierdziła była branka - ale mogę cię ocalić. Mogę uratować ciebie, ale nie zdołam uratować was obojga.

- Jak chcesz powstrzymać draeglotha, który dostał rozkaz, żeby zabić? - zapytała Halisstra. Skrzywiła się, wciąż rozglądając po mokradle. Miejscami drzewa rosły tak wysoko i gęsto, że zupełnie zasłaniały ziemię.

Ryld musiał tam wejść, pomyślała Halisstra, może zwabiony przez Jeggreda.

- Nie mogę powstrzymać draeglotha - przyznała Danifae. —
Jeśli Jeggred zamierza zabić was oboje, zrobi to, chyba że zabi
je go Ryld albo ja. Tak czy inaczej, ktoś dzisiaj umrze.

• Halisstra westchnęła, nie wiedząc co robić i obawiając się,
że Ryld już nie żyje.

- Nie muszę powstrzymywać Jeggreda - ciągnęła Danifae —
ani go zabijać. Po prostu odejdź i zostaw resztę Ryldowi i mnie.
Jeśli fechmistrz zdoła pokonać draeglotha, świetnie. Jeśli nie,
zdołam przekonać Jeggreda, że ja cię zabiłam.

- Dlaczego miałby ci zaufać? - zapytała Halisstra. — Będzie
chciał zobaczyć moje ciało... a przynajmniej jakiś jego fragment.
I co z Ryldem?

- Pozwól mi zabrać cię stąd - powiedziała była branka.
-Znajdziesz się w bezpiecznej odległości od draeglotha, póki jest
zajęty fechmistrzem i dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Bę-
dziemy mieć czas, żeby coś wymyślić.

Halisstra pokręciła głową i odsunęła się od szczeliny w mu-
rze.

- Nie zostawię Rylda.

Halisstra uśmiechnęła się pod wpływem ostateczności tego
stwierdzenia i uczucia, które mu towarzyszyło.

- Mogę cię stąd szybko wydostać powiedziała Danifae -
i mogę przenieść Rylda z równą łatwością, ale tylko jedną oso-
bę naraz. Chodź ze mną, a potem ja wrócę po feclimistrza.

Halisstra przyjrzała się twarzy swojej dawnej służki i nic z
niej nie wyczytała. Danifae nie wydawała się kłamać, ale jed-
nocześnie nie wydawała się mówić prawdy. Tak jakby jej twarz
została całkowicie wyzuta z wyrazu. Była obojętna, nieprze-
nikniona. Przeraziło to Halisstrę.

- Do tej pory ufałaś mi, pani.

Halisstra zauważyła, że użyła jej tradycyjnego tytułu.

Danifae wyciągnęła rękę do swojej dawnej pani.

- Zaufaj mi, Halisstro.

Pierwsza córka domu Melarn pokręciła głową, nie potrafiąc podjąć decyzji.

- Im dłużej się zastanawiasz, tym dłużej twój fechmistrz walczy z draeglothem... sam.

Na chwilę zapadło milczenie. Halisstra westchnęła, podeszła do Danifae i wzięła ją za rękę. Eilistraee popychała ją już od pewnego czasu. Halisstra wiedziała o tym i znów to poczuła. Próbowwała przekonać samą siebie, że Eilistraee prowadzi ją, podczas gdy Danifae nie prowadzi żadna bogini, tak jak wcześniej przekonywała o tym Rylda.

Gdy wewnątrz zrujnowanej świątyni zniknęło w fali zawrotów głowy i fioletowego światła, a potem zastąpiło je dziwne miejsce przypominające Podmrok, Halisstra starała się zaufać Eilistraee tak mocno, że rozboleła ją głowa. Pomyślała o Ryl-dzie i do oczu napłynęły jej łzy.

Zwierzę rzuciło się na Jeggreda z kłami i pazurami.

Bagienny stwór wyrwał przednimi łapami głęboką bruzdę w brzuchu draeglotha. Rana wezbrała krwią. Jeggred nie drgnął, ani nie krzyknął. Tylko nieznaczne zmruczenie płonących czerwonych oczu świadczyło o tym, że półdemon cokolwiek poczuł. Draegloth zaatakował, używając tylko jednej pary łap, ale kot uskoczył w bok, unikając ciosu i od razu przeszedł do natarcia, zmuszając Jeggreda do obrony.

Kot całkiem nieźle sobie radził i Ryld wiedział, że lepsza szansa ucieczki już mu się nie nadarzy. Zanim Jeggred zabije bestię- o ile w ogóle zdołają zabić- on sam może się ulotnić. Nawet gdyby zostawił Halisstrę, Jeggred i tak pójdzie za nim. Jeśli został wysłany, żeby go zabić, właśnie tak postąpi.

Kot spróbował ukąsić Jeggreda i draegloth zasłonił się ramieniem, pozwalając zwierzęciu wgryźć się potężnymi szczę-

kami w prawy nadgarstek. Kły nakłuły skórę draegloth, ale nie przebiły jej. Uśmiechając się, z parą buchającą z nozdrzy, Jeggred przeciągnął szponami obu lewych łap wzdłuż boków kota. Zwierzę rozwarło pysk, żeby zawyc z bólu, wypuszczając ramię demona.

Jeggred pozwolił, by zwierzę go zraniło. Pazury kota zostały na jego skórze cztery nabiegłe ciemnoczerwoną krwią równoległe smugi. Zwierzę robiło co mogło, żeby dosięgnąć draegloth, ale było ranne, zdesperowane i podejmowało pochopne decyzje. Za to Jeggred tylko wyglądał na rozwścieczonego. Panował nad sobą. Ryld widział to w każdym drgnięciu oczu draegloth, przewidującego ataki kota na trzy, cztery ruchy naprzód. Choć zwierzę broniło się pazurami, Jeggred zdołał się zbliżyć i owinął jedno z większych, silniejszych ramion wokół brzucha zwierzęcia. Szpony draegloth z trzaskiem przebiły skórę kota, a potem rozdarły mu podbrzusze trzema głębokimi, nierównymi nacięciami.

Z brzucha wijącego się jak oszalałe zwierzęcia wypadły wnętrzności. Długie sznury jelit, coś, co musiało być nerkami, i inne narządy wylały się wraz ze strugą parującej krwi na sprężysty mech. Jeggred trzymał zwierzę tuż przy sobie i ścisnął, dopóki kot nie skonał.

Ryld stał kilka kroków dalej w pełnej gotowości, obserwując walkę. Przypominał sobie swoje szkolenia i naczelną zasadę obrony przed pazurami. Istoty posiadające pazury - demony, trolle i im podobne - dźgały, a potem szarpały w dół. Cios pazurami był zawsze wymierzony wysoko i skierowany do dołu. Musiał się tylko na to przygotować. Poza tym nic, co posiadało pazury, nigdy nie parowało ciosów. Jeśli zasłoni się przed atakiem Jeggreda mieczem, draegloth będzie unikał kontaktu z ostrą klingą albo zaryzykuje odrąbanie kończyny. Ryld mógł to wykorzystać, broniąc się przed łapami draegloth, jak gdyby były mieczami. Jeggred nie będzie mógł się

bronić i nie będzie parował ataków Rylda, tylko uchylał się przed nimi.

Draegloth podniósł łeb znad drżącej jeszcze ofiary i wyszczerzył na Rylda podobne do sztyletów kły. Fechmistrz nie cofnął się. Nie był tak silny jak Jeggred i może nie dorównywał mu szybkością, ale był bystrzejszy i lepiej wyszkolony.

To mogło wystarczyć.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał draeglotha. - Chyba nie przybyłeś tu z tak daleka, żeby obronić mnie przed tym kotem.

Póldemon, uwalany gorącą wciąż krwią zwierzęcia, parował.

- Słyszałem o tobie różne rzeczy, fechmistrzu - warknął Jeggred. - Niepokojące rzeczy.

- Mogę sobie tylko wyobrazić - odparł Ryld, trzymając Rozpruwacza oburącz przed sobą.

- Kapłankę jestem jeszcze w stanie zrozumieć - powiedział draegloth. Zrobił powoli duży krok w bok, odsuwając się od martwego zwierzęcia. — Czują się szczególnie zdradzone przez Lolth. Zależy im na władzy i duchowej komunii, więc nie ma nic dziwnego w tym, że jeśli bogini odwróci się do nich plecami, szukają pocieszenia u innej, ale ty?

- Ja nie mogę szukać pocieszenia u innej bogini? - zapytał Ryld, grając na czas, żeby przyjrzeć się uważnie ranom i słabym punktom póldemona.

- Po co - spytał draegloth - skoro możesz je znaleźć u drowki z krwi i kości?

- Rozgryześ mnie - powiedział fechmistrz, zaskoczony, że draeglothowi się to udało.

- Nie ja, tylko moja pani - wyjaśnił Jeggred, wzruszając ramionami. Znów postąpił w bok, zaczynając okrążyć Rylda. - Właśnie teraz stoi nad trupem zdradzieckiej kapłanki. Mnie przypadła w udziale przyjemność zakończenia twojego życia.

- Będzie to bez wątpienia bardzo bolesna i gwałtowna śmierć - powiedział Ryld bez ironii.

Draegloth uśmiechnął się, zaśmiał i zaatakował.

Najpierw smagnął go większymi łapami, wysoko, mierząc w pierś. Ryld zawiął przed sobą Rozpruwaczem, a potem gwałtownie zatrzymał ostrze i ciął w górę, parując cios prawej łapy. ' Tak jak się spodziewał, Jeggred gwałtownie cofnął ramię przed magicznym mieczem. Ryld szybko zmienił kierunek natarcia -odsunął się, a potem pchnął wycofującego się półdemona. Sztych miecza przebił porośniętą futrem skórę draegiotha pod łopatką, zagłębiając się na cal, może dwa. Półdemon, krwawiąc, odskoczył do tyłu, zsuwając się z ostrza.

Ryld też się odsunął, mieczem wykreślając w powietrzu ósemkę.

Wkrótce jeden z nich będzie martwy.

17

- Gdzie on jest? - zapytała Cjuenthel z ledwo hamowaną furią w czerwonych oczach.

- Poszedł ich zabić - odpowiedziała Danifae.

Pharaun przyglądał się tej wymianie zdań z pewnej odległości. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na samym środku pokładu, tuż przed grotem, dokładnie tam, gdzie kazała mu usiąść Aliisza. Czuł pod sobą wibracje statku chaosu reagującego na władzę, jaką nad nim miał.

- Z czyjego rozkazu? - zapytała wysoka kapłanka.

- Twojego, mistrzyni - odparła Danifae - wydanego przez mnie.

- Przez ciebie? - powtórzyła Quenthel. - Przez ciebie?

Pharaun przycisnął jedną dłoń do pokładu i poczuł puls rosnącego tam węzła żył.

Wysoka kapłanka wymierzyła Danifae policzek, ale branka nie cofnęła się.

- Halisstra Melarn i Ryld Argith to zdrajcy - powiedziała Danifae. - Zdradzili naszą misję, zdradzili Lolth i zdradzili cywilizację drowów. Wy to wiecie, ja to wiem i Jeggred to wie. Dlatego tam jest.

- Z twojego rozkazu - podkreśliła mistrzyni Akademii - nie mojego.

- Robi to, co trzeba zrobić - odparła Danifae tonem, który wreszcie zdradzał jakieś emocje: złość i zniecierpliwienie. - Nie byłaś w stanie wydać mu tego rozkazu, więc ja zrobiłam to za ciebie.

Pharaun parsknął śmiechem, ubawiony tą wymianą zdań i zachwycony tym, że statek reaguje na jego myśli i dotyk. Uprowadzenie draeglotha przez Danifae zafascynowało go.

- Mamy czas, pani - odezwał się mag w obronie branki, nawet jeśli zrobił to tylko dla zabawy. - Dlaczego nie pozwolić draeglothowi posprzątać? Jeśli pani Melarn jest rzeczywiście zdrajczynią, co nie jest dla mnie wcale zaskoczeniem, zważywszy na jej zachowanie przed świątynią Lolth, uznaj to za zasługę młodej, służącej ci wiernie kapłanki. Mistrz Argith natomiast, nie wygląda mi na zdrajcę Miasta Pająków. Obawiam się, że brakuje mu cech buntownika. Jeśli coś powinno cię martwić, to to, że fechmistrz może zabić twojego siostrzeńca.

Qunthel popatrzyła na Pharauna, który przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie, a potem z powrotem zajął się statkiem. Wysoka kapłanka rzuciła okiem na Danifae, która stała wyprostowana i zdecydowana, nie cofając się. Mistrzyni Akademii trzymała bicz w jednej dłoni, a zmije owijały się wokół palców drugiej. Popatrzyła na węże, a potem znów na Danifae. Przyglądający się tej scenie Pharaun miał wrażenie, że puls statku przyspieszył na chwilę.

Quenthel zrobiła krok w tył i odwróciła się od Danifae, która westchnęła. Pharaun pomyślał, że branka sprawia wrażenie rozczarowanej.

- Właśnie dlatego - powiedziała Danifae do pleców Quen-thel - teraz Jeggred służy mnie.

Zaczęli się okrażać, badając stopami sprężysty, nierówny mech. Jeggred popatrzył w dół i przyjrzał się ukłuciu. Uniósł jedną brew w czymś rodzaju niechętnego uznania i wywaliłję-zor. Czarnym, szorstkim językiem powoli oblizął ranę. Kiedy znów się uśmiechnął, kły miał uwalane własną posoką.

Zachowuj odległość, powtarzał sobie Ryld. Zachowuj odległość i mierz w ręce.

Draegloth znów zaatakował i znów uderzył wysoko pazurami. Ryld trzymał szerokie, ciężkie ostrze Rozpruwacza równoległe do ziemi. Musiał tylko ugiąć kolana, a potem wstać, odbijając skierowany do dołu cios.

Fechmistrz przyjął atak i sparował go dokładnie tak, jak gdyby wielka łapa była klingą miecza. Jeggred opuścił mniejsze łapy szybko i mocno, więc Ryld nawet nie musiał włożyć w cios siły. Draegloth sam uderzył mniejszym ramieniem w ostrze. Ryld poczuł szarpnięcie, a potem luz. Bryznęła krew. Prawa, mniejsza łapa Jeggreda wyleciała w powietrze i upadła na mech, od którego odbiła się jeden raz.

Ryld nie miał czasu na świętowanie odrąbania draeglothowi jednej dłoni. Odsunął się od bryzgającego kikuta. Jeggred wrzasnął świdrująco i zaczął się szybko wycofywać.

Wiedząc, że półdemon może raptownie przejść do natarcia, Ryld też się cofnął, ale nie tak daleko.

- Zapłacisz za to rękami i stopami, psie - wysyczał Jeggred przez zaciśnięte zęby. - Wykonywałem rozkazy, kiedy przyby-

łem cię zabić, ale teraz - uniósł kikut, z którego wciąż tryskała tętniąca krew - to sprawa osobista.

Minął ożywczy cykl ciemności, podczas którego Gromph na zmianę pogrązał się na krótko w Zadumie, odbywał irytujące rozmowy z tą samą garstką skrzydlatych halflingów i rzucał potężne czary wieszczące.

Ciemność przyniosła oczekiwaną ulgę porażonym słońcem oczom arcymaga. Spędzał już kiedyś noce pod otwartym niebem - choć rzadko - i widywał gwiazdy. Gwiazdy nad Zielonymi Polami wydawały się nieco jaśniejsze niż te widoczne z Faerunu. Gromph nie znał się na tyle dobrze na konstelacjach, żeby zauważyć jakieś różnice w liczbie czy położeniu gwiazd tu i w Faerunie, ale wiedział, że są inne. Zielone Pola były zupełnie inną rzeczywistością.

Przypominając igły roślinę okrywającą falujące pagórki też znał. W kupieckim języku Świata Ponad nazywano ją „trawą”. Halflingi z Zielonych Pól nazywały ją „ens”. Były tu też inne rośliny, które widział już w Świecie Ponad: „kwiaty”, „drzewa” i tym podobne. Nasunęło mu to myśl, że może pod stopami ma coś w rodzaju Podmroku - ale zaraz przypomniał sobie, że nie zabawi tu na tyle długo, żeby się o tym przekonać.

Halflingi, których spotkał, przyjęły go z otwartymi ramionami. Kilku małych człowieczków wydawało się szczerze uszczęśliwionych jego przybyciem. Ten, który nazywał się Dietr i twierdził, że pochodzi z Faerunu, był podejrzliwy, ale zależało mu na czymś, o co nie chciał albo nie mógł poprosić. Były gościnne i zdecydowane pomóc arcymagowi. Przyniosły mu też jedzenie, które można było podzielić na dwie kategorie: ciężkie i zawiesziste sosy pływające w pachnącej śmie-

tanie oraz słodkie, świeże owoce oszłamiające swą różnorodnością. Nic z tego nie przypadło Gromphowi do gustu, ale zjadł tyle, by mieć energię na przygotowanie zaklęć i powrót do Menzoberranzan.

Gromph nie ruszył się z miejsca, w którym się pojawił. Całe Zielone Pola wyglądały tak samo: ogromna otwarta przestrzeń porośnięta trawą i innymi roślinami. Gromph nie zauważył nigdzie żadnego budynku i wyglądało na to, że halflingi mieszkają pod otwartym niebem, powoli i bezustannie przemierzając się z miejsca na miejsce.

Kiedy znów zrobiło się jasno, Gromph wiedział, że musi ruszać w drogę. Rzucił ostatni z czarów wieszczących, który miał mu pomóc wrócić nie tylko na pierwszy plan materialny, ale z powrotem na Torii, do Podmroku pod Faerunem i do samego Menzoberranzan. Był to nie lada wyczyn i Dyrr z pewnością nie spodziewał się, że arcymag zdoła tego dokonać, ale Dyrr nie spodziewał się również, że uwolni się z więzienia, które mu zgotował. Uporczywość, z jaką liczdrow nie doceniał Grom-pha, być może pozwoli mu go pokonać.

Arcymag wstał, osłaniając oczy przed wszechobecnym blaskiem i patrzył, jak Dietr i jedna z kobiet zbliżają się z kolejną tacą owoców.

- Pomyśleliśmy, że może masz ochotę zjeść śniadanie - po wiedział Dietr.

Halfling popatrzył na Grompha z tą samą mieszaniną nadziei i przestrochu na twarzy.

- Zjadłem już dość waszego jedzenia - odparł arcymag - i opuszczam tę waszą bezsensowną krainę.

- Bezsensowną krainę? - powtórzyła kobieta, a jej mieszane uczucia natychmiast zastąpiła złość. - Kim jesteś, aby lekceważyć Zielona Pola?

- Kim ty jesteś, żeby w ogóle się do mnie odzywać? - zapytał Gromph.

Czekał na odpowiedź, ale doczekał się tylko krzywego uśmiechu skrzydlatej kobiety. Dietr wodził wzrokiem od maga do towarzyszki, jego oddech stał się płytki i pełen wyczekiwania.

- Zostawcie mnie w spokoju - rozkazał Gromph.

Gdy dwoje halflingów nie odwróciło się natychmiast, arcy-mag uniósł brew. Kobieta zrobiła co w jej mocy, żeby wytrzymać jego spojrzenie, ale to nie wystarczyło.

- Już kiedyś żyliście - zapytał Gromph - prawda?

Żadne z halflingów nie odpowiedziało od razu.

- Ten tutaj - Gromph wskazał Dietra machnięciem ręki - był żywą, materialną istotą w Faerunie. Gdzie ty żyłaś, zanim odeszłaś w Zaświaty?

Kobieta znów się nie odezwała.

- Przyznam, że jestem ciekawy-ciągnął Gromph. -Jeśli zginęłaś w świecie, z którego pochodzisz, a twoja dusza przybyła tutaj, by spoczywać w pokoju przez całą wieczność, co się stanie, jeśli zabiję cię tutaj? Czy twoja dusza powędruje gdzie indziej, czy też zostaniesz skazana na niebyt? Czy któreś z waszych mizernych bóstw mnie powstrzyma? Nawet bóg halflingów na swoim własnym planie może stanowić pewne wyzwanie, ale może warto spróbować dla samej zabawy.

- Jeśli sądzisz, że możesz mnie zabić, intruzie - zadrwiła kobieta - spróbuj teraz albo się zamknij.

Gromph uśmiechnął się i to wyraz jego twarzy musiał sprawić, że Dietr w końcu wystąpił naprzód, wyciągając ręce w ugodowym geście.

- Spokojnie - powiedział. -- Spokojnie.

Gromph roześmiał się.

- Już lepiej - powiedział Dietr z uśmiechem przylepionym do twarzy cherubina. - Skoro czcigodny drow chce nas opuścić, nikt nie będzie go powstrzymywał.

- Nie będzie tu żadnej przemocy - powiedziała kobieta stanowczym tonem. - Nawet jeśli będę musiała rozwalić was na kawałki...

- Wszyscy zostaliśmy już kiedyś rozwaleni, prawda? - zapytał Dietr. - Nikt nie chce przeżyć tego jeszcze raz, więc nie kłóćmy się.

Gromph wziął głęboki oddech i oznajmił:

- Zaraz was opuszczę, ale otwarty portal będzie miał duży zasięg, a wy nie chcecie przenieść się tam, gdzie ja. Cofnijcie się albo nie, zostawiam to wam.

Kobieta nadal mierzyła go morderczym spojrzeniem, ale odsunęła się nieco od arcymaga.

Gromph zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Była od niego o połowę niższa i wyglądała idiotycznie. Cały ten świat wyglądał idiotycznie. Dyrz wysłał go tu z jakiegoś powodu, a widok skrzydlatych halflingów z każdą sekundą doprowadzał Grompha do coraz większej wściekłości. Dyrz usiłował się go pozbyć, usiłował go zlekceważyć, wysyłając go do tego sielskiego wszechświata, ale on, Gromph Baenre, arcymag Men-zoberranzan, nie pozwoli się lekceważyć.

- Dobrze - powiedział Gromph i zaczął rzucać zaklęcie.

Kątem oka widział, że kobieta odsuwa się jeszcze dalej i założył, że Dietr robi to samo. Wypowiedzenie słów czaru przyszło mu z łatwością, gesty płynnie przechodziły jeden w drugi. Część zaklęcia można było zmodyfikować, o czym wiedziało niewielu doświadczonych magów i Gromph właśnie się tym zajął. Wplótł w zaklęcie subtelną modyfikację, która miała go przenieść dokładnie tam, gdzie pragnął.

Skończył i poczuł, że leci w tył, oddalając się od Zielonych Pól — i poczuł rękę na ramieniu.

Wszędzie było światło, ale niezbyt jasne. Zewsząd dochodziły go dźwięki, ale niezbyt głośne. W powietrzu były kolory, ale niezbyt intensywne.

Poruszały się we wszystkich kierunkach naraz, ale niezbyt szybko.

pojawił się w Menzoberranzan. Pod stopami mieli litą skałę, a ich oczy ukoił mrok rozświetlony ogniem faerie.

Gromph odwrócił się i popatrzył na halflinga. Był nagi, drżał, zniknęły mu skrzydła i wydawał się starszy, mniejszy i słabszy. Oczy miał czerwone, skórę suchą i żółtą. Z wykrzywionej grymasem cierpienia twarzy szczyrzyły się szare, popsute zęby.

Arcymag westchnął i zaczął rozglądać się po okolicy. Byli w Menzoberranzan - na Bazarze. Udało mu się. Na ulicach było niewielu drowów, a nieliczni obecni natychmiast rozpoznali ar-cymaga. Co sprytniejsi rozproszyli się.

Nauzhror, pomyślał Gromph, przesyłając imię wzdłuż Spłotu do czarodzieja Baenre.

Po pełnej napięcia chwili ciszy w umyśle Grompha rozległ się głos: *Arcymagu. Cieszę się, że znów cię słyszę. Witaj z powrotem w Menzoberranzan.*

Był to *Nauzhror*.

Zanim Gromph zdążył odpowiedzieć, rozproszył go wysoki jęk. Popatrzył na wysuszonego halflinga.

- Jesteś głupcem - powiedział do Dietra.

Halfling skulił się pod jego wzrokiem i zadrżał.

- Nie prosiłem cię, żebyś mi towarzyszył - dodał Gromph - a ty nie należysz do tego miejsca, tak jak ja nie należałem do Zielonych Pól.

- Chciałem... - zaczął halfling, a potem zakaszłał. Z jego gardła wyleciała chmura pyłu. - Chciałem znów żyć.

- Dlaczego? - zapytał Gromph.

- Moja matka. Brała udział w seansach, żeby się ze mną skontaktować. Oprócz mnie nie ma nikogo, kto by ją utrzymywał.

Gromph gruchnął śmiechem.

- To nie jest zabawne - powiedział Dietr.

Gromph śmiał się jeszcze chwilę, a potem rzucił zaklęcie.

- To była zabawna przygoda, zdrajco - rzucił w powietrze - ale dość tego. Skończymy na Bazarze. Teraz.

Wciąż zostało mu jeszcze trzynaście słów, ale nie miał już nic więcej do powiedzenia.

Liczdrow ukrywa się w domu Agrach Dyrr, przesłał Nauzh-ror. Oblężenie trwa nadal.

~ Nie rozumiem - powiedział Dietr.

Gromph spojrzał znów na halflinga.

- Czy możesz przenieść mnie do domu? — zapytał Dietr. - Czy możesz wysłać mnie do Luiren?

Gromph uniósł brew, zaskoczony śmiałością tej istoty, a potem wypowiedział krótkie zaklęcie wieszczące. Choć wyglądał halflinga wyraźnie na to wskazywał, nigdy nie zaszkodziło się upewnić. Pod wpływem zaklęcia drobnego humanoida otoczył charakterystyczny blask.

Gdzie byłeś? zapytał Nauzhror.

Nigdzie, dokąd chciałbym wrócić, odparł Gromph, *ale ktoś ze mną wrócił.*

Rozumiem, rzekł Nauzhror. *Po przejściu przez portal zyskał fizyczną postać.*

Ale on umarł na tym planie, dodał Gromph, *więc kiedy wrócił...*

- Tak - odpowiedział w końcu halflingowi arcyomag. - Mogę wysłać cię, dokąd tylko zechcę. Ale nie zrobię tego, rzecz jasna.

Halfling zadyszał, a Gromphowi wydało się, że słyszy grzechot jego kości.

- Proszę...? - zaskamlał halfling.

- Twoja matka nie będzie zachwycona twoim widokiem, Dietr - rzekł Gromph. - Umarłeś. Pamiętasz? Wróciłeś do tego świata nieproszony. Wróciłeś jako...

To huecuva, podsunął Nauzhror.

- Jako nieumarła istota - dokończył Gromph. - Jesteś huecu-
wą. Wiesz, co to takiego?

Halfling pokręcił głową z przerażeniem w nabiegłych krwią
oczach.

*Gromph, młody przyjacielu, rozległ się w głowie czarodzieja
głos liczdrowa, witaj z powrotem. Oczywiście przyjmuję twoje
uprzejmie zaproszenie. To dla mnie zaszczyt towarzyszyć ci w
twym ostatnim dniu.*

Gromph skinął głową, wymamrotał prosty czar
nekroman-tyczny i skierował go w halflinga. Poczul, że
przejmuje kontrolę nad nieumarłą istotą.

- Wyprostuj się - rozkazał Gromph i Dietr natychmiast usłu-
chał, choć widać było, że nie czuje się z tym dobrze.

Gromph rzucił kolejne zaklęcie i tym razem martwe ciało
halflinga otoczył magiczny ogień.

- Nie... -wymamrotał halfling. Proszę.

Gromph ścisnął mocniej trzymaną w rękę laskę i wyczaro-
wał wokół siebie kulę ochronnej mocy.

- Proszę nie... błagała huecuva.

Gromph rozejrzał się po Bazarze opuszczonych namiotach i
kramach, w większości pozamykanych i kilku ciekawskich
drewnach obserwujących ich z bezpiecznej odległości w pobl-
skich stalaktytach.

- Proszę, pozwól mi... - błagał Dietr.

- Milcz - rozkazał Gromph i halfling był zmuszony posłu-
chać. - Postanowiłeś mi towarzyszyć, a teraz jesteś w
Menzo-berranzan, nie w Luiren. W Menzoberranzan
nieumarłych traktuje się jak rzeczy.

Huecuva poruszała w milczeniu ustami, a jej skóra pokryła
się gęsią skórką.

Gromph poczul coś, czyjaś obecność i szybko rozejrzał się
po Bazarze. Na drugim końcu przecinającej targowisko alei zo-
baczył plamę zielonego światła. Zaklęcie, które rzucił na Die-

tra, pozwalało mu widzieć wyraźną aurę otaczającą nieumarłych, a zielone światło było właśnie taką emanacją, ale Gromph widział wyłącznie aurę - smugę zielonego światła wokół pustej przestrzeni.

Gromph szybko zaintonował kolejną inkantację, opierając sobie łaskę o pierś, by móc gestykulować obiema rękami. Z koniuszków jego palców wystrzeliły skręcające się smużki błękitnego płomienia, rosnące w miarę jak zbliżały się nieomylnie do zielonego cienia. Płomień zadrżał i wychudł. Włał się w punkt na szczycie cienia i zniknął w nim.

Korona, westchnął Nauzhror.

- Stań przede mną - polecił Gromph halflingowi.

Huecuva zrobiła dokładnie tak, jak jej kazano, w chwili, w której fala błękitnego ognia wystrzeliła z powrotem w stronę Grompha. Płomienie uderzyły halflinga prosto w pierś i aktywowały ochronny czar rzucony na nieumarłego przez Grompha. Błękitny ogień zmienił się w czerwonopomarańczowy rozblask, który pomknął z powrotem. Zielony cień zastąpiła widoczna w pełni postać liczdrowa Dyrra, który przestał być niewidzialny.

Ogień z ochronnej aury huecuy poparzył liczę, co wywołało uśmiech na twarzy Grompha. Arcymag spojrział na halflinga i zobaczył, że jego martwe ciało tli się. Twarz Dietra była wykrzywiona cierpieniem.

- Idź - rozkazał Gromph. - Zabij liczę.

Dyrr rzucił na Grompha jakiś czar, ale jego osłony zdołały go odbić. Arcymagowi zakręciło się lekko w głowic i to wszystko. Dietr ruszył chwiejnym krokiem naprzód, niechętnie, ale pod przymusem. Szedł zbyt wolno.

- Zabij licza - zawołał za nim Gromph - a odeślę cię do matki.

Dietr uwierzył w kłamstwo i puścił się biegiem. Dyrr ruszył mu na spotkanie i przejechał szponami przez twarz huecuy.

Dotyk licza wyzwolił czerwonopomarańczowy ogień, który buchnął mu potwornym żarem w zamaskowaną twarz.

Dyrr cofnął rękę, ale szkody nie dało się cofnąć. Zaryczał, sfrustrowany i wściekły.

Gromph rzucił już następne zaklęcie. Skończył, zanim Dyrr ponownie uderzył i ręka liczdrowa zastygła w powietrzu. Gromph nie spodziewał się, że czar zadziała, ale udało mu się. Dyrr zniechęcił się.

- Zabierz mnie do domu! - zaskrzeczał nieumarły halfling.

Przejechał nieumarłymi paznokciami przez zapadnięte policzki Dyrra. Zastygły liczdrow warknął z bólu i poniżenia, odzyskując swobodę ruchów.

Wykorzystując gniew Dyrra na huecuve, Gromph przekształcił energię pomniejszego wieszczenia w wybuch tajemnego ognia. Srebrzysty blask zalał liczdrowa, a był tak jasny, że arcymag musiał zamknąć oczy.

Dyrr rzucił właśnie zaklęcie, które z pewnością rozerwałoby Dietra na strzępy, ale tajemny ogień buchnął mu prosto w twarz. Nie dokończył zaklęcia i znów został poparzony.

Ranisz go, odezwał się w umyśle Grompha Grendan.

Dietrznów uderzył, wrywając głęboką bruzdę w przedramieniu liczdrowa. Z rany zaczęła się sączyć gęsta, martwa krew.

Liczdrow spojrzał na Grompha i arcymag zobaczył w jego nieumarłych oczach, że został ranny i to poważnie. Gromph uśmiechnął się i...

Dietr eksplodował fontanną czarnego ognia, martwego mięsa i poźółkłych kości.

Co się dzieje? zapytał Nauzhror.

Sfera magicznej energii otaczająca Grompha znikła-jej magia zużyła się - w chwili, w której arcymag zdał sobie sprawę, że czarny ogień, który zniszczył huecuve, nie jest dziełem Dyrra.

Liczdrow popatrzył na przestrzeń nad Bazarem i Gromph podążył za jego spojrzeniem.

Kilkanaście jardów nad targowiskiem, zawieszony na nieto-perzych skrzydłach, unosił się Nimor Imphraezl.

Skrzydła? zdziwił się Gromph.

Wiedziałem, że nie jest prawdziwym drowem, powiedział Na-uzhror.

- Cóż - odezwał się do liczą Nimor, głębszym, mocniejszym głos niż ten zapamiętany przez Grompha - wygląda na to, że jednak ci się przydam.

Ryld stał po kolana w lodowatej wodzie mokradła. Jeggreda nigdzie nie było widać. Dochodzące zewsząd dźwięki utrudniały mu wychwycenie odgłosów poruszającego się draeglo-tha. Dziwne zapachy maskowały cuchnący oddech Jeggreda. Punkciki gwiazd i płamki świetlików uniemożliwiały zauważenie go w zimnej wodzie i gęstej roślinności. Magiczny ogień, jakim otoczył fechmistrza dziwny bagienny kot, już dawno zgasł.

Od czasu do czasu widział jakieś stworzenia poruszające się w wodzie, głównie węże, ale żadnych na tyle dużych, by mogły być draeglothem. Coś prześliznęło mu się obok nogi, ale na pokrytej śluzem powierzchni wody nie zaznaczył się żaden ślad. Było to z pewnością coś żywego, ale na pewno nic Jeggred. Cokolwiek to było, drugi raz już go nie dotknęło.

Stawiając ostrożnie każdy krok, szedł przez bagno o wiele wolniej, niż by chciał. Cienka warstewka jasnozielonej rzęsy sprawiała, że nie widział własnych stóp. Przy każdym kroku but fechmistrza napotykał jakiś opór: kamień, coś miękkiego, coś, co mogło być żywe, coś twardego i oblego jak laska- tych było dużo - i coś ostrego jak ostrze sztyletu.

Na powierzchni, kilka stóp od Rylda, pojawiła się bańka wielkości jego pięści, tkwiła tam tak kilka sekund, a potem pękła. Ryld zatrzymał się, obserwując ją, a potem wzdrygnął się, gdy doleciał go wreszcie odór uwiezionego w niej powietrza. Przypominał ohydny oddech draegloth, ale różnił się na tyle, by Ryld miał pewność, że to nie Jeggred wypuścił bańkę - a nie była to pierwsza taka bańka, jaką widział.

Ryld zrobił krok naprzód, znów dotykając stopą czegoś twardego. Użył techniki Melee-Magthere, aby uspokoić oddech i drżenie, które mogło spowolnić czas reakcji. Przy wydechu widział swój oddech tworzący kłęby białej pary w powietrzu tak zimnym, że przy wdechu bolały go zęby.

Twarz fechmistrza zalał rozbryzg wody, zmuszając go do zamknięcia oczu. Woda była gęsta od rzęsy i ziarnistych cząstek czegoś - czego Ryld nawet nie potrafił odgadnąć. Oczy przeszły mu rozbłyski żółtego światła i ból każący mu zacisnąć zęby. Zasłonił się jednak mieczem i ciął dwa razy, mierząc w to coś, co go opryskało. Ostrze nie napotkało oporu.

Z głębi wynurzyły się pazury, które wbiły mu się w lewą łydkę, a potem pociągnęły w dół. Szpony zostawiły na skórze głębokie, poszarpane bruzdy i Ryld poczuł na nodze własną krew, najpierw ciepłą, potem chłodniejszą w zetknięciu z zimną wodą bagna.

Robiąc krok w tył i dźgając mieczem w dół, Ryld nastąpił w wodzie na coś przypominającego kawałek skamieniałego sznura. Choć starał się mierzyć w miejsce, w którym zgodnie z jego oceną musiał ukrywać się Jeggred, Rozpruwacz zarył

w gąbczaste dno, nawet nie musnąwszy draeglotha. Ryld upadł do tyłu, lodowata woda zakryła mu głowę.

Następny atak draegloth zepchnął jedną z dłoni fehmistrza z głowicy wielkiego miecza i odrzucił oręż w bok. Po wewnętrznej stronie lewej ręki fehmistrza pojawiły się kolejne głębokie zadrapania. Ryld miał ochotę wrzasnąć, ale był pod wodą, więc tylko pewnie chwycił miecz. Nawet pośród zagłuszającego wszelkie inne odgłosy ryku kotłującej się wody poczuł, że szczęki draegloth kłapnęły o pół cala od jego szyi.

Draegloth siedział na fehmistrzu i teraz musiał już tylko przytrzymać go wystarczająco długo pod wodą, żeby utonął. Popęlnił jednak błąd, ujawniając swą pozycję i Ryld wykorzystał to.

Napierając jedną nogą, Ryld wyczuł ciężar półdemona. Pchnął mocniej, odchylając się w tył i prostując nogę, co nie było łatwe, jako że draegloth był od niego cięższy o ponad dwieście funtów. Prawie udało mu się przerzucić go sobie nad głowę, ale - może z powodu oporu wody, zimna, drżenia albo wyczerpania - kolana ugięły mu się i draegloth spadł na niego.

Szpony Jeggreda odnalazły spód napierśnika Rylda i zostały kilka płytkich, acz bolesnych nacięć na brzuchu fehmistrza. Jednak zimna woda spowolniła upływ krwi. Ryld prawie podświadomie dostrzegł ironię całej sytuacji. Zaraz utopi się w wodzie, która nie pozwalała mu wykrwawić się na śmierć.

Ryld znów naparł, tym razem używając Rozpruwacza zamiast nóg. Albo draegloth bał się wielkiego miecza, albo po całkowitym zanurzeniu był lżejszy, w każdym razie Ryldowi udało się zrzucić go z siebie. Pchnął jeszcze kilka razy na oślep mieczem, aby utrzymać draeglotha na dystans, kiedy wstawał.

Kiedy wreszcie wynurzył głowę na powierzchnię, poszukał Jeggreda, jeszcze zanim wziął pierwszy oddech. Nigdzie nie było go widać. Ryld z trudem podniósł się z wody, dwa razy ślizgając się na czymś, co przypominało pokryte jakąś mazią

kamienie. Mimo to udało mu się przyjąć postawę obronną z trzymanym oburącz Rozpruwaczem przed sobą.

Potyając się o kolejne podwodne przeszkody, Ryld zaczął brnąć przez wodę, kilka kroków od miejsca, gdzie, jak zgadywał, powinien leżeć Jeggred po tym, jak zrzucił go z siebie.

Szedłby dalej, ale przystanął, słysząc za plecami kolejny głośny plusk.

Określił się, trzymając miecz w pogotowiu, i zobaczył wzburzoną wodę. Wyglądało mu to na oznaki walki. Zdziwiony bezczelnością Jeggreda, który po raz drugi próbował go podejść w ten sam sposób, zbliżył się jeszcze o krok, trzymając miecz nad głową, przygotowany na każdą ewentualność.

Draegloth wyrwał się na powierzchnię bagna, mlójąc ją szponami. Jego biała grzywa wyrzuciła w powietrze fontannę wody, gdy coś odciągnęło mu łeb do tyłu. Oplatały go ciemnozielone sznury - musiał się zaplątać w jakąś roślinę. Ryld miał wrażenie, że rośliny się poruszają, ślizgając po ciele Jeggreda niczym węże dusiciele.

Jeggred ledwo zdążył zaczerpnąć powietrza. Równie szybko jak się wynurzył, zniknął w kłębiącym się wirze, zostawiając wyrwę w rzęsie przykrywającej wodę.

Ryld nie miał czasu zastanawiać się nad tym, co zobaczył. Coś owinęło mu się wokół kostki i pociągnęło. Fecmistrz znał tysiąc sztuczek pozwalających utrzymać się na nogach, nawet jeśli ktoś naprawdę chciał mu je podciąć, ale choć bardzo się starał, coś, co go ciągnęło, było za silne.

Ciął więc mieczem.

Wciąż miał w rękach Rozpruwacza, jeden z najostrzejszych mieczy w Podmroku. Ryld dźgnął ostrzem w dół, mierząc w to coś, co go chwyciło.

Nie było to proste - to coś wokół jego kostki było tyleż silne, co krzepkie - ale udało mu się je rozrąbać, o mały włos nie odcinając sobie przy tym stopy. Rzucił się do tyłu, brnąc w wo-

dzie, a potem zatrzymał się i obrócił, widząc kątem oka jakieś poruszenie.

Z wody sterczało kilka zielonych żylastych pnączy przypominających węże rozglądające się za następnym posiłkiem. Ryld nie widział oczu, ani pysków, tylko zielone łodygi grubości jego własnych potężnych nadgarstków. Nie miały twarzy, ale były jak najbardziej żywe i wyglądały zupełnie, jak gdyby go szukały.

Jedno z pnączy wyskoczyło w jego stronę, wynurzając się z wody i mknąc przez powietrze ku jego gardłu.

Fechmistrz ciął szybko i mocno na wysokości piersi, ścinając cztery cale z końca atakującej liany. Z rany, niczym krew, trysnął żółtozielony sok, liana zadygotała, a potem spadła do wzburzonej, pokrytej rzesą wody.

Kolejne pnącze próbowało opleść Rylda od tyłu, a jeszcze więcej uczepiło się go pod powierzchnią. Fechemistrz szybkimi, płynnymi ruchami Rozpruwacza ciął wodę przed sobą i po bokach, odrabując jedną po drugiej końcówki ożywionych lian.

Jeggedr znów wynurzył się na powierzchnię, łapiąc szmatywnie powietrze i drąc pazurami masę ciemnozielonych lian. Był pokryty bagiennym szlamem, roślinnym sokiem i krwią. Jedno z pnączy owinęło mu się wokół twarzy i wdarło do pyska - był to błąd. Draegloth zacisnął szczęki i podobny do krwi sok rozbryznął mu się na policzkach. Liana zadygotała i znieruchomiała, ale na jej miejsce wynurzyło się z wody pół tuzina następnych, które znów wciągnęły draeglotha pod powierzchnię.

To bagno, pomyślał Ryld, przecinając dwa następne atakujące pnącza, zabije nas obu, zanim zdążymy pozabijać się nawzajem.

Kolejny powód, by nienawidzić Świata Ponad.

Jeggedr znów wynurzył się na powierzchnię, żeby wziąć kolejny oddech i Ryld odniósł wrażenie, że draegloth zaczyna wy-

grywać z przeklętymi pnączami. Ryld ciął następną lianę, a potem odrąbał pnącze, które prawie zdołało mu się owinąć wokół rannego uda. Liany wciąż atakowały go jedna za drugą, a on nie miał pojęcia, ile ich jest, nie mówiąc już o tym, kiedy wreszcie dadzą za wygraną albo on zabije ostatnią z nich. To i obawa, że draegloth znów się na niego rzuci, sprawiło, że fech-mistrz podjął decyzję.

Rozejrzał się, siekąc mieczem w prawo, aby przeciąć lianę, a potem na wprost, żeby rozrąbać kolejną, śledząc ich ruchy kątem oka, a samemu szukając drogi ucieczki.

Po jego prawej - już dawno stracił orientację, więc nie miał pojęcia, gdzie jest wschód, zachód, północ czy południe - woda przechodziła w nieco bardziej stałą, jeśli nie zupełnie suchy łąd. Większe drzewa o długich gałęziach podobnych do biczy tworzyły las cienkich sznurów. Za zwisającymi gałęziami dostrzegł rozproszone pomarańczowe światła, które musiały być płonącymi w pewnej odległości pochodniami.

Wiedział, że mogły je zapalić najróżniejsze rozumne istoty i z pewnością nie były to drowy. Mimo to dostanie się na teren osiedla mogło być dla niego korzystne. Jeśli Jeggred będzie go ścigał, i okaże się, że to ludzka, orcza albo elfia osada, mogą tam nie przepadać za drowami, ale na pewno będą przerażeni obecnością draeglotha. Może w ten sposób uda mu się zyskać na czasie, a może sojuszników.

Kolejne pnącze owinęło mu się wokół kostki i szarpnęło. Ryld upadł na jedno kolano, prawie wpadając twarzą w wodę, zanim udało mu się je przeciąć. W bucie zostało mu rozcięcie, przez które wlała się woda i fechmistrz zadygotał. Uwolnwszy się, mszył biegiem. Nawet nie starał się być cicho, z pluskiem brnąc przed siebie przez sięgającą kolan wodę. Za nim Jeggred znów wynurzył się na powierzchnię, szarpiąc pnącza wciąż oplatające go w pasie, ryknął, wziął głęboki oddech i znów zniknął pod wodą.

Ryld wdrapał się na stały łąd i podskakiwał niezgrabnie, umykając przed lianami chwytającymi go za pięty. Ziemia była śliska i błotnista, pokryta łatami oślizłego mchu, ale biegł dalej, potykając się co chwila. Zza pleców dobiegło go charakterystyczne warknięcie draeglotha, plusk i odgłosy szamotaniny. Biegąc między siekącymi jak bicze gałęziami, mijając rosnące blisko siebie drzewa, słyszał za sobą sapanie i warczenie draeglotha. Jeggred znów wynurzył się na powierzchnię, usiłując uwolnić się spomiędzy lian.

Fechmistrz biegł dalej i wkrótce do odgłosów wydawanych przez walczącego draeglotha dołączyło słabe echo głosów z naprzeciwka. Nie przystając ani na chwilę wydostał się z lasu związających gałęzi. Polana była rozległa i stosunkowo sucha. Zamiast drzew sterczały tu tylko pniaki i Ryld wskoczył na jeden z nich, a potem przeskoczył na następny i jeszcze następny, zmierzając w stronę osady. Pniaki dawały stopom pewniejsze oparcie i były mniej śliskie niż błotnista, omszała ziemia.

Pochodnie paliły się na długich żerdziach wbitych w ziemię wokół kilkunastu niewielkich szałasów i obszarpanych namiotów. Nawet Ryld, który wiedział niewiele o Świecie Ponad, poznał, że to tylko tymczasowe obozowisko, a nie wioska. Głosy dobiegające z jednego z porządniej wyglądających budynków brzmiały jak ludzkie. Fechmistrz rozumiał co niektóre słowa we wspólnym języku kupieckim. Uczył się go w Melee-Mag-there, ale nie miał zbyt wielu okazji, by go używać i wielu słów wciąż nie znał.

Obok osady leżała wielka sterta pni oczyszczonych z gałęzi i ułożonych w równiutką piramidę wysoką prawie na dziesięć stóp. W Menzoberranzan byłaby warta krocie.

Ryld przeskakiwał z pieńka na pieńek w stronę większego budynku, ale zatrzymał się na chwilę, żeby schować Rozpruwacza i otrzymał mocny cios w plecy. Poleciał do przodu na pniak, z wielkim mieczem wciąż w prawej dłoni, czując w ple-

cach promieniujący ból. Upadł na pieńki, odepchnął się, przetoczył do przodu i zobaczył za sobą ciemny kształt Jeggrede. Fehmistrz kopnął z całej siły obiema stopami, mierząc w podbrzusze draegloth. Jeggred stęknął i cofnął się, co wystarczyło, żeby Ryld zdążył się podnieść.

Trzymając oburącz Rozpruwacza, wykonał zwód, udając, że chce ugodzić demona w brzuch. Jeggred dał się nabrać i umknął w bok. Fehmistrz wskoczył z powrotem na jeden z pniaków, a potem tyłem na następny. Przemoczony do suchej nitki draegloth oblepiony był szlamem i krwią. Jego purpurowe ślepie błyskały w ciemności, z pyska i nozdrzy buchała mu para.

Ryld usiłował wymyślić jakąś odzywkę, żeby rozdrażnić draegloth, ale w głowie miał pustkę. Pharaun miałby na końcu języka tysiąc irytujących uwag, którymi mógłby rozproszyć przeciwnika, ale Ryld potrafił tylko trzymać język za zębami i skupić się na walce. Poza tym obaj już dawno przekroczyli granicę, za którą konwersacje nie były możliwe.

Mistrz Melee-Magthere wiedział, że za plecami ma budynek. Widział, że pomarańczowy blask bijący z okien robi się coraz jaśniejszy, a głosy coraz głośniejsze. Nie zauważył zmiany w tonie urywków rozmów dobiegających zza okna. Nie podniesiono alarmu.

Jeggred zamachnął się na niego jednym z większych ramion i Ryld spróbował mu je odrąbać, ale na własnej skórze przekonał się, iż był to tylko zwód. Szpony mniejszej łapy draegloth przejechały mu po twarzy. Fehmistrz cofnął się i nagle odkrył, że za sobą nie ma już pieńków. Pośliznął się na błotnistej ziemi, jednocześnie tnąc przeciwnika przez nogi. Sztych wielkiego miecza wyrysował na udzie Jeggrede smużkę czerwieni i draegloth zatrzymał się, co wystarczyło, żeby Ryld odzyskał równowagę i odskoczył w tył o trzy długie kroki.

Pomarańczowy blask ognia oświetlił sponiewieranego walką draegloth i załśnił na jego ogromnych, podobnych do sztyletów

klach. Szczęrcząc zęby, draegloth rzucił się na Rylda. Jedyne, co fechmistrz był w stanie zrobić, to podnieść ręce i zasłonić się mieczem.

Jegfred wpadł na niego z takim impetem, że wycisnął mu powietrze z płuc i odepchnął miecz tak mocno, że wbił się w bok twarzy fechmistrza, nieomal obcinając mu ucho. Ryld poczuł, jak stopy odrywają mu się od ziemi, poderwane w górę pędem draeglotha. Przelecieli przez okno, wybijając szybę, której szkło strzaskało się na miliony drobnutkich odłamków kaleczących ich obu w stu miejscach. Ryld zamknął tylko oczy i stęknął, gdy z ciężkim draeglothem na sobie grzotnął o drewnianą podłogę tak mocno, że przynajmniej jedno żebro trzasnęło mu jak gałązka.

Draegloth przetoczył się i Ryld odepchnął go od siebie. Zanim zrozumiał, co się dzieje, obaj siedzieli na podłodze czegoś w rodzaju rozpadającej się tawerny, otoczeni tuzinem bardzo zaskoczonych ludzi.

Wpuść go, wyszeptwała Aliisza w umyśle Pharauna, ale nie za daleko.

Pharaun siedział na pokładzie ze skrzyżowanymi nogami, zamkniętymi oczyma i dłońmi przyciśniętymi do pulsującej powierzchni żywego statku. Próbował ogarnąć jakieś docierające doń doznania. Niektóre były fizyczne, niektóre psychiczne, a niektóre przybierały formy, jakich nigdy sobie nie wyobrażał. Czuł zapach czegoś przypominającego ciastka z alg pieczone nad ogniem. Pod powiekami pulsowały mu świetne błyski, zostawiające po sobie jasne smużki powidoku. W uszach słyszał puls statku. Skrzywił się, czując na języku ohydny smak gnijącej ryby. Wszystko to stało się jednocześnie, a potem odpłynęło.

Do sterowania nim będziesz używał zarówno własnego ciała, ciągnęła Aliisza, jak umysłu.

Pharaun czuł, że ma rację. Nagle zalała go fala bezradności, od której ciarki przeszły mu po grzbiecie. Niemal jednocześnie poczuł przyływ adrenaliny i miał wrażenie, że potrafi unieść statek nad głowę i cisnąć nim przez bezkresny Plan Astralny, aż do Otchłani.

Właśnie tak, wyszeptała Aliisza. Tak...

To nie wiatr i woda napędzały okręt chaosu, lecz pożądanie, entropia, zawiść i zamęt - te i podobne im uczucia.

Będziesz musiał narzucić mu swoją wolę, aby go poruszyć, podjęła Aliisza, co nie powinno sprawić ci trudności. Naucz się, jak przekazać ją statkowi i otaczającemu cię medium planarnemu. Nie można się tego nauczyć. Musisz po prostu poddać się temu uczuciu, jednocześnie trzymając je na wodzy. Rozumiesz?

Pharaun kiwnął głową, nie chcąc się odzywać.

Coś wbiło mu się pod skórę na wysokości nadgarstka - cienki wąs przypominający kawałek sznurka. Mistrz Sorcere czuł, jak wkłuwają mu się w żyłę, pobierając krew. Spróbował cofnąć rękę, ale palce miał przyklejone do pokładu.

Nie panikuj, przesłała Aliisza. Pobierze ci niewiele krwi, za mało, żeby cię osłabić, ale musi mieć jej dość, aby połączenie zadziało.

Prosisz, bym mu zaufał? zapytał Pharaun. *Zaufał konstruk-towi demonicznego chaosu?*

Poczuł jej dotyk na policzku, jej ciepłe i suche palce, ale nie widział jej. Pozostała niewidzialna, nalegając, by nie ujawniał jej obecności pozostałym. Pharaun był z tego zadowolony.

Targnęła nim kolejna fala sprzecznych emocji, ale zwalczył je.

Statek będzie czuł to, co ty czujesz, powiedziała mu Aliisza, tak jak ty czujesz to, co on. Teraz będzie słuchał twoich rozka-

zów. Kiedy będziesz gotowy, nakaz mu przedostać się na Skraj, a potem dalej.

Posłucha mnie? zapytał mag.

Tak samo jak wtedy, kiedy podnosisz ramię albo otwierasz oczy, odparła.

To takie proste?

Alu-demon roześmiała się i powiedziała:

Tylko trzy rozumne istoty na tysiąc potrafią dokonać tego, co ty, mój drogi. Związanie się ze statkiem chaosu to niebezpieczne przedsięwzięcie.

Jak to?

Gdyby cię nie zaakceptował, zabiłby cię, odparła, i to w bardzo paskudny, wredny sposób.

Pharaun westchnął, zainteresowany, ale nie zaskoczony.

Pozwoliłabyś mu mnie zabić? zapytał.

Aliisza zamysliła się na długą chwilę, a potem powiedziała:

Musiałeś to zrobić, tak czy inaczej. Wierzyłam w ciebie.

Pharaun wychwycił sarkazm w jej głosie i uśmiechnął się krzywo. Była alu-demonem i to stojącym po przeciwnej stronie w krwawej, zataczającej coraz szersze kręgi wojnie. Dlaczego miałyby ją obchodzić to, że statek chaosu zabije go albo doprowadzi do szaleństwa?

Wąsy wysunęły mu się z nadgarstków, a dłonie odkleiły od pokładu.

Nawigowanie statkiem będzie wymagało twojej pełnej uwagi, poradziła Aliisza, ale jeśli będziecie dryfować albo obierzecie stały kurs, będziesz mógł rozmawiać z towarzyszami, a nawet rzucić czary.

Wygodne, zauważył mag.

Okręt chaosu był okrętem wojennym, Pharaunie, rzekła. Został stworzony do walki, a tanar 'rim, którzy go zbudowali, nie zależało na tym, żeby ich najpotężniejsi magowie siedzieli przywiązani do pokładu, bezradni i niemi. Statek będzie od ciebie

wiele wymagał, ale nie wszystkiego. Nie dawaj mu więcej, niż potrzebuje.

Enigmatyczne, odpalił mag. *Podoba mi się.*

- Nic ci nie jest? - zapytał jakiś głos i Pharaun pomyślał najpierw, że to Aliisza.

Doskonale wiesz, pomyślał, *że gdyby coś mi było, nie...*

Uświadomił sobie, że głos należy do Quenthel, nie Aliiszy.

- Mistrzu Mizzym...-powiedziała wysoka kapłanka.

Pharaun otworzył oczy, ale musiał zamrużyć kilka razy, zanim zaczął widzieć wyraźnie. Mistrzynie Arach-Tinilith stała nad nim, z ramionami splecionymi na piersi. Spojrzenie miała surowe i zimne, ale nieco błędne.

- Czuję się bardzo dobrze, dziękuję - odparł Pharaun. - Mam powody, by sądzić, że w pełni panuję nad statkiem i że ma on wystarczający napęd.

Popatrzył na pozostałych, którzy stali za plecami Quenthel, spoglądając na niego. Zobaczył tylko Valasa i Danifae.

- Kiedy draegloth wróci - skończył Pharaun - możemy ruszać.

- Nie będziemy czekać na Jeggreda- odparła Quenthel, czym zasłużyła sobie na ostre spojrzenie Danifae i uniesienie jednej brwi przez najemnego zwiadowcę.

- Pani... - zaczęła Danifae, ale Quenthel uniosła dłoń, żeby ją uciszyć.

- Każdy, kto odłączy się od wyprawy bez mojego pozwolenia - oznajmiła Quenthel - zostanie uznany za dezertera.

- Twój siostrzeniec z pewnością nie zamierzał zdezerterować — odparł Pharaun. — Myślę, że nie było to też intencją mistrza Argitha. Wydaje mi się, że tam, dokąd płyniemy, będziemy potrzebować ich si...

- Nie będziemy - przerwała mu wysoka kapłanka. Spoglądając w mroczną dal, podjęła: - Obaj są silni, ale tam, dokąd wyruszymy, za każdym stalaktytem czają się istoty, które są

w stanie rozerwać ich na strzępy. To nie wypad na przedmieścia Menzoberranzan. Tego, co napotkamy, nie pokonamy brutalną siłą, lecz czystym i spokojnym umysłem, jednomyślnie podążając za naszymi pragnieniami.

Pharaun zasepił się, ale zaczekał, aż wypowiedzą się inni.

Valas czekał, aż kobiety dojdą do porozumienia.

- *Wydajesz się wiedzieć, co nas czeka - odezwała się Danifae do wysokiej kapłanki - ale nie wiesz tego, nie na pewno.*

Pharaun, zaskoczony sposobem, w jaki Danifae przyparła wysoką kapłankę do muru, popatrzył na Quenthel, ciekawy jej odpowiedzi.

- Wiem, że nie mogę tu zostać ani chwili dłużej - odparła Quenthel. Żmije zwijały się ospale u jej biodra. - To miejsce mnie zabija. Wiemy, co należy zrobić. Jeśli mamy żyć lub umrzeć, będziemy żyć lub umrzemy w Otchłani u boku Pajęczej Królowej.

Pharaun uniósł brew i uśmiechnął się, wodząc wzrokiem od jednej elfki do drugiej.

- Jeszcze nawet nie zaczęliśmy - ostrzegła Danifae. - Jeg-gred będzie miał wiele do zrobienia. Powinniśmy zaczekać.

- O tym, moja pupilko-odpaliła mistrzyni Arach-Tinilith-nie ty decydujesz. Pozwalasz sobie na zbyt wiele.

Pharaun zauważył, że Danifae z pewnym wysiłkiem zmusiła się do spuszczenia wzroku, wlepiając płonące czerwone oczy w pokład, zamiast wwiercić się nimi w wysoką kapłankę. Branka przeszła długą drogę i czarodziej przyłapał się na tym, że się do niej uśmiecha.

- Mistrzu Mizzrym - rozkazała Ouenthel - zabierz nas do Lolth. Teraz.

- Potrzebuję krótkiego odpoczynku - skłamał mag. Gdy tylko wypowiedział te słowa, zastanowił się, czemu kłamie. Nie patrzył na Danifae. -Jeszcze jedna sesja Zadumy dla nas wszystkich. Powinniśmy stanąć przed boginią wypoczęci i pełni sił.

Quenthel nie odpowiedziała, odwróciła się i odeszła. Dani-fae zwlekała.

Co robisz? wyszeptwała w umyśle maga Aliisza, zaskakująco. Zapomniał, że tu jest. *To nieprawda.*

Mistrzynie Akademii, wyjaśnił alu-demonowi, nie myśli rozsądnie.

Nie chcesz podróżować bez swojego draeglotha? zapytała Aliisza.

A ty byś chciała?

Pharaun usłyszał w głowie jej śmiech.

— Dziękuję odezwała się Danifae.

Pharaun popatrzył na nią z uśmiechem. Quenthel i Valas odalili się, ale używał języka migowego, aby mieć pewność, że nic nie usłyszą.

Dlaczego mam ci nadal pomagać? zapytał. *Co robisz?*

Zastanawiała się nad tym dłuższą chwilą, a potem odparła:

Chcę, żebyś mi obiecał, że nie odpłyniesz bez Jeggreda.

A jeśli to zrobię?

Danifae nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Mistrzynie działa mi na nerwy, ciągnął mag. Nie starałem się tego ukrywać. W przeszłości próbowała mnie zabić. Nie okazywała mi szacunku, na jaki zasługuję, ale jest mistrzynią Arach-Tinilith, najpotężniejszą kapłanką w Menzoberranzan, jeśli nie wśród wszystkich wyznawczyń Lolth, włączając w to matki opiekunki. To jej wyprawa, a tam skąd pochodzę, jej rozkazy są prawem.

Ale nie tam, skąd ja pochodzę, odparła Danifae, a ja również służę Lolth.

- Być może - powiedział Pharaun na głos, pewny, że wysoka kapłanka pograżyła się znów w milczącym, posepnym odrętwieniu. - Pytanie brzmi, jak posłuszysz mnie?

Danifae wyglądała na zaskoczoną i patrzyła na niego pytająco.

- Czegoś ode mnie chcesz - wyjaśnił. - Prosisz, żebym za ryzykował życiem i moją przyszłością w Menzoberranzan. Prosisz, żebym sprzeciwił się siostrze arcymaga, mojemu mistrzowi i matce opiekunce pierwszego domu, jego pani.

- Chcesz wiedzieć, co dam ci w zamian? - zapytała.

Tym razem to on popatrzył na nią pytająco.

- Odpowiedz - powiedziała. - Naprawdę chcesz wyruszyć na Plan Cienia, potem Plan Astralny i przez Plan Niezliczonych Portali dostać się na sześćdziesiąty szósty poziom Otchłanu bez Jeggrede?

Przydałby się nam wszystkim, to pewne - rzeki Pharaun tak jak w przeszłości, ale on nie służy mnie. Tak naprawdę nawet mnie nic lubi, jeśli ktoś potrafi to sobie wyobrazić. Ty z kolei zyskałaś nowego i potężnego sojusznika, który zastąpił tego, którego zużyłaś.

Uważasz, że Quentheljest „zużyta”? zapytała na migi Dani-fae.

- Nie jest sobą - odparł mag. - To oczywiste, ale wciąż pozostaje pytanie: Dlaczego miałbym cokolwiek dla ciebie /robić?

- Czego chcesz? - zapytała i Pharaun odniósł wrażenie, że mógłby poprosić o wszystko, a ona przynajmniej by to rozważyła.

- Czuję się pewniej, gdyby był tu Ryld powiedział, nie przejmując się tym, że elfka może to uznać za słabość.

Danifae kiwnęła głową i zapytała:

- Nawet jeśli przeszedł na wiarę w Eilistraee?

- Wątpię - odparł mag. - Mistrz Argith nie grzeszy religijnością.

- Jego miecz służy tobie, tak jak szpony Jeggrede mnie.

Pharaun uśmiechnął się, mrugnął i kiwnął głową.

- Myślę, że to uczciwa umowa - powiedziała - ale nic proszę, żebym oszczędziła Halisstrę.

- Kogo? - zażartował Pharaun.

Danifae uśmiechnęła się.

- Trzymaj draeglotha z dala od Rylda - powiedział mag.
- Sprowadź mistrza Melee-Magthere z powrotem, nawet gdyby się opierał, ale żywego, a już ja się nim zajmę.

- Zgoda — powiedziała Danifae. Dotknęła pierścienia na palcu prawej dłoni i zniknęła.

Pharaun zdumiał się.

Interesujące, odezwała się skądś Aliisza. *Kim ona jest?*

Branką, odparł Pharaun, *a przynajmniej nią była. Wygląda mi bardziej na kapłankę*, powiedziała alu-demon. *Tak*, przyznał Pharaun. *To prawda.*

Przemawiała samym ruchem, subtelnymi niuansami gestów i rytmu, a wszystko to wydawało się wspaniałym snem.

Halisstra czuła, jak jej ciało się porusza. Powietrze świsz-
czało wokół niej, chłodne i ożywcze. W ruchu wyczuwała obec-
ność Danifae. Subtelna krągłość biodra jej byłej służki obróciła
się w sposób sugerujący obłudę i z wdziękiem świadczącym o
ambicji. Danifae dyszała niezadowolaniem i wkroczyła do Pa-
jęczych Otchłani.

Halisstra nie patrzyła, Halisstra tańczyła. Była tu, choć nie
miała pojęcia, co owo „tu” oznacza. Nie było przestrzeni, tylko
ruch w niej - ruch będący głosem Eilistraee.

Danifae i Halisstra tańczyły w rytm innych pieśni. Zdążyły
ku temu samemu punktowi, ale z różnych powodów i ota-

czął je ten sam mrozący krew w żyłach bezruch. Kołysaniem ramienia Eilistrae ostrzegała Halisstrę, by nie ufała Danifae, ale popychała swą służkę ścieżkającej dawnej branki. Przez część drogi prowadziła Halisstra, przez część Danifae. Obie boginie odpychały je i przyciągały, wysyłając w miejsce i czas, którego żaden drow przy zdrowych zmysłach nie był sobie w stanie wyobrazić, chyba że w zesłanym przez boginię koszmarze.

Halisstra czuła, że porusza się w nieruchomej, pustej przestrzeni i wiedziała, że to miejsce to Pajęcze Otchłanie - plan zamieszkały przez Lolth, puste zaświaty bez nadziei i bez przeszłości. Halisstra czuła, że Danifae wiruje wraz z nią w tej samej martwej przestrzeni i spogląda na swą panią z tym samym tępym strachem. Nie będzie żadnej służby, żadnej nagrody prócz niebytu i Danifae dojdzie do tych samych wniosków, będzie zmuszona to sobie uświadomić.

Danifae da się nawrócić, tańczyła Halisstra.

Eilistrae wahała się.

Na tym milczącym poczuciu niepewności ruch ustał. Pod sobą miała litą, nieruchomą posadzkę z oszlifowanego kamienia, a wszędzie dookoła martwe portale. Halisstra legła na plecach, wytarła twarz dłońmi i spróbowała uspokoić oddech. Była złana potem, bolało ją całe ciało. Czuła się tak, jak gdyby tańczyła od wielu godzin, choć nie była pewna czy w ogóle tańczyła.

Halisstra rozejrzała się po wnętrzu domu portali, szukając Danifae. Nigdzie nie zauważyła byłej służki. Nawet krzyki nie przyniosły efektu, więc wyszła na zewnątrz.

Mdłe światło jaskini ukazało jej oczom wielką i skomplikowaną konstrukcję. Halisstra wiedziała, że jest w Sschindylry-nie, ale niewiele poza tym. Nie była pewna czy nie postrzega tego świata z własnej, zniekształconej perspektywy, ale czuła, że powietrze w Mieście Portali jest ciężkie od konfliktów i ro-

dzącej się przemocy. To samo wyczuła już wcześniej - w Ched Nasad.

Przed oczyma stanął jej Ryld - nie tyle jego obraz, co wspomnienie sposobu, w jaki się poruszał, i dotyku jego skóry czarnej jak noc. Zaprowadziła go do Danifae, która z polecenia Qu-enthel sprowadziła na nich Jeggreda. Quenthel wiedziała, że odwrócili się - przynajmniej Halisstra - od Lolth, wybierając Eilistraee.

Jednak Ryld tego nic zrobił. Fechmistrz, mężczyzna i do tego niezbyt religijny, służył Lolth, ponieważ wszyscy w jego otoczeniu jej służyli. Ryld, jak wszystkie drowy w Menzoberran-zan, został wychowany w kulcie bogini. Halisstrę wychowano w ten sam sposób, ale posiadała siłę woli, która kazała jej się odsunąć i przyjrzeć krytycznie sytuacji.

Danifae też miała wybór i do Halisstry dotarło to w tej samej chwili, w której Danifae wyłoniła się z rozjarzonego nagle na fioletowo portalu. Brama ożyła, ukazując Danifae i na chwilę oślepiając Halisstrę.

Mrugając, wstała i zapytała:

- Ryld?

Danifae wzruszyła ramionami. Był to arogancki, lekceważący gest, który rozwścieczył Halisstrę. Kapłanka Melarn oblała się purpurą, zacisnęła zęby, ale zrobiła wszystko, by przełknąć złość i odepchnąć od siebie wspomnienia karania branki, bicia jej, ponizania i łamania.

- Gdzie byłeś? - zapytała Halisstra.

- Z mistrzynią Quenthel - odpowiedziała Danifae. Wyruszają w drogę. Odesłano mnie, żebym przyprowadziła Jeggreda.

- Wiesz, gdzie jest draegloth? - zapytała Halisstra. - Skoro tak, musisz wiedzieć, gdzie jest Ryld.

- Jeggred miał go zabić - odparła Danifae. - Mówiłam ci już.

-Tak, ale...

- Chcesz wiedzieć, czy fehmistrz zwyciężył - przerwała jej Danifae - czy też jest właśnie pożerany przez draegloth.

Haiisstra przełknęła ślinę.

- Czy żyje? Czy Ryld zwyciężył?

Danifae znów wzruszyła ramionami.

- Możesz mnie przenieść do niego - prosiła Haiisstra.
-Możesz wysłać mnie do jego boku przez jeden z twoich portali.

- Gdzie Jeggred rozszarpie także ciebie i pożre was oboje -zadrwiła była służka. - Ale możesz pójść do przodu zamiast się cofać.

- Do przodu? Co masz na myśli?

- Moim zdaniem, pani Halisstro - powiedziała Danifae -masz dwie możliwości. Dołącz do swego kochanka i zgiń albo wróć do świątyni na powierzchni i swoich nowych sióstr i Eilistrae.

Haiisstra sapnęła i zmierzyła wzrokiem olśniewająco piękną drowkę. Danifae odpowiedziała uśmiechem, choć Haiisstra dostrzegła w nim szyderstwo.

- Nasi towarzysze wyruszają w drogę - naciskała Danifae -i to niedługo. Jeśli wrócisz do świątyni, gdzie cię odnalazłam, jeśli powiesz swym nowym siostrom, że Quenthel i jej drużyna ruszają do Pajęczych Otchłani w poszukiwaniu samej Lolth, może kapłanki Eilistrae zdążą pomóc.

- Pomóc? Komu? - wyszeptała Haiisstra, a potem dodała głośniej: - Mam wracać do kapłanek Eilistrae i powiedzieć im, że możemy podążyć za Quenthel i pozostałymi do Pajęczych Otchłani. Będziesz stać z boku, przyglądając się temu i nie ostrzeżesz ich... nie ostrzeżesz Lolth?

- Jestem wciąż służką - odpowiedziała Danifae - nie mogę podjąć decyzji za ciebie ani prosić, żebyś mi zaufała. Nie mogę ci niczego obiecywać, ani dawać żadnych gwarancji. O to mu-

sisz poprosić swoją boginię. Tak czy inaczej, mogę cię wysłać, dokąd tylko zechcesz.

Zobaczyła to. To był tylko przebłysk, ale w spojrzeniu swojej byłej branki dostrzegła niepewność, strach, zażenowanie i coś więcej. Danifae była zazdrosna w bardzo niedojrzały sposób o to, że Halisstra znów służy bóstwu, które odpowiada na modlitwy swoich wyznawczyn, podczas gdy ona sama czepia się pamięci martwej bogini.

- Mam wybór? - zapytała Halisstra, powoli kręcąc głową.

- Mogę wysłać cię, gdzie zechcesz - powtórzyła Danifae.

- Powiedz czy chcesz wrócić do swojej świątyni i zorganizować tam kapłanki, czy...

- Zorganizować? - przerwała jej Halisstra.

Danifae zirytowała się i Halisstrę zdumiała jej reakcja.

- Eilistraee z pewnością obdarza je wciąż czarami — powiedziała Danifae. - Będą potrafiły podróżować przez plany bez pomocy okrętu chaosu. Eilistraee powinna być w stanie przynieść was tam, gdzie zechcecie.

Halisstra patrzyła, jak twarz jej byłej służki znów się zmienia - zobaczyła, jak powraca na nią strach.

- Albo - powiedziała Danifae głębokim, spokojnym głosem - możesz spróbować pomóc swojemu fehmistrzowi w walce z draeglothem i zginąć.

Halisstra zamknęła oczy rozmyślając i dziwiąc się samej sobie, że w ogóle się nad tym wszystkim zastanawia.

- Moje serce - wyznała brance - chce wrócić do Rylda, ale rozum podpowiada mi, że moje nowe siostry będą chciały wiedzieć to, o czym mi powiedziałaś i udać się do Pajęczych Otchłani.

- Masz coraz mniej czasu żeby je powiadomić - ostrzegła Danifae.

Halisstra zasznurowała usta, czując ściskanie w gardle

- Wybieraj - naciskała Danifae.

- Las Velara - wybrała Halisstra. W ogniu faerie załśniła łąza spływająca po jej czarnym policzku. - Zabierz mnie do kapłanek.

Danifae uśmiechnęła się, kiwnęła głową i wskazała portal zarzący się fioletem.

Obie elfki mierzyły się wzrokiem przez kilka uderzeń serca. Oczy Danifae wodziły od jednego oka Halisstry do drugiego, jak gdyby czytały napisy wyryte w jej źrenicach. Halisstra dostrzegła w jej spojrzeniu nadzieję.

- Bardzo z nią źle? - zapytała Halisstra prawie szeptem. - Jak nisko upadła?

- Ona? - zapytała Danifae. - Quenthel?

Halisstra kiwnęła głową.

- Może upaść jeszcze niżej - odparła była branka.

- Chodź ze mną - powiedziała Halisstra.

Danifae stała przez dłuższą chwilę w milczeniu, zanim odparła:

- Wiesz, że nie mogę. Nie wyruszą bez Jeggreda, a ja muszę sprowadzić go z powrotem.

Halisstra kiwnęła głową.

- Kiedy już zamorduje Rylda.

Danifae skinęła głową i wbiła wzrok w ziemię.

- Jeszcze się zobaczymy Danifae - powiedziała Halisstra. - Jestem tego pewna.

- Ja również, pani - odparła Danifae. - Spotkamy się ponownie w cieniu Pajęczej Królowej.

- Eilistraee będzie miała przez cały czas oko na nas obie - powiedziała Halisstra, podchodząc do portalu. - Będzie obserwować nas obie.

Danifae kiwnęła głową, a Halisstra wkroczyła w portal, wydając Rylda na pastwę Jeggreda, Danifae na pastwę mistrzyni Arach-Tinilith, a sama powróciła do kapłanek z Lasu Yelara.

- Wydajesz się równie zaskoczony jak ja - zwrócił się Gromph do liczdrowa - tym, że twojemu przyjacielowi Nimorowi wyrosły skrzydła.

Dyrr nie odpowiedział, ale jego czerwone jak węgle oczy powędrowały powoli ku skrzydlatemu skrytobójcy.

- Duergarowie - ciągnął Gromph - kambion i jego tanarukowie oraz drow skrytobójca. Ach, ale drow skrytobójca nie jest nawet drowem. Sprzymierzyłeś się ze wszystkimi, tylko nie z innymi mrocznymi elfami. Cóż, sam od bardzo dawna nie byłeś drowem, co, Dyrr?

Jeśli uraził liczą, ten nie dał po sobie niczego poznać.

- Ale mógłby wejść w sojusz z drowem - odezwał się Ni-mor. - Obaj byśmy mogli.

- Naprawdę myślisz, że do was dołączę? - zapytał Gromph.

- Nie — odparł Nimor- oczywiście, że nie, ale muszę zapytać.

- A gdybym się zgodził - nalegał Gromph - czy zabiłbyś liczą?

Dyrr uniósł brew, najwyraźniej ciekawy odpowiedzi Ni-mora.

- Aby sam arcyomag Menzoberranzan zwrócił się przeciwko własnemu miastu, zdradził swój dom i obalił matriarchat jedynym gestem? - zapytał Nimor- Czy zabiłbym liczą? Oczywiście. Zabiłbym go bez chwili wahania.

Na twarzy Dyrra pojawił się uśmiech i Gromph odwzajemnił go mimowolnie.

Nimor popatrzył na liczdrowa, uklonił się i dodał:

- A przynajmniej bym spróbował.

Licz odklonił się.

- Nie zrobisz żadnej z tych rzeczy, prawda? — zapytał Grompha Nimor. - Nie odwrócisz się od Menzoberranzan, domu Banre, matriarchatu ani nawet Lolth, która porzuciła was.

- To wszystko? - zapytał Gromph. - To wszystko, co zamierzasz powiedzieć, żeby mnie przekonać? Zadać pytanie, a potem odpowiedzieć sobie na nie samemu? Po co tu jesteś?

- Nie odpowiadaj, Nimorze — rozkazał liczący władczym tonem.
— Chce cię pociągnąć za język. Chce zyskać na czasie, żeby uciec albo zaplanować atak.

-Albo - wtrącił Gromph -jest po prostu ciekawy. Wiem, dlaczego mój stary przyjaciel Dyr chce mnie zabić i rozumiem motywację duergarów, tanarukków, illithidów i wszystkich innych istot wypełzających z rozpadlin i kałuż Mrocznego Władztwa, które przyciąga smród słabości. Jednak ty, Nimorze, jesteś półdrowem i półsmokiem, nieprawdaż? Dlaczego ty? Dlaczego tutaj? Dlaczego ja?

- Dlaczego ty? - zapytał Dyr głosem ociekającym pogardą.
— Masz władzę, ty prostaku. Masz pozycję. To czyni cię celem nawet w pomyślnych czasach, a to nie są pomyślne czasy dla Menzoberranzan.

Gromph zignorował liczą i zwrócił się do Nimora:

- Moja siostra twierdzi, że skrytobójca, którego pojmała, na zwał cię agentem Jaered Chaulssin.

Nimor kiwnął głową.

- Jestem Namaszczonym Ostrzem.

Gromph nie wiedział, co to oznacza, ale nie zdradził się z tym ani Nimorowi, ani Dyrrowi.

- Stare opowieści ozywają— rzekł.

- Nasza sława nas wyprzedza - odparł Nimor.

- Chaulssin legło w ruinach dawno temu - stwierdził Gromph.

- Ale skrytobójcy ocaleli - rzekł Dyr.

Zidentyfikowaliśmy, odezwał się w umyśle Grompha głos Na-zhrrora, jego smoczą połowę, arcymagu. Jest w połowie dro-wem, a w połowie cienistym smokiem. Być może w drugim pokoleniu. To raczkujący gatunek.

- Pojawialiśmy się w jednym mieście za drugim - rzekł Ni-mor - w całym Podmroku. Czekaliśmy.

- I rozmnażaliście się z cienistymi smokami? — zapytał Gromph.

Uśmiech Nimora powiedział Gromphowi, że Nauzhror miał rację.

- To koniec - odezwał się Dyrri i Gromphowi trudno było zaprzeczyć ostateczności w jego głosie. — Wszystkiego.

- Jeszcze nie - odparł Gromph i zaczął rzucać zaklęcie.

Nimor zamachał nietoperzymi skrzydłami i uleciał w mrok. Dyrri zaczął lewitować w ślad za nim, wolniej, otaczając się dodatkowymi czarami ochronnymi.

Gromph skończył zaklęcie i złączył ręce. Pomiędzy jego dłońmi pojawiła się linia czerni, która rozciągnęła się na długość ostrza miecza. Linia, idealnie dwuwymiarowa, była szczeliną w strukturze planów.

Unosząc się w powietrze, arcymag Menzoberranzan rozłożył ręce i ostrze podążyło za nim. Siłą woli Gromph zmusił je, by leciało przed nim. Wybór celu był prosty.

Nimor musi zginąć pierwszy, zasugerował Prath, choć nie było to konieczne. *Nie znamy pełnego zakresu jego możliwości.*

Gromph cisnął ostrzem w półsmoka skrytobójcę. Nimor latał szybciej niż wszystko, co Gromph dotychczas widział, ale ostrze było jeszcze szybsze. Wbiło się w zabójcę i Nimor zwinął się z bólu. O ostrości klingi świadczy grubość ostrza. Wyczarowany przez Grompha brzeszczot w ogóle nie miał grubości. Będąc idealnie cienkim, był idealnie ostry. Nic, żaden pancerz Nimora, nie mogło go powstrzymać.

Ziemię Bazaru obryzgała krew, Nimor ryknął. Gromphowi zadzwoniło w uszach, ale nic wahał się ponownie posłać klingi ku skrytobójcy - ale ta zniknęła.

Gromph okręcił się w powietrzu, żeby zmierzyć się z liczdrowem. Dyrri trzymał oburącz swoją łaskę. Gromph uznał,

że musiał użyć jednej z jej właściwości, aby zlikwidować ostrze.

Szkoda, skomentował Nauzhror. *To był bardzo imponujący czar. I skuteczny.*

Nimor nie leciał już tak szybko i wciąż krwawił. Gromph, skupiony na następnym zaklęciu, musiał obserwować jednocześnie liczą i skrytobójcę, więc nie widział, w jaki sposób Nimor się uleczył, niemniej jednak skrytobójcy udało się utrzymać przy życiu.

Gromph prawie skończył następną inkantację, gdy Nimor tchnął w niego ciemnością tylko w taki sposób czarodziej potrafił to opisać. Skrytobójca wciągnął powietrze w płuca i wydmuchnął stożkową falę kłębiącą się czerni. Gromph spróbował opaść w dół, ale nie mógł. Skręcająca się próżnia otoczyła arcymaga. Miał wrażenie, że wysysała z niego całe ciepło. Zadrżał i stracił oddech. Jego zaklęcie zostało zniweczone, przezwane w pół słowa.

Warstwy ochronnej magii, którymi osłonili arcymaga mistrzowie Sorcere i on sam, ochroniły go przed pełnym działaniem lodowatej ciemności. Gdyby nie one, z Grompha zostałyby tylko martwa łupina.

- Miałem rację - powiedział Gromph do Nimora, starając się nie kasnąć. - To był cienisty smok, prawda?

- Więcej niż jeden smok, arcymagu - odparł Nimor i Gromph odniósł wrażenie, że skrytobójca też stara się nie łapać spazmatycznie tchu - i więcej niż jeden drow.

Półsmok skrytobójca dobył cienkiego jak nitka rapiera zającego się na błękitno-biało w mroku opuszczonego Bazaru.

Ostrożnie, arcymagu, ostrzegł Prath.

Gromph skrzywił się, słysząc idiotyczną radę swojego nieodświadczonego siostrzeńca. Arcymag był zawsze przygotowany na wszystko - ale nie był wystarczająco szybki, aby uchylić się przed rapierem, który siekł go przez pierś.

Nimor zniknął z miejsca, w którym unosił się w powietrzu, w odległości kilku kroków od arcymaga i pojawił się tuż obok niego, nieco nad nim - dokładnie w martwym punkcie. Wszystko to stało się w dokładnie tej samej chwili.

Skrytobójca znów zniknął.

Cięcie na piersi Grompha piekło, rana była sucha i poszarpana. Popatrzył na nią. Rozcięcie pokrywał szron, a krew, która się z niego sączyła, była zimna w zetknięciu ze skórą. Gromph zadrżał.

Coś uderzyło go w plecy. Gromph stęknął i zgiął się wpół, tracąc oddech. Dopiero po bolesnych dwóch sekundach był znów w stanie zaczerpnąć powietrza. Dyrri uderzył go czymś — cza-rem lub bronią- od tyłu.

Zakłęcie nie przeszło przez wszystkie twoje osłony, arcy-magu, oznajmił Nauzhror. Gdyby tak się stało, zostałbyś unicestwiony.

- Szczęściarz ze mnie - mruknął Gromph pod nosem, po czym wymówił słowo-rozkaz, wyczarowując z laski ochronną sferę.

Otoczony obronną magią, obrócił się w powietrzu, usiłując wypatrzyć przynajmniej jednego ze swoich wrogów. Zobaczył Nimora mknącego ku niemu z mroźnym rapierem w dłoni. Za skrytobójcą, nieco z boku, liczdrow gestykulował wolną ręką. Jego palce pozostawiały za sobą smugi trzeszczącego białego światła.

Czując ból w piersi i plecach, Gromph okręcił się w powietrzu, gdy z dłoni liczdrowa wystrzelił stożek mrugającego białego światła, grożący arcymagowi zderzeniem z podmuchem mroźnego powietrza i ostrego lodu.

Gromph zdołał zejść z toru zakłęcia, ale stracił przez to z oczu skrytobójcę. Przygotował się na kolejne lodowate chłaiście rapierem, ale nie nadeszło.

Skrytobójca też musiał uchylić się przed stożkiem zimna, mistrzu, odpowiedział Prath.

Gromph wykorzystał zyskany czas i wyciągnął dwa wąskie sztylety o platynowych ostrzach z pochwy ukrytej w prawym bucie. Już przy ich wyjmowaniu wymawiał słowa zaklęcia mającego nadać im jeszcze większą ostrość. Czar miał również sprawić, że ciśnięte, będą lecieć celniej i dalej, i był pewny, że przenikną przynajmniej część magicznych osłon jego przeciwnika.

Gromph zamierzył się do rzutu i skończył zaklęcie. Kiedy odwrócił się, szukając celu, ból ustał. Pierścień wciąż działał, prawie dorównując tempem uzdrawiania szybkości, z jaką skrytobójca i licz byli w stanie go ranić.

Na uderzenie serca przed tym, jak Gromph cisnął magicznymi sztyletami, obok niego znów pojawił się Nimor. Rapier z ostrym świstem przeciął powietrze, kreśląc oszronioną linię na prawym boku Grompha. Ból był obezwładniający i palce arcymaga zdrząły podobnie jak większość pozostałych mięśni jego ciała. O mały włos nie wypuścił obu sztyletów.

Zniknął, powiedział Prath.

Gromph spodziewał się tego.

Myślę, że to sprawka jego pierścienia, rzekł Nauzhror.

Pierścienia ? zapytał Gromph.

Pozwala mu przenosić się w mgnieniu oka z miejsca na miejsce, wyjaśnił Nauzhror.

Gromph spodziewał się, że będzie walczył tylko z Dyrrem i spodziewał się pojedynku na zaklęcia. Arcymag musiał przyznać, przynajmniej przed sobą samym, że nie był przygotowany na walkę wręcz i że pod tym względem Nimor miał nad nim przewagę.

Odepchnął od siebie te myśli, gdy usłyszał, że Dyrz rzuca kolejny czar. Odwrócił się, żeby spojrzeć na liczą.

Dyrz miał dziwny wyraz oczu, jak gdyby coś miało się zaraz wydarzyć, ale nie był do końca pewny co. Gromphowi nie spodobało się to.

Przyzywa coś, stwierdził Nauzhror.

Zanim ostatnia sylaba ostrzeżenia Nauzhrora wybrzmiała w umyśle Grompha, liczył skończył inkantację. O skalne podłoże Bazaru grzmotnęła najpierw jedna para owadzych nóg, a potem kolejna, następna i jeszcze następna. Głowa insekta była szersza niż Gromph był wysoki, może nawet dwukrotnie. Po obu stronach groteskowego otworu gębowego sterczały zakrzywione, poszarpane szczypce. Dwoje wylupiastych, fasetowanych oczu rozglądało się po wyludnionym targowisku, gdy reszta wielkiej bestii wciąż jeszcze wylaniała się ze Splotu.

Była to stonoga wielkości całej karawany jucznych jaszczurów, a za nią Dyrz zanosił się śmiechem, zaś Nimor znów leciał w stronę arcymaga.

Wszystko po kolei, powiedział sobie arcymag.

Rzucił następny czar na parę zaklętych sztyletów. Stonoga rzuciła się na Grompha, ale poruszała się powoli, wciąż badając otoczenie i zakres kontroli, jaką miał nad nią liczył. Dzięki temu Gromph miał czas dokończyć zaklęcie i cisnąć sztyletami. Nic mierzył. Rzucił nimi w stronę Nimora i pozwolił zaklęciu zatroszczyć się o resztę. Sztylety pomknęły przez powietrze, wirując wokół siebie nawzajem i lecąc prosto w skrzydlatego skrytobójcę.

Nimor z zadziwiającą zwinnością uskoczył w bok, próbując im umknąć, ale taki prosty wybieg nie mógł przeszkodzić raz ciśniętym nożom. Skrytobójca musiał się znów obrócić w powietrzu, odbijając sztylety rapierem. Stalowe błyski cienka klinga Nimora i oba sztylety - rozmazały się wokół skrytobójcy.

Świetne zagranie, mistrzu, skomentował Prath. *To powinno go zająć.*

Ignorując siostrzeńca, Gromph przywołał moc lewitacji swojej laski, aby wnieść się prosto do góry. Ohydne ukośne szczęki stonogi zamknęły się cał pod podeszwami jego butów i na-

tychmiast się cofnęły, aby ponownie zaatakować. Mając nadzieję, że znalazł się już wystarczająco wysoko nad owadem, Gromph obracał się i okręcał w powietrzu, zapisując w pamięci każdy szczegół Bazaru i otaczających go stalagmitów.

Arcymag zatrzymał się i zawisł w powietrzu pomiędzy zdeorientowaną stonogą i liczem.

- Nie podoba ci się mój nowy pupil? - drażnił się liczdrow.
- Chce ci tylko dać buziaka.

- Nie... - zaczął Gromph, ale znów stracił oddech, gdy Dyrr po raz kolejny użył mocy swej laski, odrzucając go w tył.

Gromph czuł, jak za jego plecami gigantyczny insekt unosi się w górę niczym stalaktytowa forteca. Dyrr wznosił się coraz wyżej, spychając Grompha coraz niżej i niżej - prosto w żarłoczne szczęki stonogi.

Odpowiednie zakłęcie przyszło mu do głowy błyskawicznie i arcymag zużył trochę dodatkowej energii, żeby rzucić je szybko. Efekt tego czaru odczuł już na własnej skórze setki razy, ale zawsze go nienawidził. Miał wrażenie, że jego ciało robi się coraz cieńsze. Zadrżał wbrew sobie i zmusił się, żeby nie zamykać oczu, kiedy świat wokół niego rozmazał się i zniekształcił, a jednocześnie stał się jakby jaśniejszy, wyraźniejszy.

Otaczały go wnętrzości gigantycznego insekta. Mięśnie i rzeki zielonego płynu służącego mu za krew, dziwne powłoki wydające się być płucami, szczątki innych owadów, które ostatnio pożarł- a potem kolejna gruba warstwa chitynowego pancerza i znalazł się po drugiej stronie. Przeszedł na wylot przez stonogę, gdy jego ciało stało się częścią Planu Eteryicznego.

Stonoga nie miała pojęcia, co się dzieje -jakżeby inaczej? Gromph wiedział, że nie mogła poczuć, jak przez nią przechodzi, ale jakimś cudem smaczny kąsek drowiego mięsa, który chciała ugryźć i połknąć, znalazł się za nią.

Gromph złowił kątem oka jakiś ruch, obrócił się błyskawicznie i zobaczył mknące ku niemu Nimora. Sztylety zniknęły,

skrytobójca miał kilka świeżych ran, ale wciąż stanowił śmiertelne niebezpieczeństwo.

Stonoga zmieniła kierunek, wykonując potężnym cielskiem, które musiało ważyć kilkaset ton, szokująco szybki i zwinny zwrot. Eteryczne ciało Grompha było nadal widzialne, choć dziwnie przezroczyste, przez co przypominał ducha. Stonoga wydawała się go nie zauważać. Wyłupiaste ślepia wlepiła w Ni-mora.

Nimor uskoczył w bok i choć owad był szybki, zdążył przesliznąć się obok jego szczęk, ratując życie. Niewiele brakowało, by stonoga przecięła go na pół.

Lewitując, Gromph uniósł się w górę, poza zasięg stonogi, a jego ciało z powrotem przybrało stałą postać.

- Dyr, do cholery - wściekał się Nimor - uważaj na swojego pupilka.

Gromph uśmiechnął się, ale Dyr rozpoczął w odpowiedzi kolejną inkantację. Nimor mógł się wściekać na swojego nie-umarłego sojusznika, ale był daleki od zwrócenia się przeciwko niemu. Arcymag wiedział, że następny czar będzie wymierzony w niego. Choć spędził trochę czasu w postaci eterycznej, wciąż otaczała go ochronna sfera, więc wiedział, że Dyr użyje potężnej magii. Arcymag obrócił się w powietrzu twarzą do liczą, ale zostało mu tak niewiele czasu, że mógł mieć tylko nadzieję, iż osłony, jakie posiada, ocalą mu życie.

Kiedy licz skończył inkantację, Gromph nie zauważył żadnego widocznego efektu, żadnego rozbłysku światła czy huku gromu, ale poczuł, jak magia owija się wokół niego. Ochronna sfera nie powstrzymała zaklęcia, ale uaktywniły się inne osłony i Gromph skupił się na nich. Mimo to jego ciało zaczęło sztywnieć. Arcymag czuł, jak wilgoć ucieka mu przez skórę. Odkrył, że z trudem zgina łokcie. Jak gdyby zmieniły się w kamień.

Zaczął spadać i zanim z powrotem zapanował nad lewitacją, stonoga ugryzła go. Jeden z kleszczy owada wbił mu się w udo.

Mógł odgryźć mu nogę, ale kleszcze wbiły się pod złym kątem, więc tylko rozerwały skórę i rozorały nierówną krawędzią mięsień, zatrzymując się na kości udowej Grompha.

Arcymag zacisnął z bólu zęby. Choć mięśnie miał zeszywniałe, a oddech wolny i płytki, użył mocy laski, aby wznieść się z powrotem w górę, byle dalej od ponawiającej atak stonogi.

Z głębokiego rozcięcia na nodze sączyła się gęsta jak błoto krew i Gromph uznał za ironię losu fakt, iż to właśnie zakłęcie Dyrra nie pozwala mu się wykrwawić. Pierścień, na którym polegał, wydawał się nie działać.

Nimor znów ciął go magicznym rapierem, którego chłód sprawił, że Gromph zeszywniał jeszcze bardziej. Oddech uwiązał mu w gardle, a żołądkiem szarpały konwulsje. Arcymag zwinął się w kłębek. Próbował mrugać, ale musiał zamknąć oczy, odpocząć, a potem znów je otworzyć.

Próbował zmienić cię w kamień, odezwał się w zamroczonym umyśle Grompha wyraźny głos Nauzhrora. Do tej pory udawało ci się mu oprzeć. Nie poddawaj się, arcymagu.

Gromph powoli obrócił głowę w prawo - było to wszystko, na co zdała się próba potrząśnięcia nią. Otaczająca go sfera ochronnej magii znikła, jej energia wyczerpała się. Gromph zobaczył, jak Dyrr, oddalony o zaledwie kilka jardów, prostuje się. Licz rzucił szybkie zakłęcie i ku arcymagowi pomknęła chmara zielonych i czerwonych iskier, z których każda była długa jak strzała. Gromph zdołał poruszyć nogą i wyciągnąć ramię, ale nie był w stanie otworzyć ust wystarczająco szybko, żeby wymówić słowo-rozkaz. Groty energii Splotu uderzyły w niego, paląc go, oszalałając, wprawiając w drgawki i zmuszając mięśnie do skurczy. Skóra arcymaga falowała, stawy strzykały.

Bolało, a po otwartym do kości udzie spływała szerokimi, ciepłymi strugami krew. Mógł się znów poruszać, ale nie dość szybko, by umknąć stonodze.

Insekt stanął dęba, rozwierając szeroko kleszcze. Wiszący w powietrzu Gromph znalazł się w ich zasięgu i kleszcze zamknęły się na jego rannym udzie.

Gromph poczuł szarpnięcie w dół, potem coś puściło, a on wyskoczył z powrotem w górę. Zanim obejrzał nową ranę, wznosił się nieco wyżej, niejasno zdając sobie sprawę, że coś za sobą wlecze. Rzucił czar, słysząc w umyśle wrzaski Nauzh-rora i Pratha. Coś było nie tak, ale musiał skończyć zaklęcie, zanim będzie mógł cokolwiek zrobić. Musiał pozbyć się stonogi, inaczej owad pożre go kawałek po kawałku, a przeklęty licznik będzie przyglądał się temu z bezpiecznej odległości.

Gromph popatrzył w dół i zobaczył krew rozbryzgującą się na szerokim, płaskim łbie stonogi i przelatującą przez niego, gdy rozplynał się w powietrzu. Zaklęcie zaczęło działać, stonoga znikła, ale krew i tak spadła ohydny deszczem na ziemię Bazaru daleko w dole.

Gromph dotknął nogi i wyczuł coś twardego i ostrego. Skaleczył się w palec o ostrą krawędź - ostrą krawędź własnej kości udowej. Nie miał nogi. Odgryzła mu ją stonoga. Gromph zacisnął pięść z wściekłości i spojrzał w dół. Widział odgryzioną nogę leżącą w strugach krwi tryskającej wciąż z otwartej rany. Uwagę Grompha przykuły świetne iskierki, które pojawiły się z boku. Nimor cisnął czymś i Gromph instynktownie zasłonił twarz, obawiając się zaklęcia. Zamiast tego zobaczył rękojeść magicznego rapiera skrytobójcy spadającą na ziemię daleko w dole. Z lodowego ostrza został tylko migotliwy ślad w powietrzu. Zaklęcie Grompha zlikwidowało nie tylko stonogę.

Nimor był co najmniej niepokieszony.

Gdy skrytobójca obrzucał go wiązką przekleństw, Gromph naprężył mięśnie i odkrył, że zeszywnienie ustąpiło. Odczuwał ból, ale nie tak wielki, jak się spodziewał. Magiczny pierścień zaczął walczyć z poważniejszymi obrażeniami odnie-

sionymi przez arcymaga. Gromph wiedział, że przeżyje, ale wciąż pozostawała kwestia nogi.

Nimor przemknął nad nim i zniknął w ciemnościach. Gromph nie widział liczdrowa. Opadł powoli na ziemię, lądując w kałuży własnej krwi. Kiedy zaczął odzyskiwać równowagę, zachwiał się i musiał reaktywować lewitacyjną moc łaski, nim rozłożył się jak długi w kałuży stygnącej posoki. Nie pomyślał, że będzie musiał ustać na jednej nodze. Zamiast tego zawisł o cal nad ziemią, pochylił się i podniósł odgryzioną kończynę.

To było dziwne uczucie, trzymać w rękę własną nogę, ale arcymag nie zastanawiał się nad tym dłużej. Skrytobójca i licz z pewnością przegrupowywali się po tym, jak potężne zaklęcie Grompha rozłączyło wszelką magię dookoła - wszelką oprócz jego własnej — ale wiedział, że wróca.

Gromph dotknął ponownie kości kikuta i z zadowoleniem zauważył, że jeszcze nie zarosła skóra. Obrócił nogę w rękę...

Podmuch zimnego powietrza otoczył go, ogarnął i odepchnął w tył, wciskając w ziemię i wlokąc po kamieniach Bazaru. Gromph wyrznął głową w coś, co się potłukło, roztrzaskało i rozpadło.

Potrząsnął głową i z jego białych włosów posypały się kałki trzonu wielkiego grzyba i szkło. Leżał na wółpogrzebany w zdemolowanym kramie kupieckim, ale był w stanie myśleć tylko o tym, że udało mu się nie wypuścić nogi. Cały pokryty był cienką warstwą szronu, który zaczynał już topnieć w chłodnym, wilgotnym powietrzu Bazaru.

Licz, odezwał się w umyśle Grompha Nauzhror, znalazł się poza obszarem rozłączenia.

To widzę, odparł arcymag, przesyłając za myślą ładunek irytacji.

Gromph rozejrzał się dookoła. Dyrz rzucał zaklęcie, a ku niemu mknął jak strzała Nimor. Arcymag wyczarował wokół siebie następną ochroną sferę, martwiąc się przez chwilę, że zbyt

szybko wyczerpie moc laski. Nie mogła osłaniać go i pozwalać mu lewitować bez końca.

Licz dokończył zakłęcie i Gromph uśmiechnął się, gdy piorun oślepiającego żółtego światła wyrzelił z dłoni Dyrra, zataczając w powietrzu łuk i roztrzaskując się w deszczu iskier o otaczającą arcymaga sferę. Błyskawica nie przedarła się przez osłonę, tak że nawet włosy nie stanęły mu dęba, a tymczasem rzucał już kolejny ochronny czar, tym razem na siebie. Jego ciało oblizyła prawie niewidoczne płomienie.

Rozumiem, powiedział Prath. *Sprawdziło się przy huecuvie...*

Nimor był już tuż, tuż i Gromph zwinął się w kłębek. Dłonie półsmoka były większe niż wtedy, gdy udawał drowa, a każdy z palców kończył się grubym, ostrym szponem z czarnej jak smoła kości słoniowej. Nimor przejechał wielkimi pazurami przez ramię Grompha, ale odbiły się od iskrzącej powierzchni płomiennej tarczy Grompha, nie czyniąc mu krzywdy. Z ramion arcymaga buchnęły jasnopomarańczowe płomienie, prosto w twarz skrytobójcy. Nimor ryknął z bólu i machnął skrzydłami tak mocno, że ostre odłamki szkła ze zrujnowanego kupieckiego kramu zawirowały wokół arcymaga. Za każdym razem, gdy jeden z odłamków uderzał w niego, powłoka wybuchała ogniem. Zakłęcie nie poparzyło Grompha, ale na kilka nieprzyjemnych sekund otoczyła go kaskada kłębiących się płomieni.

Nimor zniknął w cieniach pod kopułą pieczary.

Gdy tuman szkła i ognia opadł, Gromph wygramolił się ze zniszczonego kupieckiego kramu. Oczyszczył kikut, / którego wciąż sączyła się krew - pierścień sprawiał, że zamiast bólu czuł tylko tępe, irytujące pulsowanie - upewnił się, że stopa skierowana jest we właściwą stronę i przytknął nogę z powrotem.

Przytrzymał ją nieruchomo i zamknął oczy. Oddech miał krótki i urywany, tępe pulsowanie przeszło w drżenie. Gromph jęczał i trząsł się, czując, jak zrastają się kości, każde drobne naczynie krwionośne odnajduje naderwaną końcówką, a nerwy

powracają do życia w spazmach bólu, czując swędzenie, przyjemność, potem znowu ból i ściąganie się skóry.

Licz, ostrzegł Nauzhror.

Dopiero wtedy Gromph uzmysłowił sobie, że Dyrz rzuca kolejne zaklęcie. Czar, który przyszedł mu do głowy, miał potężną moc, która mogła go osłonić w sytuacji, gdyby sfera zawiodła. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, Gromph zebrał konieczną do rzucenia zaklęcia energię Splotu i pole antymagii zmaterializowało się w samą porę, by zablokować wielką eksplozję potwornego żaru i oslepiającego ognia.

I stłumiło regeneracyjną moc pierścienia.

Żadna magia nie działała w pobliżu Grompha Baenre, a noga zrosła mu się dopiero w połowie. Zadrzał, zaciskając mocno zęby i powieki, gdy promieniujący z nogi ból ogarnął spazmem całe ciało.

- Świetne zagranie, młody przyjacielu - zawołał z góry *Licz* - ale to pole przestanie kiedyś działać. W międzyczasie będziesz krwawił - a ja będę czekał.

Gromph nie zastanawiał się nad groźbą *Liczy*. Ból nie pozwalał mu myśleć.

Piet ścisnął drzewce topora, mając nadzieję, że nie wyśliznie mu się ze spoconych dłoni, kiedy zacznie się walka - a że zacznie się wkrótce, było jasne. Zerknął na swojego towarzysza Ulo i widział, że ten myśli o tym samym. Widział nawet, jak palce Ula dotykają trzonków dwóch wielkich sztyletów i wiedział, że też pocą mu się dłonie.

Przybyli do Zalanego Lasu, żeby popracować przy wyrębie, zarobić kilka sztuk srebra i nie wchodzić nikomu w drogę. Odkąd się tu zjawili, na ich oczach zginęło dziesięciu ich towarzyszy. Niektórzy zginęli w nieuniknionych wypadkach, jakich można się było spodziewać w obozie drwali, ale większość padła ofiarą miejscowej przyrody. Na bagnach czały się wszelkiego rodzaju tajemnicze niebezpieczeństwa, od ożywionych

pnący wciągających ludzi do wodnego grobu po jaszczurczy lud zabijający maruderów na obrzeżach przesiek z czystej złośliwości. Mimo to pierścień pochodni i bogowie jedni wiedzą co jeszcze - może coś w rodzaju bagiennej etykiety - nie pozwalały naprawdę niebezpiecznym stworzeniom zapuszczać się do obozu. Prowizoryczna tawerna, gdzie mężczyźni spędzali prawie cały wolny czas (a nie mieli go wiele) wydawała się w miarę bezpiecznym miejscem.

A teraz przez okno wpadł do środka mroczny elf i coś w rodzaju wielkiego demona i rozpętało się piekło.

Piet i Ulo znaleźli się naprzeciw mrocznego elfa. Z dwóch przybyszów ten wydawał się po prostu zdolny do zabójstwa, podczas gdy podobna do demona istota wyglądała na zdolną do naprawdy strasznych rzeczy. Piętowi trzęsły się kolana i ręce, szczękę miał zupełnie zdrętwiałą.

Po drugiej stronie wspólnej izby czterej pozostali drwale, Ansen, Kinsky, Lint i Arkam stali twarzą w twarz z wielkim demonem. Wszyscy byli uzbrojeni — nikt, kto miał choć odrobinę oleju w głowie, nie chodził bez broni po Zalonym Lesie - ale ich oręż wyglądał przy potężnym stworze jak zabawki. Ansen chwycił wiszącą na ścianie pochodnię, Kinsky dzierżył topór, Lint miał zamiar bronić się przed potworem ościeniem, którym łowił ryby na mokradłach, a Arkam wywijał przed sobą ułamanym drzewcem topora. Wszyscy wyglądali na przerażonych.

Mroczny elf miał wielki miecz - Piet jeszcze nigdy nie widział tak ogromnego miecza - ale oręż zwiślał luźno w jego dłoni, skrobiąc sztychem o nierówną drewnianą podłogę. Drow był przemoczony i krwawiła mu twarz, noga, a może jeszcze coś. Piet nigdy wcześniej nie widział mrocznego elfa. Tak naprawdę myślał zawsze, że są mitem, więc nie potrafił ocenić stanu przybysza, ale wydawał się słaby, wyczerpany, może nawet umierający.

- Kim jesteś? - zapytał Piet. - Co tu robisz? Czego chcesz?
- Przerażone drzenie, jakie usłyszał we własnym głosie, wcale mu się nie spodobało.

Choć drwal nie potrafił stwierdzić, co myśli drow, był przekonany, że przybysz go zrozumiał. Spojrzenie, jakie mu posłał, wydało mu się najpierw wyniosłe, nie, nie tyle wyniosłe, co... nie był pewny, jak je nazwać. Tak, chyba przypomniał sobie właściwe słowo: wzgardliwe. Ale nie był pewny czy dobrze pa-miętajęgo znaczenie.

Drow nie odpowiedział. Zamiast tego wznosił miecz i Piet, obawiając się ciosu, rąbnął w dół toporem. Piet rąbał drewno przez całe swoje dorosłe życie - odkąd skończył jedenaście i pół roku. Potrafił machać toporem i to szybko, mocno i precyzyjnie. Mimo to nie zbliżył się do mrocznego elfa nawet na długość ramienia.

Jego ruch prawie mu umknął. Drow znalazł się nagle kilka stóp dalej, z prawej, pomiędzy Pietem a Ulem. Trzymał miecz w górze, ale wyglądał, jak gdyby się bronił, nie atakował. Ulo, zaskoczony tym, że mroczny elf stoi nagle tak blisko niego, zamachał jak oszalały nożami - nie raniąc nikogo - po czym rzucił się do tyłu, dopóki nie grzmotnął o ścianę.

- Pchnij go, Ulo! - wrzasnął Piet, ale Ulo wydawał się go nie słyszeć.

Mroczny elf zbliżał się do Pieta i mężczyzna instynktownie uskoczył w bok. Poczul przyływ adrenaliny. Jeszcze nigdy w życiu nie poruszał się tak szybko.

Zmienił uchwyt na drzewcu topora i zamachnął się, mierząc w mrocznego elfa, który odskoczył w tył i żeleźce przemknęło mu kilka cali przed twarzą. Piet zmienił uchwyt pod koniec zamachu, obrócił topór i znów się zamachnął. Wiedział, że mroczny elf znów odchylił się do tyłu i był na to przygotowany. Nawet mierzył w punkt kilka cali za głową drowa. Widział tylko jego i kiedy topór leciał ku jego głowie, Piet zamknął oczy, spodziewając się eksplozji krwi.

Topór zatrzymał się i twarz Pieta obryzgała gorąca, gęsta ciecz. Zacisnął mocniej oczy, żeby nie dostała się do nich krew, i spróbował wyrwać żeleźce z głowy drowa, ale utknęło. Upadające ciało pociągnęło go za sobą, więc osunął się powoli na kolana. Uderzył czołem o ścianę, co go zaskoczyło. Nie przypuszczał, że jest tak daleko.

Otarł oczy rękawem i zawołał:

- Trafiłem go, Ulo! Rozplątałem czaszkę tego czarnego dia...

Piet zamarł, kiedy otworzył oczy i zobaczył, czyją czaszkę rozszczepił. Martwe oczy Ula wpatrywały się w niego, zeszkłone i puste. Żeleźce topora utkwiło w boku głowy przyjaciela, z rany wokół ostrza wciąż sączyła się krew.

Piet drżał na całym ciele, wstrząsany spazmami, ale udało mu się powstrzymać odruch wymiotny. Przycisnął dłoń do ust. Wypuścił topór, który wciąż tkwił w głowie przyjaciela i runął na podłogę.

Podniósł wzrok i zobaczył, że mroczny elf patrzy na niego, ale nie próbuje go zabić, choć teraz byłoby to bardzo proste. Piet napotkał wzrok czarnej istoty i wydało mu się, że drow nie tylko jest z siebie zadowolony, ale zastanawia się, jak powtórzyć podobną sztuczkę.

- Hej! - zaskrzeczał Piet łamiącym się głosem.

Chciał ich ostrzec, ale gardło miał ściśnięte i z trudem wymawiał słowa. Gdy podniósł oczy na czterech pozostałych drwali, zobaczył, jak wielki demon o szarym futrze rozszarpuje Arkamowi gardło jedną łapą, jak gdyby wygrzebywał z garnka resztki tłuszczu. Krew trysnęła na wszystkie strony, a Arkam zginał, nim jego przesiąknięte posoką ciało uderzyło o podłogę.

Już w chwili, gdy dwie dziwaczne istoty wpadły przez okno, Piet wiedział, że drużynę drwali czeka marny koniec, ale sposób, w jaki sytuacja się rozwijała - niedbałość, z jaką szary demon rozpruł Arkamowi gardło i przebiegły, niemal nikczemny

sposób, w jaki mroczny elf zmusił Pieta do zabicia własnego przyjaciela - czynił ją zbyt osobistą.

Piętowi przestały się pocić dłonie. Zęby miał wciąż zaciśnięte, ale z innego powodu. W uszach tętniła mu krew. Mroczny elf przyglądał się, jak demon bawi się z Ansenem, Kinsky'm i Lin-tem. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby uważać na Pieta, jak gdyby ten nie stanowił żadnego zagrożenia.

To, pomyślał Piet, twoja druga i ostatnia pomyłka, drowie.

Piet odkaslnął zółć, która podeszła mu do gardła, kiedy postawił ciężki butna rozszczępionej głowie przyjaciela i pchnął, jednocześnie ciągnąc za trzonek topora. Żeleźce wysunęło się z niej z przyprawiającym o mdłości mlaśnięciem, ale Piet jakoś to zniósł.

Z toporem w dłoni wstał, a potem skoczył na mrocznego elfa. Oślizły drow znów umknął mu z taką szybkością i łatwością, jak gdyby miał oczy z tyłu głowy. Niezrażony tym drwal znów się zamachnął, ale topór przeciął powietrze. Drow uchylał się jak w tańcu, nawet nie parując ciosów wielkim mieczem, po prostu odskakując w tył albo odchylając się na obie strony, kiedy mężczyzna raz po raz usiłował go trafić.

W końcu dał za wygraną. Czuł pieczenie w płucach. Próbowił coś powiedzieć, ale nie mógł. Chciał uciekać, ale miał wrażenie, że nogi zmieniły mu się w gałązki gotowe w każdej chwili trzasnąć - przez cały dzień pracował na wyrębie. Był w stanie tylko stać i patrzeć, jak mroczny elf przygląda się demonowi mordującemu resztę ludzi w pomieszczeniu.

Demon trzymał w rękach - dwóch większych z trzech posiadanych rąk -jeden z ciężkich dębowych stołów i przypiera! Ansena, Kinsky'ego i Linta do ściany. Ich broń uwięzła między białem a ich własnymi ciałami. Pochodnia Ansena opaliła mu twarz, drzewce topora Kinsky'ego strzaskalo mu obojczyk, a oścień Linta wystawał bezużytecznie zza stołu, wydłubując głębokie bruzdy w belce stropowej.

Mężczyźni stękali i kaszleli. Ansen wrzasnął. Dymiło mu się z włosów, a czerwona skóra wokół jego prawego oka podpiekła się i zaczynała odchodzić płatami.

- Przestańcie - wysapał Piet.

Ani drow, ani demon nawet nie spojrzeli w jego stronę.

- Przestańcie... - wyjęczał miał już upuścić topór, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i pięciu mężczyzn prawie poprzewra cało się nawzajem, usiłując dostać się jak najszybciej do środka.

Piet znał ich wszystkich: Nedreg, wysoki mężczyzna z Sem-bii, który był jedną z dwóch osób w obozie posiadających miecz. Kem, niski chłop z Cormyru, który też miał miecz i który nienawidził Nedrega równie mocno, jak Nedreg jego. Raula, jedyna kobieta w obozie, była uzbrojona we włócznię, która, jak twierdziła, była magiczna, ale nikt jej nie wierzył. Aynd, mąż Rauli, miał włócznię, która była tak zwichrowana, że nawet nie starał się nikomu wmawiać, że jest czymś innym niż znalezionym przy drodze śmieciem porzuconym przez impilturańską armię.

Pierwszy wpadł do izby brygadzysta: wielki chłop zwany Rabem, który twierdził, że był sierżantem armii Cormyru w dniu, w którym zginął na polu bitwy król Azoun. Wszyscy wierzyli w to, co Rab im mówił - bez względu na to, co mówił - bo wszyscy się go bali. Piet nigdy go nie lubił, ale widok Raba wpadającego do zalanej krwią tawerny z wielkim toporem w garści był najpiękniejszą rzeczą, jaką drwał widział w swoim życiu.

Właśnie wtedy, z jakiegoś powodu, którego Piet nie potrafił pojąć, mroczny elf wreszcie go zaatakował. Wielki miecz poruszał się tak szybko, że rozmazywał się Piętowi w oczach. Mimo to udawało mu się przed nim uchylać. Usiłował parować ciosy toporem, ale mroczny elf nawet go nie dotykał. Jego wielki miecz wirował wokół broni, przeskakiwał nad nią, cofał się przed nią.

Zanim się zorientował, Piet zrobił z dziesięć kroków do tyłu. Znalazł się bliżej demona niż zamierzał, ale potwór wciąż napierał na stół, za którym byli uwięzieni Ansen, Kinsky i Lint.

Ansen wciąż wrzeszczał. Jego głos stał się bardziej rozpaczliwy, niemal dziewczęcy i Piet przyłapał się na tym, że życzy mu rychłej śmierci. Była to jedyna ludzka reakcja.

Dwaj pozostali mężczyźni wyglądali, jak gdyby próbowali krzyczeć, ale nie mogli. Demoniczna istota zerknęła na mężczyzn, którzy wtargnęli do izby, ale wciąż stali przy drzwiach, próbując zrozumieć ponurą scenę. Demon wykorzystał ich wahanie i napał jeszcze mocniej. Piet widział, jak napinają mu się mięśnie nóg, a ostre pazury stóp wbijają się w podłogę. Oczy Kinsky'ego wyskoczyły z głowy w wodospadzie krwi. Lint kaszlnął krwią, zacharczał i skonał. Kinsky próbował krzyczeć. W izbie rozległa się seria głośnych trzasków i Kinsky sflaczał. Ansen wreszcie przestał wrzeszczeć, ale wciąż płonął.

Rab i pozostali natarli na demona. Piet nie był nawet pewny czy zauważyli mrocznego elfa.

- Dlaczego? - zapytał drowa, który przyglądał się, jak pozostali atakują potwora. - Co tu robicie? Dlaczego to robicie? Czego chcecie?

Mroczny elf odwrócił się w jego stronę i uniósł brew, spoglądając na Pieta z góry, choć mężczyzna był przynajmniej o sześć cali wyższy.

- Czego tu chcecie? - zapytał znów Piet.

- Niczego - odparł drow we wspólnym. Mówił z dziwnym akcentem.

Piet zauważył jakiś ruch w dole - wyglądało to tak, jak gdyby mroczny elf wzruszył ramionami a potem poczuł coś mokrego na szyi, ciepłą ciecz spływającą mu po piersi. Przyłożył rękę do gardła i jego palce natknęły się na pulsującą strugę gorącej, czerwonej krwi. Kiedy spróbował coś powiedzieć, płuca zalała mu krew, a oczy zaszczyły mgłą.

Mroczny elf odwrócił się od niego i umierając, Piet wiedział, że drow nie będzie już zaprzętał nim sobie głowy. Skonał, zanim zadecydował, co o tym myśli.

Ryld nie zaprzętał już sobie głowy martwym człowiekiem. Do środka wpadło pięciu innych i choć Jeggred włożył minimalny wysiłek w uśmiercenie pierwszych trzech, których napotkał, przynajmniej jeden z nowoprzybyłych wyglądał jak ktoś, kto potrafi walczyć. Ryldowi nawet nie przeszło przez myśl, że Jeggred mógłby sobie nie poradzić z pięcioma ludźmi - nawet tym z wielkim toporem - ale cała ich piątka mogła osłabić nieco jego refleks i to musiało fehmistrzowi wystarczyć.

Ryld schował Rozpruwacza i zanim ostrze zniknęło zupełnie w pochwie, stopy fehmistrza oderwały się od ziemi. Zamierzał wyskoczyć przez okno i prawie mu się to udało, gdy ktoś chwycił go za stopę. Ryld wiedział, jeszcze zanim się odwrócił, że to Jeggred.

Draegloth szarpnął mocno i fehmistrz okręcił się w uścisku i kopnął go w twarz. Głowa półdemona odskoczyła do tyłu, prosto w jednego z nadbiegających mężczyzn - tego z mieczem - który skorzystał z okazji, aby ciąć go w tył głowy. Miecz zaplątał się we wciąż mokrą grzywę gęstych białych włosów draeglotha.

Dwaj kolejni ludzie natarli na Jeggreda z boków i wbili mu włócznie w plecy. Groty włóczni zatopiły się w ciele draeglotha, który wydał z siebie głośny pomruk. Puścił Rylda, który wylądował na nogach, twarzą w twarz z półdemonem. Ludzie cofnęły włócznie, a Jeggred i Ryld wymienili spojrzenia mówiące, że Jeggred zajmie się mężczyzną i kobietą uzbrojonymi we włócznie. Człowiek z mieczem cofnął klingę, aby dźgnąć draeglotha od tyłu.

Jeggred zawirował, roztrącając dwójkę ludzi na boki. Z lewej, twarzą do Rylda, stał mężczyzna z mieczem.

- Draegloth zabije was wszystkich - powiedział Ryld, przekonany, że poprawnie użył wspólnego.

Człowiek wydawał się bardziej przerażony tym, że Ryld zna jego język, niż samą obecnością mrocznego elfa. Był to błąd, którego nie miał już popełnić w przyszłości.

- Nie... - ostrzegł Ryld, gdy mężczyzna uniósł miecz z zamiarem zaatakowania go.

Wzdychając ze zniecierpliwieniem, Ryld wywinął Rozpruwaczem szybkiego młyńca, odcinając mężczyźnie prawą rękę, w której tamten trzymał miecz. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, wybałuszając oczy na krew tętniącą kikuta. Spojrzał na Rylda i na uderzenie serca nawiązał z nim kontakt wzrokowy. Jak gdyby czekał, aż Ryld coś powie, wyjaśni, dlaczego odrąbał mu ramię. Ludzie byli naprawdę dziwni.

Ryld wzruszył ramionami. Mężczyzna otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i padł martwy.

Kobieta spróbowała dźgnąć Jeggregda włócznią, ale ten złapał za drzewce, zanim zadała cios. Złamał je jak gałązkę i kobieta cofnęła się, zasłaniając twarz rękami w nieporadnej próbie obrony przed półdemonem.

Ryld powstrzymał wybuch śmiechu. Zamiast tego pochylił się szybko i wyrwał miecz z ręki trupa. Musiał złamać kilka palców, żeby wyswobodzić ostrze, ale mężczyźnie z pewnością było już wszystko jedno.

Drugi włócznik zaatakował draeglotha ze wznowioną furią, raz po raz usiłując ugodzić go zwichrowaną włócznią, ale Jeg-gred uskakiwał przed ciosami, bawiąc się z nim. Kobieta przyciskała dłonie do ust, najwyraźniej przejęta losem towarzysza. Coś w wyrazie jej twarzy wydało się Ryldowi znajome, rzucił jej więc miecz trupa. Nie zauważyła lecącej ku niej klingi, dopóki ta nie znalazła się w połowie drogi, ale udało jej się ją złapać.

Kobieta spojrzała Ryldowi w oczy, a fechmistrz wskazał ruchem głowy draeglotha.

- Bierz mrocznego elfa, dziewczyno! - wrzasnął do kobiety mężczyzna z wielkim toporem.

Mężczyzna z toporem przez cały czas wydawał rozkazy, ale Ryld nie zwracał na niego większej uwagi. Ryld nie po raz pierwszy słyszał, jak ktoś każe go zabić, ale czegoś tu nie rozumiał. Właśnie rzucił jej broń... co z tego, że wyjął ją z odrąbanej kończyny jednego z jej towarzyszy?

Kobieta zawahała się, popatrzyła na miecz, jak gdyby nie była pewna, co z nim zrobić, a potem spojrzała na Jeggreda. Draegloth zrobił wypad, zwinnie omijając ostrze włóczni i chwycił głowę drwała w jedną ze swoich ogromnych, szpo-niastych łap. Skręcił nadgarstkiem, ugiął łokieć i głowa włócznika oderwała się od ramion w rozbryzgu krwi.

Kobieta wrzasnęła i Rylda zdumiał ten dźwięk. Był przesycony uczuciem, rzecz rzadka w Menzoberranzan. Popatrzył na nią i ich spojrzenia spotkały się. Po jej twarzy ciekły łzy. Znów popatrzyła na draeglotha, który gotował się do odparcia ataku mężczyzny z toporem.

Kobieta upuściła miecz, zerwała się do biegu, przemknęła obok Jeggreda i mężczyzny z toporem i wypadła na zewnątrz. Ryld słyszał, jak jej kroki cichną w mroku.

Fechmistrz miał ochotę wybiec za nią.

Rab Shuoc urodził się w Roku Pikującego Jastrzębia w cor-myrskim mieście Arabel. Przyszedł na świat w rodzinie miejskiego strażnika i spędził dzieciństwo polując z przyjaciółmi na szczury w mrocznych zaułkach i od czasu do czasu towarzysząc ojcu w obchodach zamożniejszych dzielnic. Kiedy zaciągnął się do armii, nie było to dla nikogo najmniejszym zaskoczeniem. Rab był ślepo oddany swojemu królestwu i królowi, od którego bardziej podziwiał tylko własnego ojca.

Awansował powoli i miał stopień sierżanta, gdy ghaznety i gobliny spustoszyły Connyr i prawie zniszczyły Arabel. Nie-

wiele brakowało, a zginąłby w tej samej bitwie, która doprowadziła do śmierci króla i patrzył, jak płonie jego rodzinne miasto. Jego ojciec zginął przygnieciony fragmentem walącego się budynku. Po śmierci króla i ojca, nie mając rodziny, do której byłby przywiązany, Rab po prostu odszedł.

Imał się różnych zajęć, zostając po kolei najemnikiem, wykidajką w gospodzie, karczmarzem, płatnerzem, a w końcu drwalem. Był silny i sprytny, więc wkrótce został brygadzystą. Jego chlebobdawcy płacili mu znaczne sumki w złocie za zbieranie drużyn gotowych zapuszczać się w najbardziej niebezpieczne ostępy Faerunu w poszukiwaniu egzotycznego drewna. Szybko zdobył wśród właścicieli tartaków i drwali solidną reputację twardego przywódcy, który zawsze wywiązuje się z powierzonych mu zadań.

Przez te ciężkie czterdzieści sześć lat Raba Shuoca wicie ominięło. W jego życiu były kobiety, ale nigdy nie miał żony ani dzieci. Od czasu wojny nie miał nawet domu. Rzadko pracował z tymi samymi ludźmi dłużej niż jeden sezon i nie miał prawdziwych przyjaciół.

Nie był typem człowieka zabiegającego o własne szczęście czy choćby oczekującego, że będzie szczęśliwy. Chciał żyć, pracować i mieć święty spokój.

Kiedy wszedł do wspólnej izby i zobaczył, że część jego drużyny zginęła już z rąk mrocznego elfa i jakiegoś ogromnego potwora, pojął, że jeśli chce żyć, będzie musiał walczyć ciężiej niż kiedykolwiek. Z tą właśnie myślą ruszył w stronę dwóch intruzów i rozpoczął ostatnie trzydzieści sekund swojego życia.

Raula była na tyle sprytna, żeby uciec, i Rab pozwolił jej na to. Mroczny elf też patrzył, jak ucieka, a demon zlekceważył ją. Wielki, porośnięty szarym futrem stwór wbił w brygadzystę płonące czerwone ślepia i ruszył ku niemu. Rab uniósł topór, przygotowując się do odparcia ataku demona. Pamiętał też o drowie.

Drow uderzył szybciej niż demon, wywijając ogromnym mieczem w dziki, chaotyczny sposób. Rab był pewien, że sparuje z łatwością niekontrolowany atak i oburącz przytrzymał stalowy trzonek topora, licząc na to, że miecz odbije się od niego -ale stało się inaczej.

Sztych wielkiego miecza znalazł się w zupełnie innym miejscu. Rabowi wydawało się niemożliwe, że ktoś może machać tak szybko tak wielką, ciężką klingą, ale dziwny mroczny elf to potrafił i to Rab miał za to zapłacić. Sztych miecza zostawił na piersi drwala głębokiego rozcięcie. Mężczyzna poczuł ból, trysnęła krew i przez te pół sekundy, kiedy był w szoku, demon odebrał mu topór.

Bywał już rozbrajany w przeszłości, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się, żeby przeciwnik wyjął mu broń prosto z ręki.

Rab wciąż się nad tym głowił, gdy stało się coś jeszcze dziwniejszego: mroczny elf ciął demona mieczem przez plecy, na tyle głęboko, że z rany trysnęła krew, a stwór zaryczał. Drow powiedział coś w języku, którego Rab nawet nie rozpoznawał, nie mówiąc już o rozumieniu. Na twarzy drowa nie było złości, jej wyraz nie zdradzał żadnych emocji, ale zdecydowanie próbował zabić demona.

Ogromny stwór obrócił się w stronę znacznie niższego mrocznego elfa i Rab cofnął się. Zdążył zrobić ledwie krok, gdy demon sięgnął ręką w tył i złapał go za koszulę, zrywając mu przy tym skórę z pleców. Potwór bez żadnych oznak wysiłku podniósł Raba, który ważył sporo ponad dwieście funtów, z podłogi.

Rab złapał masywną, zakończoną pazurami łapę stworza, ale skóra demona przypominała stal pokrytą szorstkim futrem. Rab mógł się tylko zastanawiać, co zamierza z nim zrobić. Demon obrócił się w stronę mrocznego elfa, który trzymał miecz uniesiony ku górze. Demon wciąż dzierżył topór Raba w j ednej dłoni, ale zachowywał się tak, jak gdyby zupełnie o nim zapomniał.

Demon cisnął Rabem w mrocznego elfa. Mężczyzna wydał nieskładny, wystraszony odgłos, który mógł być okrzykiem. Nawet tego nie był pewny. Był to dźwięk, jaki wydaje człowiek, który wie, że została mu już tylko sekunda życia i nie może na to nic poradzić.

Rab nadział się na wielki miecz mrocznego elfa. Czuł każdy cal zimnego żelaza, gdy wbijało mu się w pierś. To dziwne, ale nie czuł bólu.

Ryld trzymał miecz z nadzianym na klingę człowiekiem i patrzył na draeglotha. Mężczyzna skonał, usiłując nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Ryld nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego ludzie tak się przy tym upierali. Skierował miecz szyćchem w dół, w nadziei, że mężczyzna się z niego zsunie, ale musiał szybko odskoczyć w tył, gdy żeleźce topora, który Jeggred wyrwał mężczyźnie, opadło w dół.

Wielki topór przeciął Rozpruwacza na pół. Ryld wytrzeszczył oczy, a krew najpierw się w nim zagotowała, a potem ścięła w żyłach. Rozpruwacz był złamany. Jego miecz. Broń, dla której żył, dla której przez lata doskonalił umiejętności, została zniszczona.

Ludzki topór musiał być jednak magiczny.

Mężczyzna spadł na ziemię razem z końcem klingi i nagła utrata ciężaru sprawiła, że Ryld zatoczył się do tyłu. Upuścił złamany miecz, który z brzękiem upadł na podłogę.

Fechmistrz sięgnął po krótki miecz i już dotykał palcami głowicy, gdy żeleźce topora opadło ponownie, rozplątało jego kra-snoludzki napierśnik z mithraiu jak pergamin i wbiło mu się w pierś. Ryld czuł jego ciężar nie tylko na sobie, ale w sobie. Nie czuł bólu, tylko ciężki, równomierny nacisk.

Draegloth stał nad nim, z obnażonych kłów zwisały mu długie, lśniące nitki śliny, oczy żarzyły mu się w pomarańczowym blasku pochodni.

Ryld próbował odetchnąć, ale nie mógł. Powietrze nie docierało do jego płuc. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w sta-

nie. Poza tym nie wiedział, co powiedzieć. Odwrócił się od wszystkiego, co znał, dla kobiety, której wcale nie znał, kobiety, która wybrała ścieżkę, która doprowadzi ją do zagłady równie niechybnie, jak doprowadziła jego. Z jednej strony żałował, że nie zabił go ktoś inny niż ohydny półdemon, a z drugiej był zadowolony, że trzeba było aż draeglotha, by go pokonać. Miał prawie ochotę podziękować Jeggredowi za to, że z nim walczył. Nie zasługiwał na tak wiele.

Jeggred przysunął się bliżej i Ryld cieszył się, że nie może oddechać. Nie czuł oddechu półdemona.

Jeggred nacisnął na ostrze topora i otworzył klatkę piersiową fechmistrza. To, co poczuł Ryld, wykraczało poza ból - tak dojmującemu cierpieniu kres mogła położyć tylko śmierć.

Patrzył, jak draegloth wkłada mu łapę do klatki piersiowej. Ciało Rylda zaczęło dygotać, a on nie był w stanie nad tym zapanować. Na przemian tracił i odzyskiwał wzrok, gdy draegloth grzebał mu w piersi łapą.

Kiedy Jeggred wyjął rękę, Ryld Argith, mistrz Melee-Mag-there, odzyskał wzrok na dość długo, żeby zobaczyć, iż jego serce wciąż biło, kiedy draegloth zaczął je zjadać.

Serce fechmistrza było silne i Jeggred delectował się zarówno jego strukturą, jak i smakiem. Ryld Argith był godnym przeciwnikiem, dobrą zdobyczą i draegloth żałował, że nie może zostać dłużej i pożreć czegoś więcej. Drow skołał, zanim Jeggred skończył zjadać jego serce, a draegloth wiedział, że Dani-fae oraz pozostali czekają na niego.

Nie zadawszy sobie trudu, żeby wytrzeć się z krwi, szlamu i soku pnączy, draegloth dotknął pierścienia otrzymanego od Danifae i powrócił do Sschindylrynu.

- Ryld Argith nie żyje- oznajmiła Danifae Qunthel, zerka-
jąc na Pharauna.

Mag siedział w milczeniu, ze skrzyżowanymi nogami, na-
przeciw grota. Nic spojrział na nią, w ogóle nic zareagował.
Danifae przygryzła dolną wargę, wodząc wzrokiem od Pharau-
na do Quenthel.

- I?-ponagliła ją mistrzyni Arach-Tinilith.

- Ja go zabiłem - warknął Jeggred.

Danifae popatrzyła na draeglotha, który nie odrywał wzroku
od Pharauna. Mag wciąż się nie poruszył, nawet nie spojrział na
draeglotha ani na nią. Obiecała, że oszczędzi fechmi-strza, ale
kłamała. Danifae spodziewała się, że mag spopieli ją za tę
zdradę. Albo był zbyt zajęty przygotowaniem do pod-

róży, albo nic go to nie obchodziło... albo planował coś na później.

- A Halisstra Melarn? - zapytała Quenthel.

- Rozerwałem jego ciało na strzępy-ciągnął draegloth, lekceważąc pytanie ciotki - po tym, jak pożarłem jego serce. W tej mroźnej błotnistej dziurze nie został z niego żaden kawałek większy od kęsa.

- Tak - powiedziała Danifae, uśmiechając się do draeglotha, który wciąż patrzył na Pharauna - cóż, jak by nie było, Halisstra zrobiła rzecz nie do pomyślenia. Znajduje się teraz pod ochroną Eilistraee, nie ma już co do tego żadnych wątpliwości.

- Masz na to dowody? - zapytał Pharaun spokojniejszym, jakby słabszym, a może po prostu znużonym głosem.

- Wyznała mi to - odparła Danifae, wciąż patrząc na Quen-thel.

- To prawda - dodał draegloth.

Quenthel odwróciła się do Jeggreda z wściekłością na twarzy, jej oczy ciskały gromy. Mimo to wydawała się drobna przy zwalistym stworze.

- A skąd ty masz o tym wiedzieć, głupcze? - warknęła. - Nie jesteś tu od myślenia.

- Nie - przyznał draegloth, nie cofając się przed gniewem kapłanki -jestem tu od działania. Jestem tu, żeby walczyć i zabijać. Ile razy się tym ostatnio zajmowałem, moja najdroższa ciotko?

- Aż tyle - odparła Quenthel, której głos zabrzmiał prawie jak pomruk - albo tylko tyle, ile ci kazałam. Ja, nie Danifae.

Jeggred pochylił się nad nią, mięśnie pod jego szarym futrem zafalowały niecierpliwie.

- Pani Danifae - rzekł draegloth - przynajmniej się stara. Działa...

- Bez moich wyraźnych rozkazów - skończyła za niego Qu-enthel.

Danifae obawiała się, że Jeggred będzie mówił dalej, więc powiedziała:

- Tylko w twoim imieniu, mistrzyni. Quenthel uniosła brew i podeszła do niej bliżej.
- Rozmawialiśmy już o tym, tak czy nie, branko?
- Nie jestem już niczyją branką, mistrzyni — odrzekła Danifae - ale wciąż służę Lolth.
- Mieszając mojemu draeglothowi w głowie? - zapytała wysoka kapłanka.

Danifae poczuła mrowienie skóry na ramionach i piersi.

- Nie - odpowiedziała. Jeggred pomógł mi pomóc tobie.
- Pomóc mnie? - zapytała wysoka kapłanka.

Draegloth odwrócił się i odszedł. Znalazł sobie miejsce w pobliżu dziobu, gdzie usiadł ze spuszczoneym łbem. Ouenthel wciąż wpatrywała się w Danifae, jak gdyby spodziewała się odpowiedzi.

- Mistrzyni - powiedziała Danifae. - Nie mam domu. Obiecałaś, że zabierzesz mnie ze sobą do Menzoberranzan, jeśli będę ci służyć. Z tego i z wielu innych powodów postąpiłam tak, jak postąpiłam.

- Czy prosiłam cię o to? - ryknęła Quenthel. - Czy wysłałam cię, żebyś to zrobiła?

Danifae uniosła brew i czekała.

Ouenthel wzięła głęboki oddech, odwróciła się od byłej branki i popatrzyła na czarną wodę, pogrążona w myślach.

- Jestem wierna Lolth - rzekła Danifae - i domowi, w którym się urodziłam.

- W domu Baenre - powiedziała Ouenthel lodowatym tonem - nie ma miejsca dla karierowiczek, zdrajczyń ani branek.

- Myślę, że przekonasz się, mistrzyni - nalegała dawna służka - iż nie jestem karierowiczką, zdrajczynią ani branką. To nie ja tańczę pod okiem Eilistraee, ja jestem tu i jestem gotowa słu-

żyć tobie, służyć Lolth, służyć Arach-Tinilith, Menzoberran-zan i całej rasie mrocz...

- Dobrze już - parsknęła Quenthel - skończ z tym. Nie musisz włączyć mi w...

-Nigdy, mistrz...

- Milcz, dziecko - powiedziała mistrzyni Arach-Tinilith. - Przerwij mi jeszcze raz, a zakosztujesz jadu.

Danifae odniosła niejasne wrażenie, że była to czcza groźba, ale milczała. Nie było jej łatwo. Miała ochotę powiedzieć Quenthel Baenre wiele rzeczy, ale postanowiła powiedzieć jej jej trupowi. Poza tym żmije służące Quenthel były wciąż niebezpieczne, a wszystkie pięć wpatrywało się w nią, wysuwając języki, na których koniuszkach połyskiwała straszliwa trucizna.

- Słuchajcie - zawołał Pharaun, który wciąż siedział z zamkniętymi oczami. - Skoro jesteśmy tu już wszyscy... a przynajmniej to, co z nas zostało... ruszajmy w drogę.

- Z rozkazu mistrzyni - dodał po chwili.

Danifae wzięła głęboki oddech, po raz ostatni spojrzała na ponure Jezioro Cieni i powiedziała:

- Jesteśmy gotowi, mistrzu Pharaunie.

Quenthel popatrzyła na nią, ale tylko kątem oka. Danifae zadrżała, widząc emocje malujące się na jej twarzy. Mistrzyni Arach-Tinilith była przerażona.

Statek zaczął się poruszać zgodnie z wolą Pharauna i czarodziej zdrygnął się. Dzięki zespoleniu ze statkiem czuł zimno wody, ciepło własnego ciała i ciał swoich towarzyszy na pokładzie, a także pomniejszych demony wciąż trawione w piekielnej międzywymiarowej przestrzeni w ładowni okrętu. Uznał to za wyjątkowo przyjemną mieszankę doznań.

Woda falowała i omywała kościany kadłub, gdy statek sunął powoli po nieruchomej powierzchni jeziora. Oprócz tego nic się na razie nie zmieniło.

Ściany są tu cienkie, wyszeptała w umyśle maga Aliisza.

To prawda, przyznał jej rację.

Ściany, o których wspomniała, oznaczały bariery między wymiarami. W niektórych miejscach i w niektórych porach bariery robiły się coraz cieńsze, a często w ogóle znikaly. Jezioro Cieni leżało bardzo blisko Planu Cieni. Bariery między tymi dwoma planami były tu wyjątkowo cienkie.

To dobrze, że się nie spieszysz, odezwała się Aliisza. *Za chwilę prześlizniemy się na Skra...*

I już tam byli.

Zaskoczyło to nawet Pharauna, który miał spore doświadczenie w podróżowaniu między planami. Gdy przenieśli się z Jeziora Cieni na Skraj, nawet resztki koloru obecne w ciemnej jaskini zbladły i znikły.

Statek poruszał się płynnie, ale niepokojąco chaotycznie. Pokład unosił się łagodnie, potem opadał łagodnie, potem znów się trochę unosił, opadał, ale nie aż tyle, potem znów unosił tyle samo i opadał, ale nieco mniej. Pharaun nie potrafił powiedzieć czy w ogólnym rozrachunku wznosili się, opadali, czy pozostawali na tym samym poziomie. Czasem zsuwali się gwałtownie w jedną stronę, czasem przechylali łagodnie w drugą. Żołądek kołysał mu się wraz ze statkiem i było mu coraz bardziej niedobrze.

Nie płyn nim, poradziła Aliisza. *Bądź nim*.

Pharaun skupił się na pokładzie, na dłoniach przyciśniętych do ciepłej, żywej kości. Przez jego świadomość przemknęły losowe wspomnienia pożartych dusz, a potem wejrzał głębiej w sam statek.

Okręt, choć żył, nie myślał. Czuł, jak reaguje na bodźce, wpływając z chłodnych wód jeziora na lodowate wody Skraju. Do-

znania mówiły mu, że przeniósł się na Plan Cieni, ale nie potrafił sformułować słowa „cień”. Statek nie lubił Skraju, nie bał się Skraju i nie nienawidził Skraju. Płynął tylko z jednego wszechświata do drugiego z rozkazu mistrza Sorcere. Pharaun przestał mieć mdłości.

Valas był już kiedyś na Skraju i nie zrobiło to na nim wrażenia. Był to świat wyczuty z koloru i ciepła — dwóch rzeczy, które zwiadowca i tak niespecjalnie cenił. Każdemu zakrętowi jaskini w prawdziwym Podmroku odpowiadał zakręt na Planie Cieni, ale tu czas i odległość były wypaczone, mniej przewidywalne, mniej uchwytne.

Zwiadowca został wynajęty do przeprowadzenia wyprawy przez Podmrok, ale Podmrok opuścili. Znajdowali się w krainie bardziej pasującej do czarodzieja, w drodze do świata, który docenić mogła tylko kapłanka. Nadszedł czas, aby Valas Hunc odłączył się od wyprawy.

Wśród błyskotek i talizmanów zdobiących kamizelę nosił odwróconą do góry nogami kameę z ciemnozielonego jaspisu. Rozejrzał się dookoła, upewniając się, że żadne z pozostałych na niego nie patrzy. Wszyscy byli zbyt pochłonięci zmianami w wodzie i w powietrzu, wrażeniem płynięcia po wodzie-cieniu, aby zwracać na niego uwagę. Dotykając kamei jednym palcem, zwiadowca wyszeptał pojedyncze słowo i zamknął oczy. Zakręciło mu się w głowie.

Po przesłaniu wiadomości swoim przełożonym - krótkiej wiadomości sprowadzającej się do stwierdzenia „nie jestem tu już potrzebny” - Valas puścił kameę i dołączył do reszty towarzyszy dziwiących się czasem subtelnym, czasem rażącym różnicom między ich światem, a tym, który ich teraz otaczał.

Bregan D'aerthe odpowiedzą mu w swoim czasie.

Danifae ledwo nad sobą panowała. Kołysanie się pokładu pod stopami przyprawiało ją o dreszcze. Wyprany z koloru świat wokół niej był upajający. Myśl o tym, że wreszcie ruszyli w drogę, i że do tej pory wszystko, co zaplanowała, powiodło się, podniecała ją. Bliskość draeglotha działała na nią pogrzipiająco.

Danifae jeszcze nigdy nie czuła się lepiej.

- Czarodziej go pomści — mruknął Jeggred, co w wydaniu ogromnego półdemonia miało być szeptem.

- Czarodziej zrobi to, co dla niego najlepsze - odparła Danifae.

- Nie wiem, co masz na myśli.

Danifae usłyszała w głosie draeglotha irytację.

- Nie boisz się go - powiedziała. - Wiem o tym. Zapomnij o czarodzieju. Nie zaryzykuje własnym życiem, żeby bronić Ryl-da Argitha, który i tak nie żyje, i nie jest już nikomu potrzebny. Założę się, że jeśli nie jest zbyt zajęty pilotowaniem okrętu, dochodzi właśnie do wniosku, że fehmistrz opuścił nasz wszystkich także jego - więc do Piekieł z nim.

- A z nami do Otchłani, na łasce Pharauna - dodał draegloth.

- Pharaun nie jest bardziej litościwy niż ty czy ja, Jeggredzie - rzekła Danifae — ale otrzymał rozkazy od arcymaga i ma własne powody, aby pozostać z nami. Jeśli narazi którekolwiek z nas na Skraju, Planie Astralnym czy w Otchłani - zginie. Do tego czasu masz go zostawić w spokoju.

-Ale...

- Nie, Jeggredzie - przerwała mu Danifae, odwracając się do niego i patrząc mu prosto w oczy. W szarym mroku Skraju ślepia draeglotha żarzyły się jeszcze jaskrawszym odcieniem

purpury. - Nie tkniesz go, chyba że ci rozkażę, a nawet wtedy tylko w taki sposób, jak ci powiem. -Ależ pani...

- Dość - powiedziała stanowczo.

Zaległa cisza, którą mąciło tylko trzeszczenie takielunku i dziwne echo wody pluskającej o żywą kość statku chaosu.

- Jak sobie życzysz, pani - powiedział w końcu draegloth.

Danifae z trudem powstrzymała uśmiech.

Po jakimś czasie przyzwyczaisz się do tego kołysania, pani, zapewnił ją Yngoth. W końcu w ogóle przestaniesz je zauważać.

Żmije potrafiły przemawiać do niej w myślach, ale Quen-thel nie wiedziała, że wyczuwają też jej nastroje. Nie wyartykułowała ani na głos, ani telepatycznie, jak źle na nią wpływa nieustanne kołysanie pokładu.

To woda popycha nas w górę i w dół, podsunęła K'Sothra.

Quenthel zignorowała ją, spoglądając w zimny mrok Skraju.

- Uwaga, wszyscy - odezwał się Pharaun. Jego głos wydawał się dobiegać z bardzo daleka i odbijał się echem w tym dziwnym miejscu. - Zaraz przeniesiemy się do Jądra Cicni. Czają się tam różne niebezpieczeństwa... różne istoty... Nie wychylajcie się przez burty, proszę. Nie nawiązujcie kontaktu wzrokowego z tym, co będziemy mijać. Bądźcie przygotowani na wszelkiego rodzaju dziwne zjawiska i wszelkiego rodzaju dziwne stwory.

Tylko czarodziej, syknęła Zinda, może dawać tak niejasne i bezsensowne ostrzeżenia. Czy przypuszcza, że którekolwiek z nas skoczy przez burtę w Jądro Cieni?

Ma rację, przekonywał Yngoth. Jądro kryje wiele niebezpieczeństw.

- Złapcie się czegoś - poradził mistrz Sorcere.

Może draegloth mógłby cię przytrzymać, mistrzyni, doradził Hsiv.

Quenthel uśmiechnęła się pogardliwie i dała wężowi pstrycz-ka w podgardle. Popatrzyła na Jeggredda. Stał tuż obok Danifae, która z roztargnieniem gładziła jego grzywę.

Quenthel odwróciła wzrok, starając się nie myśleć o tym, co zobaczyła. Zaciśnęła zęby i złapała się relingu, spięta i przygotowana na nieuchronne zatrzymanie się na dnie czegoś, w co wpadali.

Trwało to straszliwie długo. W końcu Quenthel zaczęła się rozluźniać - przynajmniej trochę - choć wciąż spadali, a ona nadal trzymała się kurczowo relingu, jak gdyby zależało od tego jej życie. W końcu wzięła się w garść na tyle, żeby przyjrzeć się pozostałym uczestnikom wyprawy.

Pokład statku wydłużył się i wygiął, jak gdyby za oba końce ciągnął jakiś silny, ale niezbyt uważny olbrzym. Pharaun wydawał się siedzieć dwa razy dalej niż wcześniej, Valas dwa razy bliżej, a Danifae i Jeggred wydawali się wisieć do góry nogami. Draegloth trzymał brankę jedną łapą, a reling drugą.

Wszędzie dookoła, wśród olinowania, nad i pod kadłubem, i pomiędzy spadającymi mrocznymi elfami przemykały czarne kształty. W powietrzu wisiały czarne i szare smugi, słychać było głuchy ryk, jakby wiatru, który prawie ogłuszał kapłankę. Latające czarne kształty były nietoperzami albo cieniami nietoperzy. W Jądrze Cieni, o czym Quenthel wiedziała, cienie były bardziej niebezpieczne od nietoperzy.

Zatrzymujemy się, stwierdziła Qorra, i Quenthel wiedziała, że ma rację.

Wrażenie spadania minęło. Nie zaczęli spadać wolniej i na pewno nie uderzyli o dno, po prostu przestali spadać.

- Przepraszam wszystkich - odezwał się Pharaun radosnym, pogodnym głosem. - Tym razem było trochę ostrzej, ale jestem

pewny, że wybaczyście mi brak doświadczenia w pilotowaniu statku chaosu.

Quenthel nie wybaczyła, ale i nic nie powiedziała. Statek był idealnie nieruchomy, jak gdyby osiadł na stałym lądzie i wysoka kapłanka zaryzykowała rzut oka za burzę.

Zobaczyła, że nie zatrzymali się na ziemi, tylko w powietrzu, nad pofałdowanym szarym krajobrazem upstrzonym nieco przezroczystymi sylwetkami drzew. Cieniste, podobne do nietoperzy stworzenia wciąż śmigały wokół nich.

- A tak - dodał nagle Pharaun - nie dotykajcie nietoperzy.

Quenthel westchnęła, ale posłuchała.

Pharaun sięgnął zmysłami ku Jądru Cieni w taki sam sposób, w jaki wyteńczyłby słuch, aby usłyszeć odległy dźwięk. Odkąd stał się częścią statku chaosu, wykorzystywanie jego właściwości przychodziło mu całkiem naturalnie.

Jądro Cieni nie różni się aż tak bardzo od twojego Podmro-ku, powiedziała Aliisza, i tak jak Podmrokiem rządzą nim pewne zasady.

Pharaun kiwnął głową. Nie udawał, że rozumie te zasady inaczej niż w najprostszym sposobie. Zawsze miał dość oleju w głowie, żeby nie przebywać tu zbyt długo.

Tym razem nie zabawimy tu dłużej, uspokoiła go Aliisza.

Dotknęła jego ramienia i Pharaun wziął głęboki oddech. Jej dotyk podniósł go na duchu i to nie tylko dlatego, że pomagała mu nawigować statkiem. Po śmierci Rylda został sam wśród drowów, którym było wszystko jedno czy jest żywy, czy martwy. Alu-demon mogła być bardziej wrogiem niż przyjacielem, ale Pharaun nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest jedyną osobą, której może zaufać.

Czujesz to? zapytała.

Pharaun był przez chwilę w szoku. Myślał, że mówi o...

Przejdzie, powiedziała. Czujesz?

Poczuł pustkę w głowie i swędzenie prawej skroni, za sprawą którego statek wykonał skręt i przyspieszył. Zakrzywił palce, instynktownie przytrzymując się pokładu.

Czuję, odpowiedział. Barierajest tam najcieńsza. Statekprze-dostanie się tamędy.

Tak, wyszeptała alu-demon.

Objęła go od tyłu ramieniem i przyłgnęła do jego pleców. Serce Pharauna zabiło szybciej, co go rozbawiło. Nie widział jej, ale czuł jej dotyk, zapach i słyszał jej głos rozbrzmiewający w czaszce. Podobało mu się to.

Na niewypowiedziany rozkaz Pharauna statek pokonywał ogromne odległości niematerialnymi skokami. Tak jak przy chodzeniu przez cienie statek sunął przez Plan Cieni szybciej niż powinien, gdy odległości skracały się pod nim.

Czy znów spadniemy? zapytał Aliiszę, gdy zbliżali się do miejsca, gdzie Jądro Cieni przechodziło bezpośrednio w bezkresny przestwór Planu Astralnego.

Nie, powiedziała, tym razem będzie inaczej.

I było inaczej.

Statek znalazł się po drugiej stronie w mgnieniu oka. Mrok Jądra Cieni, gdzie niebo było szaroczone, rozjaśniło oślepiające światło. Powieki Pharauna zacisnęły się, oczy natychmiast zalały się łzami. Statek zadygotał. Mag miał wrażenie, że jest przechylony na bok. Stracił oddech, czując ucisk w piersi. Strach?

Nie bój się, szepnęła Aliisza.

Pharaun wdrygnął się na sam dźwięk tego słowa, ale musiał przyznać przed samym sobą, że się boi.

Mrugając, otworzył bolące oczy i w głowie zakręciło mu się tak, że prawie zemdlał. Po ich obu stronach rozciągał się taki przestwór nicości, że poczuł się zbyt odsłonięty, zbyt bezbronny, zbyt... poza, żeby nie być spiętym i nerwowym.

Niebo wokół nich było szare, ale miało też w sobie coś, co Pharaun potrafił określić tylko jako esencję światła. Nie było na nim słońca ani żadnego innego źródła blasku. Światło po prostu tam było, dochodziło ze wszystkich stron naraz, nasycając wszystko.

Na tle nasyconej jasności falowały jaskrawe pasma wielokolorowej poświaty -wspaniała i chaotyczna zorza.

Statek kołysał się i dygotał, a Pharaun znów stężał, czekając, aż okręt się rozleci. Zaciśnął zęby, zamknął oczy i pewnie zamknąłby też uszy, gdyby tylko było to możliwe.

Nie, poradziła Aliisza, nie zamykaj oczu. Nie odcinaj się od niego.

Pharaun otworzył oczy, walcząc z niechęcią, która na chwilę nim oświała. Nie lubił, kiedy ktoś mówił mu, co ma robić, nawet jeśli wiedział, że tego potrzebuje.

Ścisnęła go mocniej i szepnęła mu do ucha:

- Pomyśl o niej. Pomyśl jej nazwę.

Jej? Zdziwił się.

- Otchłań - wyszeptwała, przysuwając wargi tak blisko, że poczuł, jak muskają wrażliwy płatek ucha.

Otchłań, pomyślał. Otchłań.

Była tam.

- Co to? - zapytała Cuenthel.

- Płyniemy prosto w tamtą stronę - stwierdził draegloth. Pharaun roześmiał się i sprawił, że statek ruszył jeszcze szybciej w stronę zawirowania.

To ona, powiedziała Aliisza.

Kierowali się ku czarnemu wirowi na niebie. Był wielki jak samo Sorcere, może większy. Był ogromny. Im bliżej byli, tym większy się stawał, nie tylko dlatego, że się do niego zbliżali. Wir rósł.

- Nie jesteśmy tu projekcjami - zauważył Valas. - Jeśli wleciemy w to coś...

- Dostaniemy się tam, dokąd zmierzamy - dokończył Pharaun.

Jego własny głos wydał mu się dziwny, jak gdyby nie odzywał się od wieków.

Powiedz im, żeby znów się czegoś złapali, podpowiedziała Aliisza. *Nie będzie im to potrzebne, ale poczują się lepiej.*

- Złapcie się - powtórzył czarodziej. — Złapcie się czegoś i to mocno, inaczej zostaniecie wyrzuceni za burtę i zaginiecie w bezkresnym przestworze Planu Astralnego, gdzie będziecie dryfować przez całą wieczność i nikt już was nie zobaczy ani nie usłyszy.

Aliisza zachichotała mu cicho do ucha, łaskocząc go oddechem.

Mknęli prosto w środek wiru i kiedy czubek dziobu uderzył w niego, rozpętało się Piekło.

Dosłownie.

Pharaun nie zdołał powstrzymać krzyku, gdy statek zawirował w tak szaleńczym tempie, że głowa zaczęła mu latać w tył i w przód. Niewiele brakowało, żeby oderwał dłonie od pokładu. Coś uderzyło go w potylicę. Aliisza ścisnęła go, puściła, a potem znów ścisnęła. W nogach i boku czuł ostry ból, ale nie wiedział czemu. Inni też wydawali różne odgłosy: krzyczeli, warczeli i zadawali pytania, których nie rozumiał, nie mówiąc już o odpowiadaniu na nic.

- To tu - krzyknęła mu do ucha Aliisza. Nadal jej nic widział. - To tu chcieliście się dostać. To cel waszej podróży. Dostaliście się tu, ale teraz to Otchłań zadecyduje czy przeżyjecie, aby przemierzyć jej płonący przestwór. Otchłań zadecyduje czy dostaniecie to, na czym wam zależy.

- Co takiego? - zapytał Pharaun. - Co masz na myśli?

- To Otchłań decyduje, Pharaunie - powtórzyła alu-demon, zsuwając z niego ramiona - nie ty.

- Prawie tam jesteśmy - powiedział czarodziej. - Czuję to. Wpuści nas.

Me *mnie*, wyszeptala w jego umysle Aliisza. *Zostawiam was tutaj.*

- Dlaczego? - zapytal, a potem dodal w myslach: *Chodz ze mną.*

Alu-demon zachichotala i znikla, a Pharaun znów wrzasnal.

Wrzeszczal, dopoki ryk wiru nie ucichl i w uszach slyszal juz tylko wlasny wrzask.

Statek przestal sie krecic, ale nadal spadal, caly czas przyspieszajac, podczas gdy mag usilowal przejac nad nim kontrole. Aliisza znikla, a wraz z nia delikatna pomoc, jakiej mu udzielala, dodatkowa swiadomosc za sterem. Probowal przypomniec sobie jakies przydatne zaklecie, ale jego umysl, przywiazany do uszkodzonego statku, nie chial podsunac mu listy czarow.

Niebo zrobilo sie czerwone i pojawilo sie na nim slonce, ale bylo wielkie i blade. Bylo tak goraco i duszno, ze Pharaun mial klopot z zaczerpnieniem tchu. Oblal sie potem, ktory szczypal go w oczy i splywal po ramionach.

- Pharaun - krzyknela Quenthel piskliwym, przerazliwym glosem - zrob cos!

Pharaunowi przyszlo do glowy kilka cietych ripost, gdy spadali coraz szybciej i szybciej w dol, ale nie wypowiedzial na glas zadnej z nich.

- Zrob cos? - powtorzyl.

Czarodziej zaczal sie smiac, ale jego smiech przeszedl w krzyk, gdy statek obroutil sie do gory dnem.

Pod soba mieli rownine, ktora rozposcierala sie we wszystkich kierunkach nieograniczona horyzontem. Piasek, zabarwiony na czerwono przez blade slonce, migotal od zaru. Wszedzie rozsiane byly glębokie czarne dziury - tysiace... miliony dziur.

Wiedzial, gdzie sa. Znal opisy tego miejsca.

Znajdowali sie w Otchlani. Na Rowninie Niezliczonych Portali.

Spadali i spadali, krzycząc i wrzeszcząc, dopóki nie uderzyli o ziemię.

Statek chaosu roztrzaskał się na tysiąc odłamków kości i ścięgien, żagle z ludzkiej skóry porwały się na strzępy w dzikiej kakofonii trzasków, huków, łoskotu i łomotu. Drowy i dre-agloth wylecieli w powietrze i koziołkując spadli na gorący piasek.

Z nieba spadały dusze.

Wszędzie wokół Pharauna z rozpalonego nieba na rozprażony piach Równiny Niezliczonych Portali opadały jedna za drugą przezroczyste zjawy. Widział przedstawicieli tysiąca różnych ras. Niektóre rozpoznawał, inne nie. Były wśród nich wszelkie możliwe istoty, od najplugawszego kobolda po ogromne olbrzymy, setki ludzi i wielu duergarow. Pharaun miał tylko nadzieję, że ci ostatni przybywają tu prosto z oblężenia Menzoberranzan.

Ktoś podszedł do niego i mistrz Sorcere odwrócił się, żeby na niego spojrzeć. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że leży na plecach na nieprzyjemnie gorącym piasku, patrząc w niebo. Minał go postrzępiony cień duszy. Zmarły niedawno ork pa-

trzymał w dół, ale wydawał się nie widzieć Pharauna. Może mago nie obchodził. Kierował się do jakiegoś świńskiego piekła, aby posłużyć swojemu chrząkającemu bóstwu czy innemu księ-ciu-demonowi za lekką przekąskę. Co z tego, że po drodze mijiał śpiącego mrocznego elfa.

Pharaun zamrugał, spodziewając się, że mijający go ork przynajmniej kopnie mu w twarz piachem, ale stopy zmarłego były tak niematerialne, na jakie wyglądały i nie zostawiały żadnych śladów na martwej ziemi. Mistrz Sorcere powoli podniósł się do pozycji siedzącej przy bolesnym proteście kilkunastu mięśni. O posiadaniu przynajmniej trzech z nich nawet nie wiedział.

Wziął głęboki oddech i rozejrzał się wokoło.

Szczątki statku chaosu wydawały się dziwnie pasować do nowego otoczenia. Ostre palce wyblakłych kości sterczały w górę na tle czerwonego nieba niczym materialny szereg dusz. Te części statku, które kiedyś ożywiała krew i oddech, leżały pomarszczone i poszarzałe na bezlitosnym piachu.

Jegred stał zgarbiony na środku roztrzaskanego okrętu, jego dziką białą grzywą rozwiewał gorący, porywisty wiatr. Draegloth wpatrywał się wyczekująco w Pharauna. Wyglądał na jeszcze bardziej poobijanego i posiniaczonego, i znów krwawił z kilku drobnych ran.

Danifae wyszła zza ogromnego półdemona. Trzymała w ręku długi odłamek złamanej kości, była zakurzona i potargana, ale oprócz tego nie miała poważniejszych obrażeń. Branka popatrzyła na trzymany fragment kości nieobecny wzrokiem, a potem odrzuciła go na ziemię, gdzie z grzechotem zatrzymał się wśród tysiąca podobnych odłamków. Jej spojrzenie pobiegło za wzrokiem Jegreda ku Pharaunowi.

Czyjeś westchnienie wystraszyło maga. Wciąż siedząc, obrócił się i zobaczył przycupniętego obok siebie Valasa. Nie zauważył, ani nie usłyszał, jak się zbliża.

- Jesteś ranny? - zapytał najemnik.

Jego głos unosił się i opadał na wietrze, przez co wydawał się dochodzić z daleka, choć usta zwiadowcy i ucho Pharauna dzieliło zaledwie kilka cali.

- Nie - odparł czarodziej, słysząc własny głos w taki sam sposób. - Właściwie czuję się całkiem dobrze. Dziękuję za troskę, mistrzu Hune.

- Nie jestem niczym mistrzem - odrzekł Valas, nie patrząc magowi w oczy.

Wstał i ruszył wolnym krokiem w stronę pobojuwiska.

- Czy ktoś widział Quenthel? - zapytał pozostałych mag.

- Będę wdzięczna - odezwała się Quenthel z za jego pleców - jeśli będziesz mnie nazywał „mistrzynią”.

Pharaun nie raczył się odwrócić. Quenthel minęła go, rozglądając się dookoła i zapominając o magu.

- Przepraszam, mistrzyni - powiedział. - Zadam pytanie mi... Valasa wam wszystkim. Nic wam nie jest?

Quenthel wzruszyła ramionami, Danifae pokręciła głową, a Jeggred zignorował go, więc Pharaun uznał, że to mu wystarczy.

- Szczerze mówiąc - dodał - jestem zdumiony, że przeżyli śmy to zderzenie. To było imponujące, nawet w moich kategoriach. Co za wejście.

Pozostali tylko skrzywili się — oprócz Valasa, który wzruszył ramionami i zaczął oglądać szczątki rozbitego statku.

- Tak, co za wejście, ale ja zaczynam się martwić o wyjście - odezwała się Danifae. — Jak zamierzasz nas stąd wy dostać?

Pharaun otworzył usta, a potem je zamknął.

Nie odpowiedział Danifae, uznając, że jego milczenie będzie wystarczającym wyjaśnieniem. Mag nie miał pojęcia, jak bez statku chaosu wrócić na swój własny plan, do własnego domu i własnego miasta.

- Lolth nam dopomoże - powiedziała Quenthel.

Nikt nie spojrział na wysoką kapłankę, ani nie skomentował braku wiary w jej głosie.

Danifae rozejrzała się dookoła, patrząc na spadające wciąż z nieba zjawy, które tworzyły kolumny, po czym rzucały się do jednej z niezliczonych czarnych, pomarszczonych dziur rozrzucanych wokół nich, jak okiem sięgnąć, we wszystkich kierunkach. Żadna z przypominających bezdenne kratery dziur nie była oznaczona w sposób, który Pharaun potrafiłby rozpoznać i mag nie miał zielonego pojęcia, która z nich prowadzi do Pajęczych Otchłani, na sześćdziesiąty szósty poziom bezkresnego piekielnego planu.

- Czym one są? - zapytała Danifae, przyglądając się zjawom.

- To umarli - odpowiedziała Quenthel. Jej głos ledwo było słychać wśród nienaturalnego echa, którym rozbrzmiało powietrze wokół jej słów.

- Dusze zmarłych z całego Planu Materialnego - dodał Pharaun. - Każdy, kto za życia służył jednemu z bóstw Otchłani, po śmierci trafia tutaj, wskakuje w odpowiedni portal i wyrusza w drogę. Każda z tych czeluści prowadzi na inny poziom, do niemal zupełnie innego świata. Jest ich nieskończenie wiele. Ta równina ciągnie się w nieskończoność we wszystkich kierunkach.

Jeggrid prychnął, wstał i otrząsnął się z krwi, wody i piachu.

- Więc? - zapytał draegloth.

Pharaun wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że ty będziesz nam w stanie powiedzieć coś więcej, Jeggridzie. Bądź co bądź, twoim ojcem był jeden z rodowitych mieszkańców Otchłani, a nawet półkrewi tanar'ri powinien być choć trochę wyczulony na...

- Nigdy tu nie byłem - mruknął draegloth. - I po raz ostatni wspominasz o moim ojcu, czarodzieju.

Pharaun nie zdążył odpowiedzieć na niezbyt delikatną groźbę draegloth.

- Jak znajdziemy ten właściwy? - zapytała Danifae. - Właściwy portal.

Jegged warknął raz i odparł:

- Istnieje tylko jedno przejście na każdy poziom, ale poziomów jest nieskończenie wiele. Możemy stać tuż obok portalu prowadzącego do Pajęczych Otchłani albo tysiąc, a nawet milion mil od niego...

- Mało prawdopodobne - rzekł Pharaun - ale dziękuję za pokładane we mnie zaufanie, czcigodny mieszańcu... - Danifae położyła rękę na ramieniu Jeggeda, który targnął się w stronę Pharauna na dźwięk tego słowa - ...ale kierowałem statkiem, przynajmniej prawie do końca, i kazałem mu się przenieść nie tylko na Równinę Niezliczonych Portali, ale do portalu, który ma nas zaprowadzić tam, dokąd chcemy. Chociaż się rozbiliśmy, musi być gdzieś w pobliżu. Statek zmierzał w jego kierunku, zanim straciłem nad nim panowanie.

- Dobrze wiedzieć, że nie jesteś zupełnym nieudacznikiem, Pharaunie - odezwała się Quenthel głośniejszym i pewniejszym głosem niż od dłuższego czasu - ale dalej poprowadzę was ja.

Pharaun patrzył, jak mijają go kolejne widmowe orki. Duch wpadł w głęboką czarną dziurę w ziemi. Nie rozległ się żaden dźwięk, nic, co sugerowałoby, że uderzył o dno czy że cokolwiek się z nim stało. Po prostu zniknął.

- Pierwsze, co mi przychodzi do głowy - powiedział Valas - to znaleźć kolumnę drowów i pójść za nią.

- Widzisz tu gdzieś jakieś drowy? - zapytała Cjuenthel.

- Nie - wyszeptała Danifae.

Dźwięk jej głosu przyprawił Pharauna o gęsią skórę.

- Więc co robimy? - zapytał draegloth.

- Idźcie za mną - odparła wysoka kapłanka. - Rozpoznam właściwy portal, gdy go zobaczę.

- Jak? - zapytał Pharaun.

- Byłam tu już kiedyś - odpowiedziała Quenthel.

1

Mistrzynie Arach-Tinilith wyruszyła, zanim do któregoś z nich dotarło, że zamierza wyruszyć natychmiast. Dani-fae i Jeggred patrzyli jak odchodzi, a potem wymienili spojrzenia, które wyraźnie mówiły, że żadne z nich nie wierzy wysokiej kapłance.

Valas ruszył za nią, podobnie jak Pharaun, ale równie niechętnie jak Danifae i Jeggred.

Aliisza przyglądała się z bezpiecznej odległości, jak mroczne elfy otrzepują się z piasku i przegrupowują.

Czyżbym cię nie doceniła? pomyślała, patrząc, jak Pharaun podnosi się z ziemi.

- Chyba nie - wyszeptała do siebie i zastanowiła się nad następnym posunięciem.

Instrukcje Kaanyra Vhoka były jasne, nawet jeśli nie należała do nich pomoc drowom w dostaniu się do Otchłani. Miała ich obserwować, więc będzie ich obserwować, przynajmniej dopóki jej się to nie znudzi.

Aliisza spojrzała na Równinę Niezliczonych Portali, bramę do Otchłani i westchnęła. Już od dawna nie była w domu i początkowo wszystko wyglądało tak samo. Patrzyła, jak okręt chaosu spada przez czerwone niebo, pod którym latała będąc dziewczynką, a potem rozbija się na piasku, z którego kiedyś rzeźbiła potwory z odległych wszechświatów potwory takie jak solary, ki-rin i ludzie. Wszystko wyglądało tak samo, ale nie było takie samo - nie do końca.

Może zbyt długo przebywała z ogarniętymi obsesją bogini mrocznymi elfami, ale była pewna, że Otchłań wygląda jakoś inaczej, jak gdyby brakowało jakiegoś jej fragmentu.

To wrażenie nie miało sensu i budziło w alu-demonie niepokój, więc odepchnęła je od siebie.

Aliisza zmusiła się do uśmiechu, choć wcale nie było jej do śmiechu i ruszyła za drowami, pozostając niewidzialną i trzymając się w bezpiecznej odległości.

Alu-demon nie był jedynym demonem, który przyglądał się drowom. Jeszcze jeden tanar'ri patrzył na nich z podobnej odległości, okryty niewidzialnością i innymi ochronnymi czarami. Istota dyszała nienawiścią.

Unosząc się wysoko w powietrzu nad Równiną Niezliczonych Portali, głabrezu dotknął kikutów nóg i warknął:

- Już wkrótce drowy. Już wkrótce...

Halisstra przeciągnęła palcem wzdłuż ciepłej, żarzącej się krawędzi Księżycowego Ostrza, nie mogąc się nadziwić jego pięknu. Był to wspaniały oręż, którego nigdy nie czuła się godna. Ryld powinien władać tą klingą, nie ona. Ryld wiedziałby, co z nią zrobić.

Kapłanka Melarn odczuwała cierpienie spowodowane nieobecnością kochanka w fizyczny sposób. W piersi miała dziurę, która paliła, bolała, tętniła niepewnością, tęsknotą i całą masą innych uczuć, zarówno obcych, jak i znajomych.

- Jeśli nie dasz rady - szepnęła Feliane - musisz mi to teraz powiedzieć. Teraz, zanim posuniemy się dalej.

Halisstra podniosła wzrok na Feliane i oczy zaszyły jej łzami.

- Odpowiedz - nalegała kapłanka Eilistraee.

Halisstra otarła oczy i odpowiedziała:

- Dam radę.

Elfia kapłanka wpatrywała się w nią, czekając, aż powie coś więcej.

Halisstra patrzyła na zroszoną łzami dłoń zamglonym wzrokiem. Piekły ją oczy, a gardło miała tak ściśnięte, że aż bolało. W swoim życiu niewiele płakała, a już na pewno nie nad losem mężczyzny, żołnierza... kogokolwiek.

Zmieniłam się, pomyślała. Zmieniam się.

- Nie chciał tego - wyszeptwała Halisstra.

- Chciał, żebyś wróciła do Podmroku - powiedziała Uluyara - jeśli nie do Lolth.

Halisstra podniosła wzrok na drowkę. Uluyara stała w drzwiach, obramowana oślepiającym światłem zmierzchu. Była odziana jak do walki, cała w symbolach z piór, patyczków i odłamków kości. Halisstra skinieniem głowy dała jej znak, żeby weszła.

Kapłanka podeszła do łóżka, które Halisstra dzieliła kiedyś z Ry 1-dem Argithem i uklękła. Ujęła brodę Halisstry szorstkimi palcami i podtrzymała lekko, zmuszając ją, żeby spojrzała jej w oczy.

- Jeśli go zabili - powiedziała Uluyara - to kolejny powód, żebyś robiła dalej to, co robisz, kolejny powód, żebyś ich została i pokonała na zawsze, jeśli to możliwe.

- Zabijając Lolth? - zapytała Halisstra.

- Tak - odparła Feliane, która wciąż stała, opierając się o porośniętą chwastami ścianę. Ona też była ubrana do walki i długiej podróży.

Musicie mi coś powiedzieć - poprosiła Halisstra, wodząc wzrokiem od jednej kobiety do drugiej. - Musicie mi powiedzieć, że to możliwe, że istnieje choć nikła możliwość, że mi się uda.

Uluyara uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, ale Feliane powiedziała:

- To możliwe.

1 Halisstra, i Uluyara popatrzyły na nią.

- Wszystko jest możliwe - wyjaśniła Feliane - kiedy ma się właściwe narzędzia i boginię po swojej stronie.

- Eilistraee nie może pójść tam, gdzie idziemy-powiedziała Halisstra - nie do Pajęcznych Otchłani.

- Nie, nie może - zgodziła się Uluyara. - Dlatego wysłała nas.

- Jeśli tam zginiemy - zapytała Halisstra Uluyarę, która puściła już jej podbródek — co się z nami stanie?

- Pójdziemy do Eilistraee - odparła Uluyara.

Halisstra słyszała pewność w jej głosie i widziała ją w jej oczach.

- Nie wiem tego na pewno - powiedziała Halisstra.

- Więc - zapytała Feliane - co wiesz na pewno?

Halisstra wbiła w nią wzrok i elfka odwzajemniła jej spojrze-
nienie.

- Wiem... - zaczęła Halisstra, wciąż się nad tym zastanawiając. - Wiem, że Lolth mnie opuściła i była okrutną panią, która pozwoliła, by nasze miasto i nasze życie legły w gruzach, być może dla czystego kaprysu. Wiem, że jej świątynia na sześćdziesiątym szóstym poziomie jest zapieczętowana i nie ma tam żadnych dusz zmarłych. Wiem, że tamta wieczność jest dla mnie zamknięta, przez nią.

- Co się zmieniło? - zapytała Feliane. Halisstra patrzyła na Uluyarę, gdy odpowiadała:

- Eilistraee.

- Eilistraee się nie zmieniła - wyszeptała Uluyara.

- Nie - przyznała Halisstra. - To ja się zmieniłam. Uluyara uśmiechnęła się i Halisstra odwzajemniła uśmiech,

a zaraz potem wybuchła płaczem.

- Tęsknię za nim - załkała.

Uluyara położyła dłoń na jej karku i przyciągnęła jej głowę do siebie, aż zetknęły się czołami.

- Czy mogłabyś za nim tęsknić - zapytała Uluyara - gdybyś była wciąż Halisstra Melarn, pierwszą córką domu Melarn z Ched Nasad, kapłanką Lolth? Czy w ogóle przyszłoby ci to do głowy?

- Nie - odparła Halisstra bez wahania.
- W takim razie Eilistraee dotknęła cię - oświadczyła Uluyara. - Eilistraee pobłogosławiła cię.

Halisstra popatrzyła na Feliane.

- Ty też w to wierzysz? - zapytała.

Feliane patrzyła na nią przez kilka uderzeń serca, a potem odparła:

- Wierzę. Dzierżysz Księżycowe Ostrze, jeśli nie z innego powodu... ale są inne powody. Tak, myślę, że Eilistraee pobło gosławiła cię i pobłogosławiła nas wszystkie swoją obecnością.

Halisstra kiwnęła głową i popatrzyła na Uluyarę. Drowka objęła ją. Uścisk był krótki, siostrzany i krzepiący.

- W takim razie - powiedziała Halisstra, gdy tamta ją puściła - myślę, że powinniśmy zaczynać. Przed nami długa droga, a na samym końcu czeka na nas najbardziej przerażający przeciwnik: bogini na swoim własnym planie.

Uluyara wstała, pomagając Halisstrze się podnieść. Halisstra przywdziała strój podróżny i bojowy tak jak dwie pozostałe elfki, ale czuła się sztywno i ociężale.

Świat Grompha skurczył się do serii okręgów.

Pole antymagii otaczało go kręgiem przestrzeni, która rozpraszała wszelkie zaklęcia próbujące przez nią przeniknąć i tłumiła wszelką magię wewnątrz pola. Promieniował także ból w nodze arcymaga, którą moc pierścienia zregenerowała tylko częściowo, pozostawiając poszarpaną, sączącą się ranę na środku uda. Poza polem antymagii wokół arcymaga orbitował powoli maleńki krążek - właściwie sfera - skondensowanego magicznego ognia. Była to kolejna kula ognista Dyrra, która okrążała pole czekając, aż osłona przestanie działać. Liczdrow też fruwał wokół niego i czekał.

Gromph siedział na chłodnych kamieniach zdemolowanego Bazaru, starając nie wic się z bólu, koncentrując się na oddechu i zmuszając umysł do myślenia.

- Ile to może trwać, Gromphie? - drażnił się z nim licząc spoza pola. - Nie w nieskończoność. Nie tak długo jak moje zakłęcie. Czy jestem tak przerażający, że musisz się przede mną chronić, choćby nawet na widoku?

Gromph nie raczył odpowiedzieć. Nie bał się liczdrowa. Prawdę mówiąc bardziej obawiał się Nimora Imphraezla. Skrzydlaty skrytobójca zniknął w cieniu, swoim żywiole. Mógł być wszędzie. Dyrr, istota istniejąca wyłącznie dzięki magii, prędkiej rzuciłby się do Rozpadliny Szpona niż przekroczył granicę pola antymagii. Za to Nimor i tak pewnie utracił większość, a może i całą swoją magię wskutek czaru rozłączenia i nie potrzebował zakłęcia, aby chlasnąć arcymaga pazurami.

Pole zablokowało dostęp do Splotu, ale nic więcej. Gromph, słaby i obolały od utraty krwi i straszliwej rany w nodze, był zupełnie bezradny w obliczu każdego niemagicznego ataku. Nimor mógł podejść do arcymaga Menzoberranzan - każdy mógł to zrobić - i poderznąć mu gardło sztyletem.

Przynajmniej nie muszę słuchać Pratha, jak mi o tym przypomina, pomyślał Gromph.

Pole zablokowało telepatyczną łączność, którą nawiązał z innymi magami Baenre. Gromph był zdany wyłącznie na siebie, choć miał pewność, że Nauzhror i pozostali wciąż go obserwują.

- Proszę, powiedz, że nie będziesz tak tam siedział, czekając na śmierć - jęknął Dyrr. — Spodziewałem się po tobie czegoś więcej.

- Doprawdy? - odparł Gromph, wypowiadając każde słowo z ogromnym wysiłkiem. - A czego... spodziewałeś się... po Ni-morze?

- Co masz na myśli arcymagu? - zapytał Dyrr.

- Gdzie on jest? - zapytał Gromph. - Gdzie się podział twój półsmok? Mógł mnie zabić z łatwością, oboje to wiemy. Czyżby... - Gromph wzdrygnął się, gdy targnęła nim fala bólu - cię opuścił?

- Nigdy nie ufałem Nimorowi Imphraezlowi - odparł licz. -A jaką ty masz wymówkę?

Grompha zdziwiła ta ostatnia uwaga.

Mimo to część słów liczą była boleśnie prawdziwa. Jeśli nie rozproszy pola antymagii, pierścien nigdy nie doprowadzi do całkowitego zrośnięcia się nogi. Jeśli będzie tak dalej siedział, czeka go szok, utrata krwi, może nawet zakażenie. Jedynym sposobem na uniknięcie śmierci z rąk Dyrra było zabicie go.

Gromph nie zrobił nic, co mogłoby wzbudzić podejrzania Dyrra. Nie zaczerpnął powietrza w dramatyczny sposób. Nie poruszył drżącym, szarpanym bólem ciałem. Nawet nie spojrział na liczą ani na koralik skondensowanego ognia czekający tylko, żeby go unicestwić. Wszystko, co się działo, miało miejsce w jego umyśle.

Gromph układał w głowie zaklęcia, przywołując w pamięci ich początkowe wersy i z wyprzedzeniem rozkazując palcom wykonać odpowiednie gesty. Jedną rękę trzymał na lasce, wiedząc, że jej magia nie znikła, tylko jest po prostu stłumiona, czeka tak samo jak ognista kula Dyrra - i sam Dyr.

Rozproszył pole antymagii i w tej samej chwili znów otoczyła go ochronna sfera, a jego usta dokończyły zaklęcie. Koralik ognia wypadł ze swej leniwej orbity i wystrzelił ku arcy-magowi jak bełt wypuszczony z kuszy, ale czar Grompha był o ułamek sekundy szybszy. Pozwolił mu odepchnąć koralik ognia falą niewidzialnej mocy. Wykorzystując potęgę własnego umysłu, Gromph przejął kontrolę nad rodzącą się kulą ognia i cisnął nią z powrotem w liczdrowa.

Dyr natychmiast się cofnął, obrócił i zaczął uciekać. Gromph zmusił kulę, by pomknęła za nim.

Ból w nodze zelżał i znów zastąpiło go pulsowanie gojącej się rany. Skupiony na ściganiu licza jego własną kulą ognistą Gromph nie widział, jak wciąż otaczająca go krew - jego własna krew - zostaje wchłonięta przez skórę nogi. Gdy dostała się do tkanek, ociepliła się i komórki jedna po drugiej powróciły do życia.

Kula ognia dzieliła od licza stopa, gdy Nimor dźgnął Grom-pha sztyletem w plecy.

Arcymagowi mogło się wydawać, że zdążył już przywyknąć do obozwardniającego umysł cierpienia, ale ból uderzył go z całą siłą. Czuł każdy ułamek cała ostrza przebijającego skórę, a potem mięśnie pleców. Czuł, jak zimna stal przeszywa mu serce.

Gromph stęknął i stracił panowanie nad zakłębieniem kierującym kulą ognistą. Zamknął oczy, gdy eksplodowała - zbyt daleko, żeby go poparzyć, ale i za daleko od licza, żeby zrobić mu krzywdę.

To nie był jedyny ogień. Migotliwa tarcza magicznych płomieni, która otaczała go, zanim wyczarował pole antymagii, pojawiła się znowu. Ogień zalał ranę w plecach Grompha, choć nie uchronił go przed sztyletem. Płomienie ogarnęły Nimora, który wypuścił nóż i zatoczył się w tył, usiłując zdusić rękami płomienie, które raz jeszcze osmalily mu czarnajak cień twarzy.

Sztylet wciąż tkwił w sercu Grompha, gdy twarzą naprzód runął jak długi na bezlitosną ziemię Bazaru. Pierścień walczył sekunda za sekundą, aby nie dopuścić do uszkodzenia serca, aby wciąż biło, tłocząc krew, ale nie był w stanie uśmierzyć bólu. Magowi świat rozmazał się przed oczyma, a kiedy spróbował sięgnąć ręką do tyłu, żeby wyciągnąć sztylet z pleców, ramię tylko zadrgało mu bezużytecznie wzdłuż boku.

Do arcymaga docierało jak z oddali ciepło, światło, i trzaskanie, głuchy ryk... ognia.

Zamrugnął. Odzyskał wzrok na tyle, żeby zobaczyć rząd płonących kramów i gruby słup dymu bijący w nieruchome, coraz

cieplejsze powietrze. Na tle oślepiąco pomarańczowych płomieni odcinała się wyraźnie patykowata sylwetka lewitującego liczdrowa Dyrra.

Gromph kaszlnął i poczuł, że z ust cieknie mu coś ciepłego i gęstego. Tkwiący mu w plecach sztylet drgnął i Gromph prze-raził się, że to Nimor przekreślił ostrze, wbijając je głębiej albo wyciągając, żeby ugodzić go ponownie.

Nie, odezwał się Nauzhror w skołowanym, działającym na zwolnionych obrotach umyśle Grompha. To pierścień. Nie ruszaj się, arcymagu. Spróbuj się nie ruszać jeszcze przez kilka sekund.

Gromph popatrzył na unoszącego się w powietrzu licza i zobaczył jeszcze jedną czarną sylwetkę, która dołączyła do niego nad płonącymi straganami. Druga postać miała wielkie, na wpół przezroczyste skrzydła poprzecinane widocznymi żyłkami.

Sztylet znów drgnął i Gromph wypluł jeszcze więcej krwi, gdy ostrze wysunęło się z serca, kalecząc płuca.

Jeszcze kilka sekund, mistrzu, powiedział Nauzhror. Cierpliwości.

Gromph uczeplił się myślami tego ostatniego słowa. Nie miał innego wyboru. Czuł się tak, jak gdyby ból pchał go do dołu, wciskając go w kamienne podłoże.

Dwie czarne sylwetki zaczęły rosnać na tle kłębiących się płomieni. Szli ku niemu. Chcieli to zakończyć.

Sztylet wysunął się z pleców Grompha i upadł z brzękiem na kamienie. Arcymag zadygotał, przeszyty ostatnim spazmem bólu, pierś ścisnęła mu się, gdy serce stanęło na chwilę, a potem znów zaczęło bić, mocno i regularnie. Arcymag zaczął rzucać zaklęcie.

Gromph przekreślił się do pozycji siedzącej, twarzą do nieprzyjaciół. W jego skradzionych oczach odbijał się ogień. Nimor był bliżej i wyciągał ku niemu swoje smocze szpony, więc Gromph skierował zaklęcie w niego. Arcymag posłał ku skry-

tobójcy wzburzoną falę oślepiającego ognia, ale Nimor szybko uskoczył w bok i zniknął, zatapiając się w cieniu, jak kamień znikający pod powierzchnią Jeziora Donigarten.

Magiczny ogień przetoczył się nad miejscem, gdzie stał skrytobójca, paląc puste powietrze.

Gromph wzdrygnął się.

W porządku, arcymagu, powiedział Nauzhror.

Nie, zaprzeczył Gromph. Używam przeciw Nimorowi zbyt wiele ognia.

To prawda - zaczął Prath, ale umilkł tak raptownie, że Gromph był pewny, iż to Nauzhror go uciszył na szczęście dla Pratha.

Liczdrow zatrzymał się i zamachał przed sobą rękami. Gromph ścisnął mocniej trzymaną w ręku laskę i westchnął, gdy ostatnia ze straszliwych ran zamknęła się pod wpływem magii pierścienia.

W powietrzu przed Dyrrem zaczęła się zbierać biała mgiełka, rozszerzająca się z każdą sekundą, aż w końcu od strony licza popłynęła ku Gromphowi szeroka, płaska chmura skłębionej mgły.

Arcymag wstał i wymówił pojedynczy rozkaz aktywujący kolejną właściwość z repertuaru swojej laski. Gromph nie widział jej, ale dzięki magii kostura był świadomy granic niewidzialnej ściany, którą przed sobą wyczarował.

Chmura trującego (jak przypuszczał Gromph) gazu wyczarowana przez Dyrra zmieszała się z dymem bijącym z płonących kramów, przez co zwołniała, ale nie zatrzymała się. Gromph postawił magiczną barierę pomiędzy sobą a obłokiem i za chwilę mgła zaczęła się rozpościerać wzdłuż płaskiej powierzchni ściany, daleko od arcymaga.

Dyrr, wyraźnie niezaskoczony prostym rozwiązaniem Grompha, poszybował wysokim łukiem w powietrze i przeleciał nad barierą.

Licz wyciągnął z fałd *piwafwi* różdżkę i wpatrywał się w Gromphaz kamienną twarzą.

Gromph zaczął rzucać zaklęcie, szacując, ile czasu zajmie liczowi dopadnięcie go. Mimo że Dyrri przyspieszył, arcyomag zdążył skończyć inkantację i przejść przez bramę, którą otworzył w powietrzu obok siebie. Przeszedł przez nią jak przez zwykłe drzwi i pojawił się kilkanaście jardów dalej, po drugiej stronie płonącego targowiska. Widział, jak licz pikuje w dół, mierząc różdżką w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał, po czym ląduje na ziemi, warcząc z wściekłości.

Gromph rozproszył ścianę siły i uśmiechnął się.

Obłok trującego gazu - własny czar Dyrri - przedarł się na drugą stronę, gdy bariera znikła i licz zdążył tylko podnieść wzrok, nim mgła otoczyła go, a on zniknął w jej czarnozielo-nym tumanie.

Gromph wziął głęboki oddech i zerknął w dół płomienna tarcza, która go otaczała, znikła. Zaklęcie, które teraz rzucił, należało do najtrudniejszych, jakie znał. Dokończył je ostrożnie i upajał się jego efektem, gdy zaczęło działać. Nagle odniósł wyraźne wrażenie, że ktoś za nim stoi i wiedział, że zaklęcie go ostrzega. Nikt za nim nic stał, ale ktoś miał się tam pojawić.

Gromph okręcił się w miejscu i cofnął, gdy z cieni wyłonił się Nimor, mierząc dłonią o czarnych szponach w jego twarz. Koniuszki pazurów skrytobójcy minęły nos arcyмага o grubość palca. Spojrzenie Nimora zdradzało zaskoczenie, ale Gromph musiał przyznać, przynajmniej przed samym sobą, że był również zaskoczony.

Arcyomag odskoczył kilka kroków w tył, a skrytobójca powtórzył jego ruchy. Nimor popatrzył na Grompha i zmrużył oczy żarzące się w przydymionych cieniach Bazaru. Gromph miał wyraźną wizję Nimora przyskakującego do niego z lewej i tnącego go w bok - i zaraz potem Nimor właśnie to zrobił. Gromph znów zdążył umknąć i znów skrytobójca był zdumiony nowo-

odkrytym refleksem arcymaga. Nie wiedział tylko, że to nie refleks, a jasnowiedzenie.

Gromph sięgnął do sakiewki - pozawymiarowej przestrzeni, która potrafiła pomieścić znacznie więcej niż mogłoby się wydawać z zewnątrz - i wyciągnął z niej broń. Krasnoludzki topór bojowy był ciężki, a jego waga i trzonek były dla Grompha czymś nowym. Arcymag był szkolony we władaniu różnymi rodzajami broni, ale topór nie był jego ulubionym orężem. Nieporęczny i mało subtelny, stanowił bardziej narzędzie niż broń. Jednak akurat ten topór był czymś więcej niż składową żeleźca i drzewca.

Wiedział, że Nimor się cofnie, aby przyjrzeć się jego nowej broni. Arcymag spodziewał się też, że Nimor przesunie się kilka kroków w bok, aby zmusić Grompha do obrócenia się, tak aby znalazł się pomiędzy półsmokiem i chmurą wciąż przesłaniającą liczdrowa. Gromph pozwolił mu przyjrzeć się toporowi, ale nie pozwolił mu zająć korzystniejszej pozycji.

Arcymagu, odezwał się Nauzhror, czy jesteś pewny?

Gromph pomyślał, że mag ma wątpliwości co do wyboru oręża i faktu, że zamierza walczyć ze skrytobójcą fizyczną bronią.

Wiem, co robię, odpowiedział Gromph w tej samej chwili, w której Nauzhror powtórzył: Arcymagu, czy jesteś pewny?

Gromph pojął, że za pierwszym razem nie usłyszał Nauzhrora. To zaklęcie pokazało mu przyszłość.

Rozumiem, odparł Nauzhror i Gromph poczuł, że mag Baenre rozumie, iż uzbroił się w prawdopodobnie najpotężniejszą z wyobraźalnych broni: zdolność bezbłędnego przewidywania każdego posunięcia przeciwnika.

Tym razem głos w jego umyśle odezwał się naprawdę: *Rozumiem.*

Gromph wiedział, że Nimor spróbuje na niego natrzeć i zepchnąć go w stronę obłoku trującego gazu, więc odsunął się szybko w bok i okrążył skrytobójcę. Nimor zrobił jeden krok, a potem stanął, przyglądając się Gromphowi.

Z obłoku wystrzelił w powietrze licz, ciągnąc za sobą smużki toksycznej mgły. Obrócił się twarzą do arcymaga.

- No dalej - powiedział z chytrym, złym uśmiechem - spróbuj walczyć z nim skradzionym toporem. Z przyjemnością popatrzę, jak Nimor rozedrze cię na strzępy.

Półsmok uśmiechnął się na te słowa i Gromph zobaczył, jak atakuje go jednym ciosem za drugim, w wirze pazurów, kopniaków i uderzeń głową. Gromph nie miał pojęcia, co robić.

W chwili, w której Nimor zaczął ku niemu biec, Gromph uświadomił sobie, że samo przewidywanie ruchów przeciwnika może nie wystarczyć.

Jak świat istniejący we wszechświecie stworzonym z chaosu mógł mieć jakikolwiek sens? W miejscu, gdzie jedyną zasadą był brak zasad?

Kiedy byli tu ostatnim razem, nie tak dawno temu, chodzili po ogromnej pajęczynie i nie natknęli się na nic żywego, dopóki nie opadła ich horda dzikich demonów u bram świątyni zapieczętowanej głową samej Lolth. Tam bóg na próżno usiłował dostać się do jej wnętrza.

Choć opuścili Pajęcze Otchłanie na krótko, wiele się tu zmieniło.

Gładka przestrzeń gigantycznej pajęczyny była podziurawiona i porozdzierana. Plamy czegoś, co wyglądało jak rdza, ciągnęły się całymi akrami. Miejscami musieli się wspinać albo

lewitować w górę porwanych nici albo pokonywać kratery tak wielkie, że w ich poszarpanych trzewiach zmieściłoby się całe Menzoberranzan.

Wszędzie wokół nich wisiał odór rozkładu, czasem tak intensywny, że Pharaun Mizzrym myślał, iż się udusi.

Czarodziej od wielu godzin szedł w milczeniu. Żaden z pozostałych drowów ani draegloth nie komentowali na głos stanu Pajęczych Otchłani. Trudno było wyrazić namacalne poczucie rozpacz, jakim napelniało ich wszystkich to miejsce. Od czasu do czasu zatrzymywali się, żeby odpocząć, unikając swoich spojrzeń.

Początkowo szli z nerwami napiętymi jak postronki, przez cały czas czujnie wypatrując demonicznych mieszkańców spustoszonego planu, ale w miarę jak mijały powoli godziny, a oni nie natknęli się na nic żywego, nie mówiąc już o niczym groźnym, zaczęli się rozluźniać, popadając w jeszcze większą rozpacz.

Szli i szli, aż wreszcie dotarli do świątyni Lolth. Imponująca niegdyś budowla stała w ruinach, dotknięta tym samym rozkładem co spinająca granice tego wszechświata pajęczyna. Obsydian zbrązowił i miejscami skruszał. Z wnętrza były wielkie słupy dymu. Wiele wspaniałych przypór przypominało strzaskane kikuty, amputowane przez jakąś niepojętą moc. Otaczające świątynię place były zarzucone bryłami kamienia i przedziewiałego, zwichrowanego żelaza. Wszędzie wałały się kości - miliony kości ułożone w wielkie stopy albo rozrzucone przez okrutne wiatry. Skamieniałe istoty podobne do pajaków, które podziwiali poprzednim razem, zniknęły, zostawiając dziury w kamiennych płytach i wzdłuż przypór, jak gdyby wyrwały z nich stopy i odeszły.

Towarzysze przemierzali tę samą drogę, którą przeszli w postaci astralnej i znaleźli się ponownie przed wejściem do świątyni. Wielka kamienna twarz była strzaskana, pozostały z niej tylko drobne, zagadkowe fragmenty oblicza Lolth.

Drzwi były otwarte na oścież.

- To bogowie - wyszeptał Valas, a jego głos zwielokrotniony echem poniósł się po zrujnowanym placu.

Vhaeraun, który przybył zabić Lolth z powodu ich pochopnej decyzji sprowadzenia do Otchłani jednego z jego kapłanów, stoczył u bram świątyni walkę z Selvetarmem — obrońcą Lolth. Ich pojedynek wrył się Pharaunowi tak mocno w pamięć, że mag był pewny, iż nie zapomni go, choćby żył nawet dziesięć tysięcy lat. Ich walka poczyniła też znaczne spustoszenia, ale...

- Nie - zaprzeczył mistrz Sorcere i jego głos też odbił się echem, choć rtiego inaczej. — To wygląda inaczej. Starzej.

- Starzej? - zapytał draegloth, wodząc wzrokiem od jednej kamiennej bryły do drugiej.

- Mag ma rację - powiedziała Danifae, która ukucnęła i trzymała czaszkę czegoś, co mogło być półdrowem, półnietopczrem.

- Te kości są wyschnięte i spłowiałe, prawie skamieniałe. Sam kamień obraca się w pył. Pajęczyny są zgniłe i kruche.

- To miejsce zostało obrócone w perzynę wiek temu albo jeszcze dawniej - oświadczył Pharaun.

- To niemożliwe - sprzeciwił się Valas, wpatrując się w otwarte wrota. - Byliśmy tu przecież - właśnie tutaj, drzwi były zapieczętowane, a...

Pozostali nie oczekiwali, aż dokończy.

- Lolth opuściła to miejsce - oznajmiła Quenthel tak cicho, że jej głos prawie wcale nie odbił się echem.

- Opuściła Pajęcze Otchłanie? - zapytała Danifae. - Jak to możliwe?

- Opuściła Otchłań - powiedziała mistrzyni Arach-Tinilith.

- Czujecie?

Danifae potrząsnęła głową, ale jej oczy mówiły coś innego. Obie elfki wymieniły przeciągłe, znaczące spojrzenia, od których magowi zjeżyły się włoski na karku. Wyczuł, że Jeggred i Valas zareagowali podobnie.

- Więc to koniec - stwierdził zwiadowca Bregan D'aerthe. — Przybyliśmy tu, aby odszukać boginię, ale niczego nie znaleźli śmy. Nasza misja dobiegła końca.

Quenthel odwróciła się i spiorunowała wzrokiem zwiadowcę, który odpowiedział spokojnym, opanowanym spojrzeniem. Żmije na biczu wysokiej kapłanki wiły się i pluły jadem, ale Valas nie zwracał na nie uwagi.

- Nie ma jej tu - powiedziała Quenthel - ale to nie znaczy, że nie ma jej... gdzie indziej.

Zwiadowca zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je powoli, rozglądając się po ruinach świątyni.

- Więc gdzie jest? - zapytał. - Dokąd jeszcze mamy dotrzeć? Mamy przeszukać nieograniczone multiwersum, plan za planem, wszechświat za wszechświatem? Lolth należy do Pajęczych Otchłani i właśnie tu jesteśmy, na sześćdziesiątym szóstym poziomie przekłętej przez bogów Otchłani, a jej tu nie ma. Skoro nie wiesz, gdzie jest - a może być wszędzie — a ona ci tego nie zdradzi, może powinniśmy pogodzić się z tym, że nie chce zostać znaleziona.

Pharaun jeszcze nigdy nie słyszał tak długiej przemowy z ust Valasa, którego słowa sprawiły, że stracił cały zapal.

- On ma rację - powiedział mistrz Sorcere.

Ku jego zaskoczeniu Ouenthel kiwnęła głową. Danifae zrobiła wielkie oczy, a z gardła Jeggreda wydobył się niski pomruk. Draegloth powoli, płynnym krokiem podszedł do bylej branki i stanął obok niej.

- To świętokradztwo - wyszeptwała Danifae. Herezja najgorszego rodzaju.

Quenthel obróciła się ku drugiej kapłance i uniosła w milczeniu brew.

- Pozwalaszjakiemuś... - Danifae rzuciła okiem na Valasa — jakiemuś mężczyźnie wypowiadać się w imieniu Lolth? Czy teraz on decyduje o intencjach bogini?

- A ty decydujesz? - nie zdołał powstrzymać się Pharaun.

Ku jego zaskoczeniu Danifae uśmiechnęła się, mówiąc:

- Być może. Z pewnością mam do tego większe prawo niż mistrz Hune. Choć jest doświadczonym zwiadowcą, teraz jest to sprawa kapłanek.

Quenthel wyprostowała się nieco, choć ramiona miała wciąż przygarbione. Pharaun był zdziwiony tym, jak staro wygląda. Wysoka kapłanka zestarzała się przez ostatnie tygodnie o kilkadziesiąt lat, a wyczerpanie dawało o sobie znać ciężkimi powiekami i łatwością, z jaką wpadała w gniew.

Pharaun nic mógł na nią patrzeć, więc wbił wzrok w płyty placu. Kopnął butem brązowy pył ze skruszałych kamieni.

- Myliłem się - oznajmił mistrz Sorcere. Poczul na sobie wzrok pozostałych, ich zaskoczenie, ale nie podniósł głowy. - To nie wydarzyło się wiek temu. To miejsce zostało zniszczone... nie, stoczono tu bitwę, i to co najmniej tysiąc lat temu. Co najmniej.

- Skąd to wiesz, czarodzieju? - zapytał draegloth. - Też już tu byłeś. Tak czy nie? Czy to nie to samo miejsce, w które sprowadził was Tzirik?

- Dopiero co je opuściliśmy - zauważył Valas.

- Nie jesteśmy już w Podmroku, mistrzu Hune - rzekł Pharaun. - Czas może tu płynąć zupełnie inaczej, skokami, tak jak odległości w Jądrze Cieni. To może być iluzja, a nie rzeczywistość, kaprys Lolth czy innej boskiej mocy. Możliwe, że po prostu widzimy ruinę tam, gdzie ma nic, gdzie w rzeczywistości stoi nienaruszona świątynia albo wszystko, co widzimy, jest rzeczywiste i zostało stworzone tysiąc lat temu przez potęgę tak wielką, że potrafi manipulować czasem, przestrzenią i samym eterem.

- Pajęczej Królowej tu nie ma - dodał Valas.

- Skoro kapłanki tak twierdzą - odparł Pharan - gotów jestem im uwierzyć.

Mistrz Sorcere podniósł wzrok na ogromne otwarte wrota, w których bez najmniejszych problemów zmieściłby się cały dom Baenre. Pozostali podążyli za jego spojrzeniem.

- Te wrota były zapieczętowane - rzekł Pharaun - a teraz są otwarte. Dlaczego?

- Ponieważ Lolth chce, żebyśmy przez nie przeszli - odpowiedziała Danifae z taką pewnością w głosie, że zaskoczyła czarodzieja. - Kto inny mógł je otworzyć?

Pharaun wzruszył ramionami i popatrzył na Cjuenthel, która powoli kiwała głową.

Idziemy dalej — rozkazała wysoka kapłanka.

Nawet nie patrząc na pozostałych, Quenthel ruszyła ku gigantycznym podwojom. Jedno za drugim, pozostali poszli w jej ślady: Danifae, potem Jeggred, Pharaun i na samym końcu Va-las. Każdy następny stąpał bardziej niechętnie niż poprzedni.

Na planach chaosu istniało na to tyle nazw, że Aliisza nie pamiętała ich wszystkich: strefy wycieku czasu, osunięcia poziomów czasu, zapadnięcia mileniów... Już od bardzo dawna nie widziała czegoś takiego i prawie drugie tyle zajęło jej zrozumienie tego, co się dzieje.

Sześćdziesiąty szósty poziom Otchłani został opuszczony. Spoiwem utrzymującym plany byli sami bogowie, a na planach chaosu, tak jak na planach prawa, kiedy wszyscy bogowie opuszczali dane miejsce, entropia postępowała zrywami i nawet chaos wydostawał się spod kontroli.

W przypadku sześćdziesiątego szóstego poziomu to reszta Otchłani nie pozwalała mu się rozpaść i dostarczała ech przeszłości, które były na tyle silne, by utrzymać go w postaci fizycznej - dlatego poziom sześćdziesiąty szósty wciąż istniał. Czas to przyspieszał, to zwalniał, a czasem biegł w przeciwną

stronę. Nie sposób było tego określić, nawet tanar'ri takiemu jak Aliisza. Miejsca takie jak to lepiej było omijać z daleka, zostawić w spokoju, zapomnieć.

Z ciężkim sercem patrzyła, jak Pharaun i jego towarzysze przechodzą przez bramy potężnej świątyni. Nie wiedziała, co dokładnie tam odkryją, ale była pewna, że czeka ich rozczarowanie. Dotarli na sześćdziesiąty szósty poziom Otchłani, aby odszukać Lolth, ale Lolth tam nie było. Zgadywała, a miała ku temu pewne podstawy, że Pajęczne Otchłanie zostały opuszczone znacznie dawniej, niż ktokolwiek przypuszczał - jeszcze zanim Lolth zamilkła.

- Wielu rzeczy nigdy im nie mówiłaś - wyszeptła Aliisza do Pajęcznej Królowej.

Jeśli bogini ją usłyszała - a Aliisza nie miała powodów, by w to wierzyć - to nie odpowiedziała.

Alu-demon zaczęła z roztargnieniem bazgrolić w brązowym pyłe na spodniej stronie ogromnego pasma pajęczyny, do którego przyłgnęła, choć jej rysunku nikt nigdy nie miał zobaczyć. Myśli kłębiły jej się w głowie, musiała sporo przemyśleć.

Aliisza opuściła Pharauna i jego towarzyszy, i powodowana kaprysem pozwoliła im się rozbić na Równinie Niezliczonych Portali. Ucieszyła się, że Pharaun przeżył, a reszta wcale jej nie interesowała. Mimo to Aliisza dokonała wyboru i było to oczywiste. Wybrała Kaanyra Vhoka.

Choć wiedziała, że może do niego wrócić, wiedziała również, że pomogła Pharaunowi i jego drużynie nieco skuteczniej, niż Vhok mógłby sobie życzyć. Wprawdzie nie prosił żeby im przeszkadzała, ale już na pewno nie prosił, żeby im pomogła. Aliisza знаła kambiona na ty le dobrze, że wiedziała, że im więcej informacji mu dostarczy, tym bardziej będzie skłonny jej wybaczyć.

Pharaun i pozostałe drowy zniknęły w opuszczonej budowlu, a Aliisza zamknęła oczy.

Była tanar'rim, dzięki czemu potrafiła się przemieszczać między planami z większą łatwością niż inne istoty. Wystarczyła jej jedna myśl i już była z powrotem na Planie Astralnym, unosząc się w nieskończonym eterze.

- Opuściłaś Otchłań - wyszeptła do siebie Aliisza, choć zwracała się do Lolth - zanim zamilkłaś, więc...

Nie dokończyła tej myśli, skoncentrowała się tylko na imieniu: Lolth.

Znów zamknęła oczy i obracała je w myślach, a po jakimś czasie jej ciało zaczęło się poruszać. Imię każdego boga ma moc, jeśli wie się, jak go użyć.

Kiedy otworzyła oczy, otaczały ją duchy.

Wokół niej unosiły się przezroczyste szare cienie, wszystkie o podobnych rysach: szpiczastych uszach, migdałowych oczach i smukłych, arystokratycznych twarzach mrocznych elfów. Było ich mnóstwo - wojna zbierała krwawe żniwo - i wszystkie zmierzwały przez Plan Astralny w to samo miejsce.

Aliisza unosiła się naprzeciw jednego z nich, silnego mężczyzny w pancerzu i hełmie, które nadawały mu królewski wygląd.

- Czy mnie słyszysz? - zapytała ducha. - Czy mnie widzisz?

Martwy drow spojrzał prosto na nią i uniósł brew. Stał zupełnie nieruchomo, ale jego ciało nadal dryfowało poprzez bezkresną przestrzeń, bezbłędnie kierując się ku celowi podróży.

- Nazywam się Aliisza - powiedziała. Wiesz, gdzie jesteś?

Tak, odpowiedział drow bezpośrednio w jej umyśle. Usta miał otwarte, ale nie poruszał nimi. *Czuję to. Jestem martwy. Zginąłem. Zostałem zabity.*

- Jak się nazywasz?

Nazywałem się Viito sal Shobalar, odparł żołnierz, ale teraz jestem niczym. Moje ciało gnilo, mój dom o mnie zapomina, a ja trwam dalej. Czy jesteś tu, aby mnie dręczyć?

- Słucham? - zapytała alu-demon, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

Jesteś demonem, powiedział żołnierz. Czy jesteś tu, aby mnie dręczyć? To kara za moją porażkę na polu bitwy czy po prostu chcesz zadowolić swą okrutną naturę?

Aliisza zjeżyła się i obdarzyła martwego drowa szyderczym uśmiechem. Najwyraźniej pomylił ją z zupełnie innym rodzajem tanar'ri, czego żadną miarą nie mogła uznać za pochlebstwo.

- Gdybym chciała cię dręczyć - powiedziała - wiedziałbyś o tym, plugawcze.

Vilto'sat Shobalar odwrócił się od niej z najwyższą wzdargą, która była wyraźnie jedyną rzeczą, jaką mroczne elfy zabierały ze sobą do grobu.

Aliisza ruszyła wzdłuż szeregu martwych drowów, a w miarę jak się przesuwała w kierunku ich podróży, szybciej niż one, wędrujące dusze stały coraz gęściej, jak gdyby od dłuższego czasu ustawiały się jedna za drugą. W końcu ciekawość wzięła górę i Aliisza zatrzymała kolejnego ducha — drowkę odzianą tak świetnie, że alu-demon poczuła ukłucie zazdrości.

- Pani — powiedziała, pochylając się w groteskowym ukłonie, który chyba uraził mroczną elfkę — czy mogę zamienić z tobą kilka słów, zanim dotrzesz do celu podróży?

Nie możesz zrobić nic, żeby mnie dręczyć, demonie, odezwał się cień w umyśle Aliiszy, więc ruszaj dalej i zostaw mnie w spokoju.

Aliisza syknęła i prawie wyciągnęła rękę, żeby schwycić elfkę za gardło, ale uświadomiła sobie, że jej dłonie przejdą na wylot przez martwą kapłankę, która nie odzyska postaci fizycznej, dopóki nie dotrze do celu swojej podróży. Plan Astralny był tylko sposobem na dostanie się z jednego wszechświata do drugiego. Tu martwe drowy były bezcielesnymi duchami.

- Nie jestem tu po to, żeby cię dręczyć, dziwko, ale zacznę, jeśli nie odpowiesz mi na kilka pytań - zagroziła Aliisza.

Loth odwróciła się od nas, odparła kapłanka. Co gorszego może mnie spotkać?

- Mogę zostawić cię na Planie Astralnym na zawsze - odpowiedziała Aliisza. Była to czcza pogrożka, ale duch nie musiał o tym wiedzieć.

Czego chcesz? zapytała drowka.

- Kim jesteś - zapytała - i od jak dawna czekasz tu na zmiłowanie Lolth?

Nazywam się Greyanna Mizzrym, odarł duch i Aliiszy jej imię wydało się jakieś znajome. Nie mam pojęcia, jak długo tu jestem, ale czuję, że się poruszam. To się dopiero zaczęło. Czy Lolth jest gotowa nas przyjąć? Czy wysłała ciebie?

- Czujesz ją?- zapytała Aliisza, ignorując pytania mrocznej elfki. - Wzywa cię do siebie?

Kapłanka odwróciła wzrok, jak gdyby nasłuchiwała, a potem pokręciła głową.

Zmierzam ku czemuś, powiedziała Greyanna. Czuję to, ale nie słyszę Lolth.

Aliisza odwróciła głowę w stronę, w którą przesuwiał się sznur dusz. Na samym jego końcu zobaczyła czarno-czerwony wir, bramę prowadzącą na zewnętrzne plany, która wciągała dusze do środka.

- To nie jest Otchłań - powiedziała Aliisza.

To dom, wyszeptala bezcielesna dusza Greyanny Mizzrym.

Czuję to. To dom. To Pajęczne Otchłanie. Serce Aliiszy zabiło szybciej.

- Pajęczne Otchłanie - powtórzyła alu-demon - ale nie Otchłań. Aliisza zatrzymała się i zawisła w szarej przestrzeni obok procesji martwych drowów.

- No, no - wyszeptala Aliisza do niesłyszącej Lolth przez prowadzka, co?

Alu-demon zamknęła oczy i skoncentrowała się na Kaany-rze Vhoku. Jej świadomość przemierzyła Plan Astralny i wróciła do zimnego, surowego Podmroku. Tam odnalazła umysł kochanka i zostawiła wiadomość.

Coś się dzieje z Pajęczymi Otchłaniami, przesłała. Teraz to oddzielny plan, a bramy są otwarte. Lolth wita umarłych. Ona żyje.

Tylko tyle potrafiła powiedzieć i miała nadzieję, że to ostrzeżenie wystarczy. Mogła przenieść się do Podmroku w mgnieniu oka i stanąć u boku kochanka, ale nie zrobiła tego. Chciała zostać tam gdzie była, choć nie wiedziała dlaczego.

Nimor dał za wygraną i nie próbował już ugodzić Grompha. Zamiast tego starał się skłonić arcymaga do natarcia, ale ten nie kwapił się pójść mu na rękę. Nimor miał coraz silniejsze wrażenie, że Gromph zna jego myśli - może nawet jeszcze zanim przyjdą mu do głowy - przez co sam zaczął przewidywać swoje ruchy. W ten sposób nie dało się walczyć.

Nimor cofnął się i Gromph zrobił to samo. Skrytobójca wiedział, że Dyrz okrąża ich oboje w bezpiecznej - niektórzy powiedzieliby: tchórzliwej - odległości. Skrytobójca miał się już odezwać, gdy w czaszce usłyszał znajome brzęczenie.

Aliusza jest w Pajęczym Otchłaniach, rozległ się w jego głowie głos Kaanyra Vhoka. Coś się tam dzieje i źle się to dla nas wszystkich skończy. Nie będę czekał, żeby przekonać się, jak źle.

Po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu Nimoro-wi krew ścięła się w żyłach.

Gromph zadrżał, prawie jęknął i Nimor popatrzył na niego. Ich spojrzenia spotkały się, a w oczach błysnęło zrozumienie. Nimor cofnął się, a Gromph skinął głową. Arcymag wciąż trzymał w ręku straszliwy topór, ale nie atakował. Oddychał ciężko, pot spływał mu po policzkach i zlepił na czole śnieżnobiałe włosy.

Nimor znów chciał się odezwać i znów mu przerwano.

- Co robisz? - krzyknął Dyr. - Zabij go!

Nimor z sykiem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Nie dość, że jego główny sojusznik rejterował, tojeszcze Lolth z jakichś powodów, których nigdy nie będzie w stanie pojąć, postanowiła właśnie teraz powrócić - albo zrobić coś, co przeraziło Kaanyra Vhoka, a kambiona niełatwo było przestraszyć. Na dodatek przeciwnik, którego powinien uśmiercić samą myślą, był w stanie przewidzieć każdy jego ruch i odbić każdy cios, a przekłety licz wydawał mu rozkazy.

Dyr znów zaczął wrzeszczeć, ale Nimor nie rozumiał, co mówi.

- Nie sły... - zaczął Namaszczone Ostrze, ale urwał, kiedy dotarło do niego, że licz rzuca zaklęcie.

Gromph też to usłyszał. Jedną ręką wciąż trzymając przed sobą topór, arcymag stuknął laską w upstrzoną plamami ziemię płonącego Bazaru i natychmiast otoczyła go kula mieniącej się energii. Gdy tylko się pojawiła, Dyr skończył mamrotać i głos liczą zastąpiło niskie brzęczenie.

Nimor, z wzrokiem wciąż wbitym w Grompha, zamrugał. Arcymag zerknął na liczą i jeden kącik jego ust uniósł się w uśmiechu. Nimor musiał spojrzeć, ale i tak wiedział, że Gromph nic zamierza go już atakować.

Brzęczenie narastało, przechodząc w niemal ogłuszający ryk. Nimor zobaczył coś, co wyglądało jak sunąca ku niemu chmura czarnego dymu i dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że to nie dym. Chmura wcale nie była chmurą, lecz rojem maleńkich owadów - dziesiątek, a nawet setek milionów insektów.

Rój opadł na Grompha, ale owady nie były w stanie przeniknąć przez sferę otaczającą arcymaga. Nimor był pewny, że Dyr nimi kieruje, więc kiedy zwróciły się przeciwko niemu, wziął to do siebie.

Zanim pierwszy z insektów zdążył na nim wylądować, ukłuć go, ukąsić, czy zrobić to, co miał zrobić, Nimor wkroczył na

Skraj. Weszło mu to już w krew, stając się jego drugą naturą. Przed chwilą stał na *Bazarze*, a zaraz potem już go tam nie było. Rój stał się cieniem, a Bazar przymglonym światem, prawie bezcielesnym, spowitym mrokiem.

Nimor popatrzył na swoje szpony. W głowie miał zaskakującą pustkę i był całkowicie spokojny.

- I to wszystko? - zapytał na głos niesłyszące cienie. - Przegrałem?

Zamknął oczy, pomyślał o liczu... i wrócił do materialnego świata tuż za jego plecami.

Nimor chwycił chudego nieumarłego maga od tyłu i załopo-tał mocno skrzydłami, odrywając go od ziemi. Licz zeszywniał i wciągnął powietrze - może chciał rzucić zaklęcie — ale był na tyle mądry, żeby przestać, kiedy Nimor przycisnął mu ostry jak brzytwa szpon do wysuszonego gardła.

- Może nie będziesz krwawił, liczu - wyszeptał Nimor do ucha liczdrowa - ale jeśli głowa oderwie ci się od karku...

- Co robisz? - syknął Dyrr cienkim, piskliwym głosem. - Mogłeś go zabić. Tak niewiele brakuje nam do zwycięstwa, a ty zwracasz się przeciwko mnie? Mnie?

- Przeciwko tobie? - zadrwił Nimor. - Tak, tobie. Powinienem cię teraz zabić, ale jesteś już przecież martwy, prawda, liczu? Zmarnowałeś tylko mój czas, a teraz Pajęcza Królowa rzuca się w swojej klatce, a nasz wspólny czas minął.

- Co takiego? - zapytał Dyrr, szczerze zmieszany. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie zasługujesz na to, żeby dowiedzieć się o tym, zanim pozwolę Gromphowi Baenre cię zabić - odparł Nimor - ale to już koniec.

- Nie! - krzyknął licz.

Nimor stęknął, gdy coś pchnęło go mocno w pierś. Puścił gardło licza, odrzucony do tyłu przez jakąś niepojętą siłę. Choć próbował lecieć, coś go odpychało.

Skrytobójca rzucił okiem na Grompha, który odłożył skradziony duergarski topór i patrzył na nich, śmiejąc się. Nimor też się roześmiał. Czemu nie?

- Przegraliśmy, liczu - zawołał do Dyrra - ale ja będę miał jeszcze jedną szansę.

- My przegraliśmy? - zawył Licz. - My? Nie, ty przekłety synu smoka, ty przegrałeś. Wrócisz do cienia z podkulonym ogonem, powtarzając wciąż te swoje marne wymówki. Możesz mnie winić, Nimorze, ale ja wciąż tu jestem. I wciąż tu będę, w Men-zoberranzan, walcząc.

Być może powiedział Nimor, gdy pierwsze fale ogromnego znużenia ogarnęły jego zmęczone mięśnie - ale już nie-
długo.

Licz wrzasnął jego imię, ale Nimor nie usłyszał echa, gdyż przeniósł się na Skraj i na zawsze zniknął z Menzoberranzan.

Wewnątrz świątyni znajdowało się miasto dwadzieścia razy większe od Menzoberranzan. Podobnie jak mury i otaczające przybytek place, miasto było zniszczoną, spustoszoną przez wojnę ruiną, która zdaniem Pharauna była opuszczona od co najmniej tysiąca lat.

Tutejsze budowle naśladowały wszelkiego rodzaju siedziby mrocznych elfów, od skamieniałych pajęczyn Ched Nasad po wydrążone stalagmity Menzoberranzan. Jediną ich wspólną cechą było to, że wszystkie były częściowo zawalone i pozbawione życia.

Valas pojawił się za plecami maga tak, jak to zawsze robił, jak gdyby za sprawą magii. Pharaun nawet nie próbował udawać, że nagle pojawienie się zwiadowcy nie przstraszyło go.

Czas podtrzymywania pozorów i walki o pozycję w grupie minął bezpowrotnie.

Valas skinął głową mistrzowi Sorcere i rzekł:

- Im głębiej wchodzimy, tym więcej tu metalu.

Pharaun pokręcił głową, z początku nie rozumiejąc, o co chodzi zwiadowcy. Rozejrzał się uważniej i stwierdził, że Valas ma rację. Choć na placu też widzieli poszarpane, powykręcane kawałki zardzewiałego żelaza i przypalanej stali, im dalej w głąb świątyni wchodził, tym więcej coraz większych fragmentów metalu musieli omijać.

Valas przystanął, aby dotknąć wygiętą lekko stalową ścianę trzy razy wyższą od niego.

Wygląda, jak gdyby została wyrwana z czegoś większego - stwierdził zwiadowca. - Nigdy nie widziałem takiej ilości stali.

Pharaun kiwnął głową, przyglądając się znalezisku z pewnej odległości.

- Wygląda jak fragment gigantycznego pancerza- zauważył czarodziej - należącego do olbrzyma większego niż te spotykane w Świecie Ponad, ale to jest Otchłań, Valasie. Tutaj mogą istnieć takie istoty.

- Albo do boga - odparł zwiadowca.

- Selvetarm był tak wielki - odezwała się Danifae. Obaj mężczyźni popatrzyli na nią, zaskoczeni, że zatrzymała się, aby wziąć udział w rozmowie. Była branka szła do tej pory w milczeniu, z nieodstępującym jej nawet na krok draeglothem przy boku, nie zwracając uwagi na otoczenie. - Podobnie jak Vhaeraun.

Valas kiwnął głową.

- Są tu też inne fragmenty, które nie wyglądają jak pancerz.

- Fragmenty mechanizmu - wtrącił Pharaun. - Też je zauważyłem.

- Fragmenty mechanizmu? - zapytała młoda kapłanka.

- Ruchome części - opowiedział Pharaun, idąc. - Zauważyłem zawiasy i części, które wyglądają zupełnie jak staw, ramieniowy albo kolanowy staw w ciele drowa, mający druty albo inne urządzenia zamiast mięśni.

- Rzeczywiście - powiedział Valas - niektóre z tych fragmentów przypominają nogi i ramiona.

- Kogo to obchodzi? - mruknął draegloth. - Musicie marnować czas na przyglądanie się tym śmieciom? Zupełnie nie rozumiecie, co tu się stało?

- Myślę, że mamy przynajmniej podstawowe zrozumienie tego, co tu zaszło, Jeggredzie rzekł Pharaun. - „Przyglądając się tym śmieciom”, jak to elokwentnie ująłeś, możemy zyskać wiedzę, która przestanie być podstawowa. Niestety, nie jest to chyba stan umysłu, który byłby ci znajomy, ale ci z nas o wyższych...

Pharaun stęknął boleśnie, tracąc oddech. Draegloth rzucił się na niego, popychając go na walącą się stertę cegieł, która była kiedyś częścią wyniosłej katedry. Czarodziej przypomniał sobie czar, który nie wymagał mówienia, ale nie rzucił go, bo w świątyni rozbrzmiał głos Danifae.

- Jeggred - rozkazała - zostaw.

Było to polecenie, które ktoś mógł wydać szczerowi zainteresowanemu jaskiniowym żukiem. Gdy draegloth się cofał, podnoszący się z ziemi mag zadał sobie pytanie, co było większą obrazą - obalenie przez Jeggreda na ziemię, czy arogancki ton Danifae. Mistrz Sorcere otrzepał *piwufwi*, postarał się zrobić coś z mokrym wiechciem, jakim stały się jego włosy i odchrząknął.

- Jeggred, mój drogi - powiedział mag głosem ociekającym sarkazmem - czyżbym powiedział coś, co cię uraziło?

- Następnym razem, gdy odezwiesz się do mnie w ten sposób, magu - warknął draegloth - twoje serce powędruje za sercem Rylda Argitha do mojego żołądka.

- Czarujący jak zwykle - skwitował Pharaun, starając się nie śmiać.

- Chodź, Jeggred - powiedziała Danifae, kiwając na draeglo-tha, żeby szedł za nią.

Pharaun doprowadził się do porządku i miał już ruszać dalej, ale przystanął i odwrócił się, zauważywszy kątem oka, że ktoś mu się przygląda. Quenthel Baenre stała ukryta częściowo za wielkim, poszarpanym kawałem metalu. Wyraz twarzy miała lodowaty i gdyby byli z powrotem w Menzoberranzan, wróżyłby Danifae niechybną śmierć.

Gdy echo ostatniego, nieskładnego krzyku Dyrre wreszcie umilkło, zapadła prawie całkowita cisza. Licz wisiał nieruchomo w powietrzu, trzęsąc się z wściekłości. Gromph przez chwilę rozglądał się po zdemolowanym Bazarze.

Pożary wypaliły się, a dymy powoli rozproszyły. Dziesiątki kramów, namiotów i wozów zostało zniszczonych - spalonych lub roztrzaskanych. W kamiennym podłożu, miejscami strawionym przez ogień, powstały wielkie szczeliny i dziury.

W ciszy rozległo się kilka wypowiedzianych szeptem słów i Gromph zauważył kilku ciekawskich - i nierozsądnych - dro-wów, którzy zaczęli się zbierać na obrzeżach zrujnowanego targowiska. Wyczuli, że pojedynek dobiegł końca, ale Gromph wiedział, jak bardzo się mylą. Coś, i nie była to tylko zdolność Grompha do przewidywania jego posunięć, wystraszyło Nimo-ra, przekonało Namaszczone Ostrze, że przegrał.

Dlaczego Nimor opuścił pole walki, arcymagu? zapytał Na-uzhror. *Co takiego wie?*

Dowiedz się, polecił Gromph i skupił się na Dyrre. Możemy na tym skończyć jeśli chcesz - odezwał się arcy-mag.

Licz wziął głęboki, drżący oddech i pokręcił głową.

- Jest tak, jak być powinno - dodał arcyomag.

~ Chyba tak, mój młody przyjacielu - odparł Licz spokojnie. ty, najwyższy rangą czarodziej w Menzoberranzan, i ja, najpotężniejszy mag w mieście. Musieliśmy się kiedyś zmierzyć. Potęga nienawidzi tego rodzaju nierównowagi.

- Nie wiem - odparł Gromph, wzruszając ramionami. - Nie wiem nic o równowadze. Czczę demona. Służę chaosowi.

W odpowiedzi Dyrr rozpoczął inkantację. Gromph cofnął się i przystając z mocy laski, wyskoczył kilkanaście stóp w górę zawisł w powietrzu. Spojrzał w dół i zobaczył grupkę drowów piętnastu czy dwudziestu mężczyzn, głównie starszych - rozprężającą się między zniszczonymi straganami. Musieli to być kupcy zaniepokojeni losem swojego dobytku.

Gromphowi przyszło do głowy, żeby ich ostrzec, ale nie zro-bił tego. Nie chciał.

Dyrr skończył zaklęcie i początkowo wyglądało to tak, jak gdyby Licz wybuchł. Zaczął się rozdymać, stając się dwa, po-tem trzy, a nawet cztery razy większy niż zwykle. Zmienił się fizycznie pod każdym względem i runął w dół z przeraźliwym loskotem, który sprawił, że kupcy znów umknęli poza granice Bearu. Gromph patrzył, jak gapie przyglądają się z nabożnym podziwem temu, w co przemienił się Dyrr.

To gigant, powiedział Nauzhror. Czarny kamienny gigant.

Gromph westchnął. Wiedział, w co przeobraził się Dyrr.

W normalnych okolicznościach czarne kamienne giganty był konstruktami tworzonymi przez kapłanki jednej z mrocznych wsi które używały ich jako sług, strażników, zabójców albo narzędzia wojenne. Wyrzeźbione z litych kamiennych brył ol-brzymy były potężnymi istotami zdolnymi do obrócenia w pierzynę całego miasta, jeśli wyrwały się spod kontroli. Dyrr z chudego, starego drowa przybrał postać giganta. Wskutek tej przemiany stał się, praktycznie rzecz biorąc, zupełnie inną istotą.

Gigant mierzył przynajmniej czterdzieści stóp od czubka wielkiej, drowiej głowy do końca wijącego się, robakowatego ogona. Miał cztery pary długich rąk o drowich dłoniach, w których mógłby zamknąć Grompha, ale były one dziwnie wykrzywione i miały trzy palce o wielu stawach zakończone czarnymi szponami podobnymi do pazurów Nimora. Licz pozostał czarny, ale oczy stwora błyszcząły jasnym błękitem. Padające z nich snopy światła przecinały mgiełkę dymu wiszącą wciąż w powietrzu. Gigant otworzył usta, ukazując kilka rzędów kłów wielkości krótkich mieczy. Z wykrzywionej dolnej wargi kapał szlam. Cały czas sunął naprzód, drgając i wijąc się jak larwa. Pod jego ciężarem ugięła się ziemia, a odgłos miażdżonego, pękającego kamienia zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Stwór zaczął niszczyć wszystko, co znalazło się w jego zasięgu, a zasięg miał ogromny. Kupieckie kramy, które były wciąż nienaruszone i nie spłonęły, rozlatywały się na drzazgi pod ciężarem samej wagi kolosa. Ciekawscy kupcy uciekali w popłochu, ratując życie, ale sunący po Bazarzegigant rozgniatał swym cielskiem jednego uciekającego drowa za drugim. Gdy znów się ukazywali, zamiast nierozpoznawalnej miazgi, jaką spodziewał się ujrzeć Gromph, zostawiał sznur czegoś, co wyglądało jak posagi. Skamieniałe postacie kilku drowów leżały zupełnie nieruchomo, rozrzucone po zrujnowanym targowisku. Dotyk giganta zmieniał ich w kamienie.

W napadzie niszczycielskiej wściekłości gigant zainteresował się Gromphem. Snopy światła padającego z jego oczu oświetliły arcymaga unoszącego się kilkanaście jardów nad ziemią Bazaru.

Gromph rzucił zaklęcie, gdy olbrzym ruszył w jego stronę, zgrzytając potężnymi zębiskami i obracając w kamień garstkę kolejnych nieostrożnych kupców. Zaklęcie sprawiło, że Grompha trudno było zauważyć. Jego postać stała się zamglona, nieostra, i arcymag opadł szybko na ziemię. Buty, które nosił, po-

zwały mu biec szybciej, niż najszybszy drow. Niewyraźny i poruszający się błyskawicznie arcyomag był w stanie uciec przed rozjuszonym gigantem.

— Dyrr, słyszysz mnie? - zawołał Gromph.

Licz nie odpowiedział. Gromph nie był pewny czy w tym stanie jest do tego zdolny. Gigant zaryczał, zgrzytnął zębami i znów zaatakował. Gromph biegał w kółko, starając się zatrzymać niebezpieczną bestię na terenie Bazaru. Każda żywa istota, której dotknął, zmieniała się w kamień, a już zbyt wielu Menzoberran-zańcyków poległo. Jeśli obłączenie rzeczywiście dobiegało końca, należało powstrzymać bezsensowną rzeź.

- Dyrr, odpowiedz mi - spróbował znów Gromph, ale znów nie otrzymał odpowiedzi.

Zamiast tego gigant popatrzył w dół na skamieniałe drowy, które za sobą zostawiał. Kiedy snop światła z jego oczu padł na kamienne postacie, twarde jak skała drowy ożyły. Skamieniali kupcy wyprostowali się, idąc chwiejnym krokiem jak zombie, a każdy odwrócił głowę, żeby popatrzeć na giganta, jak gdyby czekali na rozkazy. Kurz opadał z nich wielkimi kłębami.

Gigant syknął do każdego z nich i ożywione statuy, jedna za drugą, odwróciły się w stronę Grompha i ruszyły chwiejnie ku niemu.

Gromph poruszał się o wiele szybciej niż skamieniałe drowy, ale było ich dużo: tuzin, może więcej i arcyomag wiedział, że będzie musiał sobie jakoś poradzić z czarnym kamiennym gigantem i zastępem ożywionych posągów w sercu Menzoberranzan.

Licz nie odpowiada, mistrzu, odezwał się Nauzhror. Może nie może. Może jest teraz bardziej gigantem niż liczem.

Co to oznacza? zapytał Prath.

To oznacza, odpowiedział Gromph, że to, do czego licz byłby normalnie zdolny, na co byłby odporny, przestało obowiązywać.

Na przykład? zapytał Prath.

Nekromancja, wymówili jednocześnie to samo słowo Gromph i Nauzhror.

- To niemożliwe - powiedział Valas. - Jest wielka jak za mek.

Pharaun wzruszył ramionami, kiwając głową i spoglądając na ogromną skorupę.

- Większa - stwierdził mistrz Sorccre - ale ruchoma.

Skorupa była niegdyś kulą z wypolerowanej stali o średnicy ponad trzystu stóp. Leżała wśród szczątków kilku mniejszych kamiennych i pajęczych budowli, całkowicie pozbawiona jednego boku. Przypominała ogromną, porzuconą skorupę jaja, ale kiedyś była chodzącą fortecą. Pharaun usiłował wyobrazić sobie, jak wyglądała, kiedy była nieuszkodzona i stała na nogach, które teraz leżały pogięte i połamane, przygniecione jej ciężarem.

- To jakieś mechaniczne urządzenie- upierał się Valas... tak wielkie... Musiało zostać zbudowane przez...

- Przez boga? - dokończył za niego Pharaun, gdy wyczuł, że Valas waha się wyciągnąć podobny wniosek. - A w tym przypadku boginię. Czemu nie?

- Do czego coś takiego mogło służyć? zapytała Danifae.

- Do walki - podsunął Jeggred z zaśpiewem w głosie, przez który zabrzmiało to prawie jak pytanie. - To machina bojowa.

-To forteca - oświadczyła Quenthel. W jej głosie słychać było taką ostateczność i pewność, że pozostali odwrócili się w jej stronę. - To jest... to była forteca samej Lolth. Kiedyś przypominała mechanicznego pająka. Ukryta w jego wnętrzu Lolth mogła przemierzać Pajęczę Otchłanie uzbrojona w oręż, jakiego żaden drow nie jest sobie w stanie wyobrazić.

- Wydaje mi się... - odezwała się Danifae. - Wydaje mi się, że coś o tym czytałam, ale zawsze myślałam, że to niegroźna herezja mająca budzić grozę wśród nowicjuszek.

- Jesteś tego pewna? - zapytał Pharaun Quenthel, choć widział w jej twarzy, że nie ma żadnych wątpliwości.

Wysoka kapłanka spojrzała mistrzowi Sorcere w oczy i powiedziała:

- Byłam w środku. Widziałam, jak się porusza. To wewnątrz tej fortecy stanęłam przed obliczem samej Pajęczej Królowej.

Pharaun odwrócił się, żeby znów spojrzeć na ogromną skorupę.

- Rzadko ją opuszczała- ciągnęła Quenthel, coraz ciszej i ciszzej, jak gdyby coraz bardziej się oddalała. - Nie przypominam sobie, żeby opuściła ją choć raz przez te wszystkie lata, kiedy...

Pharaun nie odwrócił się do mistrzyni Arach-Tinilith, kiedy mówił:

- Powinniśmy wejść do środka. Skoro Lolth nigdy nie opuszczała tej fortecy, może wciąż tam jest.

- Nie ma jej tam - powiedziała Quenthel.

- Mistrzynie ma rację - potwierdziła Danifae. - Czuję to... a raczej nie czuję jej.

- Mimo to może wciąż tam być - upierał się czarodziej, wiedząc, że znów ryzykuje życiem, sugerując coś podobnego, chociaż był pewien, że każdemu z nich przynajmniej przemknęło to przez myśl. - To znaczy jej ciało.

Nikt nic nie odpowiedział, ale ruszyli za Pharaunem, gdy zaczął iść w stronę obalonej pajęczej fortecy.

W miarę upływu czasu droga stawała się coraz bardziej uciążliwa. Zmęczenie dawało im się we znaki, a choć od czasu do czasu zatrzymywali się, żeby zjeść i napić się z zapasów wydzielanych im przez Valasa z jego wymiarowych toreb, wszyscy byli głodni, spragnieni i znużeni. To oraz coraz gęstsze zasieki zagrządzających im drogę murów z kamienia,

pajęczyn, cegły i stali sprawiało, że szli cztery razy wolniej niżby chcieli.

Mimo to draegloth zdołał zrównać się Pharaunem. Mag miał powody sądzić, że osłony, które wznosił wokół siebie, ochronią go przed ewentualnym atakiem draegloth, więc nie zatrzymał się, aby rzucić mu wyzwanie.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu - wyszeptał Jeggred do Pharauna. Szept półdemon, był tak głośny jak normalny ton drowa, ale chyba nikt oprócz maga go nie usłyszał. - Jeśli Lolth jest martwa, a my znajdziemy tylko szkielet, będziesz zadowolony. Przyznaj się.

- Niczego nie przyznam odparł mistrz Sorcere. - Takie mam zasady. Ale w tym przypadku naprawdę mam nadzieję, że nie znajdziemy tam jej trupa. A nawet gdyby było inaczej, co cię to obchodzi? Pobiegniesz naskarżyć na mnie swojej pani? Której ze swoich dwóch pań powiedziałaś najpierw? Czy w ogóle powiedziałaś Quenthel? Naprawdę, Jeggredzie, zachowujesz się tak, jak gdybyś miał już nigdy nie zobaczyć Menzoberranzan.

Naprawdę? - zapytał draegloth. Był organicznie niezdolny do wychwycenia sarkazmu. - Jak to?

Lekceważysz życzenia Quenthel Baenre -czarodziej podkreślił nazwę domu - przedkładając nad nie kaprysy sługi. Tu, w samym sercu władztwa Lolth.

- Danifae nie jest już służącą powiedział draegloth. Wi działem wiele...

Ogień.

Pharaun pomyślał to słowo w chwili, w której jego skóra pokryła się bąblami, a ubrania prawie zajęły ogniem. Płomień ogarnęły ich falą, otaczając całą piątkę oślepiającymi pomarańczowymi, czerwonymi i niebieskimi jęzorami. Pharaun słyszał, jak jego zaklęcia skwierczą, usiłując powstrzymać żar, lecz choć był poparzony, przeżył. Jednak nic wszyscy pozostali byli

w tak dobrym stanie i czarodziej natychmiast poszukał w myślach zaklęcia, które ochroni ich wszystkich - a jeśli nie wszystkich, to Valasa, Quenthel (bądź co bądź była siostrą arcymaga), Danifae i Jeggreda... w tej kolejności.

Nie zdążył - kolejna fala ognia przetoczyła się nad nim, parząc go jeszcze dotkliwej.

Z góry rozległ się plugawy, chrapliwy śmiech. Pharaun podniósł głowę i zobaczył obmierzłego tanar'ri, który wisiał w powietrzu nad nimi dzięki przynajmniej odrobinie prostej magii. Potwór wyglądał jak wściekły, pokraczny byk i nie miał stóp.

Pharaun natychmiast go rozpoznał i wyczarował wokół siebie sferę energii Splotu chroniącą go przed pewnymi zaklęciami. Tanar'ri był demonem głabrezu i wyglądał znajomo.

- Lód... - syknęła Danifae przez zaciśnięte zęby.

Czarna skóra Danifae i Quenthel była pokryta lśniący plamami. Zostały poparzone ciężiej niż Pharaun, ale nie aż tak, żeby na ich skórze pojawiły się bąble. Quenthel wyciągnęła różdżkę uzdrawiającą i natychmiast przesunęła nią nad swoją skórą.

- Uwięziłem go w lodzie - powiedział Pharaun - i zostałem.

Mag rozejrzył się za Valasem, ale zwiadowcy nigdzie nie było widać.

- Typowy demon - wymamrotała Quenthel. - Odgryzł sobie stopy, żeby się stamtąd wydostać.

Jeggred ryknął z wściekłości. Z jego osmalonego futra unosiły się szaroczarne smużki dymu.

- Śledziłeś nas aż tutaj, Belshazu? - zapytała mistrzyni Arach-Tinilith. - Żebyśmy mogli cię zabić?

- Wręcz przeciwnie - odpowiedział ojciec Jeggreda.

Halisstra Melarn leciała.

Choć nie był to dokładny opis tego, co się z nią działo, właśnie to mówiły jej wszystkie zmysły. Pod nią rozpościerała się wieczność szarej nicości poprzątykana kłębiącymi się zwojami kolorów i bryłami dryfujących, obracających się skał, niektórych mierzących milę w obwodzie, niektórych małych jak pojedynczy drow. Nad sobą i ze wszystkich stron widziała dokładnie to samo.

Nie tak dawno była na Planie Astralnym wraz z drużyną Men-zoberranzańczyków i swoją byłą branką, ale było to zupełnie inne doświadczenie. Wtedy, pod opieką kapłana Vhaerauna, czuła się jak duch prowadzony na łańcuchu. Dzięki mocy Eili-strae była tu fizycznie, nie jako projekcja i nic nie wiązało jej z planem, na którym się urodziła.

Halisstra Melarn jeszcze nigdy nie czuła się tak wolna. Jej usta ułożyły się w bezwstydną uśmiech, serce biło jak młotem. Włosy rozwiewały się za nią, choć nie wiał tu żaden wiatr. W eterycznym medium Planu Astralnego jej ciało reagowało na każdą myśl, więc szybowała i kołowała jak dokazująca mroczna bestia.

Jedynym ograniczeniem, jakie odczuwała, była potrzeba trzymania się blisko towarzyszek, Uluyary i Feliane. Halisstra widziała, że elfka i drowka rozkoszują się lotem przez Plan Astralny tak samo jak ona i też się uśmiechały. Mimo to nie zapominały o powadze misji, z którą tu przybyły.

Halisstra zaryzykowała wszystko i straciła wszystko, aby się tu znaleźć. Ryld był z pewnością martwy, martwy jak Ched Nasad, a wszelkie życie, jakie mogła wieść w Podmroku, zostawiła za sobą. Przed sobą miała tylko niepewność, ale i akceptację. Czekало ją ryzyko, ale i potencjalna nagroda, podczas gdy za sobą zostawiła wyłącznie beznadzieję.

- Tam! - zawołała Uluyara do towarzyszek, wyrrywając Halisstrę z zamyślenia. - Widzicie?

Halisstra podążyła spojrzeniem za czarnym palcem kapłanki i poczuła, że jej ciało przekreśla się w „powietrzu”, kierując się w tamtą stronę. Uluyara wskazywała długi sznur czarnych cieni i Halisstra musiała zamrugać kilka razy, zanim dotarło do niej, co widzi. Czowała się tak, jak gdyby patrzyła na ogromny szary ekran, za którym, niczym aktorzy w teatrze cieni, sznur drowów powoli przesuwiał się ku wspólnemu celowi.

- Zbliżajcie się powoli — ostrzegła Feliane. - Mogą nawet nie zauważyć naszej obecności, ale nie wiemy tego na pewno, a jest ich tak wiele.

- Kim oni są? - zapytała Halisstra, choć już w chwili, gdy wymawiała ostatnie słowo, uświadomiła sobie, co widzi.

- To potężeni - wyszeptała posepnie Uluyara.

- Tylu ich... - szepnęła Halisstra równie ponuro.

- To chyba wszystkie drowy, które zginęły, odkąd Lolth zamilkła - powiedziała Feliane. - Dokąd one idą?

- Nie do Otchłani - odparła Uluyara.

Gdy się zbliżały, Halisstra nie potrafiła się powstrzymać przed przyglądaniem się wybranym twarzom dryfujących powoli zmarłych. Wszystkie mroczne elfy wydawały się jednolicie szare, jak gdyby były narysowane węglem, a nie prawdziwymi dro-wami. Kiedy spojrzała na jedną z postaci, drowkę, zapewne zbyt młodą na rytuał Wykrwawienia, widziała przez nią obracającą się skałę, która przepływała z tyłu.

Jeden z cieni zauważył ją i nawiązał na chwilę kontakt wzrokowy, ale nie zwolnił ani nie spróbował się do niej odezwać.

- Dokąd one idą? — zapytała Halisstra, widząc najpierw u jednej, a potem u następnych zjaw symbol Lolth oraz inne ozdoby i herby świadczące o tym, iż są wyznawcami Pajęczej Królowej. - Jeśli nie do Otchłani, nie do królestwa Lolth, to gdzie?

W sercu Halisstry zakiełkowała nadzieja. Skoro zmarli wyznawcy Lolth nie szli do niej, ale w jakiejś inne miejsce, może

dla służki Pajęczej Królowej istniała jeszcze jakaś nadzieja poza odejściem w niebyt.

- Zakłęcie Eilistrae - odezwała się Feliane - ścigało nas do Otchłani, ale nie tędy.

- Kiedy byłam w Pajęczych Otchłaniach z siostrą Baenre i resztą - przypomniała sobie Halisstra - nie widzieliśmy tam takich dusz. Quenthel zauważyła ich nieobecność. Na sześćdziesiątym szóstym poziomie były tylko hordy dzikich demonów, dwaj walczący ze sobą bogowie i zapieczętowana świątynia.

- Czy powinniśmy podążyć za nimi? - zapytała Uluyarę Feliane. - Skoro to wyznawcy Lolth, możliwe, że zmierzają ku niej, nawet jeśli nie kierują się do Otchłani.

- Czy Lolth mogła opuścić Otchłan? - zapytała Halisstra.

Ona i Feliane popatrzyły pytająco na Uluyarę, ale kapłanka tylko wzruszyła ramionami.

Halisstra zbliżyła się do kolumny dusz i patrzyła, jak się przesuwają, czekając na jakąś starszą rangą kapłankę, która może będzie coś wiedzieć. Wśród mijających ją zmarłych widziała głównie mężczyzn, zapewne wojowników, a także kilku dride-rów. Po ich odzieniu i herbach poznała, że pochodzą z różnych miast w całym Podmroku.

W końcu wypatrzyła kapłankę, która wydała jej się odpowiednia, więc podleciała do niej bliżej. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć mijającą ją duszę, kiedy ktoś ją zawołał.

Halisstra, powiedział głos bezpośrednio w jej umyśle.

Halisstra zamrugnęła i przycisnęła rękę do głowy. Jak z oddali słyszała, jak Uluyara i Feliane pytają, czy dobrze się czuje.

Mentalny głos znów rozległ się w jej czaszce, odpychając wszystkie inne myśli.

- Ryld... powiedziała drżącym głosem przez zaciśnięte zęby.

Jestem tutaj, wyszeptał w jej umyśle mistrz Melee-Magthere.

Halisstra otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą widmowy sień Rylda Argitha. Wojownik stał wyprostowany dumnie

w swej cienistej zbroi, jednocześnie wyciągając ku niej ręce i odpychając ją od siebie. Oczy zasły jej łzami, rozmazując widok bezcielesnej duszy kochanka.

Kochałem cię, powiedział.

Halisstra próbowała powstrzymać płacz, ale te dwa słowa sprawiły, że jej ciałem wstrząsnął szloch i powoli zaczęła się od niego oddalać. Chciała mu powiedzieć setki rzeczy, ale głos uwiązł jej w gardle, zęby zacisnęły się, a głowa zaczęła pulsować.

Dla ciebie zrezygnowałem ze wszystkiego, powiedział.

- Ryld - zdołała wreszcie wykrztusić Halisstra. - Mogę cię... Nie tyle powiedział „nie”, co odcisnął to uczucie w jej umyśle. Halisstra z trudem łapała powietrze.

Idę teraz do Lolth, rzekł Ryld. Nie należę do Eilistraee, nawet jeśli należałem do ciebie.

- Nie wybrałam jej zamiast ciebie, Ryldzie - powiedziała Halisstra, choć wiedziała, że kłamie. - Odwróciłabym się od niej, gdybyś mnie o to poprosił.

Znów poczuła „nie”.

- Chciałam ciebie - szepnęła.

Miałś mnie, powiedział, tak długo, jak mogłaś.

- Halisstra - wyszeptała jej do ucha Uluyara. Halisstra zdała sobie sprawę, że kapłanka trzyma ją za rękę. - Halisstro, zapytaj go, dokąd idzie. Zapytaj go, dokąd odeszła Lolth.

- On idzie do niej - powiedziała do Uluyary, a potem do Rylda: - Kocham cię.

Zamrugnęła, powstrzymując łzy i zobaczyła, jak mężczyzna uśmiecha się i kiwa głową.

- Do Lolth? - zapytała Uluyara. - Gdzie ona jest?

- Dlatego teraz tu jesteśmy, prawda? - zapytała Halisstra odalającą się powoli duszę Rylda Argitha. - Ponieważ się kochaliśmy.

Ponieważ zostawiliśmy za sobą nasz świat, odrzekł. Ponieważ zostawiliśmy tam nas samych. Potrafiłaś stworzyć nową

Halistrę, aleja nie potrafiłem stworzyć nowego Rylda. Jestem ; tu, ponieważ na to zasługuję. Gdyby było inaczej, draegloth nie zdołałby mnie pokonać.

- A my wciąż bylibyśmy razem - dodała.

Powiedz swoim przyjaciółkom, że Loth przeniosła Pajęczę Otchłanie. Czekaliśmy, niektórzy z nas od wielu miesięcy, żeby poczuć, jak przyciąga nas ku sobie, a teraz musimy za nią podążyć.

- Loth - oznajmiła Halisstra kapłankom głosem pełnym żalu, złości, nienawiści i zbyt wielu innych uczuć, by potrafiła je znieść - zabiera ich do domu.

- Pajęczyna Demonów przestała być częścią Otchłani odgadła Uluyara.

Ona się zmienia, rzekł Ryld, a jego myśl zabrzmiała jak ostrzeżenie. *Ona zmienia wszystko.*

Halisstra poczuła, jak Uluyara ścisła mocniej jej ramię i szepcze:

- Pozwól mu odejść. Tylko to możesz teraz dla niego zrobić.

- Możemy zabrać go ze sobą - wyjąkała Halisstra, patrząc, jak Ryld odwraca się od niej i powoli odpływa wraz z innymi obojętnymi cieniami.

- Nie, jeśli on tego nie chce - wyszeptala Uluyara, obejmując ją ciasno.

Halisstra objęła Uluyarę ramionami i zapłakała, gdy Ryld zniknął jej z oczu, oddalając się wzdłuż szeregu potępionych dusz.

- Witaj w Otchłani, trupie - powiedział glabrezu. Jego głos brzmiał jak niski, warkliwy pomruk. - Witaj w moim domu.

- Belshazu - powiedziała Quenthel, trzymając w dłoni bicz. Żmije wiły się niecierpliwie.

Demon nie patrzył na nią. Cały czas wpatrywał się płomieniami ślepiami w Pharauna.

- Wyrwę twoją duszę z ciała, magu, i zjem ją surowo, a potem wyrzygam na twoje drgające ścierwo, aby wsiąkla w twoją schnącą skórę i wlała się w rozdziawioną gębę - żeby wiedziała, że jesteś martwy - zagrzmiał demon.

- Skoro tak mówisz - powiedział Pharaun.

- Zginiesz - powiedział Belshazu - w cieniu zrujnowanej fortecy swojej martwej bogini.

Mistrz Sorcere kątem oka dostrzegł, że Jeggred stanął obok niego. Póldemon warczał prawie tak nisko i donośnie jak gla-brezu - demon, który był jego ojcem.

Glabrezu, z którego okaleczonych nóg ściekała na starożytne pole bitwy ciemna posoka, obrócił się powoli do draeglotha i ostrzegł:

- Kiedy skończę z drowami, synu, możesz do mnie dołączyć - uwolnić się wreszcie od mrocznych elfów.

Jeggred wciągnął powietrze w płuca i Pharaun widział, że gotuje się do skoku, choć glabrezu unosił się sporo poza jego zasięgiem.

-Jeggred... - zaczęła Quenthel, ale urwała, gdy draegloth okręcił się w jej stronę.

- To tylko ścierwo -- warknął Jeggred. - Kolejny pomiot ta-nar'ri. To coś nie jest moim rodzicem. - Odwrócił się do glabrezu. - Nazwij mnie jeszcze raz „synem” demonie, a słowo to będziesz miał wciąż na ustach, gdy oderwę ci łeb.

- Nie obawiaj się - odparł demon z dzikim uśmiechem. - Nawet gdybyś był demonem pełnej krwi, nie zaszczyciłbym cię myślą. Mieszkańca nawet nie będę próbował zabić. - Belshazu odwrócił się do Pharauna, ale mówił do wszystkich pozostałych: - Zależy mi tylko na tym, który mnie wezwał. Dajcie mi czarodzieja, a pozwolę wam odejść na spotkanie waszej Pajęcznej Królowej.

- Tylko jego? - zapytała Quenthel.

Pharaun spojrział na wysoką kapłankę, która unikała jego spojrzenia, wpatrując się w wiszącego w powietrzu glabrezu.

Demon zerknął na swoje okaleczone nogi.

- Sztuczka z lodem... musiałem odciąć sobie stopy. Uniósł jedno z czworga ramion, jedno z dwóch zakończonych ohydnyimi, ostrymi szczypcami. - Nie odrosną. Ten skurwysyn jest mi dłużny co najmniej dwie nogi. Oddajcie mi go i ruszajcie w swoją drogę.

- Odsunąć się, wszyscy - rozkazała Quenthel odległym, znużonym tonem.

Draegloth warknął, a zza sterty połamanych cegieł wyłonił się Valas, który poruszał się wyjątkowo głośno jak na niego. Pha-raun popatrzył na Quenthel, która wytrzymała jego spojrzenie.

- Mówisz poważnie? - zapytał czarodziej.

- Tak - odparła Quenthel. - Ty go przyzwałeś, spętałeś i zamroziłeś w lodzie. Reszta uczestników wyprawy jest zbyt ważna, żeby ginęli w walce z każdym potworem, który się napotczy albo wyciągali cię z tarapatów, które sam na siebie ściągnąłeś swoją prostacką nierozwagą.

- Pharaun wezwał demona na twój rozkaz, mistrzyni - przypomniał jej Valas, ale kapłanka wcale nie zwracała na niego uwagi.

Pharaun spojrział na Belshazu, który śmiał się w kułak, najwyraźniej zaskoczony, że towarzysze Pharauna tak szybko i łatwo go sprzedali. Czarodziej błyskawicznie przyjrzał się gła-brezu i odkrył, że demon lata dzięki cienkiemu platynowemu pierścieniowi na małym palcu lewej dłoni.

- W porządku - rzekł Pharaun. - To tylko jeden beznogi gła-brezu. Idźcie przodem, za minutę do was dołączę.

Glabrezu ryknął i zaczął się zbliżać. Pierwszym odruchem Pharauna była ucieczka, drugi nakazywał mu stać w miejscu jak słup soli. Wbrew sobie nie zrobił ani jednego, ani drugiego, tylko zaczął przygotowywać zaklęcie.

Coś przemknęło obok twarzy czarodzieja. Odchylił się do tyłu, ale coś innego uderzyło go w podbródek. Z ziemi wokół niego unióśł się pył oraz kamyki, odłamki skamieniałych kości i drobne fragmenty powykrczanego, przerdzewiałego żelastwa. Popatrzył na glabrezu, który trzymał w górze jedną z dwóch właściwych rąk ze znaczącym uśmiechem na psiej twarzy.

Żołądek podskoczył Pharaunowi do gardła, a on sam poczuł, jak coś ciągnie go w górę. Buty maga oderwały się od ziemi

i zaczął spadać - ale spadać w górę razem z otaczającymi go śmieciami. Pozostali wycofali się z obszaru, gdzie grawitacja została odwrócona. Quenthel przyglądała się temu wszystkiemu z wyraźną irytacją, jak gdyby była rozczarowana, że zabicie czarodzieja zajmuje demonowi tyle czasu. Jegfred popatrzył na Danifae, która gestem kazała mu się cofnąć, ale przyglądał się demonowi wyczekująco.

Pharaun westchnął i wziął się do roboty.

Dotknął insygniów Sorcere i użył ich mocy, aby lewitacja zrównoważyć odwrócenie grawitacji. Był nieco zdezorientowany, ale zdołał zatrzymać się mniej więcej na tym samym poziomie co glabrezu. Potem dotknął stalowego pierścienia, z którego wyskoczył rapier.

Broń poszybowała ku demonowi. Osaczony glabrezu oganiał się od niej machnięciami łap, usiłując przeciąć ją szczypcami. Demon uciekał przy tym przed zakłętym ostrzem i wkrótce ich prędkości zrównały się, tak że tworzyli zgraną parę.

Pharaun wykorzystał patową sytuację, rzucając zaklęcie. Żołądek znów podjechał mu do gardła, a lewitacja zaczęła ciągnąć go w górę zamiast w dół. Grawitacja wróciła na swoje miejsce.

Belshazu mógł parować ciosy ożywionego rapiera, ale nie był w stanie go uszkodzić. Tymczasem rapier drasnął demona tu, ciął tam i z kilku ran ciekła na martwą ziemię krew.

- Szkoda - syknął Belshazu prawie do siebie bo miałbym ochotę zatrzymać tę broń, kiedy już cię zabiję.

Demon wykonał gest trudny do zidentyfikowania mrugnął, wzruszył ramionami, wzdrygnął się i klinga roztrzaskała się na tysiąc migoczących kawałków stali, które spadły deszczem na starożytne pole bitwy.

W Pharaunie zagotowała się krew. Twarz maga oblała się purpurą, a oddech uwiązał mu w gardle.

Powinienem być pamiętać, zrugał sam siebie. Powinienem być wiedzieć, że to potrafi.

Mistrz Sorcere miał ochotę uraczyć wiązką przekleństw powietrze, Belshazu i obojętne multiwersum, ale przelknął złość. Bardzo lubił swój rapier.

- Wyrwę wartość tego ostrza z twoich flaków, demonie - ostrzegł Pharaun.

Zwierzęcą twarz glabrezu wykrzywił drapieżny uśmiech, gdy znów pomknął przez powietrze ku magowi. Za sobą czarodziej usłyszał głos Valasa:

- Zostawisz drowa na łasce demona? Pozbawisz nas jego magii?

- Tak - odparła Quenthel zupełnie bez żalu, co Pharaun uznał w jej przypadku za miłą odmianę.

Tana'rri zbliżał się szybko i Pharaun wyciągnął z kieszeni *piwafwi* starą rękawicę. Rozpoczął inkantację, jeszcze zanim rękawica znalazła się na wierzchu i zanim glabrezu znalazł się niebezpiecznie blisko, skończył zaklęcie.

W powietrzu pomiędzy czarodziejem a demonem pojawiła się dłoń wielkości rothe. Choć Belshazu próbował ją ominąć, nie potrafił. Dłoń rozwarła się i zaczęła go odpychać od czarodzieja, bez względu na to, jak bardzo się jej opierał.

Pharaun odwrócił się do Quenthel, która przyglądała mu się z kamienną twarzą, i powiedział:

- To, co zamierzam zrobić, powinienem zrobić w tym miejscu i dać zakosztować tego wam wszystkim, ale nie zrobię tego. Najpierw go odepchnę i oddalę się na bezpieczną odległość od was. Niemniej jednak chcę, żebyś pamiętała, mistrzyni, że mogę to powtórzyć i Lolth mi świadkiem, że następnym razem to zrobię.

Nie czekał na odpowiedź - i tak jej nie otrzymał - tylko odwrócił się w stronę glabrezu odepchniętego zaklęciem w tył. Pharaun zaczął biec po nierównej, pokrytej gruzem ziemi, licząc kroki. Belshazu szarpał i darł pazurami wyczarowaną dłoń, zasypując ją wściekłymi, niekontrolowanymi razami, ale na próżno. Magia trzymała.

Kiedy Pharaun oddalił się o dwadzieścia kroków od reszty drużyny, zatrzymał się. Trzymał rękę w powietrzu, ale już nie odpychała glabrezu, tylko trzymała go na dystans. Biegając, przecieciał w myślach wszystko, czego nauczył się o tana'rich w ogóle, a o glabrezu w szczególności. Kiedy przystanął, rzucił zaklęcie - nic szczególnie skomplikowanego - mające uniemożliwić demonowi korzystanie z wrodzonej magicznej umiejętności ta-nar'rich. Z wyciągniętych palców czarodzieja wystrzelił promień zielonego światła i pomknął prosto ku unoszącemu się w powietrzu demonowi. Zaklęcie miało przywiązać go do sześćdziesiątego szóstego poziomu Otchłani, uniemożliwiając mu teleportację, nawet w granicach tego planu.

- Powiedz mi... - zawołał do demona czarodziej, ale urwał, gdy ogromne szczypce Belshazu przebiły magiczną dłoń.

Zestalona magia spłonęła, odchodząc od powierzchni czarnej pięści jak krew kłębiąca się w wodzie. Glabrezu wyszczerzył się, stęknął i chlasnął dłoń pazurami. Wielkie palce zadrzały, rozluźniając uchwyt.

Czarodziej jeszcze nigdy nie widział, by komukolwiek udało się rozerwać w ten sposób zaklęcie. Glabrezu był potężniejszy, bardziej utalentowany niż Pharaun przypuszczał. Myśli te wciąż jeszcze przemykały mu przez głowę, gdy wyciągnął ze Splotu następny czar.

Ohydne szczypce demona przecięły jeden z palców. Kiedy odpadł, czarna magia pękłajak bańka mydlana i palec znikł. Belshazu napał na drżącą, rozpraszającą się rękę okaleczoną nogą i wszystkim, aż nadto sprawnymi ramionami. Gdy następne zaklęcie Pharauna zaczęło się formować w powietrzu nad demonem, Belshazu wypadł z magicznej dłoni i runął na pokrytą gruzem ziemię.

Demon ryknął na Pharauna, który mógł tylko udawać, że ogluszający, przerażający ryk nie robi na nim wrażenia. Belshazu podniósł się, ale nie spojrzął w górę- nie zauważył kamiennej płyty skupiającej się stopniowo nad jego głową.

- Powiedz - Pharaun odgarnął z oczu niesforny kosmyk -widać, że od dziesięciu dni nie myłem głowy?

Glabrezu warknął, ryknął, wyskoczył w powietrze...

...w chwili, w której kamienna płyta runęła w dół.

Demon zniknął pod nią, ziemia zadrzęła. Ściana pękła w zderzeniu z nierównym podłożem. Belshazu zdołał dźwignąć ważącą kilka ton płytę na tyle, żeby obrócić łeb i wbić w maga płonące ślepia osadzone głęboko w zakrwawionej, zwierzęcej czaszce.

Widok sponiewieranego stwora sprawił, że na ustach Pha-rauna pojawił się uśmiech. Kiedy tanar'ri wygrzebywał się mozolnie spod kamiennej płyty, mag zaczął recytować zaklęcie, z powodu którego musiał odsunąć się tak daleko od pozostałych. Kiedy skończył inkantację, otworzył szeroko usta i wrzasnął.

Dźwięk nie wydobywał się z jego płuc, gardła czy ust, ale ze Splotu wszędzie dookoła i wewnątrz maga. Dźwięk wzbierał, przybierając na sile, a potem wystrzelił z niego: szalony, przeraźliwy wrzask, który uderzył w demona tak mocno, że masywna płyta rozsypała się w pył, który rozwiął się w nicłość. Dźwięk wyrzucił w glabrezu, potrząsając nim i wyrzucając go w powietrze. Na twardej czerwonej skórze Belshazu pojawiły się siniaki, kości pękały jedna za drugą. Demon nie był w stanie zaczerpnąć tchu i wrzasnąć, choć Pharaun rozkoszował się oczywistym faktem, że bardzo tego chciał.

Zwłaszcza kiedy zaczął się rozpadać na kawałki.

Pharaun wciąż krzyczał, wypychając z siebie powietrze. Dźwięk rozrywał glabrezu na kawałki, odrywając skórę, fragmenty egzoszkieletu, kłaki futra, szpony, kły, ślepia, a potem krew i wnętrzności. Cała ta masa wirowała w powietrzu, jak gdyby ktoś mieszał ją w wielkim niewidzialnym kotle, a potem nagle zaklęcie - i ohydny przeraźliwy wrzask - przestało działać i poszatkowane szczątki Belshazu spadły na pobojo-wisko.

Krew ściekała w dół gęstymi kroplami jeszcze przez minutę po tym, jak ostatni większy kawał demona uderzył o ziemię.

Pharaun westchnął, odgarnął niesforny kosmyk i wkroczył ostrożnie pomiędzy szczątki glabrezu. Końcem buta rozgarniał je na boki, dopóki nie wypatrzył cienkiej platynowej obrączki. Pochylił się i podniósł pierścień, starając się nie dotknąć krwi demona.

- Byłeś mi dłużny pierścień - powiedział do niemych szczątków Belshazu, a potem wsunął pierścień na palec i odwrócił się, aby dołączyć do drowów, które tak chętnie pozwoliły mu zmierzyć się z glabrezu samemu.

- Z daleka wydawała się ogromna powiedział Pharaun, przesuwając dłoń wzdłuż zimnego, przerdzawiałego metalowego żebra. - Od środka jest jeszcze większa.

Mistrz Sorcere powiódł wzrokiem wzdłuż łagodnie zakrzywionej stalowej belki, starając się odgadnąć, jak wysoko nad jego głową się kończy - może sto, a może sto pięćdziesiąt stóp?

- Dlaczego to tu tak leży od tysiąca lat? - zapytał Jeggred. Draegloth obwąchiwał zewnętrzną powierzchnię wielkiej pajeckiej fortecy i sprawiał wrażenie niezadowolonego. Ktoś po winien tu posprzątać. Czy bogini nie życzyłyby sobie, żeby ktoś zrobił tu porządek?

To nie leży tu od tysiąca lat - sprostowała Ouenlhel. Stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi w ogromnej wyrwie w boku połamanej skorupy. - Mówiłam wam, byłam tutaj.

- Jak dawno temu? - zapytała Danifae.

Wysoka kapłanka spojrzała na nią z nieskrywaną wzdargą, ale odpowiedziała:

- Dziesięć lat.

- Dziesięć lat temu - zapytał Pharaun - to coś było całe i poruszało się?

Mistrzynie Arach-Tinilith kiwnęła głową.

- Jak się tu dostałaś? - zapytała Danifae. Quenthel odwróciła się do Pharauna i zapytała:

- Czy gdyby był tu ktoś żywy, potrafiłbyś go wyczuć?

Czarodziej zerknął na Danifae, która wzruszyła ramionami.

- Istnieją zaklęcia- odpowiedział- które to potrafią, owszem. Myślisz, że znajdziemy tu kogoś żywego? Może samą Lolth?

- Jeśli Pajęcza Królowa gdzieś jest - powiedziała kapłanka Baenre to jest tutaj. To jej pałac. A jednak nie wyczuwam jej obecności. Wcale jej tu nie czuję.

Pharaun skinął głową i znów rozejrzał się dookoła.

- Daleki jestem od tego, żeby się z tobą spierać, mistrzyni -zwrócił się do Quenthel — ale wydaje mi się rzeczą niemożliwą, by ten konstrukt działał zaledwie dziesięć lat temu. Przyznaję, że nigdy nie widziałem podobnych materiałów - stalowych żeber na tyle wielkich, by podtrzymać cały budynek, magiczny konstrukt wielkości domu Baenre - ale widziałem stal starą i nową, i ta stal leży tu dłużej niż dziesięć lat. Rozumiem, że nie masz ochoty tłumaczyć nam, jak się tu znalazłaś dziesięć lat temu, ale...

- Ale co? - warknęła Quenthel.

Pharaun zatrzymał się, żeby pomyśleć. Mistrzynie Arach-Tinilith cały czas wpatrywała się w niego i w końcu mag wzruszył ramionami i pokręcił głową. Quenthel odwróciła się i weszła dalej w głąb zrujnowanej pajęczej fortecy.

Pharaun czuł na sobie czyjś wzrok, a gdy się odwrócił, zobaczył Valasa czającego się na granicy cienia. Zwiadowca stał na zewnątrz skorupy. Pharaun razem z nim przyglądał się, jak Jeg-gred i Danifae zapuszczają się w ślad za Quenthel w głąb zrujnowanej fortecy. Kiedy cała trójka zniknęła w labiryncie poskręcanej metalu, Valas podszedł do czarodzieja.

- Naprawdę sądzisz, że ona tam jest, żywa? - zapytał zwiadowca.

Pharaun wzruszył ramionami.

- W tej chwili, drogi Valasie, jestem gotów uwierzyć we wszystko. Czas wydaje się nie mieć tu znaczenia - a w każdym razie znaczy coś innego. Wszystko, co mówi Quenthel, może być prawdą, ale przecież jesteśmy w sercu władztwa Lolth, więc gdzie ona jest?

- Gdzie są dusze zmarłych? - zapytał zwiadowca.

- Powinny otaczać nas tłumy naszych przodków, prawda? - zgodził się Pharaun. Powinno się lu roić od przeróżnych istot: demonów, driderów, draeglothów... - Pharaun zachichotał. - Wszystkich stworzeń o nazwach na literę „d”..., ale otaczają nas tylko szczątki i ruiny, skamieniałe kości i gnijące kamienie. Dobry materiał na żalobny tren.

Valas wbił wzrok w ciemność panującą wewnątrz pajęcej fortecy i westchnął.

- Nie znam tego miejsca - powiedział zwiadowca głosem tylko nieco głośniejszym od szeptu. - Dlaczego wciąż tu jestem?

- Zostałeś wynajęty odparł Pharaun. Dom Baenre płaci Bregan D'aerthe... wszyscy wiedzą, dlaczego tu jesteś.

- Nie, pytałem dlaczego wciąż tu jestem. Zostałem wynajęty, aby przeprowadzić drużynę przez Mroczne Władztwo i wywiązałem się z tego.

- W rzeczy samej - przyznał Pharaun.

- Nigdy nic twierdziłem, że znam... - zaczął Valas, ale zamiast dokończyć, westchnął.

- Nie jesteś już w swoim żywiole - stwierdził Pharaun podobnie jak my wszyscy, ale twoje zdolności mogą nam się jeszcze przydać.

- Mogłem ci pomóc w walce z demonem - powiedział zwiadowca.

- Quenthel nic pozwoliłaby ci na to - odparł Pharaun.

- To ty nas tu sprowadziłeś - powiedział Valas - i o ile wiem, tylko to możesz umożliwić nam powrót do domu, a jednak ona ryzykuje twoim życiem, żeby udowodnić coś, co nie wymaga udowodnienia? Czy to ma w ogóle jakiś sens?

Pharaun uśmiechnął się i potrząsnął głową, odrzucając z twarzy niesforny kosmyk.

- Odkąd wyruszyliśmy z Menzoberranzan, kapłanka traktuje mnie jak cierń w zadku. Straciłem już rachubę przeróżnych powodów, dla których mogłaby chcieć mnie zabić, podobnie jak przestałem liczyć powody, dla których ja chciałbym ją widzieć martwą. Może po prostu była pewna, że poradzę sobie z demonem sam. I poradziłem sobie.

- Był może czas, kiedy uznalbyśmy to za zadowalające wyjaśnienie - ciągnął Valas - ale po tym wszystkim nie mogę pozbyć się wrażenia, że to po prostu głupie i potencjalnie szkodliwe. Jej zachowanie jest chaotyczne.

- Wszyscy zachowujemy się nieco chaotycznie - przyznał Pharaun - ale w zasadzie zgadzam się z tobą. Myślę, że coraz bardziej słucha podszeptów węży. Straciła kontrolę nad draeglo-them i Danifae, nigdy nie miała jej nade mną i wie, że ty jesteś tu tylko z powodu złota domu Baenre. Nareszcie dotarliśmy do Pajęczych Otchłani i co znaleźliśmy? Starożytną ruinę? Aż dziw, że jeszcze nie oszalała. Wszyscy powinniśmy byli oszaleć.

Valas zastanawiał się nad tym przez chwilę, a Pharaun czekał na jego odpowiedź.

- Mój kontrakt wygasł — oznajmił wreszcie.

Pharaun kiwnął głową, wzruszył ramionami i powiedział:

- Zostawiam tę decyzję tobie, choć muszę przyznać, że wołałbym, żebyś został z nami. Mogę użyć zaklęć, o jakie prosiła kapłanka, aby znaleźć tu cokolwiek żywego, znaleźć uśpione źródła magii. Tutaj mogę być przewodnikiem, w porządku, ale wkrótce możemy cię znów potrzebować. Poza tym czy potrafiś w ogóle wrócić?

Zwiadowca podniósł głowę, uniósł brew, a na jego twarzy za-
gościł cień uśmiechu, który znikł, zanim na dobre się pojawił.

- Cóż - rzekł Pharaun - może w takim razie potrafisz. Ja
w każdym razie wchodzę do środka, a jeśli zechcesz do nas do
łączyć, zrób to. Możemy podyskutować, dlaczego, skoro potra-
fisz wrócić do Menzoberranzan na własną rękę, martwisz się,
że tylko ja potrafię was tam sprowadzić, i że Qunthel znów
próbowała mnie zabić.

Zwiadowca uklonił się leciutko, powstrzymując uśmiech.

- Dlaczego cię to w ogóle obchodzi? - zapytał.

- Co takiego?

- To wszystko - powiedział zwiadowca - Lolth...

- Jestem ciekawy - odparł Pharaun. - To niezwykle wyzwa-
nie dla czarodzieja, a moja z trudem wywalczona pozycja w
Menzoberranzan jest zależna od wywalczonej z jeszcze więk-
szym trudem pozycji mojego przełożonego, którego władza
opiera się na matriarchacie - jego władza polityczna, w każdym
razie.

Valas kiwnął głową, a Pharaun wskazał wyrwę w ścianie pa-
jęcej fortecy.

- Pójdiesz przodem? zapytał Pharaun.

Valas minął go, ale jego niechęć widoczna była w każdym
wymuszonym kroku, który stawiał.

Halisstra nie była w stanie się poruszać. Wisiała w eterze z twa-
rzą ukrytą w dłoniach, płacząc i odpędzając Uluyarę i Feliane,
które próbowały ją pocieszyć. Słyszała, jak powtarzają słowa otu-
chy, czuła, że dotykają ją, przytulają, ocierają jej łzy, ale nic jato
nie obchodziło. Nie wiedziała, co robić, i coś było z nią nie tak.

Sprowadziłyśmy cię tu zbyt szybko, zadźwięczał w jej głowie
głos. Był to głos kobiety, cichy, ale silny. *Przykro mi.*

Halisstra zamrugała, otworzyła oczy i rozejrzała się, szukając źródła głosu. Uluyara i Feliane odsunęły się od niej na odległość odpowiadającą kilku krokom i wpatrywały się z rozdzielionymi ustami w zjawę unoszącą się w zasięgu rąk Halisstry. Był to duch drowki odzianej w przepyszne szaty z lejącego jedwabiu. Była strasznie blada, a wiatr, którego Halisstra nie czuła, układał jej długie białe włosy w aureolę wokół głowy i rozwiewał za nią szaty.

- Seyll - wyszeptła Halisstra, z trudem wymawiając imię kapłanki.

Cień, który patrzył Halisstrze prosto w oczy, kiwnął głową, a kapłanka znów usłyszała głos: *Eilistraee ma wiele darów dla naszych siostrze Świata Pod. Ból jest, niestety, jednym z nich.*

- Zatrzymaj go dla siebie - odpała Halisstra w przypływie wściekłości zastępującej przygniatający smutek, jaki zostawiła po sobie bezcielesna dusza Rylda Argitha.

Jej odpowiedź zdumiała Feliane i Uluyarę i Halisstra zrozumiała, że nie słyszą Seyll.

Wiem, odparła martwa kapłanka. Uwierz mi, wiem, co to znaczy doświadczać tych wszystkich uczuć naraz i to po raz pierwszy. Twój umysł wyszkolono tak, by je lekceważył, ale były tam przez cały czas, czekając, aż je odnajdziesz i uwolnisz. Wolność nie zawsze jest łatwa. Wyruszyłaś w daleką podróż w głąb siebie, gdzie emocjonalne konsekwencje mogą być bardzo bolesne, ale nagroda będzie większa, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Nic mnie to nie obchodzi, odparła w myślach Halisstra. Nie chcę jej. Teraz wróciłabym do Podmroku, gdybym tylko mogła.

Naprawdę?

Bez chwili namysłu, zakłęła się Halisstra. Tam, gdy mną manipulowano, wiedziałam o tym, wiedziałam też, dlaczego tak się dzieje. Tam byłam kapłanką i arystokratką.

A tutaj? zapytała Seyll. Czym jesteś teraz?

Zabójczynią, odrzekła Halisstra. *Zabójczynią na usługach Eilistraee.*

Jaka jest twoim zdaniem różnica między zabójczynią a wy-bawicielką?

Wybawicielką? zapytała Halisstra.

Kiedy zabijesz Lolth, powiedziała Scyll, a. zabijesz ją, wy-zwolisz tysiące... miliony.

Skazując ich na życie pełne rozpacz i żalu?

A także miłości, zadowolenia, zaufania i szczęścia, odparła Seyll.

Halisstra zastanowiła się nad tym, ale w głowie miała pustkę. Oczyjapięły, szczeka bolała i czuła się ciężka-tak ciężka, że zaczęła opadać w nieważkim eterze Planu Astralnego.

Feliane i Uluyara pojawiły się po obu jej bokach, podtrzymując ją delikatnie za ramiona. Halisstra nie patrzyła na nie, ani na ducha Seyll. Zamiast tego wodziła wzrokiem wzdłuż długiej kolumny milczących dusz. Martwi wracali do Lolth. Żadna z jej obaw nie spełniła się.

- Mogłabym do niej wrócić powiedziała.

Poczuła, jak Feliane i Uluyara sztywnieją. Od strony Seyll poczuła falę rozczarowania zmieszanego ze strachem.

- Gdyby zechciała cię przyjąć wyszeptła Feliane.

To ostudziło Halisstrę. Czy rzeczywiście zaszła za daleko, do punktu, gdzie Lolth odrzuci ją, albo, co gorsza, ukarze za herezje, których się dopuściła? Czy Eilistraee opuści ją za samą myśl o powrocie do Pajęczej Królowej? Czy przez własne niezdecydowanie skaże samą siebie na pozbawione boga zaświaty?

Nie, wyszeptła w jej umyśle Seyll, która najwyraźniej wy-czułaj jej myśli. *Eilistraee rozumie wątpliwości i słabości, i wy-baczaje.*

- Czy rozumiesz, Halisstro - odezwała się Feliane-z czego zrezygnowała Seyll, aby się tu znaleźć'?

Halisstra pokręciła głową, usiłując odepchnąć od siebie słowa elfki.

- Opuściła Arvandor, aby tu przybyć - ciągnęła Feliane. - Seyll skazała się na wieczność na dzikim Planie Astralnym i zrobiła to dla ciebie.

- Dla mnie? - zapytała Halisstra, przyglądając się duchowi Seyll, który wisiał w eterze, wpatrując się w nią. - A może dla Eilistraee? Przybyła tu z własnej woli czy została wysłana przez boginię, która boi się utraty swojej zabójczyni?

Tak, powiedziała Seyll. Odpowiedź na wszystkie te pytanie brzmi tak. Przybyłam tu z własnej woli, dla Eilistraee, aby ochronić cię przed Lolth, aby ochronić cię przed samą sobą i aby dopilnować, żebyś zrobiła to, co musisz zrobić.

- Dlaczego? - zapytała Halisstra. - Dlaczego teraz? *Bo coś się wkrótce wydarzy*, odparła Seyll.

- Coś się wkrótce wydarzy - powtórzyła Uluyara.

Teraz, w tej chwili, czy chcesz wrócić do Lolth? zapytała Seyll. *Gdyby obdarzyła cię teraz swoją „laską” czy przyjąłabyś ją, przyjąłabyś Lolth i odwróciła się plecami od Eilistraee?*

- Nie wiem - odpowiedziała Halisstra.

Musisz zdecydować, powiedziała Seyll, *i musisz zdecydować teraz.*

Zjawa wskazała długi rząd bezcielesnych dusz za swoimi plecami. Coś się zmieniło i Halisstra dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie co. Sznur dusz zniknął w szarej oddali, wiele mil od miejsca, w którym się znajdowały. Bezbarwne duchy ulegały przemianie, jeden po drugim, jak gdyby przechodziła przez nie fala. Każda z nich po kolei odzyskiwała kolor, życie, a nawet substancjalność, ale tylko na chwilę, a potem efekt przesunął się na następnego drowa w kolejce. Gdy kolor przenikał przez nie, zwiły się spazmatycznie w powietrzu, bardziej z rozkoszy niż bólu. Fala była coraz bliżej, rozrzucając za sobą sznur drowów.

- Ona wróciła - wyszeptała Halisstra.

Seyll przysunęła się do niej, obejmując widmowym ciałem Halisstrę, która zeszytniała, ale nie odepchnęła zjawy.

Wróciła, wyszeptała Seyll w jej umyśle. Wkrótce przeniknie cię jej moc. Mogę cię ochronić, ale musisz mnie chcieć. Musisz pragnąć Eilistraee, nie jej. Nie tego demona, Proszę.

- Proszę- wyszeptała Uluyara.

Halisstra zamknęła oczy i spróbowała odwzajemnić widmowy uścisk Seyll, ale jej ramiona zamknęły się na nicości.

- Eilistraee - zawołała Halisstra łamiącym się głosem - po móż mi!

Seyll zmaterializowała się w jej objęciach i Halisstra poczuła, że kapłanka drży. Seyll krzyknęła i Halisstra usłyszała jej krzyk zarówno w uszach, jak w znękany umyśle.

- Seyll! — Uluyara przekrzyzczała pełen cierpienia wrzask, który wyrwał się z chwilowo cielesnego gardła Seyll. Nie...

Ciało Seyll znikło i Halisstra objęła ramionami samą siebie. Krzyk odbijał się echem w jej głowie, ale w uszach słyszała już tylko ciszę Planu Astralnego. Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą unoszącą się w szarej nicości Seyll. Ciało kapłanki było połamane i powykręcane, twarz miała wykrzywioną bólem. Stała się jeszcze bardziej przezroczysta i szybko blakła.

- Seyll... wyszeptała Halisstra.

Kapłanka po raz ostatni spojrzała jej w oczy i choć widać było, że sprawia jej to ogromny ból, uśmiechnęła się i znikła.

Ciało Halisstry zwiotczało, choć jednocześnie poczuła ogromny przypływ energii i pewności siebie, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczyła.

Odeszła szepnęła Uluyara.

- Nie tylko opuściła Arvandor — powiedziała Feliane z rozszerzonymi zgrozą oczyma. - Pozwoliła, by przeniknęła ją moc Lolth.

- Aby mnie ocalić - wyszeptała Halisstra.

- To ją zabiło - powiedziała Feliane. - Nie wybrała Planu Astralnego, wybrała niebyt.

- To, czego ja najbardziej się bałam - powiedziała Halisstra.

- To strach przed niebytem zaprowadził mnie do Eilistraee.

- Poświęciła się - stwierdziła Uluyara.

- Dla mnie? - zapytała Halisstra.

-I dla Eilistraee - odparła Feliane.

Halisstrze kręciło się w głowie, ale oczy jej obeschły, a w zmęczonych mięśniach zaczęła płynąć krew. Czuła się pobudzona, odświeżona, choć jednocześnie poruszona tym, co zaszło.

- Poświęciła się - powtórzyła - żebym mogła...

- Żebyś mogła służyć Eilistraee - dokończyła za nią Uluyara.

- Żebyś mogła dzierżyć Księżycowe Ostrze.

Halisstra położyła dłoń na rękojeści miecza, który mógł zabić boginię.

- Wahałam się, ale mam nadzieję, że nie za długo.

- Ona obudziła się, albo zmartwychwstała - ostrzegła Feliane. - Będzie walczyć.

Halisstra zastanowiła się nad tym. Próbowała wyobrazić sobie, jak walczy z Lolth, ale za nic nie potrafiła.

- Podążymy za duszami do Lolth - oznajmiła Halisstra, wyruszając, jeszcze zanim skończyła mówić.

Feliane i Uluyara poszły w jej ślady.

- Nie - wymamrotał Pharaun - tędy...?

Skręcił w lewo, gdy korytarz rozwidlił się. Zdażył już rzucić kilka zaklęć wieszczących i robił co mógł, żeby iść we wskazanym przez nie kierunku.

- Żadne z twoich zaklęć nie działa, co? - zapytała Quenthel.

Pharaun nie zaszczylił jej spojrzeniem, tylko szedł dalej korytarzem w nadziei, że trafią na coś, co naprowadzi ich na właściwy trop.

- Otrzymuję... sprzeczne informacje - odburknął ale przy najmniej coś robię. Mówiłaś, że już tu kiedyś byłaś - dlaczego ty nie zaprowadzisz nas prosto do niej?

Quenthel nie odpowiedziała, a spojrzenia, które wymienili, oznaczały zgodę na zaprzestanie słownych utarczek.

- Im dalej w głąb pajęczej fortecy wchodzimy, tym dziwniejsze staje się nasze otoczenie - zauważyła Danifae. - Kiedy tu weszliśmy, nigdzie nie było kątów prostych, a teraz są. Mam wrażenie, że pojawiły się w chwili, w której przyzwyczaiłam się do ich nieobecności. Mimo to nadal nie natrafiliśmy na nic żywego, nie zaatakował nas nawet jeden strażnik, i praktycznie rzecz biorąc nikt i nic nas nie zatrzymuje. Co to oznacza?

- Że Lolth chciała, żebyśmy się tu znaleźli - odpowiedziała Quenthel, rzucając Danifae pogardliwe spojrzenie.

Pharaun i Valas wymienili spojrzenia mówiące, że doszli do zupełnie innych wniosków.

Czarodziej zatrzymał się w części korytarza, która miała ponad dwadzieścia stóp szerokości. Strop był tu niski, mrok przyjemnie gęsty, a zapach zgnilizny nie aż tak obezwładniający jak przez większość wędrowki. Rzucił kolejny czar i skupił się, szukając oznak życia. Wyczuwał martwe punkty, których jego magia nie była w stanie przeniknąć - zapewne ściany wyłożone ołowiem albo jakąś inną wyjątkowo gęstą substancją. Mimo to, na samej granicy percepcji, Pharaun wyczuwał oznaki życia.

- Słaby odbiór - wyszeptał pod nosem - ale jest.

- Co takiego? - zapytała Quenthel. - Co tam jest?

Czarodziej otworzył oczy i uśmiechnął się do Quenthel.

- A jednak oprócz nas jest tu coś żywego - oznajmił - ale sygnał jest dziwny -rozproszony i odległy, jak gdyby ta istota była albo bardzo daleko, ledwie żywa, spowita magią, która osłania ją przed wieszczęciem albo zachodziła dowolna kombinacja tych trzech możliwości. Nie potrafię... mistrzyni?

Quenthel upadła na kolana i Pharaun cofnął się instynktownie. Powietrze było naładowane i mistrz Sorcere poczuł mrowienie skóry, ale to, co się działo, miało znacznie większy wpływ na obie elfki.

Quenthel oparła się na rękach i brakowało ledwie kilku cali, by wyrznęła twarzą w zimną, przerdzewiałą stal zrujnowanej

pajęcej fortecy. Jej mięśniami targały skurcze i spazmy, a twarz wykrzywił grymas albo potwornego bólu, albo dzikiej rozkoszy - Pharaun nie był tego pewien.

Danifae też runęła na ziemię, ale na wznak. Jej plecy wygięły się w łuk i wkrótce dotykała ziemi tylko czubkiem głowy i koniuszkami palców stóp. Pharaun nie potrafił nie zachwycać się łukiem jej ciała, mimo że szpeciły je drobne obrażenia - ranki, otarcia, obrzęki i siniaki - których doznała po drodze. Pharaun nie miał pewności czy nie widzi tylko tego, co chce zobaczyć, ale wydawało mu się, że na jej twarzy maluje się wszechogarniająca rozkosz, całkowite fizyczne zapamiętanie.

Potem przysła kolej na Jeggreda. Draegloth upadł na jedno kolano, szukając na oślep ścian trzema rękami, które mu zostały i wydzierając nierówne szczeliny w stalowym przepierzeniu. Jego futro pokryło się brązowym pyłem, który przyłgnał do niego grudkami, przez co półdemon wyglądał tak, jak gdyby zarzewiał jak pajęcza forteca. Jeggred wrzasnął tak głośno, że Pharaun musiał zatkać uszy dłońmi.

Kiedy wrzask draeglotha przeszedł w dyszenie - rozpaczliwe próby złapania tchu - Pharaun popatrzył na Valasa. Zwiadowca nie zdradzał żadnych objawów napadu, a sam czarodziej też nie odczuwał przemożnej chęci tarzania się po ziemi.

- Cokolwiek to jest powiedział mag do zwiadowcy wy daje się dotykać tylko...

Najpierw myślał, że powie „kobiety”, a potem uświadomił sobie, że dotyka kapłanki i jedyną istotę spośród nich, która narodziła się w osobistym piekle Lolth.

Wszystko skończyło się równie gwałtownie, jak się zaczęło.

Jeggred, który jako ostatni padł ofiarą nagłego ataku, pierwszy wstał i zaczął się otrząpywać. Wyraz jego twarzy - zwykle trudny do odczytania - nie zdradził Pharaunowi nic.

- Co się stało? - zapytał czarodziej, ale draegloth go zignorował. - Jeggred?

Quenthel usiadła na piętach i podniosła ręce do twarzy. Przyglądała się pokrytym rdzą dłoniom, jak gdyby czegoś szukała.

Danifae dochodziła do siebie dłużej - zwinęła się w pozycję embrionalną na przeżartej rdzą stalowej podłodze, wydając z siebie dźwięki, które Pharaun wziął początkowo za płacz.

- Mistrzynie? - zapytał Valas, pochylając się, żeby znaleźć się na poziomie oczu Quenthel, ale nie podszedł bliżej niż na kilka kroków.

Quenthel nie odezwała się, nie dała żadnego znaku, że w ogóle usłyszała Valasa. Pharaun nie pytał już, co się stało. Zaczynał rozumieć, czego był świadkiem.

Quenthel zaczęła mówić.

Najpierw poruszała ustami w niemej pantomimie, potem szeptała na granicy słyszenia, a potem zaintonowała litanię w starożytnym języku, którego nawet Pharaun nie rozpoznawał.

Recytowała ją przez minutę, a potem urwała. Pharaun nie odrywał od niej wzroku, patrząc, jak wszystkie rany i siniaki, zadrapania i otarcia goją się, a jej skóra staje się idealnie czarna. Wydawało się nawet, że odzyskała trochę na wadze. Jej włosy wydawały się czystsze, bardziej miękkie, i nawet jej *piwafwi* i pancerz lśniły jak nowe.

Quenthel Baenre wstała i spojrzała na Danifae, która rozprostowała członki i usiadła plecami do ściany, z uśmiechem szepcząc modlitwę, za sprawą której jej rany zasklepiły się, siniaki zniknęły, a w wielkich, pełnych ekspresji oczach znów pojawiły się iskierki. Po jednym z jej czarnych jak heban policzków pocięła łza, ale była branka nie zadała sobie trudu, by ją otrzeć.

Jednym płynnym, pełnym gracji ruchem Danifae wstała, uśmiechając się od ucha do ucha i błyskając w mroku idealnie równymi białymi zębami. Pharaun mimowolnie odwzajemnił jej uśmiech. Jeggred zerwał się na równe nogi, ale zaraz osunął się na kolana przed Danifae i Quenthel. Draegloth oddychał ciężko.

- Są żywe i są tutaj - wyszeptala Quenthel. Popatrzyła na Pharauna i powiedziała wyraźniej: - Są za murami, które osłaniają je przed twoimi zaklęciami, poza tym mają osłony przed większością zaklęć wieszczących, ale są tutaj.

- Kto? - zapytał Valas.

- Ja też je wyczuwam - powiedziała Danifae. Położyła dłoń na zmierzwionej grzywie Jeggreda i wygładziła ją z roztargnieniem. - Myślę, że potrafiłabym je znaleźć. Myślę, że czekają na nas.

- Zaczekajcie - powiedział Pharaun, podchodząc do Danifae, ale zatrzymał go dziki pomruk Jeggreda. Młoda kapłanka poklepała półdemoną po głowie i Jeggred uspokoił się szybko. - Czy to, co myślę, rzeczywiście się wydarzyło? Czy ona...?

- Lolth powróciła do nas - oświadczyła Quenthel.

- Wróciła - zgodziła się Danifae.

Wygładała, jak gdyby chciała powiedzieć coś więcej.

- To wszystko? — zapytał Pharaun. - Tylko tyle? Czy nasza podróż dobiegła końca?

- Mistrzynie? - zapytał Jeggred, patrząc Danifae prosto w oczy. - Co powiedział głos? Nie mogłem... byłem zbyt daleko...

Danifae przeczesała palcami jego sierści i powiedziała:

- Głos powiedział...

- *Yor 'thae* - dokończyła za nią Quenthel.

- *Yor 'thae...* - wyszeptala Danifae.

- Wysoki drowi? - zapytał Valas, poprawnie identyfikując język.

- To znaczy „wybranka” - wyjaśnił Pharaun.

— Wybranka - wyszeptala Quenthel, potrząsając głową. W tej samej chwili Danifae powiedziała bezgłośnie: *Yor 'thae*.

Quenthel wzrokiem ściągnęła na siebie uwagę Pharauna.

- To jeszcze nie koniec naszej podróży, mistrzu Sorcere. Lolth nie dość że wróciła, to poprosiła, abym do niej przyszła, popro-

siłą, bym stała się jej wybranym naczyniem. To dlatego tyle lat temu zwróciła mi życie. To dlatego wyrwała mnie z Otchłani i odesłała do Menzoberranzan. Miałam tu przybyć i być jej... jej *Yor 'thae*.

Głęboko w sercu pierwszego domu, w komnacie chronionej przed wszystkim, przed czym warto było chronić komnatę, Triel Baenre patrzyła, jak jej brat walczy o życie Menzoberranzan.

Przegrywał.

Widziała, co się dzieje na Bazarze, śledziła każdy szczegół pojedynku przez magiczne zwierciadło, kryształową kulę, sadzawkę jasnowidzenia i kilka innych rekwizytów, których większość stworzył sam Gromph. Chodziła tam i z powrotem po wypolerowanej marmurowej posadzce, oglądając po kolei w każdym z nich, za każdym razem z innej perspektywy, jak odmieniony liczdrow masakruje serce jej miasta.

W kącie komnaty, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, stała Wilara, wodząc wzrokiem od jednego magicznego przedmiotu do drugiego i bębniąc palcami po ramieniu z ukrywana z trudem frustracją.

- Arcymag zwycięży, matko opiekunko - zapewniła Wilara nie po raz pierwszy tego dnia.

- Doprawdy? - zapytała Triel.

Po raz pierwszy odpowiedziała na jedno z czczych zapewnień Wilary i zaskoczyło to towarzyszącą jej kapłankę.

- Oczywiście - odparła Wilara.

Triel czekała na coś więcej, ale było jasne, że Wilara nie ma nic więcej do powiedzenia.

- Nie jestem wcale pewna czy uda nam się wygrać tę walkę - powiedziała Triel, tyleż do Wilary, co do siebie. - Jeśli wszyscy zostaliśmy poddani próbie, a to jest próba Grompha, przejdź-

dzie japo-myślnie lub przegra bez niczyjzego wsparcia. Jeśli przegra, zasługuje na śmierć.

- Nie możemy nic zrobić, żeby mu pomóc? — zapytała Wilara.

Triel wzruszyła ramionami.

- Są żołnierze i inni magowie - dodała młodsza kapłanka.

- Którzy są nam potrzebni gdzie indziej. Duergarowie wciąż napierają, nawet jeśli tanarukowie się wycofują- stwierdziła Triel. - Oblężenie Agrach Dyrrow wciąż trwa... ale owszem, zawsze znajdują się jacyś żołnierze, jacyś magowie, mamy też Bregan D'aerthe i innych najemników. Jeśli liczy zabije Grompha, na pewno nie pozwolę mu trutować reszty Menzoberranzan, zmieniać naszych mieszkańców w kamień i rozwalać budynki.

- Dlaczego nie posłać tych sił teraz?

Triel znów wzruszyła ramionami i zastanowiła się nad tym.

- Nie wiem - odparła w końcu. - Może czekam na znak od...

Wróciła.

Triel padła na podłogę. Jej ciało zwiotczało, zakręciło jej się w głowie, a jej umysł eksplodował kakofonią dźwięku i cienia, głosów i krzyków. Oczy zasły jej łzami, także ledwo widziała Wilarę, której zwiotczałe ciało leżało, drgając, po drugiej stronie komnaty.

Matka opiekunka domu Baenre przeżywała jednocześnie wszystkie uczucia, jakich kiedykolwiek zaznała, najostrej i najintensywniej w swoim życiu. Nienawidziła i kochała, bała się i uwielbiała, śmiała i płakała. Ogarniała bezkresny przestwór nieskończonego multiwersum i widziała każdy szczegół cała kwadratowej marmurowej posadzki tuż przed swoim nosem. Była w swojej komnacie jasnowidzenia i w Pajęczych Otchłaniach, w łonie matki i na płonącym Bazarze, w najgłębszym Podmroku i leciała przez rozpalone niebo Świata Ponad.

Wzięła głęboki oddech i uczucia opadły z niej jedno po drugim warstwami oszołomienia i szaleństwa. Fragmenty jej urny-

slu, a potem części ciała, zaczęły znów funkcjonować. Trwało to kilka minut lub kilka lat - Triel nie była pewna, jak długo -zanim uświadomiła sobie, co się stało i oswoiła się z doznaniem, które było jej tak dobrze znane przez całe życie, potem zniknęło, a teraz powróciło.

Loth.

To była kapryśna łaska Królowej Pajęczych Otchłani.

Triel nie próbowała od razu wstawać, ale leżała wyciągnięta, pławiąc się w przypływie mocy, rozkoszując się powrotem Loth.

Gromph znał tyle sposobów zabicia przeciwnika, że zdążył zapomnieć ich więcej, niż dane było poznać większości dro-wów. Istniały zaklęcia zabijające dotykiem, słowem, myślą i Gromph szukał w pamięci tego właściwego, uciekając przed ogarniętym niszczycielskim szalem gigantem, jednocześnie starając się zatrzymać go na Bazarze.

Na czole nosił szafir w kształcie czaszki, który dawał mu jeszcze większy wybór i chronił przed negatywną energią - taką jak osłabiający oddech Nimora. W pamięci przechowywał kilka innych i w końcu, za podpowiedzią Nauzhrora i kręgu nekro-mantów zebranych w Sorcere, zdecydował się na jedno zaklęcie. Arcymag zebrał w sobie energię Splotu i przygotował w myślach słowa i gesty inkantacji. Ale aby rzucić zaklęcie — a było ono naprawdę potężne — arcymag musiał się zatrzymać.

Nie po raz pierwszy walka z Dyrrem stawała się rozgrywką na czas. Czy zdąży rzucić zaklęcie, zanim gigant przetoczy się po nim?

Możemy pomóc ci wybrać właściwy moment, powiedział Na-uzhror.

Wiem, odparł Gromph, ale zawsze są jeszcze inne... zmienne.

Arcymag stanął, odwrócił się i zaczął rzucać zaklęcie.

Gigant popatrzył na Grompha, zalewając go światłem swoich szaleńczo błękitnych oczu. Gromph był pewien, że ma czas. Ożywione, skamieniałe drzewy były za daleko i poruszały się zbyt wolno, żeby się nimi przejmował, a gigant machał na oślep ogonem, jak gdyby Dyrri nie panował w pełni nad swoim nowym ciałem. Gromph wierzył w to.

Był w błędzie.

Na kilka wyrazów przed ukończeniem zaklęcia ogromny czarny ogon kamiennego giganta uderzył w Grompha. Arcymag poczuł, jak słowa więzną mu w gardle, członki sztywnieją, a potem nic już nie czuł.

Triel stała i wodziła wzrokiem od jednego magicznego przedmiotu do drugiego, starając się zrozumieć, co słyszy. Magicznie przekazywane głosy setki magów, kapłanek i wojowników wypełniały powietrze bezładną płataniną oszołomienia i nieskrywanej radości. Drzwi komnaty rozwarły się na oścież i do środka wpadła kapłanka, którą Triel rozpoznawała, ale której imienia nie mogła sobie w tej chwili przypomnieć. Po jej czarnych policzkach ciekły łzy, a usta poruszały się w nieskładnej próbie wypowiedzenia tego, co doświadczyły Triel, Wilara i każda inna służka Królowej Pajęczych Otchłani w całym bezkresnym przestworze multiwersum.

Uwaga matki opiekunki skupiła się na jednym obrazie: widoku skamieniałego Grompha.

Przegrał. Licz, w swej obmierzłej potwornej postaci obrócił arcymaga Menzoberranzan w kamień.

Triel poczuła, że zaciska zęby i stała tak przez chwilę, poddając się wściekłości.

- Czy to znak? - zapytała Pajęczą Królową.

Lolth nie odpowiadała, ale Triel wiedziała, że mogłaby odpowiedzieć, gdyby tylko chciała.

- To znak - wyszeptała matka opiekunka.

Triel zetknęła dłonie koniuszkami palców, pochyliła głowę w lekkim ukłonie i siłą woli przeniosła się na Bazar. Przez chwilę miała wrażenie, że wisi do góry nogami w stanie nieważkości, później otoczyła ją czarna próżnia, a potem stała w głębokiej rozpadlinie w kamiennym podłożu miejskiego targowiska. Czarny kamienny gigant stanął nadniadęba, wyraźnie wyczuwając, w jaki sposób przeniosła się z domu Baenre na Bazar. Stwór otworzył usta do ryku, ale Triel wypowiedziała kilka słów i olbrzym zastygł. Wielki, bijący o ziemię ogon zatrzymał się raptownie. Zupełnie jak gdyby czas na chwilę stanął. Wokół kapłanki wciąż dymiły resztki kramów, a ożywione kamienne drowy brnęły przed siebie.

- To wszystko trwająz zbyt długo, liczu — powiedziała Triel.

- Nie pozwolę już na mordowanie drowów, pustoszenie mojego miasta, ani kwestionowanie władzy mojej ani Lolth.

Triel wątpiła, że liczdrow ją rozumie. Wydawało się, że został pochłonięty przez swoją nową postać, ale powiedziała to do wszystkich, którzy jej słuchali: w domu Baenre, Arach-Tinilith, Sorcere, a może nawet poza miastem w namiotach dowóztwa jej wrogów.

Przyzywała samą Lolth, błagając odzyskaną boginię o jej najpotężniejszy czar, prosząc o nie mniej niż cud.

Lolth nie odpowiedziała drowim głosem tak jak w przeszłości. Nie było słów, tylko uczucia, przyływ mocy, dudnienie krwi w uszach matki opiekunki.

Triel osunęła się na kolana wśród twardego żwiru i odłamków szkła i przytknęła czoło do chłodnej ziemi. Nie wyrażała swoich pragnień słowami. Nie musiała. Wyzwalała falę emocji, uczuć, czystego strachu.

Bojaźń Lolth wybuchła we wszystkich kierunkach naraz, rozszerzającym się kręgiem strachu, którego środek stanowiła Triel.

Wszędzie w całym Mieście Pająków drowy przerywały wykonywane czynności i padały na kolana albo plackiem na ziemię. Niektóre opierały się o ściany albo przewracały się na schodach, ale wszystkie odczuwały najczystszy strach, lęk przed boginią, wiecznością, lęk przed chaosem, ciemnością, lęk przed nieznanym, przed pewnym, przed zdradą i tysiąc innych lęków, które sprawiły, że miasto znieruchomiało.

Czarny kamienny gigant zadygotał i rozpadł się. Triel, wciąż klęcząc pod nim, nie uchylała się przed spadającymi czarnymi głazami, fragmentami kolosalnego konstruktów, które zniknęły, nim dotknęły ziemi. W ciągu kilku sekund wszystkim, co zostało z niszczycielskiego stwora był liczdrow, oszołomiony, zataczający się, wreszcie klęczący na pękającej ziemi targowiska kilka kroków przed matką opiekunką. Ożywione posągi przestały się poruszać i zastygły tam, gdzie stały.

Fala strachu przesuwiała się dalej, poza ściany pieczary Men-zoberranzan i przez zatłoczone korytarze Podmroku. Przetoczyła się przez linie duergarów, przegoniła wycofujących się tana-rukków i zaskoczyła niemiło rozproszonych illithidów wysłanych na przespziegi. Miała na nich różny wpływ, ale miała wpływ na wszystkich. Nim skończyła - a nie trwało to długo - nikt nie miał już żadnych wątpliwości, że Lolth wróciła.

Triel wstała i oceniła straty. Popatrzyła na klęczącego Dyr-ra i wiedziała, że mogłaby po prostu podejść do niego i zabić go samą myślą - a przynajmniej poderżnąć mu gardło sztyletem - ale nie zrobiła tego. Zabicie liczą należało do kogoś innego.

Matka opiekunka podeszła do sztywnej, skamieniałej postaci brata. Jego twarz zastygła w grymasie wściekłości. Triel uśmiechnęła się.

- Oj, Gromphie - powiedziała. - Jednak nie potrafię poradzić sobie sam, co? Twoja moc ma ograniczenia, podobnie jak moja, ale razem...

Triel objęła skamieniałą postać brata, oplatając go od tyłu ramionami i szepcząc modlitwę do Lolth.

Najpierw poczuła ciepło, potem miękkość, oddech i w końcu ruch, gdy pod Gromphem załamały się nogi. Triel podtrzymała go, a on objął ją w talii i położył jej głowę na ramieniu, krztusząc się i z trudem łapiąc powietrze. Kiedy odzyskał czucie w nogach, Triel puściła go i odsunęła się. Ich oczy spotkały się i Gromph otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

- Nie - powiedziała Triel, powstrzymując go. Zerknęła na dochodzącego do siebie szybko Dyrra i spojrzenie brata pobiegło za jej wzrokiem. - Skończ to, co zacząłeś.

Znów otworzył usta, ale Triel odwróciła się do niego plecami. Słyszała, jak jego stopy rozgarniają luźny żwir i szkło, i wiedziała, że staje twarzą w twarz z wrogiem.

Triel odeszła.

Pomiędzy arcymagiem a liczdrowem przepływały fale złości, nienawiści i wyczerpania. Mieli się już dosyć. Oboje chcieli już tylko doprowadzić to do końca. Stali kilkanaście kroków od siebie, mierząc się wzrokiem. Dyrr zaczął rzucać zaklęcie, a Gromph otoczył się kolejną sferą.

Gromph też zaczął rzucać zaklęcie, a liczdrow wciąż czarował. To musiała być jakaś skomplikowana inkantacja. Rzeczywiście zamierzał skończyć.

Zanim Gromph zdążył dokończyć swój czar mający po raz kolejny poparzyć liczdrowa, Dyrr wyszeptał coś, czego arcy-mag nie dosłyszał i jego zaklęcie odniosło spodziewany efekt. Szafir na czole Grompha rozpałił się do czerwoności. Arcy-mag sięgnął po niego, chcąc go zrzucić - ale czaszka rozsypała

się, zanim jej dotknął. Pył, który obsypał twarz arcymaga, był matowo szary i pozbawiony mocy. Koniec z osłonami, jakie mu dawał, i koniec z przechowywanymi w nim nekromancjami. Gromph wiedział, że do zniszczenia go potrzebny był czar-życzenie.

Jego własne zaklęcie zostało zniweczone, przywołał więc w myślach następne i zażartował:

- Wszyscy używają dziś wielkich zaklęć, nieprawdaż?

Licz zignorował żart i obaj zaczęli czarować w tej samej chwili. Tym razem pierwszy skończył arcymag: było to kolejne pomniejsze zaklęcie, które spowodowało wybuch tajemnego ognia. Nadnaturalne płomienie zaalały licza, który zasłonił twarz rękoma, lecz na próżno. Wyschnięte mięso Dyrra podpiekło się i zaczęło odchodzić od kości, licz zatoczył się z bólu.

Kiedy ogień się wypalił, licz skoczył naprzód, wytrzeszczając czerwone oczy, z twarzą wykrzywioną nienawiścią i cierpieniem. Gromph poczuł, że pomimo magicznego ognia Dyrz zdążył dokończyć zaklęcie.

Po ciele arcymaga rozlał się chłód, Gromph zadrżał - a miał już szczerze dość trzęsienia się, drżenia i dygotania - ale licz jeszcze z nim nie skończył. Czuł, jak powoli uchodzi z niego ciepło, samo życie. Zatoczył się do tyłu, z trudem utrzymując się na nogach.

- Wyszę cię do końca- warknął licz chrapliwym, ostrym głosem. - Zginiesz wraz ze mną, moim domem i moją sprawą.

Licz znów zaczął czarować i Gromph rozpoznał charakterystyczną kadencję i strukturę potężnej nekromancji. Gromph znał wiele sposobów zabijania, ale wiedział też, że Dyrz zapewne zna ich więcej.

Dłoń arcymaga zacisnęła się na lasce, jego ramię drgnęło. W piersi poczuł tępy ból i silny nacisk, a kiedy spróbował odechnąć, do płuc nie dotarło powietrze. Kolana wreszcie się pod nim ugięły i runął na ziemię. Gromph zmusił powietrze do prze-

dostania się do płuc, ale zdołał wciągnąć ledwie tchnienie. Na krańcach pola widzenia widział ciemne cienie, a w uszach słyszał ogłuszający ryk krwi, gdy ciało na próżno usiłowało utrzymać mózg przy życiu. Pierścień nie mógł mu s*ię na nic zdać. Licz nie ranił go, tylko zabijał jego duszę.

Gromph spróbował coś powiedzieć, wymówić słowa zaklęcia, które mogło go ocalić, ale nie był w stanie. Dyrz zbliżył się i stanął nad nim. Gromph ledwo zdołał obrócić głowę, żeby popatrzeć na triumfującego licza. Arcymag dysponował innymi środkami umożliwiającymi ucieczkę, ale nie mógł się zmusić do aktywacji któregokolwiek z nich. Czuł, że Prath i Nauzhror usiłują odezwać się w jego umyśle, ale ich słowa nie docierały do niego. Gromph obawiał się, że jego ciało jest już martwe.

Zacisnął dłoń na lasce i jego ramię znów drgnęło - laska.

Gromph wykorzystał resztki woli, jaką jeszcze w sobie miał, żeby podciągnąć pod siebie drugą rękę. Poczul, jak jej palce obejmują laskę.

- Walcz, Gromphie - warknął licz. Cierp, zanim skonasz.

- Arogancki... - wyrzucił Gromph, zaskoczony, że jest jeszcze w stanie mówić, nawet jeśli było to tylko jedno słowo.

- Co to miało być? - zapytał licz, drażniąc się z nim. Ostatnie słowa Grompha Baenre?

- Nie...-wysapał arcymag.

Gromph napiął ramiona, zaciskając w dłoniach laskę mocy - przedmiot tak cenny, że setki poległy, żeby osiąść ją choć na jeden dzień.

- ...zupełnie - dokończył Gromph i złamał laskę.

Starożytne drewno pękło bardziej pod wpływem woli Grompha niż siły jego ramion i dłoni. Laska pękła, ponieważ Gromph tego chciał.

Dyrz zdążył zaczerpnąć powietrza, Gromph zdążył się uśmiechnąć, a potem świat wokół nich zmienił się w oszalałe piekło ognia, żaru, bólu i śmierci. Gromph nie widział, jak licz rozpada

się na kawalki. Był zbyt zajęty martwieniem się czy to samo nie spotkało jego samego. Zamknął oczy, ale światło wciąż je paliło. Czuł, jak mięso odchodzi mu od kości, skwierczy i usycha.

Wszystko skończyło się równie szybko, jak zaczęło.

Gromph Baenre wziął głęboki oddech i roześmiał się pomimo wstrząsających nim fal dojmującego bólu. Pierścień zaczął przywracać go do życia komórka po komórce, a on leżał, czekając.

- Udało ci się - powiedział Nauzhror i dopiero po kilku uderzeniach serca Gromph zdał sobie sprawę, że usłyszał głos mistrza Sorcere w uszach, a nie w głowie. - Liczdrow jest martwy.

Gromph kaszlnął i podciągnął się do pozycji siedzącej. Nauzhror ukucnął obok niego. Korpulentny czarodziej zaczął oglądać rany arcy maga.

- Martwy? - powtórzył Gromph i znów kaszlnął.

- Cena była wysoka i nie mówię tylko o lasce mocy rzekł Nauzhror- ale został całkowicie unicestwiony.

Gromph potrząsnął głową, rozczarowany Nauzhrorem. Fizyczna postać liczą rozpadła się w drobny mak, kiedy laska uwolniła całą swoją moc w jednym ostatecznym wybuchu, ale licz był czymś więcej niż ciałem.

- Martwy? - powiedział arcy mag. - Jeszcze nie.

Nimor Imphraezl wyłonił się ze Skraju w ruinach Ched Nasad. Wysoko nad nim, przyczepiony do szczytków skamieniałej ulicy, usadowił się ogromny cienisty smok, pradawny żmij wspaniały trwoga, jaką budził w każdym, kto na niego spojrział.

Był to smok, którego Nimor natychmiast rozpoznał. Był to smok, z którym Nimor przybył się zobaczyć.

Rozpościerając własne obolałe, zmęczone, poranione skrzydła - skrzydła wyglądające mizernie w porównaniu ze skrzydłami wielkiego żmija- Nimor oderwał się od pokrytego gru-

zem dna jaskini i wzbił w powietrze. Jeśli smoczyśko go zauważyło, nie dało po sobie nic poznać. Dalej kierowało oczyszczaniem zgłiszcz z gruzu i przygotowaniami do odbudowy Ched Nasad. Było to ogromne zadanie, nawet dla smoka.

Nimor powoli i z szacunkiem wylądował na sąsiedniej ulicy i pochylił się w ukłonie, czekając, aż smok zauważy jego obecność. Był wciąż pochylony, gdy ogromny żmij skurczył się do postaci sędziwego drowa, łysiejącego już, ale nadal muskularnego, odzianego w cienkie jedwabie i płótna ze wszystkich zakątków Świata Ponad, których szwy były równie czarne jak serce skrytobójcy.

- Wyprostuj się - powiedział przeobrażony smok - i spójrz na mnie.

Nimor wyprostował się, popatrzył smokowi przedzierzgniętemu w drowa prosto w oczy i powiedział:

- Jestem mniej niż zadowolony z efektów mojej działalności w Menzoberranzan, czcigodny dziadzie.

Smok-drow wytrzymał jego spojrzenie, dopóki Nimor sam nie odwrócił wzroku. Skrytobójca usłyszał zbliżające się kroki, ale nie odwrócił się, żeby popatrzeć. Nimor wiedział, kto nadchodzi.

- Nimorze - powiedział ktoś. - Witaj w Ched Nasad.

Nimor udał, że rozgląda się po dymiących wciąż zgłiszczach.

- Oczywiście - odezwał się właściciel drugiej pary kroków - będzie wyglądało zupełnie inaczej, kiedy skończymy.

- Wyraźnie pamiętam twoją obietnicę - rzekł przeobrażony smok. - A ty?

- Oczywiście, czcigodny dziadzie — odparł Nimor, trzymając głowę wysoko i nic okazując żadnych zewnętrznych oznak słabości.

Dziad opiekun Mauzzkyl wciągnął powietrze przez nos, a potem powiedział powoli:

- Obiecałeś oczyścić Menzoberranzan ze smrodu Lolth. Czy zrobiłeś to? Czy dlatego tu jesteś?

Nimor nie kiwnął głową, ani nie westchnął - nie zrobił nic, co mogłoby świadczyć o jego winie. Dwaj ojcowie opiekunowie, którzy podeszli do niego z tyłu, minęli go i stanęli po obu stronach majestatycznego smoka.

- Nie - odpowiedział Nimor.

- Przybyłem z Miasta Smoczycy Cieni - ciągnął dziad opiekun - aby pomóc ojcu opiekunowi Zammztowi w odbudowie Ched Nasad. Czy po to przybyłeś z Menzoberranzan? Aby pomóc nam w porządkach?

- Nie, czcigodny opiekunie — odparł Nimor.

- Opowiedz swoją historię ojcu opiekunowi Tomphaelowi i ojcu opiekunowi Zammztowi - rozkazał Mauzzkyl zimnym głosem nieznośnym sprzeciwu.

Nimor zamknął oczy.

- Odpowiadam tylko...

- Tomphaelowi - przerwał mu Mauzzkyl. - Od dziś będziesz zwracał się do mnie przez Tomphaela, dopóki nie rozkażę inaczej.

Nimor nie miał czasu się spierać, ale była to ostatnia rzecz, jaką zamierzał zrobić. Patrzył, wstrzymując oddech, jak dziad Muazkyl odwraca się i znów zamienia w smoka. Wielki żmij zeskoczył z krawędzi potrzaskanej pajęczej ulicy i zniknął w mroku zrujnowanego miasta.

- Powiedz, jakie wieści przynosisz - odezwał się ojciec opiekun Tomphael.

Nimor spojrzał mu w twarz, ale nie dostrzegł w niej gniewu, litości ani pogardy. Nimor stracił uprzywilejowaną pozycję w szeregach Jaered Chaulssin jak gdyby nigdy nic.

- Coś się zmieniło - powiedział Nimor.

- Lolth wróciła - dokończył Tomphael.

Nimor kiwnął głową.

- Albo niedługo powróci. Bardzo niedługo. Liczdowni przegrał i sytuacja Menzoberranzan uległa zmianie. Myślałem, że będziemy mieć więcej czasu.

- Dyrr nie żyje? - zapytał Tomphael.

Nimor kiwnął głową.

- A kambion?

- Żyje - odparł Nimor - ale już się wycofuje. Miał swoją wysłanniczkę w Otchłani, która zdała bardzo dziwny raport. Wciąż nie wiem, co się przytrafiło Pajęczej Bogini, gdzie była, ani dlaczego zamilkła, ale zdołała wydzwignąć Pajęcze Otchłani z Otchłani.

Tomphael uniósł brew i wymienili z Zammztem spojrzenia.

- A więc - powiedział Tomphael - twoi tanurukowie cię opuścili. Co z duergarami?

- Horgar wciąż żyje, a kiedy się rozstawiliśmy, nadal walczył - odrzekł Nimor. - Jednak odkad kapłanki odzyskały zdolność komunikowania się ze swoją boginią, a tanarukowie wy-maszerowali do domu, krasnoludy nie mają szans.

- Menzoberranzan - rzekł Zammzt — to najcenniejszy łup. Zawsze było najtrudniejsze do zdobycia. W innych miastach odnieśliśmy sukcesy. Królowej Pajęczych Otchłani nie było wystarczająco długo.

- Doprawdy? - zapytał Nimor.

- Rozejrzyj się - odparł Zammzt. - Kiedyś było to kupieckie miasto drowów, otwarcie posłuszne kapłankom. Teraz to czysta karta, która właśnie zostaje zapisana.

- Inni ojcowie opiekunowie i ja - powiedział Tomphael -pod fachowym kierownictwem ojca opiekuna Zammzta skoncentrują swoją energię właśnie tutaj.

- Tak jak to zawsze miałeś w planach'? - podsumował Nimor.

Tomphael westchnął.

- Wiem, że zawsze uważałeś mnie za tchórzeza, Nimorze, ale myliłeś się. Tylko głupiec nie odróżnia tchórzostwa od pragmatyzmu.

- Tylko młodzi przedkładają chwałę nad sukces - dodał Zammzt.

- Mogłem zdobyć Menzoberranzan - upierał się Nimor.
 - Może gdyby ci się udało - rzekł Tomphael - ta rozmowa miałaby zupełnie inny przebieg. Miałeś okazję nas zaskoczyć, Nimorze. Właśnie to ci się nie udało - zaskoczyć nas. Nasze plany nigdy nie były uzależnione od tego czy uda ci się podać nam Miasto Pająków jak na tacy, ani nie zakładały, że Lolth nigdy nie powróci. Mieliśmy tę jedną jedyną okazję i zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Będą jeszcze inne okazje.
 - Inne okazje... -powtórzył Nimor, przeciągając słowa.
 - Możesz znów być Namaszczoneym Ostrzem - rzekł Tomphael.
- Nimor kiwnął głową i ukłonił się.
- Powrócę do Miasta Smoczych Cieni... za twoim przyzwoleniem, ojczyźnie opiekunie.
- Tomphael skinął głową, a Nimor obrócił się i wkroczył w Cień.

Pharaun nie czuł się równie dobrze już od tak dawna, że prawie zapomniał, co to znaczy być zdrowym. Kapłanki, rozkoszując się odzyskaną zdolnością rzucania czarów, prawie bez przerwy skandowały zaklęcia uzdrawiające. Wyczarowały ucztę i czystą, chłodną wodę. Uleczyły każdą ranę i ukoiły zbolełe mięśnie.

Przeciągając się i czując się zbyt dobrze, żeby zawracać sobie głowę Zadumą, Pharaun stał i przyglądał się, jak Quenthel i Danifae zajmują się Jeggredem. Znów pracowały razem, pewnie dlatego, że nie potrafiły powstrzymać się od używania zaklęć, których tak długo im odmawiano. Gdy tak siedziały ze skrzyżowanymi nogami po obu stronach zdenerwowanego, leżącego na ziemi Jeggreda, Pharaun dostrzegł przebliski dawnej fizycznej bliskości, jaka nie tak dawno połączyła obie kapłanki. Przypadkowy dotyk zmieniający się w przedłużoną

pieszczotę, krzyżujące się spojrzenia spod ciężkich powiek nad zmierzwioną grzywą draeglotha, język oblizujący rozchylone wargi, gdy słowa skomplikowanych zaklęć nadwreżyły nawet ich odświeżone zaklęciami gardła.

W rezultacie Jeggredowi odrosła odcięta łapa. Pharaunowi widok kończyny odrastającej powoli z końca martwego kikuta wydał się nawet bardziej fascynujący niż wymiana spojrzeń między kapłankami. Łapa odrastała warstwami: kości, ścięgna, mięśnie, naczynia krwionośne, skóra, futro, szpony.

Kiedy skończyły, draegloth drżąc, wstał z rozdziawionym pyskiem zginając i rozprostowując łapę.

Obie kapłanki wstały razem z nim, odsuwając się od siebie, a w ich spojrzenia znów wkraśl się chłód.

Jeggred najpierw spojrział na Danifae i powiedział:

- Dziękuję, mistrzyni. - A potem do Oucnthel: Mistrzyni Ouenthel...

Twarz wysokiej kapłanki wykrzywiła wściekłość. Odwróciła się od siostrzeńca, zbierając pośpiesznie swoje rzeczy.

- Zbyt długo tarzaliśmy się po ziemi - powiedziała, ruszając żwawo korytarzem. - Tędy.

Danifae skinęła na Pharauna i czarodziej chętnie ruszył za Quenthel. Valas szedł za czarodziejem, a Danifae i draegloth zamykali pochód. Każda odległość, każdy bufor między kapłankami był dobry i Pharaun cieszył się, że może nim być, dopóki idą. Mistrz Sorcere umierał z ciekawości.

Quenthel prowadziła pewnym krokiem i z taką stanowczością, że żadne z pozostałych nie spierało się z nią, ani nie zgłaszało wątpliwości. Skręcali z korytarza w korytarz, przechodząc przez komnaty, a czasem drzwi, które Jeggred musiał forsować brutalną siłą. Wnętrze pajęczej fortecy pozostawało tak samo zimne, mroczne, martwe i przeżarte rdzą. Choć obie kapłanki bezsprzecznie odzyskały moc, którą obdarowywała je Lolth, konstrukt był nadal martwy, a Pharaun nie mógł się oprzeć wra-

zeniu, że skądkolwiek pochodzi moc, nie jest to sześćdziesiąty szósty poziom Otchłani.

Kiedy zobaczyli światło na końcu jednego z korytarzy, zatrzymali się i przyglęli do ścian, kryjąc się w cieniu. Powtarzając w myślach czary, którymi wciąż dysponował i zamykając palce na różdżce strzelającej błyskawicami, mistrz Sorcere omiół wzrokiem resztę towarzyszy. Quenthel i Danifae patrzyły przed siebie z nadzieją i podnieceniem. Jeggred w ten sam sposób patrzył na Danifae. Valasa jak zwykle nigdzie nie było widać.

- Co to takiego? - zapytał Jeggred, najciszej jak potrafił.

-Portal odgadł Pharaun.

- To tam mamy się udać - oznajmiła Quenthel.

- Mistrzynie ma rację — potwierdziła Danifae.

- W takim razie - stwierdził Pharaun - powinniśmy ruszać.

Czy mamy spodziewać się walki?

Quenthel odsunęła się od ściany i ruszyła szybkim krokiem w stronę dziwnego fioletowego blasku, znów wysoka i wyprostowana.

Pharaun wzruszył ramionami i poszedł w jej ślady z różdżką w jednej dłoni i listą zaklęć na ustach. Koniec końców, wysoka kapłanka nie odpowiedziała na jego pytanie.

Gdy dochodzili do końca korytarza instynkt podpowiadał Pharaunowi, żeby zbliżyć się wolniej, ostrożniej, ale przyzwyczaił się też do podążania za najwyższą rangą kapłanką, więc wszedł za Ouenthel do komnaty na końcu tunelu z wahaniem, ale pewnym krokiem.

Korytarz otwierał się na wielką, okrągłą komnatę o wysokim sklepieniu i ścianach z takiej samej przerdzewiałej stali jak reszta pajęczej fortecy. Na środku pustego pomieszczenia zobaczyli koło, które wyglądało na zespawane z poszarpanych, skorodowanych odłamków konstruktów. Krąg opierał się jedną stroną o ziemię i miał około osiemnastu stóp średnicy. Wnętrze kręgu wypełniało matowe fioletowe światło, kłębiące się i za-

lamujące do wewnątrz, jak gdyby pochodziło z uwięzionego w kole świecącego obłoku.

Pharaun usłyszał kroki i wyciągnął z fałd *piwafwi* różdżkę.

- Różdżka nie będzie ci tu potrzebna, magu - rozległ się głos.

Gdy pozostali wchodzili do komnaty, Pharaun rozejrzał się za źródłem głosu. Wyczuł postać przyczajoną w wyjątkowo mrocznym kącie.

- Tam - wyszeptał do Quenthel. - Widzisz?

Quenthel kiwnęła głową.

- Nie rzucajcie żadnych zaklęć, nie zbliżajcie się do tego czegoś, chyba że rozkażę. Zrozumiano?

- Oczywiście, mistrzyni - odparł Pharaun, ale pozostali milczeli.

- Pytałam - powtórzyła wysoka kapłanka - czy zrozumiano?

Danifac i Jeggred kiwnęli głowami, a Pharaun powtórzył:

- Oczywiście, mistrzyni. Czy możesz mi przynajmniej powiedzieć, co to jest?

- Wolę, kiedy mówi się o mnie „ona” - rzekł głos - gdyż jestem kobietą.

Postać wyszła z najgłębszego cienia i wkroczyła pewnie w fioletowe światło aktywnego, ale niedostrojonego portalu. Jej widok sprawił, że Pharaunowi zapało dech w piersi.

Postać drowki znajdowała się dobre dziesięć stóp nad ziemią. Była idealnie kształtna i naga, a jej ciało bardziej przypominało budowę krągłości Danifae niż dobrze zbudowaną sylwetkę Oucnthel. Nieznajoma błędziła dłońmi po całym ciele, nie omijając żadnych jego części, obdarzając się długimi, powolnymi pieszczotami.

Z jej boków wyrastały cztery pary długich, segmentowanych pajęczych odnóży. To właśnie one utrzymywały drowkę nad przerdzewiałą podłogą.

Pharaun nie potrafił zliczyć wszystkich driderów, jakie widział, ale istota, którą miał przed sobą, nic była driderem.

Wszystko w niej domagało się jego pełnej uwagi. Postać drow-ki była piękna - piękna w sposób, którego Pharaun nie był w stanie opisać. Jej długie, cienkie pajęczce odnóża przypomniały mu, gdzie się znajduje: na planie należącym do...

Mistrz Sorcere powoli pokręcił głową. To niemożliwe.

- Lo...-wyszeptał.

- Nie jestem Królową Pajęczych Otchłani, mistrzu Sorcere - odezwała się drowka-pajęczycza z silnym akcentem w wysokim drowim. — Nawet wypowiedzenie czegoś takiego byłoby bluźnierstwem.

- Tylko o was czytałam - szepnęła Quenthel.

Z mroku wyłoniła się kolejna pajęczycza, a trzecia zwiślała pod sufitem; wszystkie miały ciała nagich, wijących się dro-wek.

- Otchłanne wdowy - rzekła Danifae.

Nazwa ta nic nie mówiła Pharaunowi.

- Jesteście jej służkami i... - zaczęła Quenthel.

-I akuszerkami. Jesteśmy tylko legendą- wymruczała pierwsza otchłanna wdowa. - Jesteśmy tylko prorocstwem.

- Prorocstwem... - wyszeptała Quenthel.

- Istniejemy - powiedziała otchłanna wdowa - aby strzec przejścia do Pajęczych Otchłani.

- Ale - powiedział Pharaun prawie wbrew sobie - my jesteśmy w Pajęczych Otchłaniach.

Piękna drowka uśmiechnęła się, ukazując idealne białe zęby. Skóra na jej policzkach była gładka i całkowicie pozbawiona szkar czy niedoskonałości.

- Nie - odparła istota-już nie.

- Co się stało? - zapytała Quenthel. - Gdzie jest bogini, skoro nie w Otchłani?

- Znajdziesz odpowiedzi na wszystkie swoje pytania, mistrzyni - powiedziała wdowa - kiedy wejdiesz w portal.

- To teraz odrębny plan - odgadł Pharaun.

Otchłanne wdowy kiwnęły jednocześnie głowami i ustawiły się po obu stronach portalu niczym strażniczki na drodze procesji.

- Zasłiście tak daleko - odezwała się jedna z nich.

- Dowiedliście w ten sposób, że jesteście godni - podjęła następną.

- Spójrzeć w twarz Lolth i pomóc jej przybrać nową postać - zakończyła trzecią.

- Nową postać? - zapytał Pharaun.

Otchłanne wdowy wymieniły niewinne spojrzenia i wskazały ziewający fioletem portal.

- Czy... - zaczął mistrz Sorcere, przemagając suchość w gardle i nie potrafiąc opanować drżenia rąk. - Czy nazważyście się akuszerkami?

- Wchodźcie-rzekła jedna z nich. -Jesteście oczekiwani.

Quenthel wystąpiła naprzód i śmiało wkroczyła w skłębioną masę fioletowego blasku. Natychmiast znikła, a Danifae zaraz za nią. Jeggred był trochę bardziej niechętny i mijając otchłanne wdowy, zmierzył je groźnym spojrzeniem. On też zaraz zniknął.

Pharaun odwrócił się do Valasa, który wodził wzrokiem od jednej wdowy do drugiej. Trzymał dłoń na jednej z krzykliwych błyskotek przypiętych do kamizeli.

- A więc, mistrzu Hune odezwał się mag dotarliśmy na miejsce.

Valas popatrzył na niego i kiwnął głową.

- Tam, dokąd idziemy... powiedział mag, przerywając, żeby zebrać myśli, co wcale nie było proste, zważywszy na perspektywę wkroczenia w portal - ...możliwe, że twoje usługi nie będą już potrzebne.

Valas spojrzał mu prosto w oczy.

- Moje usługi na nic się już nie zdadzą.

Pharaun wziął głęboki oddech.

- Cóż - rzekł -jak już mówiłem, twoje umiejętności i doświadczenie byłyby nam przydatne wszędzie, ale dotarliśmy do punktu, w którym musisz podjąć decyzję sam.

- Już ją podjąłem - odparł Valas, a wyraz jego oczu mówił wyraźnie, że nie ma ochoty na dalsze rozmowy.

- W takim razie żegnaj.

Pharaun odwrócił się i nie patrząc za siebie wkroczył w portal, zostawiając Valasa Hune samego.